

Nowa powieść autorki  
nominowanej do  
Nagrody Wielkiego Kalibru!

# WARSZAWIANKA

Od zmierzchu do świtu

IDA ŻMIEJSKA

IDA ŻMIEJEWSKA

WARSZAWIANKA  
Od zmierzchu do świtu



# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Dedykacja

Mazowsze, okolice Płocka, grudzień 1863 roku

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Mazowsze, okolice Płocka, grudzień 1863 roku

Podziękowania

Redakcja  
*Paweł Wielopolski*

Korekta  
*Bożena Sigismund*

Projekt graficzny okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Zdjęcia wykorzystane na okładce  
© *Cottonbro/Pexels*

Zdjęcie autorki na okładce  
*Karolina Cisowska*

Skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2020

© Copyright by Ida Żmiejewska, Warszawa 2020

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-66939-74-5



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Nienawidzić się wolno (...) kraść, zabijać...  
wszystko, wszystko wolno, tylko nie wolno kochać.*

BOLESŁAW PRUS, *LALKA*

*Dla Ewy Knap*

## MAZOWSZE, OKOLICE PŁOCKA, GRUDZIEŃ 1863 ROKU

Uciekinier wstrzymał konia i starając się opanować drżenie ciała przemarzniętego do szpiku kości, wyteżył słuch. Cały zgiełk bitwy – pokrzykiwania kozaków, huk wystrzałów i wizg kul, wołanie o pomoc i jęki rannych, a potem odgłosy bezładnego odwrotu polskiego oddziału i rosyjskiej pogoni – wreszcie ucichł. Wokoło szumiał zasypany śniegiem las.

Kurczowo ściskając wodze, obejrzał się za siebie: wiódł drugiego wierzchowca, a przytulony do jego grzywy mężczyzna z trudem utrzymywał się w siodle i trawiony gorączką, mrucał coś niezrozumiale.

Zaspy stawały się coraz większe i zmęczone zwierzęta z trudem przedzierały się przez śnieg oraz dzikie ostępy. Przemarznięty i wymęczony uciekinier zsiadł ze swojego konia: musiał przejść choć kawałek, aby nie zasnąć.

Zaczynał tracić nadzieję. Ganił się za to nieustannie i w końcu, aby całkowicie nie popaść w zwątpienie, zaczął modlić się do Najświętszej Panienki; jeśli ktoś mógł ich uratować, to tylko ona. Musiała mieć wobec nich jakieś plany, skoro nie pozwoliła, aby jak ich towarzysze walki, utopili się w Wiśle. Skoro pomogła im umknąć kozackiej pogoni.

Ranny wykrzyknął coś w malignie.

W oddali rozległo się przeraźliwe wycie. Po chwili do pierwszego wilczego głosu dołączył drugi, wreszcie trzeci i czwarty. Wierzchowiec nerwowo zastrzygł uszami, a uciekinier zmartwiał. Co prawda, miał broń, ale cały proch zamókł, kiedy wyciągał rannego ze sterty trupów leżących na brzegu Wisły. Szablę stracił jeszcze w bitwie.

Z rozpaczą wsłuchiwał się w skowyt, który mógł im zwiastować potworną śmierć, kiedy nagle uświadomił sobie, że dobiega go jeszcze inny odgłos – swojskie szczekanie podwórzowych psów.

Dziękuję, Najświętsza Panienko.



\*\*\*

Nie wiedział, jak długo trwała wędrówka, ale był już środek nocy, kiedy ujrzał pierwsze zabudowania. Wjechał w długą wierzbową aleję. Rosochate drzewa przybierały w ciemności dziwne, często straszne kształty, ale on nie czuł strachu, tylko lekkość w sercu. Wyraźnie widział stary dwór, w którym jego przyjaciel osiadł po śmierci ojczyrna. Nigdzie nie było żywego ducha, nawet kiedy podjechali pod samo wejście.

Uciekinier zeskoczył z konia tak zręcznie, jakby cudem odzyskał siły, zaczepił wodze obu wierzchowców o żerdź wystającą z płotu, za którym znajdował się ogród, a następnie trzema susami pokonał schody i załomotał w drzwi.

Odpowiedziała mu cisza. Nie namyślając się, zaczął uderzać znowu, tym razem bezładnie i nieprzerwanie. Wreszcie usłyszał odgłos ciężkich kroków.

– Kto się tłucze po nocy?! Gadaj, bo zastrzele!

– Ambroży? – Choć był półprzytomny, rozpoznał głos najstarszego sługi we dworze. – Powiedz panu...

– To panicz?! – zapytał z niedowierzaniem służący. – Wszelki duch Pana Boga chwali! Jasiak, leć budzić pana!

Ktoś, tupiąc głośno, pobiegł w głąb domu, zaś Ambroży jeszcze przez chwilę mocował się z zamkiem. Wreszcie drzwi stanęły otworem; uciekinier natychmiast poczuł przyjemne ciepło idące z wnętrza, przymknął oczy.

– Proszę wchodzić – ponaglił służący, przyświecając mu lampą naftową.

– Nie jestem sam...

Nie zdążył dokończyć, kiedy usłyszał skrzypienie drewnianych schodów, a po chwili w sieni pojawił się młody postawny mężczyzna owinięty szlafrokiem.

– To ty?! – zapytał, podnosząc lampę. – Skąd się wzięłeś? – Spojrzał na jego poszarpany, uwalany krwią kożuch i zaraz dodał cicho: – Byłeś nad Wisłą?

– Tam. – Drżącą ręką wskazał za siebie; przy koniach już kręcili się ludzie. – Tam jest... ranny... ratuj go, proszę... – Kurczowo chwycił dłoń gospodarza.

– Dajcie go tutaj! – Gospodarz uwolnił się z uścisku i wyjrzał na zewnątrz. – Ambroży, wołaj Genowefę.

– Nie trzeba wołać, już jestem. – Siwowłosa ochmistrzyni dreptała pospiesznie w ich kierunku, a kiedy dotarła, pochyliła się nad rannym, którego dwaj służący

wnieśli do domu. – Szybko do izby przy kuchni. Pan też idzie z nami. – Spojrzała na uciekiniera. – Trzeba sprawdzić, czy wszystko w porządku i koniecznie pana rozgrzać. Gorące mleko z miodem będzie w sam raz. Idziemy! Proszę się nie ociągać.

– Idź – mruknął gospodarz. – Genowefa nigdy nie powtarza dwa razy. A ja muszę zajrzeć do matki, bo niedomaga. Potem porozmawiamy.

Kiwnął głową i z trudem powlókł się za służbą. W kuchni pachniało świeżym chlebem. Przełknął ślinę, przypominając sobie, że ostatni raz jadł kilka godzin przed bitwą. Nagle zakręciło mu się w głowie, ciężko opadł na pierwsze z brzegu krzesło i natychmiast stracił pewność, czy to wszystko, co dzieje się wokół niego, jest jawą, czy już snem.

W pomieszczeniu panował rozgardiasz, jacyś ludzie biegali we wszystkie strony, wykonując polecenia Genowefy, która komenderowała nimi niczym generał.

Nagle zorientował się, że ktoś – chyba Ambroży – zamierza ściągnąć z niego kożuch; przez chwilę opierał się z obawy, że znowu dopadnie go mróz, ale kiedy uświadomił sobie, że nocna wędrówka nareszcie się skończyła, ustąpił. Od gładko uczesanej rumianej kobiety dostał kubek gorącego mleka. Ambroży chciał dać mu gorzalki, ale ochmistrzyni, która akurat wyszła z sąsiedniej izby, aby zażądać kolejnego wiadra ciepłej wody, stanowczo zaprotestowała.

– Żyje? – Z trudem wydusił z siebie pytanie.

– Żyje. – Starsza kobieta dobrotliwie poklepała go po ramieniu. – Szybko się wylize.

– Bogu dzięki – szepnął, a potem głowa opadła mu na blat stołu i zasnął kamiennym snem.

\*\*\*

Obudziły go czyjeś kroki. Uniósł głowę i potarł oczy, zanim jeszcze całkowicie oprzytomniał; kudłaty kożuch, którym był okryty, zsunął się na ziemię. A on, za żadne skarby świata, nie umiał przypomnieć sobie, gdzie jest i skąd właściwie się tu wziął. Najpierw wydawało mu się, że nadal brnie przez leśne ostępy, ale przyjemne ciepło wionące od kaflowej kuchni rozwiało senne majaki.

Rozwarł powieki, rozejrzył się wokoło i wtedy przypomniał sobie przywitanie w domu przyjaciela. Jeszcze raz podziękował w myślach Najświętszej Paniencie za to, że prawdziwa przyjaźń umie przetrwać wszystko. Nawet różnicę poglądów i awanturę o kobietę.

Usiadł prosto. Z sąsiedniej izby, przez szparę w drzwiach, sączyło się światło. Słyszał też przyciszone głosy. Nie mógł zrozumieć słów, ale i tak odetchnął z ulgą; skoro Genowefa rozmawiała z kimś tak spokojnie, rannemu nie mogło grozić niebezpieczeństwo. Przynajmniej na razie.

– Obudził się panicz? – Do kuchni znowu zajrzał Ambroży. – Posłałem łóżko na górę, będzie wygodniej. A mus dobrze odpocząć po takiej drodze.

Bardziej od snu potrzebował tytoniu. Nie miał w ustach papierosa od wielu dni i czuł, że jeśli zaraz go nie dostanie, na pewno oszaleje.

– Macie może co zapalić? – zwrócił się do służącego.

– A juści – odparł Ambroży i wyciągnął z kieszeni płócienne zawiniątko, w którym znajdowały się robione samodzielnie skręty i zapalki. – Niech panicz bierze, ile potrzeba.

– Wyjdę na zewnątrz, jeśli pozwolicie.

– Tu zaraz, z korytarza są tylne drzwi. – Ambroży wskazał mu drogę.

Podniósł się z krzesła i przez chwilę stał w bezruchu, próbując zapanować nad słabością i drżeniem nóg. Włożył kożuch i ruszył za służącym.

– Zaraz wrócę – powiedział, kiedy wyszedł do ogrodu zasypanego śniegiem.

Świt musiał być blisko, ponieważ niebo zaczynało się przejaśniać, ale mróz nadal nie odpuszczał. Uciekinier wzdrygnął się z zimna i stawiając kołnierz okrycia, pomyślał, że na szczęście zaraz wróci do ciepłego domu.

Wyciągnął papierosa z zawiniątka i zapalił. Zaciągnął się łapczywie, aż po samo dno płuc, a potem, wolno wydmuchując dym, rozejrzył się dokoła. Róże, które były niegdyś dumą matki gospodarza, rosły do tej pory i zostały na zimę szczelnie owinięte słomą. Tak samo jak liczne drzewa owocowe.

Zaciągnął się jeszcze parę razy, a potem podszedł do płotu, aby zerknąć na podwórze. Nie miał żadnych złych przeczuc, ot po prostu zamierzał sprawdzić, czy wszystko wygląda tam, jak przed laty.

Wystarczył jednak rzut oka, aby cofnął się i ukrył za węglem. Wyrzucił wciąż tłącego się papierosa w śnieg, wstrzymał oddech i wyjrzał jeszcze raz.

Przed wejściem do dworu działo się coś niepokojącego.

WARSZAWA,  
STYCZEŃ 1894 ROKU

## ROZDZIAŁ I

### I.

Tego wieczoru Krakowskie Przedmieście nieodparcie przywodziło na myśl zaczarowaną krainę z baśni pana Andersena. Z nieba sypały się ciężkie płatki śniegu zamieniające drzewa w rzeźby o fantastycznych kształtach. Osiadały na latarniach oświetlających pokryte puchem chodniki oraz na dachach, balkonach i parapetach okolicznych budynków. Ulice stawały się coraz mniej przejezdne.

W okolicach placu Zamkowego panował jednak ożywiony ruch, słychać było parskanie koni i pokrzykiwania woźniców. Powozy, złobiąc koleiny w gęstym pośniegowym błocie, wolno sunęły w kierunku Resursy Obywatelskiej, gdzie tego wieczoru odbywało się jedno z najwspanialszych wydarzeń karnawału – bal charytatywny zorganizowany przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności; tym razem zbierano pieniądze na przytułek oraz dla rzemieślników i robotników fabrycznych.

Karety, jedna po drugiej, zatrzymywały się przed majestatycznym rozświetlonym budynkiem. Lokaje odziani w świąteczne liberie pospiesznie rzucali się do drzwi pojazdów i kłaniając się uniżenie, otwierali je na całą szerokość. Goście – mężczyźni w płaszczach z najlepszej wełny i cylindrach oraz damy otulone futrzanymi etolami – uciekali jak najszybciej przed wilgotnymi drobinami czepiającymi się odzieży i niszczącymi finezyjne koafiury.

Na szczęście drzwi do budynku chronił ganek wsparty na kolumnach, a w holu wyłożonym marmurami można było ogrzać się szybko i przy pomocy służby zdjąć okrycie i kalosze. Znajomi witali się ze sobą – szmer rozmów z każdą chwilą

przybierał na sile – a z góry dobiegała nieprzyjemna dla uszu kakofonia: orkiestra stroiła instrumenty, co oznaczało, że zabawa rozpocznie się lada chwila.

Wyłożone dywanami schody wiodły do sali balowej, gdzie przed wejściem, w zastępstwie sędziwego prezesa Lubomirskiego, gości witał „król kolei żelaznych” Jan Gottlieb Bloch wraz z dostojną małżonką, Emilią z Kronenbergów. Salę balową Resursy powszechnie uważano za jedną z najpiękniejszych w mieście. Zaraz po przekroczeniu progu można było podziwiać jej wielkość: składała się z dwóch sąsiadujących ze sobą wysokich pomieszczeń połączonych kolumnadą i miała aż dwa rzędy okien, większych i mniejszych, przedzielonych ozdobnym fryzem. Wnętrze rozświetlały kute żyrandole: płomień gazowych lamp skrzyły się w kryształach luster, którymi hojnie ozdobiono ściany, potęgując tym samym wrażenie przestrzeni.

W srebrzystych taflach odbijały się sylwetki dam wystrojonych w wydekoltowane suknie i obwieszonych kosztowną biżuterią, młodych panien w skromnej bieli i pastelach, z kwiatami we włosach oraz eleganckich mężczyzn we frakach. Pomędzy grupkami gości krążył znany warszawski wodzirej Żukowski, którego dawało się rozpoznać z daleka po przypiętym do ramienia pęku wielobarwnych wstążek; mistrz ceremonii nie mógł wręcz odpędzić się od kawalerów proszących go o przedstawienie ich wybranym pannom – a przede wszystkim groźnym matkom. Zarumienione dziewczęta, z trudem kryjąc ekscytację, wpisywały do karnetów nazwiska przyszłych danserów, a opiekunki, uspokojone ich powodzeniem, zajmowały miejsca na krzesłach ustawionych tuż pod ścianami.

Wodzirej klasnął w ręce i zapadła absolutna cisza. Następnie wydał tancerzom kilka komend i skłonił się nisko przed najmłodszą córką państwa Blochów.

Salę zalały dźwięki walca. Pierwsze pary zaczęły wirować w jego rytm; szybko dołączały do nich kolejne i kolejne.

Bał w Resursie Obywatelskiej właśnie się rozpoczął.

Czas mijał i zabawa trwała w najlepsze. Zewsząd dobiegał gwar podnieconych głosów. Przetańczono już dawno walca, przetańczono kontredansa, a następnie kolejnego walca, aż wreszcie pary, pod czujnym okiem zaaferowanego wodzireja, zaczęły ustawiać się do mazura, który miał być ostatnim tańcem przed kolacją.

Dwie damy w wieku balzakowskim – krągła blondynka z rumieńcami i szczupła szatynka z wąsikiem – rezydowały pod ścianą, śledząc wzrokiem córki, które, wraz z zaakceptowanymi przez nie partnerami, wędrowały właśnie na parkiet.

– Moja Lola jest taka zdolna – westchnęła z rozczuleniem blondynka, nie spuszczać zachwyconego spojrzenia ze swej latorośli. – Metr, który dawał lekcje, nie był w stanie się jej nachwalić. Mówił, że płąsa niczym nimfa. Ale zaraz... co tam się wyprawia?

Ku zgrozie i oburzeniu obu dam, okazało się, że żadna z dziewcząt nie zatańczy mazura w pierwszej ósemce.

– Kogo wybrał? – zapytała szatynka, podnosząc do oczu lorgnon i mierząc Żukowskiego wzrokiem pełnym potępienia.

– Blochównę – oświeciła ją pospiesznie przyjaciółka. – Hrabiankę Górską... Ta trzecia to chyba panna Osnowska... starsza pasierbica Rapackiej. Czwarta... Już wiem! Panna Boguszówna... prowincjonalna piękność, którą ojciec zwiózł na karnawał. Piąta to Siemaszkówna, córka doktora, a pozostałe...

– Blochównę i hrabiankę, rozumiem – przerwała jej rozmówczyni. – Ale Osnowska i te dwie pozostałe? Od dawna powtarzam, że towarzystwo schodzi na psy.

– Siemaszkówna całkiem ładna, choć już podstarzała... Ponoć ojciec nie zamierzał wprowadzać jej do towarzystwa, ale profesorka Pytłasińska uparła się, że jeszcze trochę i nikt dziewczyny nie zechce – kontynuowała blondynka. – A Boguszównę ojciec zwiózł na karnawał do Warszawy, a nie do Moskwy, bo przestraszył się epidemii cholery. Jak znajdzie odpowiedniego zięcia, da dziewczynie nawet siedemdziesiąt tysięcy posagu. – Westchnęła zazdrośnie, gdyż jej córka nie mogła liczyć nawet na jedną trzecią tej sumy. – Dorobił się podobno na gorzelniach i tartakach.

– Połowa tej sali to desant z prowincji – oświadczyła z przekąsem brunetka, na której bogactwa nie robiły wrażenia. – I wszystkim śni się pierwszorzędna partia.

Skoczna melodia wypełniła salę, więc damy zamilkły i zaczęły uważnie śledzić wzrokiem tancerzy. Niedługo później, kiedy przekonały się, że ich córki radzą sobie doskonale nawet w trzeciej ósemce, rozszerzyły pole obserwacji.

A było na kogo popatrzeć, gdyż tego wieczoru w Resursie Obywatelskiej zebrał się kwiat Warszawy; przybyły rodziny najbardziej zaangażowanych członków Towarzystwa Dobroczynności, czyli książęta Lubomirscy i Czetwertyńscy, zaś rezydentów pokoju karcianego ponoć zaszczycił wizytą sam hrabia Guccio Potocki z Jabłonny.

– O, to chyba Prus – ożywiła się nagle blondynka. – Widzisz?

– Zawsze przychodzi, przecież należy do Towarzystwa – odparła ciemnowłosa dama, od niechcienia zerkając na sławnego pisarza.

– Znasz tę jego *Lalkę*? Ponoć bardzo zajmująca lektura.

– A gdzież tam zajmująca, straszliwie się wynudziłam. – Szatynka zmarszczyła nos. – Czyta się jak anonse reklamowe w „Kurierze Porannym”. Albo *Przewodnik po Warszawie*. I to ten stary, Gomulickiego. Ale i tak, to lektura nie dla panienek – zakończyła surowo.

– Zaraz, zaraz! – zainteresowała się jasnowłosa, która w jednej chwili straciła zainteresowanie literackimi gustami koleżanki. – Czy ta przy wejściu, to aby nie Leontyna Burzyńska?

– Gdzie? – Jej towarzyszka podniosła do oczu lorgnon i uważnie zlustrowała młodą damę, która może i nie była piękną, ale przykuwała uwagę zgrabną figurą i ruchami pełnymi gracji. – Tak, to ona... Co też na siebie włożyła? – dodała ze zgrozą, wskazując na suknię Burzyńskiej uszytą z granatowej koronki i białego jedwabiu. – Ani śladu turniury. I nawet bez trenu.

– Turniury dawno wyszły z mody – przypomniała jej szeptem blondynka, która nie miała wątpliwości, że żadna z toalet młodej Burzyńskiej nie znalazłaby uznania w oczach przyjaciółki, nawet jeśli byłaby pożyczona od samej księżnej Lubomirskiej. Cóż, sroga dama liczyła kiedyś, że bogaty młody wdowiec zainteresuje się jej najstarszą córką. Niestety nic nie wyszło z tych planów, gdyż Janusz Burzyński pozwolił omotać się własnej kuzynce. I – zdaniem wielu – marnie na tym wyszedł.

– Moda modą, ale istnieje coś takiego jak przyzwoitość. Nie powinna wcale tu przychodzić.



– Najwyraźniej matka jej nakazała – odparła spokojnie jasnowłosa. – Wiesz dobrze, że Amelia trzęsie całą rodziną.

Muzyka przycichła, więc panie rozejrzały się po sali, aby sprawdzić, co dzieje się z ich córkami. Szybko jednak uznały, że wszystko jest w najlepszym porządku i powróciły do przerwanej konwersacji.

– Ona nie ma wstydu za grosz. – Ciemnowłosa dama znowu wbiła wzrok w Burzyńską. – Wspomnisz moje słowa.

Tymczasem pani Leontyna, bawiąc się od niechcienia wachlarzem z białych piór – takich samych jak te, które wpięła w popielate loki – witała się ze szczupłym mężczyzną w okularach.

– Do kogo tak się wdzięczy? – zainteresowała się szatynka. – Bezwstydnica.

– Paszkiewicz. To ten adwokat... – poinformowała ją towarzyszka przenikliwym szeptem – ...który w zeszłym roku bronił barona Kramera.

– Tego, co okradł własny bank?

– Tego samego.

– Słyszałam o nim. Ponoć ożenił się z Rosjanką. Jakby brakowało Polek z porządnymi rodzinami.

– Z pół-Rosjanką – poprawiła przyjaciółkę blondynka.

– Nic to nie zmienia. – Dama spoglądała z dezaprobatą na ładną brunetkę, która zbliżyła się właśnie do Paszkiewicza i pani Burzyńskiej. – I tak prawosławna.

Nieoczekiwanie obok zajętej rozmową grupki zmaterializowała się spowita w wytworną czerń dama nie pierwszej młodości, ale nadal wielkiej urody, w której obie panie rozpoznały natychmiast Józefinę Majerową, wdowę po profesorze uniwersytetu oraz reporterkę od lat z górą piętnastu prowadzącą w „Kurjerze Porannym” rubrykę kulturalną i towarzyską. Panią Józefinę powszechnie szanowano i uważano za wyrocznię w sprawach mody, dobrych manier i stylu, dlatego każda warszawska dama marzyła, aby dziennikarka zauważyła toaletę – jej albo córki – i opisała w którymś ze swych niezwykle poczytnych balowych sprawozdań.

Wyglądało na to, że akurat tego wieczoru to niewymuszona elegancja Leontyny Burzyńskiej zrobiła na niej największe wrażenie.

– Co ona widzi w tej sukni? Przecież nie ma w niej nic nadzwyczajnego. – Szatynka, niespuszczająca wzroku z Majerowej, aż sapnęła ze złości; świat

naprawdę schodził na psy, skoro konkietę na balu w Resursie robiła kobieta, której drzewo genealogiczne zostało zhańbione skandalem, a ona sama kradła innym pannom epuzerów. Na dodatek Burzyńska wyglądała tak, jakby wcale nie była uszczęśliwiona uwagą, jaką poświęca jej dziennikarka. Naprawdę miała przewrócone w głowie.

Wreszcie pani Majerowa – teraz wyraźnie z czegoś zadowolona – odpłynęła dostojnie, niczym fregata z czarnymi żaglami, w inne rejony sali balowej. Dwie koleżanki szybko straciły zainteresowanie nie tylko nią, ale także panią Leontyną i zajęły się komentowaniem wręcz nieprzyzwoicie wydekoltowanej toalety profesorowej Sarzyńskiej; piękność profesorowej przebrzmiała dawno temu, ale ona nie zamierzała przyjąć tego faktu do wiadomości. Cóż za bezwstyd i zgorzenie!

– Przyszła Amelia. – Ku plotkarkom pochyliła się ich sąsiadka, chuderława siwiejąca brunetka i wskazała im elegancką i wciąż piękną kobietę w średnim wieku.

– Rzeczywiście, to ona – potwierdziła niechętnie szatynka, która zupełnie bezinteresownie nie przepadała za matką młodej Burzyńskiej.

– Amelia nazywa się teraz Osnowska – przypomniała jej blondynka. – I większość czasu spędza na prowincji.

– A co ma niby robić w Warszawie po tych skandalach? – Chuda brunetka wydeła usta. – Ktoś, kto nie potrafi upilnować męża ani dzieci, nie powinien pokazywać się w towarzystwie.

Wdowa po niesławnej pamięci mecenasie Rapackim śledziła tymczasem wzrokiem pasierbicę, która odrobinę zbyt długo tańczyła mazura ze średnim synem redaktora Zagórskiego z „Kuriera Porannego”, a potem rozejrzała się po sali w poszukiwaniu córki. Dostrzegła ją wreszcie i ruszyła ku niej szybkim krokiem.

– Pewnie przyjechała wyswatać starszą pasierbicę – zastanawiała się blondynka.

– Dziwne, że mąż pozwala jej zajmować się swoimi córkami. – Szatynka znowu podniosła do oczu lorgnon. – Jestem pewna, że ich też nie upilnuje. I będzie kolejny skandal – zakończyła z nieukrywaną satysfakcją.

Tymczasem mazur zbliżał się do końca. Wskazówki zegara wskazywały północ. Nadchodziła pora kolacji.

### 3.

Kolacja na kilkaset osób trwała dobrze ponad godzinę, ale wreszcie dobiegła końca. Sala znowu zaczynała się zapełniać. Gwar wzrastał się z każdą chwilą, a na parkiecie robiło się coraz ciasniej: prawie nikt nie myślał o tym, aby opuścić Resursę, gdyż na gości czekały kolejne atrakcje.

W tej chwili towarzystwo zaczynało szykować się do tradycyjnego kotyliona, a choć ozdobne rozetki i gwiazdki rozdano gościom grubo przed kolacją, znalezienie w tłumie swojej tancerki lub dansera nie było wcale prostym zadaniem. Niestrudzony wodzirej dwoił się i troił, aby zapanować nad chaosem, zanim orkiestra zacznie grać; zależało mu ogromnie, aby wszyscy byli zadowoleni.

Pary, które zdołały się odnaleźć, wymieniały uprzejmości, zerkwały na siebie z zadowoleniem albo obawą. W rzeczywistości było tu niewiele osób, które naprawdę połączył przypadek: młodzi mężczyźni zawsze potrafili znaleźć sposób, aby móc zatańczyć z upatrzoną panną, wyrwać ją choć na chwilę spod kurateli surowej matki i zamienić kilka słów.

Wydawało się, że tańce rozpoczną się bez przeszkód i nic nie zakłóci panującego w Resursie radosnego nastroju.

Nic bardziej mylnego.

Muzycy zaczęli grać, ale kiedy pierwsze takty melodii zagłuszył głośny okrzyk przerażenia, przerwali i odłożyli instrumenty.

Obecni szybko zorientowali się, że hałas dochodzi z jednego z bocznych gabinetów: najprawdopodobniej tego, który był przeznaczony na pokój wypoczynkowy dla pań.

Goście przez chwilę, niczym skamienieli, wpatrywali się w wiodące do niego drzwi, ale nikt nie odważył ruszyć się w tamtą stronę, niektórzy spoglądali wyczekująco na swoich sąsiadów. Szmer rozmów z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy. Wystraszone matki podnosiły się z miejsc, chcąc sprawdzić, czy nic złego nie stało się ich córkom. Amelia Rapacka mocno ścisnęła rękę powierzonej jej opiece panny Osnowskiej, która nie zdążyła ruszyć jeszcze na parkiet.

Wreszcie drzwi gabinetu otwały się wolno i, jak lunatyczka, wyszła stamtąd, blada niczym śmierć, Leontyna Burzyńska. Ratując się przed upadkiem, ciężko

oparła się o futrynę. Oddychała z trudem i przyciskając rękę do piersi, próbowała coś powiedzieć. Bezskutecznie.

Pani Amelia wypuściła dłoń przerażonej pasierbicy i szybkim krokiem podeszła do córki. Paszkiewiczowie, idąc w jej ślady, przeciskali się przez wzburzony tłum.

– Ona nie żyje... – wykrztusiła wreszcie roztrzęsiona Leontyna i spojrzała na mecenasa tak, jakby oczekiwała od niego ratunku. – Nie żyje... Ktoś ją zamordował.

# ROZDZIAŁ II

## I.

– Masakra – oświadczył po polsku doktor Patkiewicz z podejrzanym zadowoleniem w głosie, które kontrastowało z jego zmęczonym wyglądem. – Niech pan sam zobaczy.

Asesor kolegiálny, Jerzy Dawidowicz Szuster, sędzia śledczy przy warszawskim Sądzie Okręgowym, nie spieszył się jednak do oglądania ciała ofiary, rozglądał się za to uważnie po obszernym pomieszczeniu, które podczas balu pełniło rolę pokoju dla pań. Na co dzień była tu zapewne biblioteka; pod ścianami poustawiano oszklone półki ciasno wypełnione książkami, a pod oknem znajdowało się dębowe biurko, trzy skórzane fotele i kilka krzeseł. Obok, w niewielkiej odległości od ściany, stała kanapa, także obita skórą.

I to właśnie w niewielkiej wnęce między tym meblem a drugim oknem pracował lekarz; najwyraźniej tam leżały zwłoki.

– Już patrzę – zaczął po rosyjsku Jerzy.

Najchętniej porozmawiałby z doktorem po polsku, ale nie śmiał robić tego w obecności rewirowego Owsianki, zwalistego chłopca wyglądającego tak, jakby jedną ręką dusił niedźwiedzie, a drugą woły; Owsianko miał opinię służbisty i bałwochwalczego czciciela przepisów.

– Niech pan obejrzy wszystko dokładnie, panie sędzio. – Patkiewicz ewidentnie nie miał zamiaru używać oficjalnego języka. Cóż, znany był z tego, że lekcewał zarówno zasady, jak i konwenanse. Akurat Szustrowi nie przeszkadzało ani jedno, ani drugie – znał doktora od czasów, kiedy był nieopierzonym registratorem kolegiálnym w urzędzie śledczym – ale Owsianko zaczął chrząkać znacząco.

Młody sędzia pochylił się, zerknął za poręcz kanapy i z trudem zmusił się do oględzin. Widywał w życiu zwłoki w różnym stanie, ale nie miał jeszcze okazji oglądać tak paskudnie rozbitej damskiej głowy. Włosy nieboszczki – niedużej drobnej kobiety odzianej w czarną suknię – były pozlepiane krwią i czymś białym;

Jerzy próbował nie dopuszczać do siebie myśli, że to mózg. Dolna część twarzy została nie tyle pocięta, co wręcz poszatkowana czymś ostrym do tego stopnia, że na podstawie wyglądu nie dałoby się ustalić tożsamości ofiary. Patkiewicz miał rację – masakra.

– Wiemy, kim ona jest? – zapytał, walcząc z mdłościami; miał nadzieję, że Owsianko, nie zauważył jego słabości.

– Józefina Stanisławowna Majer, lat pięćdziesiąt jeden – powiedział doktor po rosyjsku, rzucając na Owsiankę pełne wyrzutu spojrzenie. – Dziennikarka „Kuriera Porannego”. Prowadziła ponoć bardzo poczytną rubrykę towarzyską.

– Rzeczywiście – przypomniał sobie Jerzy. Nazwisko pani Majerowej słyszał wielokrotnie w domu Mironowów, ponieważ zarówno ciotka, jak i kuzynki pasjami czytywały jej sprawozdania z balów i innych imprez, komentując wszystko i dzieląc się najciekawszymi szczegółami.

– Czym ją zabito?

– Tym. – Lekarz ze zręcznością prestidigitatora wyciągnął zza biurka butelkę po szampanie. – A raczej tym, co z tego pozostało.

– Dlatego taka zmasakrowana – mruknął Szuster, niechętnie spoglądając na uwalane zasychającą mazią krawędzie szkła.

– Morderca najpierw uderzył ją mocno w głowę, a potem rozbił flaszkę... Niech pan spojrzy, uszkodził blat biurka przy samym rogu.

– Ale w jakim celu? – zapytał Jerzy, jednocześnie przypatrując się głębokim zarysowaniom i kawałkom odszczypanego lakieru.

– Żeby podciąć jej gardło – wyjaśnił Patkiewicz. – Po uderzeniach ludzie często tracą tylko przytomność, a on najprawdopodobniej chciał mieć pewność, że zabił. A że stłuczona butelka to nieporęczne narzędzie, poharatał ofiarę... Przyjdzie pan na sekcję jutro rano? Jakoś koło dziesiątej.

– Postaram się – rzucił Szuster, choć wiedział, że zrobi wszystko, aby o tej godzinie znajdować się jak najdalej od Szpitala Dzieciątka Jezus oraz jego mory.

Cóż, oglądanie martwych ciał było rzeczą, której najbardziej nie lubił w swojej pracy i czasem żałował, że większości kryminalnych zagadek nie da się rozwiązać w archiwum.

– Jacyś świadkowie? – zwrócił się do rewirowego, chcąc ostatecznie zamknąć nieprzyjemny temat autopsji. – Może służąca? Albo krawcowa? W końcu powinna

tu jakaś dyżurować, gotowa do pomocy.

– Akurat była pora kolacji, więc wszystkie trzy pokojówki skorzystały z okazji i wyszły – odparł pospiesznie Owsianko. – Teraz siedzą na dole, w każdej chwili można je przesłuchać.

– A kto znalazł zwłoki?

– Niejaka pani Burzyńska.

– Chcę z nią porozmawiać.

– Czeka obok, w gabinecie.

– W takim razie pójdę do niej. – Jerzy spod zmrużonych powiek spojrzał na Owsiankę. – Proszę zostać z doktorem, może potrzebować pomocy. A ja wrócę, kiedy wreszcie pofatyguje się tu ktoś z urzędu śledczego.

– Tak jest!

Sala balowa był prawie pusta, ale wśród nielicznych gości, którzy czekali, aż policjanci spiszą ich personalia, dostrzegł panią Amelię Rapacką – to znaczy Osnowską – która siedząc pod ścianą, zawzięcie wachlowała się strusimi piórami i – jak za dawnych czasów – sprawiała wrażenie wścieklej. Jerzy odruchowo rozejrzał się w poszukiwaniu jej młodszej córki, choć wiedział doskonale, że żadnym sposobem nie może być obecna: panna Helena kilka lat temu wyjechała na studia do Szwajcarii. Nikt nie spodziewał się, że znajdzie w sobie tyle determinacji, aby zrealizować plany, które snuła jako pensjonarka.

Przed wejściem do sąsiedniego pokoju stał uzbrojony policjant, jeden z podwładnych Owsianki. Na jego widok, odsunął się od drzwi, aby zrobić przejście. Szuster wszedł do środka i ze zdziwieniem dostrzegł tam aż trzy osoby: mecenasa Antoniego Paszkiewicza, jego żonę – a swoją kuzynkę – Katarzynę i półleżącą na kanapie Leontynę Burzyńską de domo Rapacką.

– Panie Jerzy... – zaczęła dama zduszonym głosem, oczywiście po polsku, jednocześnie próbując się podnieść; Katia, która czuwała nad nią, pospieszyła z pomocą. – Co za nieszczęście...

– Pani Leontyna znalazła ofiarę. – Paszkiewicz podszedł do niego i mocno uścisnął mu rękę, a kuzynka, nie opuszczając posterunku obok osłabionej Leontyny, skinęła tylko głową.

Szuster tymczasem przypomniał sobie, że panna Rapacka wyszła kilka lat temu za mąż za swojego kuzyna Janusza: mówił mu o tym Aleksander Woronin podczas

ich pierwszego spotkania po latach.

– Panno... pani Leontyno – zwrócił się uprzejmie do dawnej znajomej. – Czy dałaby pani radę opowiedzieć, co zaszło?

– Jerzyk, może przełożyłbyś przesłuchanie na jutro? – Katia spojrzała na niego z przyganą. – Widzisz, że pani...

– Dam radę – przerwała jej Leontyna i znowu spróbowała usiąść; tym razem z powodzeniem. – Chcę mieć to za sobą.

– Pozwoli pani, że będę notował? – spytał, a kiedy dama twierdząco skinęła głową, wyjął z teczki kajet i ołówek; co prawda, polegał na swojej pamięci, ale dawno temu przekonał się, że własne, robione na żywo zapiski bywają najlepsze; czasem jakaś z pozoru nieistotna informacja mogła okazać się kluczem do rozwiązania problemu. – Proszę mówić.

– Opuściłam jadalnię przed końcem kolacji – zaczęła drżącym głosem Leontyna. – W mazurze ktoś nadepnął mi na falbankę. Zamierzałam poszukać szwaczki, żeby to zszyla. Poszłam do pokoju dla pań, ale akurat nikogo nie zastałam. Postanowiłam zaczekać, więc zaczęłam oglądać książki na półkach. Wyciągnęłam jedną, żeby zajrzeć do środka, ale była ciężka i wypadła mi z ręki... poleciała na podłogę. Pochyliłam się... – Wzięła głęboki oddech. – Pochyliłam się i zobaczyłam, że za kanapą ktoś leży. Myślałam, że jakaś kobieta zemdląca... Boże, ona była cała we krwi! Chyba zaczęłam krzyczeć... Nie pamiętam. – Uniosła dłoń do czoła.

– Nie widziała pani nikogo podejrzanego?

– Nie, byłam tu sama... – Urwała i wbiła wzrok w drzwi; upuszczona szklanka potoczyła się po podłodze.

## 2.

Woronin leżał w łóżku. Z polską książką, którą dostał w świątecznym prezencie od Paszkiewicza. Nosila dziwny tytuł *Potop* i okazała się bardzo wciągającą opowieścią z czasów wojny polsko-szwedzkiej w XVII wieku, aczkolwiek dla niego miejscami niezrozumiała. Nijak nie umiał na przykład pojąć, że w jakimś państwie mógł panować taki bałagan: szlachta robiła, co chciała, dla własnej korzyści zdradzała ojczyznę, z kim popadnie, a króla miała za nic. Swoją drogą, co to



w ogóle za pomysł, aby naród sam wybierał sobie władcę? Nic dziwnego, że Polacy stracili wolność na rzecz krajów, w których panował większy porządek i każdy znał swoje miejsce.

Wreszcie, kiedy minęła północ, uznał, że najwyższa pora iść spać. Zdusił niedopałek w popielniczce, odłożył powieść na szafkę i już zamierzał gasić lampy, kiedy ktoś zaczął dobijać się do jego mieszkania. Wstał, klnąc pod nosem, narzucił szlafrok – w kieszeni miał rewolwer – a potem bosy i z lampą w garści powędrował do przedpokoju. Walenie nie ustawało.

Otworzył drzwi i uniósł światło; zamierzał dokładnie przyjrzeć się nieproszonemu gościowi, zanim zrzuci go ze schodów. Skończyło się tylko na jednym spojrzeniu – od razu rozpoznał Jegora Jegorowicza Frołowa, swojego podwładnego z Daniłowiczowskiej.

– Dobry wieczór, panie komisarzy. – Frołow opuścił ręce i wyprężył się słuźbiście. – Proszę wybaczyć najście, ale to polecenie radcy Langer.

– Wchodźcie, Frołow, i mówcie. – Woronin wiedział doskonale, że Adam, który od prawie czterech lat pełnił funkcję zastępcy szefa urzędu śledczego, nie wrywałby go bez powodu z ciepłego łóżka w zimową noc.

– Na balu w Resursie Obywatelskiej zamordowano kobietę – zaczął Jegor Jegorowicz, kiedy gospodarz zamknął za nim drzwi. – Radca Langer chciałby, żeby zajął się pan tą sprawą.

– Który sędzia ją dostał? – zapytał z westchnieniem; naprawdę miał co robić w pracy, a tu spada mu na głowę jeszcze jeden problem.

– Ten młody. Szuster.

– Naprawdę? – ucieszył się szczerze.

Dzięki petersburskim koneksjom Osipa Dymitrowicza Jerzy, po ukończeniu studiów i wymaganych praktyk, uniknął zesłania do sądu w jakiejś poduralskiej guberni i kilka miesięcy temu wrócił do Warszawy. Od tego czasu spotykali się regularnie, najczęściej u Mironowów, nie mieli jednak okazji wspólnie prowadzić śledztwa.

– Zaczekajcie. Za chwilę będę gotowy.

Wrócił do sypialni, wyciągnął z szafy czystą bieliznę, koszulę, mundur i zaczął się ubierać, starając się nie wykonywać przy tym gwałtownych ruchów; ostatnio

paskudnie bolało go przestrzelone przed kilku laty ramię. W przedpokoju włożył szynel i wcisnął na głowę czapkę.

Od połowy 1890 roku Woronin mieszkał na ulicy Erywańskiej, tuż przy placu Zielonym, na drugim piętrze od frontu. Czynsz był spory, ale mógł pozwolić sobie na taki wydatek, gdyż Nikita Andrejewicz nie dość, że pogodził się z tym, że syn się nie zmieni, to jeszcze regularnie wspomagał go finansowo.

Kamienica była elegancka i dobrze utrzymana, a lokum przestronne i wygodne, więc Aleksander szybko się do niego przyzwyczaił. Za poprzednim mieszkaniem na Jasnej nie tęsknił wcale; kojarzyło mu się wyłącznie z okropnymi wydarzeniami z przeszłości, których i tak nie potrafił zapomnieć. W nowym miejscu mógł przynajmniej udawać, że zaczyna życie od początku.

Frołow przyjechał po niego dorożką. Mimo że koła dorożki tonęły w topniejącym i rozjeżdżonym śniegu, jechali szybko, prawie na złamanie karku. Drogę pokonywali w milczeniu. Aleksander, paląc papierosa, przyglądał się uśpionej Warszawie. Polubił to miasto niedługo po pierwszym przyjeździe – strach pomyśleć, że minęło ponad osiem lat, wydarzyło się tyle rzeczy...

Wreszcie dotarli na miejsce. Aleksander wygramolił się z dryndy, a Frołow wysiadł zaraz za nim. Dorożka odjechała, a oni, starając się unikać zdradliwych błotnistych bagien na podjeździe, wolnym krokiem powędrowali w stronę jasno oświetlonej Resursy Obywatelskiej.

Przed wejściem Woronin zaciągnął się po raz ostatni, rzucił częściowo wypalonego papierosa na ziemię i przydepnął go mocno. Przywitał się ze stójkowymi pilnującymi wejścia – jak widać VII Cyrkuł nie zasypiał gruszek w popiele – i przekroczył próg budynku. Rozejrzał się dokoła, bo nigdy wcześniej nie był w tym miejscu, służbowo nie miał potrzeby, a na bale i inne uroczyste wydarzenia, które tu się odbywały, nie zapraszano Rosjan.

Resursa wyglądała na opustoszałą, po obszernym holu kręcili się głównie policjanci, zapewne większość gości została już spisana i odesłana do domów.

– Dobry wieczór – odezwał się ktoś za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył, że po szerokich, przykrytych czerwonym kobiercem schodach schodzi rewirowy Owsianko z VII Cyrkułu. Pracowali ze sobą wiele razy, ale Woronin nie przepadał za nim: zwyczajnie nie miał cierpliwości do człowieka,

który zawsze skupiał się na najmniej istotnych szczegółach i roztrząsaniu ich bez końca.

– Dobry wieczór. – Ukłonił się uprzejmie; życie w zgodzie z Owsianką nic go jednak nie kosztowało, a dawało wymierne profity. – Co tu zaszło, Jewsieju Glebowiczu?

– Zamordowano kobietę, Aleksandrze Nikityczu. – Rewirowy nawet nie spojrzął na Frołowa. – Butelką po szampanie, wystawcie sobie. Chce pan zobaczyć ciało?

– Wolałbym zameldować się najpierw sędziemu śledczemu.

– Akurat przesłuchuje damę, która znalazła nieboszczkę.

– W takim razie proszę mnie do niego zaprowadzić. A wy, Frołow – zwrócił się do podwładnego – sprawdźcie, czy policjanci nie dowiedzieli się czegoś ciekawego od gości.

Młody policjant odmeldował się, a Owsianko zawrócił na piętro. Woronin ruszył za nim. Na widok ogromu i przepychu sali balowej aż na chwilę zatrzymał się z podziwu.

Rewirowy dotarł do bocznych drzwi strzeżonych przez policjanta. Aleksander także udał się w tym kierunku, rozglądając się dyskretnie. Nagle zmartwiał, ponieważ ujrzał ducha przeszłości, czyli panią Amelię, wdowę po niesławnej pamięci mecenasie Rapackim. Wyglądała na zdenerwowaną, a wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce tłumaczył jej coś uspokajającym tonem.

Co tu robiła ta kobieta? Woronin wzdrygnął się na wspomnienie nieszczęść, jakich stała się przyczyną. Nie zamierzał z nią rozmawiać, naciągnął więc czapkę na czoło, nieco się zgarbił i prawie biegiem dotarł do pokoju, w którym Szuster przesłuchiwał świadka.

Pozwolił odmeldować się Owsiance, skinął głową strażnikowi, a potem ostrożnie otworzył drzwi – nie chciał rozpraszać Jerzego ani przesłuchiwanej damy – i wszedł do środka. Tam zaś czekała go jeszcze większa niespodzianka; w gabinecie, oprócz Szustra, Paszkiewicza i Katarzyny Osipowny czekała... Leontyna we własnej osobie.

Patrzył na nią z niedowierzaniem, podejrzewając, że ma zwidy.

Nie, to naprawdę ona. Kiedy tylko go dostrzegła, otworzyła szeroko oczy, upuściła szklankę z resztką wody i opadła bezwładnie na oparcie kanapy. Pani

Katarzyna jęknęła z przerażenia i rzuciła się na ratunek. Paszkiewicz też pospieszył z pomocą, ale ich starania nie przynosiły efektu.

Aleksander, nie zważając ani na zdumienie Jerzego, ani na ból ramienia, szybkim ruchem ściągnął płaszcz i rzucił go na fotel, a potem zbliżył się do kanapy.

– Idź po wodę – polecił adwokatowi.

Antoni oparł leżącą mu przez rękę kobietę o zagłówek, wziął pustą karafkę i wyszedł pospiesznie. Pobladła z przejęcia Katarzyna Osipowna rozłożyła zaś wachlarz i zaczęła energicznie wachlować zemdloną. Aleksander natychmiast usiadł tuż obok Leontyny.

Nie zmieniła się nic a nic, a może jeszcze wypiękniała.

Siedem lat. Od ich ostatniego spotkania minęło prawie siedem lat, a on nadal na jej widok nie potrafił zachować spokoju.

Unikając wzroku Paszkiewiczowej, która nawet nie próbowała ukryć zaciekawienia, pochylił się nad zemdloną.

– Leontyno Wiktorowna, niech pani się ocknie – powiedział po polsku. – Proszę na mnie spojrzeć...

Możliwe, że usłyszała jego wezwanie albo zwyczajnie poczuła się lepiej, ponieważ jej powieki drgnęły, a chwilę później otworzyła oczy.

– To naprawdę pan? – wyszeptała, dotykając ostrożnie guzika jego munduru, jakby chciała sprawdzić, czy Woronin jest żywy i realny.

– Ja... Co pani tu robi?

Nie była w stanie odpowiedzieć, więc Szuster zaraz ją wyręczył:

– Panna... pani Leontyna znalazła zwłoki. Właśnie o tym rozmawialiśmy.

Drzwi gabinetu znowu skrzypnęły: Paszkiewicz, jak zwykle przezorny, przyniósł aż dwie pełne karafki. Na widok pani Burzyńskiej, która przy pomocy Katarzyny Osipowny zdołała usiąść prosto, odetchnął z ulgą.

– Widzę, że nie trzeba pani cucić, ale proszę napić się choć odrobinę – powiedział napelniając szklankę i podając ją Leontynie.

– Chętnie. – Wypiła duszkiem połowę zawartości, a potem powiedziała: – Bardzo państwu dziękuję za pomoc.

### 3.

– Najpierw odwieziemy państwa Osnowskich, ponieważ to po drodze – powiedziała Leontyna do stangreta, zanim wsiadła do karety wynajętej na ten wieczór z remizy. – A potem do mnie na Marszałkowską.

– W żadnym wypadku – zaprotestowała matka, która zdążyła już umościć się wygodnie w pojeździe. – Odwieziemy cię i zostanę z tobą do rana. Liczę, mój drogi, że nie masz nic przeciwko temu? – zwróciła się do męża, który otworzył sobie drzwi z drugiej strony karety, a potem zręcznie wspiął się po schodkach i usiadł obok niej.

– Dam sobie radę – rzuciła Leontyna, wciskając się w kąt kanapy. Czowała, że zaraz pęknie jej głowa. – Nie musicie nadkładać drogi.

Miała za sobą jeden z najkoszmarniejszych wieczorów w życiu. Wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku zmasakrowanych zwłok pani Józefiny; wystraszyła się dziś nawet bardziej niż przed laty, kiedy stojąc przy prosektoryjnym stole, spoglądała na ranę po postrzale ziejącą w piersi ojca.

Nie spodziewała się, że będzie przesłuchiwał ją Jerzy Szuster, który w niczym nie przypominał nieśmiałego chłopca sprzed lat. Cud, że zdołała go rozpoznać. Ciekawe, co Hela powiedziałaby na widok przystojnego i dystyngowanego sędziego śledczego? Jerzy był przecież jedynym mężczyzną, o którego kiedykolwiek dbała.

– Ktoś powinien cię przypilnować – upierała się tymczasem matka – żebyś...

– Ależ, Amelciu – wuj Witold łagodnie wpadł małżonce w słowo – Tenia jest dorosła i mądra. Nikt nie musi jej pilnować. Zaprowadzę cię do domu, a potem wrócę i ją odwiozę.

– Oczywiście – przytaknęła pospiesznie Leontyna, która miała nieco inne plany, ale uznała, że na razie zgodzi się z ojczymem. – Mama powinna wrócić do dziewcząt. Muszą być przerażone. Szczególnie Krysia. Przeżyć coś takiego na swoim pierwszym balu.

– I pomyśleć, że to akurat ty musiałaś znaleźć nieboszczkę – powiedziała pani Amelia z takim wyrzutem, jakby zamierzała obwinić córkę o chęć rozpętania kolejnego skandalu.

W rzeczywistości dziewczęta miały dobrą opiekę. Po odkryciu zwłok wystraszoną Krysią zajęła się siostra wuja, radczyni Fogielowa, i natychmiast zabrała ją do domu; matka uparła się, że zaczeka na Leontynę, która udzielała wyjaśnień policji i sędziemu śledczemu. Chciała nawet uczestniczyć w rozmowie, ale rewirowy, człowiek ewidentnie nieulekły, wyraził zgodę tylko na obecność adwokata. Na szczęście Paszkiewicz, spodziewając się, że przesłuchiwana może przeżyć wstrząs, przemyślił do gabinetu swoją żonę, notabene bardzo sympatyczną osobę.

Leontyna nawet przez chwilę nie łudziła się, że matką kieruje rodzicielska troska; szanowna matrona próbowała tylko zachować kontrolę nad wydarzeniami. Cóż, nie ukrywała irytacji, kiedy Leontyna, prawie cztery tygodnie temu, niespodziewanie zjechała z dzieckiem do Warszawy. Zapewne doskonale wiedziała, że w mieście przebywa Woronin i starała się nie dopuścić, aby znowu spotkał się z jej córką. Swoją drogą, ciekawe, jakim cudem Aleksander zdołał wrócić do miasta i do pracy w policji?

– Dokąd jedziemy? – Zdezorientowany woźnica zapukał w szybę.

– Na Królewską – polecił mu natychmiast wuj.

Matka westchnęła ciężko, ale nie zaprotestowała. Czas mijał, a Leontyna nie mogła wyjść z podziwu, jak doskonale ojczym radzi sobie z żoną, która zaraz po ślubie wszczęła, oczywiście, kilka awantur, ale szybko zrezygnowała z dąsów, gdy okazało się, że mąż nie tylko wcale się nimi nie przejmuje, ale też potrafi łagodnie, acz stanowczo, ucinać wszelkie spory.

Inna sprawa, że rodzicielka szanowała drugiego małżonka o wiele bardziej niż pierwszego, a to z tego powodu, że Witold Osnowski miał w życiorysie piękną patriotyczną kartę: walczył w powstaniu styczniowym i prawie siedem lat spędził na Syberii. Może też z tego powodu Amelia tak dobrze traktowała pasierbice? Krysia i Celinka były zresztą bliższe jej wyobrażeniom o idealnych pannach na wydaniu niż Leontyna i Helena, które boleśnie zawiodły matczyne oczekiwania.

Kareta zatrzymała się wreszcie. Leontyna szybko oprzytomniała i wyjrzała przez okno. Dotarli już na Królewską i stali nieopodal kamienicy, w której matka wraz z nową rodziną mieszkała podczas pobytów w Warszawie.

– Zaczekaj, Teniu – powiedział ojczym, mocując się z drzwiami karety, które jak na złość postanowiły się zaciąć. – Odprowadzę Amelcię i wrócę.

– Napij się gorącej herbaty i idź natychmiast do łóżka – rozkazała matka, po czym pospiesznie otuliła się sobolową etolą i z pomocą męża opuściła pojazd.

Leontyna usłyszała polecenia, które ojczym wydawał woźnicy, a potem uchyliła drzwi od swojej strony – owionęło ją chłodne powietrze, a na rękawiczce osiadły białe drobiny – i śledziła wzrokiem dwie ciemne sylwetki zbliżające się do bramy. O tak późnej porze wejście było zamknięte, więc państwo Osnowscy długo musieli dzwonić, aby zbudzić stróża. Wreszcie po kilku dłużeńych się minutach oczekiwania, dozorca wpuścił ich do środka. Zniknęli w ciemnościach.

Odczekała jeszcze chwilę, a potem wyjrzała z karety i zwróciła się do stangreta:

– Jedziemy. Marszałkowska 99.

– Jaśnie pan kazał czekać.

– Zapłacę dodatkowo. Jedziemy!

Słyszając tak przekonujący argument, woźnica skapitulował i zaciął konie.

Leontyna wiedziała, że nie powinna postępować tak lekkomyślnie; nocna podróż przez miasto bez męskiej opieki była proszeniem się o kłopoty. Poza tym zachowała się nieuprzejmie w stosunku do ojczyma, którego szanowała i szczerze lubiła, ale naprawdę potrzebowała samotności. Liczyła, że wuj zrozumie ją i wybaczy tę samowolę.

Kareta ruszyła, a ona oparła skroń o okienną ramę i już zamierzała zamknąć oczy, gdy wydało się jej, że w świetle latarni widzi znajomą postać: Aleksander stał bez ruchu i nie zważając na padający śnieg, wpatrywał się w okna mijającej go karety. Szybko zdała sobie sprawę, że to wytwór jej wyobraźni, ale i tak go widziała pod następnym snopem światła i kolejnym.

Wszystko przez to dzisiejsze spotkanie...

Minęło prawie siedem lat. Zmienił się przez ten czas. Zmężniał, a w ciemnych włosach pojawiły się srebrne nitki, ale kiedy spojrzała mu w oczy, straciła wszelkie wątpliwości: oto miała przed sobą tego samego mężczyznę, który niegdyś był jej drogi.

Tyle że to już nic nie znaczyło. Przed ślubem z Januszem przysięgła sobie uroczyście, że przestanie snuć nedorzeczne marzenia. Później, przez wiele miesięcy uparcie broniła się przed rozpamiętywaniem dawnych wydarzeń i uczuć. Postać Woronina stopniowo blakła w pamięci i wreszcie przestała za nim tęsknić.

Zaczynała jednak podejrzewać, że zapominanie jest trudniejsze niż kiedykolwiek jej się wydawało.



# ROZDZIAŁ III

## I.

Aleksander od niechcienia rozejrzał się po gabinecie sędziego śledczego. Często bywał w tym miejscu: niegdyś urzędował tu Osip Dymitrowicz, a kiedy odszedł na emeryturę, pokój zajął sędzia Tatiszczew, z którym też miał okazję prowadzić kilka spraw. Teraz pracował tu Jerzy Szuster.

Od kiedy pamiętał, w gabinecie panował nieopisany bałagan: akta wały się po kątach, leżały nawet na podłodze i parapecie, a sekretarz Mironowa, Grigorij Michajłowicz Kulikow bez pozwolenia nie mógł nawet ich dotknąć: stary sędzia miał swoje odwieczne metody pracy i doskonale panował nad chaosem. Tatiszczew wiele się od niego nie różnił.

Obecnie pokój lśnił czystością: nie dałoby się nigdzie znaleźć nawet drobinki kurzu ani skrawka pajęczyny. Opisane dokumenty zostały poukładane na półkach we wzorowym porządku – nie wystawała z nich ani jedna fiszka. Błat biurka błyszczał i poznikały z niego nie tylko plamy niewiadomego pochodzenia, ale i wszystkie teczki. Za to kałamarz i przybory do pisania stały w równym szeregu, niczym pułk wojska przed samym cesarzem.

W kwestii podejścia do porządku, Jerzy nie zmienił się wcale. Woronin uśmiechnął się pod wąsem, zapalił papierosa, a potem wbił wzrok w fantastyczne wzory, które poranny mróz zdążył wymalować na okiennych szybach.

Dochodziło południe, Szuster wciąż nie wracał z audiencji u prezesa Sądu Okręgowego, a on z coraz większym trudem walczył ze zmęczeniem. Cóż, w nocy praktycznie nie zmrużył oka, wstrząśnięty zarówno brutalnym morderstwem w Resursie, jak i niespodziewanym spotkaniem z Leontyną: jeśli miałby być szczery, tym drugim nawet bardziej.

Wróciła do Warszawy, a on nie wiedział o tym.

W sumie nic dziwnego, od jakiegoś czasu nie szukał informacji na jej temat – po latach walki z samym sobą pogodził się, że Leontyna nie jest mu pisana. Znajomi

też w końcu zrozumieli, że w jego obecności nie należy wspominać nawet imienia pani Januszowej Burzyńskiej.

Skoro jednak po długiej przerwie stanęli ze sobą twarzą w twarz i to w tak tragicznych okolicznościach, Aleksander uznał, że należy dowiedzieć się czegoś na temat dawnej ukochanej i jeszcze w Resursie odwołał Paszkiewicza na stronę i zadał mu kilka konkretnych pytań. Dzięki temu natychmiast dowiedział się, czemu wróciła do Warszawy. Wieści były tak zaskakujące, że w pierwszej chwili nie potrafił w nie uwierzyć, a kiedy dotarł do niego cały sens, postanowił pilnować się wszelkimi sposobami, aby nie wyciągać z nich żadnych wniosków dla siebie.

Przymknął powieki i wciąż paląc papierosa, zadumał się nad wydarzeniami sprzed lat, kiedy to w złości i desperacji dokonał strasznego czynu. Został za to aresztowany i wiele wskazywało, że skazą go na wieloletnią katorgę. Nie wątpił, że Leontyna musiała się wystraszyć i dlatego zgodziła się poślubić kuzyna.

Mimo że minęło wiele czasu na wspomnienie chwili, w której dowiedział się o tych kuriozalnych zaręczynach, poczuł ból w piersi. Nie chcąc mu się poddać, nerwowo zdusił niedopałek w popielniczce; syknął, bo żar zapiekł w palce.

Łudził się wtedy, że Leontyna zmieni zdanie i szukał sposobu, aby skontaktować się z nią. Bez rezultatu. Wreszcie doniesiono mu, że naprawdę wzięła z Januszem ślub za indultem. W jednej chwili opuściła go chęć do życia i uwierzył, że poza katorgą nic już go nie czeka. Przez całą noc zastanawiał się nawet, czy nie powiesić się na kracie; na szczęście, wraz ze wschodem słońca, przeszła mu ochota na samobójstwo.

Sięgnął po kolejnego papierosa.

Minęło kilkanaście tygodni i wreszcie, przy wydatnej pomocy ojca, uporał się nadludzkim wysiłkiem z warszawskimi problemami, a potem wrócił do Moskwy. Wierzył, że tak będzie najlepiej, ale mimo zmiany otoczenia, spotkań z dawnymi znajomymi, a przede wszystkim z siostrą i szwagrem, nie mógł pozbyć się przygnębienia i poczucia bezsensu, co oczywiście nie przeszkodziło mu w popełnieniu kilku niewybaczalnych głupstw. Na szczęście wykaraskał się z kłopotów i uznał, że woli być sam, niż zadowalać się namiastką miłości, i że jest już za stary na pojedynki. Po przyjeździe do Warszawy żył głównie pracą, dzięki czemu Adam Langer nigdy nie pożałował, że podjął ryzyko i ściągnął go z powrotem do urzędu.

Z zadumy wyrwało go trzaśnięcie drzwi; do gabinetu wpadł zarumieniony Jerzy, ściskając w ręku teczkę pełną dokumentów.

– Wróciłbym wcześniej – powiedział. – Ale musiałem wysłuchać rad i pouczeń prezesa.

– Mam nadzieję, że nie zabrał ci śledztwa? – zainteresował się Aleksander, wkładając do ust kolejnego papierosa. Nie częstował kolegi, bo ten nie palił tytoniu.

– Tylko dlatego że mam prowadzić je z tobą. Od kiedy złapałeś porywaczy hrabianki Mielżyńskiej, prezes bardzo cię poważa. Mam więc patrzeć i uczyć się od ciebie, żeby jak najszybciej nabrać doświadczenia.

– Ciekawe... – Woronin zaciągnął się mocno. – Formalnie teraz ty wydajesz rozkazy.

– Masz coś przeciwko temu?

– Uczyłeś się tyle lat i masz wyższe stanowisko. Mnie tam wszystko jedno, bo i tak robię swoje.

– Nie zamierzam ci rozkazywać, tylko liczę na współpracę – tłumaczył mu Jerzy, chyba ciut zaniepokojony tą deklaracją jawnej niesubordynacji. – Każdy z nas jest dobry w czym innym i kiedyś dobrze się uzupełnialiśmy. Liczę, że ta metoda zadziała i tym razem. Może nawet lepiej niż przed laty.

– Bo nikt nie będzie wtrącał się nam do śledztwa? – upewnił się Aleksander. – Choć akurat twój wuj był pomocny. Powiedziałbym, że niekiedy wręcz niezastąpiony.

– Mój wuj jest na emeryturze, ale nadal pracują tu tacy, za którymi ponoć nie przepadasz.

– Rzeczywiście, wpisałem kilku na czarną listę. Ale nie bój się, nie będę do nich strzelał.

Szuster spojrzał na niego z niedowierzaniem i chyba miał ochotę zapytać o sprawę Bojki, która – wbrew działaniom prezesa chcącego zdławić skandal w zarodku – była znana nie tylko w sądzie, ale i w urzędzie śledczym.

Jerzy przyglądał mu się jeszcze jakiś czas, w końcu rozwiązał teczkę, wyjął z niej dokumenty i zaczął metodycznie rozkładać je na blacie.

– Tutaj jest lista gości, którą dostałem od zarządu Resursy, a tam... – kolejno wskazywał kupki – ...sporządzony przez policjantów z VII Cyrkułu spis osób, które

były w budynku w czasie popełnienia morderstwa, niestety mocno niekompletny. Niżej zeznania służby, a tu z brzegu protokół z przesłuchania pani Burzyńskiej. Spisałem go ze swoich notatek, ale powinna podpisać.

– Widzę, że nie traciłeś czasu. – Aleksander uśmiechnął się w końcu. – Wiedziałeś, że ona jest w Warszawie?

– Tak. Antoni wspominał.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Podczas pierwszego spotkania zastrzegłeś, że pani Leontyna nie obchodzi cię wcale i nie będziesz o niej rozmawiał. Myślałem, że wiesz... ale wczoraj wyglądałeś, jakby strzelił cię piorun.

– Była ostatnią osobą, którą spodziewałem się zobaczyć – wyjaśnił, starając się ukryć zakłopotanie.

Szuster nie skomentował tych słów, za co Aleksander był mu wdzięczny, za to znowu zajął się dokumentami, a potem zerknął na zegar i powiedział:

– Myślę, że najpierw porównamy listę zaproszonych ze spisem gości sporządzonym przez Cyrkuł i upewnimy się, kto właściwie był w Resursie. Wątpię, żeby to coś dało, bo na balu pojawiło się kilkaset osób i wszyscy kręcili się w kółko, ale trzeba od czegoś zacząć. Czekamy też na syna denatki.

– Miała rodzinę? – zdziwił się Aleksander. – Na balu nikt się nie zgłosił.

– Jedyne go syna, który nazywa się... – Szuster przez chwilę przeglądał notatki – ...Seweryn Jedliński.

– Ten farmaceuta, który ma aptekę na Czystej?!

– Znasz go?

– Brałem od niego lekarstwo na ból ramienia, ale nie pomyślałem, że może być spokrewniony z gwiazdą „Kuriera Porannego”.

– Majerowa miała dwóch mężów. Ten pierwszy, właśnie Jedliński, od dawna nie żyje. A w dzień balu syn pojechał ponoć służbowo do Łodzi i ciągle tam siedzi. Rozmawiałem z jego prawnikiem i kazałem mu wysłać depezę. Liczę, że szybko... – urwał, gdyż do gabinetu wmaszerował zasapany Grigorij Michajłowicz, który wyglądał, jakby coś mocno go przestraszyło.

– Co się stało? – Szuster zaniepokoił się na jego widok.

– Georgiju Dawidowiczu... – zaczął stary urzędnik, łapczywie chwytając powietrze.

– Mówiłem, że mam na imię Jerzy.

– Jerzy Dawidowiczu – Kulikow poprawił się natychmiast. – Na korytarzu czekają dwie damy, które koniecznie chcą widzieć się z panem. Podobno wiedzą coś na temat wczorajszego morderstwa.

## 2.

– Nie, nie musi mama przyjeżdżać. Powtarzam, że czuję się dobrze... Nie, nikt mnie nie niepokoił. Żadna policja. Ani sędzia śledczy. Tak, przyjadę na herbatę do Rozalii. Tak. Na pewno. Do zobaczenia! – Leontyna z ulgą odwiesiła na miejsce słuchawkę aparatu telefonicznego, a potem opadła na fotel i sięgnęła po filiżankę. Upiła łyk i skrzywiła się zaraz; gdy rozmawiała z matką, kawa całkowicie wystygła.

Dzień od rana zapowiadał się fatalnie. Nie dość, że nie zdołała się uspokoić po wydarzeniach minionej nocy i wciąż cierpiała na ból głowy, to jeszcze rodzicielka nie dawała jej spokoju – dzwoniła już trzy razy, próbując dowiedzieć się, co córka sądzi na temat – nie, wcale nie morderstwa Józefiny Majerowej, ale niespodziewanego spotkania z Woroninem. Ewidentnie chciała usłyszeć deklarację, że do miłosnej awantury sprzed lat nie ma powrotu, ale Leontyna konsekwentnie uciniała temat; był to jej mały osobisty bunt przeciwko matczynej wszechwiedzy i wszechwładzy.

Pani Amelia była, co prawda, zadowolona, kiedy jej starsza córka poślubiła Janusza, ale nigdy tego nie okazywała. Na dodatek po wyjeździe Heleny na studia – Leontyna wciąż nie zdołała dowiedzieć się, jakim cudem siostra wymogła na matce zgodę – zrobiła się wobec niej jeszcze bardziej krytyczna i złośliwa. Jakby miała żal albo czegoś nie potrafiła jej wybaczyć.

Na szczęście, dzięki wsparciu męża, któremu – jak się okazało – ani wuj Ksawery, ani tym bardziej Oktawia nie ułatwiali nigdy życia, przestała bać się rodzicielki. Z coraz większym trudem znosiła za to jej narzekania.

Leontyna najchętniej odpuściłaby sobie popołudniową wizytę u ciotki Rozalii, ale wiedziała, że jeśli nie zjawi się na Kruczej, jutro o świcie Amelia zerwie ją

z łóżka i zażąda wyjaśnień.

A niech dzieje się, co chce. Postanowiła, że zadzwoni do ciotki, a później pomyśli, jak obronić się przed matką.

Podjęcie decyzji przyniosło ulgę, więc wygodniej ułożyła się na kanapie i postanowiła zadzwonić po pokojówkę i poprosić ją o świeżą kawę. Zanim jednak to zrobiła, usłyszała delikatne pukanie i do buduaru zajrzała Kazia.

– Coś się stało? – zapytała z niepokojem, gdyż dziewczyna wyglądała na wystraszoną.

– Przepraszam. – Kazia zatrzymała się tuż za progiem i nerwowo splótła ręce. – Ale przyszła pani...

– Kazesz mi czekać w przedpokoju?! – Oktawia, cała w żałobnej czerni, nie czekając na zaproszenie, wkroczyła do pokoju; służąca ledwo zdążyła zejść jej z drogi. – Czy tak trudno okazać szacunek matce męża?!

– Dzień dobry. – Gospodyni z trudem podniosła się z kanapy. I tak było jej słabo, a na widok świekry poczuła, że zaraz zemdleje. Migrena stawiała się coraz bardziej dokuczliwa. – Cóż ciocię sprowadza?

Nie potrafiła zwracać się do Oktawii per mamó, na szczęście Janusz nigdy od niej tego nie wymagał, a ciotce było chyba wszystko jedno. W swoim czasie zrobiła wiele, aby nie dopuścić do ślubu syna z nielubianą siostrzenicą, ale musiała skapitulować przed jego uporem, a później długo zachowywała się tak, jakby nie przyjmowała tego małżeństwa do wiadomości. Na szczęście młoda para rychło wyjechała do Odessy, więc Leontyna nie musiała na co dzień znosić fumów i waporów ciotki.

Oktawia tymczasem oddała służącej futro i kapelusz, po czym rozsiadła się na kanapie.

– Kaziu – Leontyna zwróciła się do pokojówki – bądź tak miła i poproś babcię o świeżą kawę. I o ciastka. – Służąca dygnęła i pospiesznie opuściła pokój, ona zaś wyczekująco spojrzała na przybyłą. – Czym mogę cioci służyć?

– Chciałabym zobaczyć się z Joanną.

– Pojechała z boną na ślizgawkę do Doliny Szwajcarskiej. Pogoda dziś taka ładna, że...

– Mam wrażenie – Oktawia wpadła jej w słowo – że próbujesz izolować mnie od wnuczki.

– Co też ciocia opowiada? – Leontyna dzielnie wytrzymała pełne potępienia spojrzenie świekry. – Gdybym wiedziała o dzisiejszej wizycie, zatrzymałabym ją w domu.

– Nie przyszło mi do głowy, że pozwolisz jej wyjść w taki mróz. To skrajna nieodpowiedzialność. Wiesz, że zimne powietrze szkodzi...

– Joasia jest całkowicie zdrowa i powinna spacerować – wpadła jej w słowo Leontyna. – Poza tym rano prosiła mnie...

– Nie potrafisz utrzymać dyscypliny – rzuciła Oktawia. – Nie do pomyślenia, żeby dziecko robiło, co chce. Uważam... – urwała nagle, bo do pokoju wróciła Kazia, niosąc tacę, na której znajdował się dzbanek z kawą, dzbanuszek ze śmietanką, patera pełna świeżych ciastek, filiżanki, talerzyki i sztucce. Pod czujnym okiem starszej pani Burzyńskiej zręcznie rozstawiła wszystko na stoliku, a potem zniknęła bez słowa.

Leontyna naląła ciotce kawy.

– Nadal uważam... – Oktawia podjęła przerwany wątek – ...że Joanna powinna zamieszkać z nami. We właściwy sposób zajęłabym się jej wychowaniem i edukacją.

Czym prędzej odstawiła dzbanek, bo zadrżały jej ręce, serce przyspieszyło, a zaciskająca się na głowie obręcz bólu, zamknęła się z trzaskiem. Starając się zachować spokój i względną przytomność umysłu, spojrzała na ciotkę i oświadczyła cicho, acz dobitnie:

– Miejsce córki jest przy matce.

Joasia znajdowała się pod jej opieką, od kiedy skończyła trzy miesiące i Leontyna kochała ją niczym własne dziecko. Nie umiała wyobrazić sobie, że mogłaby oddać tę wrażliwą dziewczynkę ciotce, o której metodach wychowawczych dużo słyszała od męża.

– Zapominasz, że nie jesteś jej...

– Jestem jej matką. Innej nie zna. Poza tym Janusz wyraźnie życzył sobie...

– Był chory i bredził w malignie. A zresztą mnie przy tym nie było. – Ciotka wyduła usta.

– Czy ciocia zarzuca mi kłamstwo? – Nie zamierzała dać się zastraszyć. – Janusz spisał testament dzień przed operacją w obecności prawnika, lekarzy i dwóch

świadków. Lekarz potwierdził, że doskonale wiedział, co robi. Joasia ma dorastać pod moją opieką.

– Nigdy nie uwierzę, że mój jedyny syn nie chciał, żebyśmy zajęli się jego dzieckiem. – Ciotka podniosła do oczu chusteczkę. – Nikt nam nie pozostał. Tylko wnuczka.

– Nie zamierzam ograniczać cioci kontaktów z Joasią – powiedziała spokojnie Leontyna. – Wręcz przeciwnie, wróciłam do Warszawy między innymi dlatego, że państwo Wyrzykowscy postanowili przenieść się tu na stałe.

– Przecież to krew z naszej krwi! – Ciotka sprawiała wrażenie, jakby nie słyszała jej słów. – Nie do pomyślenia, że nie mieszka z nami.

– Joasia ma swój dom – rzuciła twardo, a potem sięgnęła po filiżankę, wyraźnie dając ciotce do zrozumienia, że uważa dyskusję za zakończoną.

– Dlaczego nie nosisz żałoby? – zainteresowała się nagle Oktawia. – I ponoć tańczyłaś na balu w Resursie?

Kumoszki ciotki były jednak doskonałymi wywiadowczyniami; nic im nie umknęło.

– W sierpniu zeszłego roku minęła druga rocznica śmierci Janusza. – Zacisnęła pięści. Marzyła, żeby ciotka poszła sobie wreszcie i zostawiła ją w spokoju.

– Dobrze wiem, od kiedy nie żyje mój syn – oświadczyła z emfazą ciotka, która nigdzie się nie wybierała. – A ty... ty masz zachowywać się przyzwoicie. Jesteś winna szacunek jego pamięci! I jaki przykład dajesz dziecku?

– Ciocia się zapomina.

– Doprawdy? A kto znowu znalazł trupa?!

– Znowu? – zdziwiła się uprzejmie Leontyna. – Nigdy wcześniej żadnego nie...

– Nie udawaj niewiniątka! – Świekra oskarżycielsko wycelowała w nią palec. – Doskonale wiesz, o czym mówię. Kolejnego skandalu ci nie wybaczę.

– Jeszcze jedno słowo i ciocię wyproszę. – Leontyna spojrzała na Oktawię wyzywająco. – Jedno słowo, ciociu.

Ciotka, wyraźnie zaskoczona jej reakcją, otworzyła usta, ale zanim zdążyła się odezwać, z holu dało się słyszeć odgłosy świadczące o tym, że Joasia i pani Bronia wróciły właśnie ze spaceru: tupanie, spokojny głos bony, a także wesołe dziecięce



paplanie. Mała, najwyraźniej zachwycona ślizgawką, relacjonowała pokojówce Kazi swoje przygody.

Wreszcie drzwi otworzyły się zamasyście i rozradowana dziewczynka wbiegła do pokoju. Niesforne ciemne loki, które zawsze wysuwały się z warkoczy, niczym aureola otaczały drobną twarz, a wielkie niebieskie oczy, takie same jak oczy jej ojca, skrzyły się radością i podnieceniem.

– Mamusiu! Niech mamusia posłucha, co się stało!

Oktawia uniosła lorgnon i z ponurym wyrazem twarzy przyglądała się wnuczce, której wygląd oraz zachowanie najwyraźniej nie mieściły się w jej wyobrażeniach o dobrze wychowanych dzieciach.

– Joasiu – zaczęła spokojnie Leontyna. – Mamy gościa. Przywitaj się ładnie.

Dziewczynka odwróciła się i dopiero wtedy zauważyła zagniewaną babkę. Uspokoila się momentalnie – wyglądało to tak, jakby w jednym momencie zgasła w niej cała radość – a potem grzecznie dygnęła i spuściła głowę.

Leontyna w tym momencie zapragnęła porządnej dawki laudanum. Nie sądziła, że kiedykolwiek będzie potrzebować tego specyfiku.

### 3.

Jerzy z zaciekawieniem przyglądał się dwóm dostojnym matronom, które z szelestem sukien przekroczyły próg jego gabinetu i teraz bez skrępowania rozglądały się dokoła; nie miał wątpliwości, że damy nigdy wcześniej nie miały okazji zajrzeć za kulisy sądu. Coś jednak podpowiadało mu, że na głośne rozprawy, które dostarczały nieraz więcej emocji niż przedstawienia teatralne, zapewne przychodziły regularnie.

– Czym możemy służyć szanownym paniom? – zaczął nieprzepisowo, bo po polsku, Woronin, który pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia. Błysk rozbawienia w jego oczach świadczył o tym, że musiał dojść do identycznych wniosków co on.

– Pan jest sędzią śledczym? – zainteresowała się natychmiast wyniosła szatynka w futrze z polarnych lisów, badawczo przyglądając się Aleksandrowi przez lorgnon. Blondynka w szynszylach nadal lustrowała gabinet.

– Jestem z policji. Komisarz Woronin, do usług. – Ukłonił się uprzejmie. – Sekretarz Kulikow. – Wskazał na Grigorija Michajłowicza, a potem odwrócił się w stronę Szustra. – I pan sędzia śledczy we własnej osobie.

Obie damy jak na komendę odwróciły się w jego stronę, a on spał się, ponieważ dostrzegł niedowierzanie malujące się na ich twarzach.

– Jerzy Szuster – przedstawił się pospiesznie. – W czym mogę pomóc?

– Czy to pan szuka mordercy Józefiny Majerowej? – zainteresowała się szatynka.

– Tak.

– Taki młody, dziecko prawie. – Westchnęła z politowaniem, wciąż nie opuszczając szkieł, a towarzyszka przytakiwała jej gorliwie. – Złapał pan jakiegoś przestępcę?

– Tak – odparł Szuster, którego ta indagacja zaczynała zbijać z tropu.

– A jakiego?

– Zechcą panie zdjąć okrycia, spocząć i objaśnić, co je sprowadza? – Woronin na szczęście pospieszył mu z pomocą; Jerzy zawsze podziwiał łatwość, z jaką kolega odnajdował się w podobnych sytuacjach.

Damy popatrzyły na siebie, a potem zdecydowały się skorzystać z zaproszenia. Tylko częściowo, gdyż nie zdjęły futer, za to rozsiadły się na krzesłach. Najwyraźniej nie zamierzały długo u nich zabawić.

– Proszę przedstawić się i podać cel wizyty – powiedział Jerzy urzędowym tonem, dyskretnie dając znak Grigorijowi Michajłowiczowi, aby notował wszystkie informacje.

– Radczyni Józefowa Domańska – przedstawiła się szatynka z wyraźną dumą. – A to doktorowa Mrowińska. – Wskazała na koleżankę. – Zamierzamy powiedzieć panom, kto zabił Józefinę Majerową.

– Widziały panie zabójstwo na własne oczy? – zainteresował się Szuster, który zdawał sobie sprawę, że damami mogą kierować różne względy, nawet zbyt wybujała fantazja, ale istniała szansa, że naprawdę zauważyły coś istotnego.

– Nie widziałyśmy samego morderstwa – zaczęła rzeczowo szatynka. – Nie było nas wtedy w pokoju wypoczynkowym. Za to przez cały wieczór obserwowałyśmy, co dzieje się na balu.

– I nie mamy najmniejszych wątpliwości, kto jest winny – wtrąciła się wreszcie Mrowińska, której oczy błyszczały niezdrową ekscytacją.

– I kto zdaniem pań jest zabójcą? – zainteresował się Aleksander.

– Raczej zabójczynią. To Leontyna Burzyńska, we własnej osobie! – powiedziała szybko doktorowa, a radczyni Domańska, która najwyraźniej zamierzała sama rzucić tę bombę, sapnęła z niezadowolenia.

Śledczy wymienili między sobą spojrzenia pełne niedowierzania.

– Chyba się przesłyszałem? – zapytał Szuster, który pierwszy odzyskał mowę.

– Zaklinam się na grób matki. – Doktorowa uderzyła się w pierś. – To mogła być tylko ona!

#### 4.

Zurych, 28 grudnia 1893 roku

Najdroższa Teniu,

*na samym początku mojego listu, chciałabym złożyć Ci jak najserdeczniejsze życzenia noworoczne – aby ten nadchodzący 1894 rok przyniósł Ci wiele radości. A przede wszystkim szczęście, na które zasługujesz jak mało kto.*

*Nie wyobrażasz sobie, Kochana Siostró, jak ogromnie uradowała mnie wieść, że zjechałaś wreszcie do Warszawy na stałe. Daje mi to nadzieję, że kiedy wrócę do domu, będę mogła zobaczyć Cię i uściskać. Wiesz doskonale, jak zachwyciła mnie Odessa i jaki żywioł do niej sentyment przez to, że mogłam tam, dzięki pomocy Twojej i Janusza, w tajemnicy przez Mamcią zdać egzaminy maturalne. Niemniej gdybyś zamieszkała tam na stałe, kto wie, kiedy przyszłoby nam zobaczyć się znowu. A tak zostały tylko dwa lata do naszego spotkania, może odrobinę dłużej.*

*Pisałam Ci wielokrotnie, że jestem zachwycona studiami i staram się jak najlepiej wywiązywać z obowiązków studentki. Miło mi tym razem donieść, że moja pilność została doceniona. Kochana Teniu, otóż właśnie wczoraj dotarła do mnie wieść, że dostałam asystenturę w Klinice Psychiatrii Uniwersytetu Zuryskiego (tak samo jak kiedyś doktor Dobrska)! Chciałabym zostać w Klinice, póki nie skończę ostatniego roku studiów i nie napiszę rozprawy doktorskiej.*

Mam nadzieję, że kiedy Warszawskie Towarzystwo Lekarskie nie będzie robić mi problemów z nostryfikacją dyplomu, ponieważ nie uśmiecha mi się podróż do Petersburga i poszukiwanie sułtańskiego haremu.

Z innych spraw, tych najbardziej interesujących naszą Mamcią, w zeszłym tygodniu otrzymałam propozycję zostania francuską arystokratką – otóż po pięciu minutach znajomość oświadczył mi się pewien baron, którego opatrywałam, gdy rozciął sobie brew podczas gry w lawn tennis. Nie powtarzaj tego Mamci, ale wyszedł ze szpitalnego gabinetu z opatrunkiem na czole, złamanym sercem i rekuzą.

Wiesz, naprawdę mam dosyć mężczyzn, którzy nie są w stanie pojąć, że nie poszłam na medycynę po to, by flirtować lub znaleźć dobrze rokującego kandydata na męża. Przez ostatnie trzy miesiące dostałam, łącznie z tą od barona, dziesięć propozycji małżeństwa. Całe szczęście, że potrafię skutecznie konfundować zalotników, więc szybko rezygnują z pomysłu, przerażeni moim zachowaniem, tak ponoć dalekim od przyrodzonej kobietom łagodności i czaru.

Aby uciąć niechciane konkury, ubieram się wyłącznie na czarno, a do tego obcięłam włosy i sprawiłam sobie okulary. Niestety, nawet takie przebranie nie zniechęca natrętów. Mamcia zawsze cieszyła się, że jestem ładna, ale mnie ta uroda przeszkadzała od dziecka, a tym bardziej teraz – naprawdę wolalabym mniej rzucać się w oczy.

Teniu, napisz mi koniecznie, co u Ciebie słychać? Gdzie wynajęłaś mieszkanie? Co planujesz robić w Warszawie? I jak tam ciotki? I Mamcia? Czy nadal nie wspomina mojego imienia? Niestety, nie dostałam od niej odpowiedzi na kolejny list. I nie, nie pytaj, jak skłoniłam ją do tego, że pozwoliła mi wyjechać na studia – obiecałam, że nie wspomnę o tym nawet Tobie. W każdym razie mogę Cię pocieszyć, że był to argument, którego Ty w swoim czasie nie dałabyś rady użyć.

Całuję mocno Ciebie i Joasię.

Helena

# ROZDZIAŁ IV

## I.

Woronin, jako jeden z nielicznych, wiedział o niechęci Szustra do oglądania nieżywych ludzi leżących na prosektoryjnym stole, uznał więc, że spełni dobry uczynek i sam uda się do mory przy Szpitalu Dzieciątka Jezus, gdzie doktor Patkiewicz na ten ranek zaplanował sekcję zwłok Józefiny Majerowej.

Jemu martwe ciała spowszedniały już dawno, ale tym razem wzdrygnął się na widok zmasakrowanej denatki; kiedy dokonywał oględzin na miejscu zbrodni, wydawała mu się mniej przerażająca. Być może dlatego, że ubranie zakrywało część ran.

– Naoglądał się pan już? – zapytał Patkiewicz, który właśnie kończył herbatę; częstował i jego, lecz w miejscu, w którym panował tak nieznośny fetor, Aleksander nie zdołałby wziąć niczego do ust. – Mogę zaczynać?

– Proszę bardzo. – Pospiesznie odsunął się od stołu, a doktor odstawił szklankę, oblał sobie ręce żółtawą cieczą o mocnym, nieprzyjemnym zapachu i przystąpił do dzieła.

On zaś czekał w milczeniu; Patkiewicz z ogromną biegłością posługiwał się skalpelem, ale lubił pracować w skupieniu i od towarzyszących mu osób, wymagał absolutnej ciszy. Wnioski, uwagi i wyjaśnienia zostawiał na koniec.

Śledzenie działań lekarza samo w sobie nie było przyjemne, ale kiedy Patkiewicz z rozciętego brzucha wyjął wątrobę i zaczął uważnie ją oglądać, Aleksander przez moment czuł mdłości. Najwięcej czasu doktor poświęcił jednak na badanie głowy.

– Niech pan spojrzy – odezwał się wreszcie, pokazując mu obszar tuż obok lewej skroni, gdzie starannie obciął, a potem ogolił włosy. – Jedno mocne uderzenie tępych narzędziem... a tu drugie. Oba potencjalnie śmiertelne, więc trudno określić, które właściwie ją zabiło. Reszta – doktor niedbałym gestem wskazał szyję – ta cała siekanina nastąpiła po zgonie. Wydaje mi się, że morderca podciął jej gardło, żeby mieć pewność, że nie wstanie. Widziałem kiedyś taki przypadek...

– Nie ma pan wątpliwości co do narzędzia zbrodni? – zapytał Aleksander, z trudem powstrzymując się od odwrócenia oczu.

– Żadnych. – Lekarz spojrział na leżące na sąsiednim stole resztki butelki. – Zabójca chwycił za szyjkę, uderzył ofiarę dwa razy w głowę, potem stłukł i zaczął ciąć pod brodą. Robił to niedbale, zapewne na oślep.

– Musiał być wzburzony – zamyślił się Woronin. – O ile to był mężczyzna.

– Stawiałbym na mężczyznę. Choć kobiety w szale bywają zdolne do takich rzeczy. Zwrócił pan uwagę na te sińce? – Doktor dotknął skalpelem lewego ramienia ofiary, na którym rysowało się kilka nieregularnych sinych plam. Podobne, ale słabsze znajdowały się też po drugiej stronie obojczyka. – Ktoś chwycił ją i ścisnął, jeszcze za życia. Mocniej zrobił to prawą ręką.

– No dobrze – mruknął Woronin. – Czy jest coś jeszcze?

– W płucach ma ślady zaleczonej gruźlicy, ale to bez znaczenia.

– Dziękuję, doktorze.

– Jeszcze tu sobie popatrzę, a raport wyślę jutro sędziemu Szustrowi. – Patkiewicz uśmiechnął się krzywo. – On tak bardzo lubi czytać, niech więc ma jakąś radość z opisów.

– Na pewno doceni pańskie starania. – Woronin pokręcił głową z rozbawieniem: Jerzemu nie udało się jednak ukryć swej niechęci do nieboszczyków przed czujnym okiem lekarza.

– Ktoś zgłosi się po nią?

– Ma syna, który dzisiaj wraca z podróży. Zapewne zajmie się pogrzebem.

– W takim razie przygotuję ją do odbioru, zanim zabiorę się za kolejnego delikwenta. Tego, co go pańscy koledzy napuchniętego wyłowili z Wisły.

Aleksander uprzejmie pożegnał się z doktorem. Nie chciał zostać w prosektorium ani minuty dłużej, aby nie oglądać topielca swoich kolegów. Już sam widok pokiereszowanej i rozplątanej dziennikarki wystarczy mu na kilka tygodni.

Warszawska prasa coraz śmieiej rozpisywała się na temat balu w Resursie Obywatelskiej i tajemniczych okolicznościach śmierci Józefiny Majerowej. Jeszcze trochę, a zacznie snuć wyssane z palca teorie i krytykować śledczych za opieszałość. Aż dziw, że nie zaczęli tego robić już na następny dzień.

Zirytowany Szuster odrzucił egzemplarz „Kuriera Warszawskiego” na stertę przejranych gazet, a potem upił łyk herbaty z cytryną, która na szczęście nadal była ciepła. Niecierpliwił się, gdyż mijała druga doba śledztwa, a on nie wpadł na nawet najdrobniejszy ślad.

Co prawda, wczoraj dwie zaaferowane matrony podały mu rozwiązanie na talerzu, ale nawet przez chwilę nie traktował poważnie ich podejrzeń. Nic nie wskazywało, aby pani Leontyna była skłonna do przemocy. Inna sprawa, że gdyby przyłożyła rękę do zbrodni w pokoju dla pań, musiałaby uwaląć się krwią, a na jej, w dużej części, białej sukni, nie widać było nawet kropli czerwieni. Warto byłoby jednak porozmawiać z nią raz jeszcze: nie tyle dla spokoju sumienia, co w nadziei, że przypomniła sobie jakieś nowe szczegóły. Liczył, że nie będzie chciała niczego przed nim ukrywać. A już na pewno nie przed Woroninem.

A właśnie... Woronin. Gdzież on się podziewał? Za chwilę miał pojawić się u niego syn ofiary i Jerzy wolałby, żeby mu towarzyszył podczas rozmowy. Oczywiście przygotował listę najważniejszych pytań, ale obawiał się, że coś mogło mu umknąć.

– Nie wie pan, co się dzieje z Aleksandrem Nikityczem? – Odstawił szklanekę i spojrzał na Grigorija Michajłowicza, który właśnie szykował papier i stalówki potrzebne do protokołowania.

Kulikow pokręcił tylko głową. Niech to diabli!

W tym momencie, jak na zawołanie, ktoś właśnie zapukał do drzwi.

– Proszę!

Do gabinetu wszedł młody szczupły mężczyzna o prawie czarnych włosach, który byłby bardzo przystojny, gdyby nie zbyt duża chudość oraz pobladłe niezdrowo oblicze. Najbardziej przykuwającym uwagę elementem jego fizjonomii był wydatny nos. Powodziło mu się chyba dobrze, gdyż miał na sobie elegancki płaszcz z bobrowym kołnierzem, z wiadomych powodów przybrany na rękawie szeroką wstęgą krepy.

– Dzień dobry – zaczął przybyły, niespokojnie rozglądając się po wnętrzu. – Nazywam się Seweryn Jedliński. Powiedziano mi, że znajdę tu sędziego śledczego Szustra.

– To ja. – Jerzy podniósł się z miejsca. – A to sekretarz kolegiálny Kulikow... Zapraszamy.

Jedliński nadal stał w progu, jakby nie miał pewności, czy dobrze zrobił, zgłaszając się do sędziego, wreszcie zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku: na rękawie surduta też miał żalobę. Następnie, uprzejmie poproszony, zajął miejsce naprzeciwko Szustra i wbił w niego wzrok; Jerzy zaczynał czuć się niepewnie pod tym dziwnie zamglonym spojrzeniem, z którego nie potrafił nic wyczytać.

– Przepraszam. – Gość ocknął się w końcu z zadumy i zamrugał, a Jerzy zrozumiał wreszcie, co niepokoi go w spojrzeniu przybysza; źrenice Jedlińskiego były wielkie niczym spodki. – Po prostu nie potrafię uwierzyć w to, co się stało.

– Zrobimy wszystko, żeby znaleźć mordercę pańskiej matki. Chciałbym uprzedzić, że sekretarz Kulikow będzie protokołował – powiedział Szuster.

– Oczywiście.

– Czy pani Józefina miała wrogów? – zaczął Jerzy, uważnie obserwując fizjonomię Jedlińskiego.

Ten zamyślił się znowu – w pewnym momencie Szuster wystraszył się, że zasnął – ale wreszcie poruszył się na krześle i odpowiedział:

– Nie... nie wiem. Widzi pan... matka i ja... ostatnio utrzymywaliśmy luźne kontakty.

– Może pan wyjaśnić dlaczego?

– To żadna tajemnica – mruknął indagowany, unikając jego wzroku. – Matka była uparta... Dlatego sama poradziła sobie w życiu i zrobiła karierę. Problem w tym, że moje życie też chciała urządzić po swojemu. Miałem iść w jej ślady i zostać dziennikarzem.

– Nie odpowiadało to panu?

– Nie zależy mi na rządzie dusz – odparł z emfazą. – A że bywam tak samo uparty jak ona, wybrałem sobie i zawód, i, co gorsza, żonę. Matka była bardzo niezadowolona. Wie pan, taki pigularz, to w jej mniemaniu wstyd dla szlacheckiej rodziny. – Uśmiechnął się krzywo, a jego twarz przez chwilę przypominała



Szustrowi woskową maskę. – Ojciec przewraca się w grobie, choć prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, kim był z zawodu ani gdzie został pochowany.

– Czy matka wybaczyła panu nieposłuszeństwo?

– Wybaczyła małżeństwo. – Jedliński błędnym wzrokiem po ścianie za jego plecami. – Zaraz po tym, jak moja żona wyświadczyła jej uprzejmość i umarła. Gorzej było z pracą... Jak wróciłem z Petersburga do Warszawy, zaczęła przychodzić do mnie na kontrole. Czy aby dobrze się prowadzę... Za każdym razem przekonywała, że powinienem zmienić zawód. A jakiś czas temu postanowiła ożenić mnie po raz drugi. Sama znalazła kandydatkę. Chyba pan rozumie, że miałem powody, żeby jej unikać.

– I nie ma pan żadnych pojrzeń, kto mógł ją zabić?

– A może to był wypadek albo apopleksja?

– Widział pan ciało swojej matki?

– Jeszcze nie zdążyłem. Przyjechałem do pana prosto z dworca.

– Gdyby pan je widział, nie wątpiłby, że ktoś pomógł jej odejść z tego świata.

– Matka była bezkompromisowa... – Jedliński odezwał się znowu po chwili milczenia. – Opisywała tylko te przyjęcia i toalety, które sama uznała za godne pochwały. Z rozmysłem nie wypowiadała się na temat lokalnych skandali. Wspominała czasem, że nieustannie ściągają ją rozhisteryzowane matki, które chcą na niej wymóc pochlebne opinie o córkach. Któraś nawet chciała jej zapłacić.

– Sugeruje pan, że morderczynią może być jakaś zdesperowana dama, której pani Józefina odmówiła pochwały w gazecie? – Szuster przez długi czas mieszkał u Mironowów, którzy mieli sześć żywiłowych córek, ale nawet to doświadczenie nie wystarczało, aby umiał wyobrazić sobie taką ewentualność.

– Nie wiem. – Jedliński zmrużył oczy. – Nie wierzę, że już jej nie ma. Widzi pan... ona mnie przytłaczała od dziecka. Czuję jej obecność, nawet jak byłem daleko. A co do kłopotów, z jakimi się zmagala, to pewnie jej przyjaciółki wiedziałyby na ten temat więcej niż ja.

– W takim razie proszę podać nazwiska tych przyjaciółek.

– Redaktorowa Zagórska – zaczął gość z westchnieniem i po namyśle dodał jeszcze: – Pani Mielczarska, wdowa po kupcu kolonialnym i jeszcze Rozalia Reuttowa... Matka kilkakrotnie wspominała mi o nich.

Ktoś szedł pospiesznie korytarzem; wyraźnie słyhać było odgłos energicznych kroków, który nagle ucichł. Przybysz zatrzymał się przy drzwiach, ale nie zapukał, tylko od razu wszedł do środka. Był to zadyszany Woronin z grubą teczką papierów w garści i płaszczem na ramieniu.

– Dzień dobry – wysapał, rzucając dokumenty na biurko Grigorija Michajłowicza. – I przepraszam za spóźnienie. Kwestie służbowe. – Zerknął znacząco na Szustra, a potem szybko odwiesił szynel i podszedł do Jedlińskiego, który na jego widok zerwał się z krzesła. – Miło pana widzieć, Sewerynie Adamowiczu. Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

– Pan Woronin?

Szuster zastanawiał się, czy ma omamy słuchowe, czy też Jedliński przywitał Aleksandra z wyraźną ulgą w głosie. Zapewne uważał, że doświadczony policjant prędzej rozwikła sprawę zabójstwa niż sędzia żółtodziób. Choć kto go tam wie.

– Naprawdę pamięta pan wszystkich klientów – zdziwił się Woronin, ściskając dłoń gościa.

– Wygląda pan lepiej, niż kiedy był pan u mnie w aptece. – Jedlińskiemu z wyraźnym trudem udało się skupić wzrok na twarzy policjanta. – Morfina pomogła?

– Aż za bardzo – mruknął Woronin. – Wyrzuciłem ją po dwóch dniach.

– A to czemu? Nie wolno tak marnować cennych medykamentów.

– Przypomniałem sobie, że od czasów wojny tureckiej nie znoszę leków, do których można przywyknąć. Wolę, jak boli od czasu do czasu, przynajmniej wiem, że żyję – zakończył, a potem zajrzał Grigorijowi Michajłowiczowi przez ramię i przebiegł wzrokiem spisane dotąd informacje. Kiedy skończył, przesunął krzesło i usiadł dokładnie w tym miejscu, gdzie siadywał za czasów Osipa Dymitrowicza.

– Mogę? – Spojrzał pytająco na Jerzego, a kiedy ten kiwnął głową, zwrócił się do Seweryna. – Mówił pan o osobach, które męczyły pańską matkę, ponieważ chciały przeczytać w gazecie swoje nazwisko. Czy wie pan może o kimś konkretnym?

– Matka nie dzieliła się ze mną takimi szczegółami. – Jedliński przymknął powieki.

– A czy w życiu pani Józefiny był jakiś mężczyzna?

– Ojczym umarł trzy lata temu. Matka po pogrzebie oświadczyła, że nie pogodzi się z tą stratą, więc zapewne nie ma nikogo. Coś jeszcze?

– Nie mam więcej pytań – rzucił pospiesznie Jerzy. – Przynajmniej na razie.

– Oczywiście – westchnął przesłuchiwany. – Jestem do usług. Czy wiedzą panowie, kiedy będzie można ją pochować?

– Proszę spytać doktora Patkiewicza w prosektorium, ale to chyba kwestia dwóch–trzech dni – poinformował go Woronin, a potem zatrzymał spojrzenie na jego twarzy i niespodziewanie zapytał: – Rozumiem, że ma pan alibi na czas śmierci matki?

– Czy pan myśli... – Seweryn po raz pierwszy tego dnia wyglądał na wstrząśniętego, a Szuster zaczął ganić w myślach sam siebie, że nie pomyślał o tym pytaniu.

– Na razie, Sewerynie Adamowiczu, nie mam przemyśleń. Dlatego muszę brać pod uwagę różne ewentualności. Liczę, że pan to rozumie?

– Przez cały tydzień byłem w Łodzi.

– Ktoś może to potwierdzić?

Jedliński kiwnął głową.

– W takim razie – Woronin przesunął ku niemu kartkę papieru i przybory do pisania. – Proszę spisać nazwiska wszystkich tych osób.

Aptekarz sapnął nerwowo, ale nie ośmielił się odmówić. Drżącą dłonią ujął stalówkę, zanurzył ją w kałamarzu i po chwili zastanowienia wypisał z trudem kilka nazwisk wraz z informacjami, gdzie można znaleźć świadków.

– Proszę jeszcze podpisać protokół – pouczył go Aleksander, zerkając od niechcienia na zapiski, które wyglądały, jakby kura spisała je pazurem – i nie będziemy pana dłużej zatrzymywać.

Seweryn złożył na dokumencie zamaszty autograf, a potem wolno i nieco niezgrabnie podniósł się z miejsca i sięgnął po płaszcz. Policjant odprowadził go do drzwi i uprzejmie pożegnał.

– On jest jakiś dziwny – stwierdził Jerzy, kiedy za gościem zamknęły się drzwi, a Kulikow poszedł po herbatę. – Chodzi jak lunatyk i zachowuje się wcale nie lepiej.

– Pewnie coś bierze, jak większość aptekarzy. – Woronin sięgnął po papierosa. – Zapewne morfinę. Z tego powodu tak się oburzył, że ją zmarnowałem.

– Skąd przyszło ci to do głowy?

– Znałem kilku morfinistów – odpowiedział półgłosem Aleksander, zaciągając się mocno. – Wcześniej byli moimi kolegami z pułku, wszyscy odnieśli rany na wojnie... Zresztą mnie też leczyli tym świństwem, ale jakimś cudem zdołałem odstawić.

Jerzy przyglądał mu się bez słowa; uświadomił sobie właśnie, że mimo wielu lat znajomości niewiele wie o swoim koledze.

– Jak wrócę do urzędu, nakazę agentom, żeby zaraz przyjrzeni się temu alibi – powiedział Woronin.

– Myślisz – Szuster ocknął się z zamyślenia – że naprawdę mógłby zabić własną matkę?

– Myślałem, że po sprawie Rapackiego nigdy nie będziesz mnie pytał o takie rzeczy. – Aleksander spojrział na Jerzego z przyganą. – A teraz posłuchaj, właśnie byłem u Patkiewicza na sekcji Majerowej.

– I co wyszło? – zainteresował się natychmiast Szuster, który skutecznie wyparł z pamięci fakt, że autopsja miała odbyć się dziś rano i że sam powinien w niej uczestniczyć.

– Same ciekawe rzeczy... – uśmiechnął się pod nosem Aleksander, a potem streścił mu najważniejsze kwestie. – Dokładny raport dostaniesz jutro. Aha, byłbym zapomniał, przyniosłem meldunki policjantów z VII Cyrkułu. – Aleksander sięgnął po teczkę, która leżała na biurku Kulikowa. – Tak jak przypuszczałem, mocno niekompletne. Stójkowi spisali tylko dwieście dziewięćdziesiąt siedem osób, a na balu było pewnie ze trzy razy tyle. Rewirowy Owsianko uważa jednak, że powinniśmy przejrzeć te papiery i sprawdzić, kto kogo widział podczas kolacji. Uważa, że w ten sposób uda nam się wykluczyć niewinnych.

– Ależ to nie ma sensu – zdenerwował się Jerzy. – Przy takiej liczbie ludzi nie dopatrzymy się niczego.

– Zgadzam się z tobą całkowicie. – Aleksander zdusił niedopalek w popielniczce. – Lepiej wykorzystajmy ten czas na stworzenie jakiejś sensownej strategii.

– Pomyślałem o tym – zaczął poważnym tonem, licząc, że jego plan nie zdenerwuje kolegi. – Chcę najpierw zapytać panią Leontynę, czy nie przypominała sobie czegoś nowego. I porozmawiać o oskarżeniach Mrowińskiej i Domańskiej. Za dwie godziny jesteśmy z nią umówieni.

– Jesteśmy umówieni? My? – zdziwił się chłodno Woronin, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się wcale. – Myślałem, że wybierzesz się do niej sam.

– Wolałbym, żebyś poszedł ze mną. Znasz ją lepiej i tobie bardziej ufa.

– Nie przesadzałbym z tym zaufaniem... Miała wszelkie powody, aby je stracić.

– Ona wie, że przyjdziemy obaj. Zaprosiła nas na herbatę.

– A więc nie zostawiłeś mi wyboru – mruknął Aleksander, spuszczać głowę. Uwadze Szustra nie umknęło, że mocno zacisnął pięści.

– Saszka, prowadząc to śledztwo, nie możesz jej unikać – odparł poważnym tonem.

Wiedział, że ma rację, ale i tak zaczynał być zły sam na siebie; nie powinien skłaniać kolegi, aby postępował wbrew swoim chęciom. Nie powinien pchać go prosto w paszczę lwa.

### 3.

Poprzedniego dnia Leontyna odebrała list z sądu, w którym Jerzy Szuster prosił ją, aby spotkała się z nim oraz z komisarzem Woroninem w celu podpisania protokołu zeznań i udzielenia dodatkowych wyjaśnień. Zdziwiła się, bo choć wiedziała, że będzie jeszcze miała kontakt ze śledczymi, nie spodziewała się, że nastąpi on tak szybko. Na szczęście pan Szuster był tak miły, że nie wezwał jej do siebie, tylko zaproponował rozmowę u niej w domu.

Do umówionego spotkania pozostało niewiele czasu, zajrzała więc do jadalni. Patery z drobnymi ciasteczkami zostały porozstawiane jak należy, a samowar szumiał głośno, co oznaczało, że woda niedługo zacznie wrzeć. Z kuchni niosły się smakowite zapachy pieczonego ciasta, a z pokoju lekcyjnego dobiegały dźwięki fortepianu: Joasia ćwiczyła gamy pod czujnym okiem guwernantki.

Wszystko toczyło się zgodnie z planem. Wróciła więc do jadalni, usiadła na krześle i zapatrzyła się w migający płomień lampy. Uspokajało ją to, bo w głębi ducha czuła się nieswojo, ponieważ wraz z Szustrem, miał przyjść Aleksander.

Wiedziała, że rozmowy ze świadkami należą do jego obowiązków, ale wolałaby nie widywać się z nim. Kilka lat niełatwego małżeństwa, nagła śmierć Janusza i problemy, które w związku z tym musiała rozwiązać, fochy matki, a także zakusy

Oktawii chcącej przejąć opiekę nad Joasią, a teraz jeszcze to morderstwo skutecznie nadwyrężyły jej siły. A Woronin – jak zawsze – mógł ściągnąć na nią kłopoty, z którymi tym razem mogłaby sobie nie poradzić.

Ktoś energicznie zapukał do drzwi wejściowych; prawie natychmiastowe skrzypnięcie świadczyło o tym, że Kazia musiała kręcić się gdzieś w ich pobliżu. Usłyszała głos Szustra. Może jednak przyszedł sam?

Postanowiła udać się do holu, aby na własne oczy przekonać się, co się dzieje i była już przy drzwiach, gdy usłyszała pełen niedowierzania okrzyk swojej kucharki:

– To naprawdę pan?!

– Ja, Agato Pietrowna – odpowiedział ze śmiechem Woronin. – We własnej osobie.

A więc przyszedł. Zatrzymała się zaraz za progiem jadalni i w milczeniu obserwowała scenę rozgrywającą się przed jej oczami. Aleksander, szczerze wzruszony, całował dłonie dawnej gospodyni, a ona wyglądała na zawstydzoną tą atencją. I chyba była bliska łez. Leontyna nigdy nie widziała, aby do bólu praktyczna Agata zachowywała się w taki sposób. Szuster też sprawiał wrażenie zaskoczonego: na pewno się nie spodziewał, że w jej domu czeka Woronina takie powitanie.

– Bałam się, że nie wróci pan z tej Rosji – odezwała się wreszcie kucharka.

– Wróciłem, Agato Pietrowna. Ponad trzy lata temu. Nawet dowiadywałem się o was, ale powiedziano mi, że wyjechaliście z Warszawy.

– Wnuczkom znalazłam dobre miejsca, chłopaka oddałam na naukę do drukarza i wzięłam posadę u pani Burzyńskiej. Ale jakbym wiedziała, że do tej Odessy taki kawał drogi, nie ruszałabym się z domu.

Leontyna, słysząc to wyznanie, uśmiechnęła się mimo woli, a zaraz potem dostrzegła, że z pokoju lekcyjnego wygląda Joasia, zaintrygowana odgłosami dochodzącymi z holu. Najwyraźniej jej ciekawość nie została zaspokojona, ponieważ przebiegła szybko korytarz i stanęła obok matki, nie spuszczać wzroku z gości i Agaty.

I właśnie w tym momencie zostały zauważone. Agata nieco się zmieszała, a urzędnicy zaczęli witać się z nią pospiesznie. Kiedy Aleksander pocałował ją

w rękę, na chwilę wstrzymała oddech. Zadała sobie zaraz pytanie, jak to możliwe, że po tylu latach wciąż czuje niepokój, kiedy zbliża się do niej ten mężczyzna?

– Dzień dobry, panience. – Woronin uśmiechnął się do zawstydzonej dziewczynki, a Leontyna uspokajającym gestem położyła dłoń na jej ramieniu.

– Kochanie – powiedziała. – To panowie Woronin i Szuster, którzy przyszli do mnie w interesach. A to moja córka Joanna.

Mała szybko odzyskała kontenans i dygnęła tak ładnie, że nawet babka Oktawia byłaby z niej zadowolona; Aleksander uklonił się jej elegancko. Leontyna z trudem powstrzymała uśmiech; wciąż doskonale radził sobie z przedstawicielkami płci pięknej, niezależnie od ich wieku.

Na chwilę zrobiło się małe zamieszanie, gdyż panowie zdejmowali okrycia, a Kazia pomagała im odwieszać je do szafy. Wreszcie, kiedy zapanował spokój, Leontyna spojrzała wymownie na kucharkę i rzekła:

– Liczymy, że Agata uraczy nas swoim pysznym ciastem.

– Już podaję. – Stara służąca natychmiast przypomniała sobie o obowiązkach. Skinęła na wnuczkę i obie pospiesznie podreptały do kuchni.

– Joasiu – zwróciła się do córki – wróć, proszę, do panny Eryki, ja muszę porozmawiać z panami. Kazia zaraz przyniesie wam herbatę.

Dziewczynka – choć widać było, że ma ochotę spędzić więcej czasu z nowymi znajomymi – nie oponowała, tylko dygnęła grzecznie po raz drugi i powędrowała do swojego pokoju.

Leontyna gestem zaprosiła przybyszy do jadalni.

#### 4.

Wbrew obawom zebranych przy stole panowała nadspodziewanie dobra atmosfera. Leontyna – o wiele spokojniejsza niż w dniu śmierci Majerowej – pełniła honory domu z takim wdziękiem, że Aleksander zerkał na nią zdecydowanie za często, niż powinien. Miała na sobie ciemnoczerwoną suknię – jego siostra nazywała ten kolor burgundem – w której wyglądała olśniewająco. Wymieniając z Szustrem zwyczajowe uprzejmości – na niego starała się nie patrzeć – częstowała ich herbatą z konfiturami i podsuwała patery z przekąskami

i ciastem. Musiał przyznać, że jedzenie było wyśmienite: najwyraźniej Agata Pietrowna naprawdę mogła rozwinąć skrzydła w tym domu. Tymczasem Jerzy zaczął zabawiać gospodynię opowieściami o studiach w Dorpacie, przy okazji dyskretnie podpytując ją o pannę Helenę, która chyba dotąd nie wywietrzała mu z głowy. On zaś milczał: po prostu nie był w stanie wykrztusić z siebie nawet jednego słowa.

W końcu, ku jego uldze, Szuster uznał, że pora skończyć z kurtuazją i przejść do kwestii zasadniczych.

– Pani Leontyno – zaczął, sięgając po papiery, które przyniósł ze sobą. – Pozwoliliśmy sobie odwiedzić panią, ponieważ mamy kilka spraw do omówienia.

Uwadze Aleksandra nie umknęło, że Leontyna spięła się nieco. Sięgnęła po szklankę i wypła łyk herbaty, a potem spojrzała na Jerzego i powiedziała:

– Słucham pana.

– Chciałbym prosić, aby zapoznała się pani z protokołem. Jeśli wszystko będzie w porządku, proszę podpisać w oznaczonym miejscu.

– Oczywiście. – Wzięła dokument, rozprostowała go i zaczęła uważnie studiować.

A on, choć był zły, że w jej obecności znika jego silna wola, przysięgi składane samemu sobie tracą moc, a postanowienia kruszą się niczym wyschnięta glina, wciąż nie spuszczał z niej wzroku. Nadal go zachwycała i bardzo chciałby przysunąć się bliżej i wziąć ją za rękę.

Bał się nawet pomyśleć, jak zareagowałyby na taką poufałość. Między nimi nie miało prawa nic się wydarzyć. Przeszkody, które niegdyś ich dzieliły, nie przestały istnieć, a nawet urosły. W Warszawie panowała gorsza atmosfera niż kilka lat temu. Gubernator Hurko przy pomocy kuratora szkolnego Apuchtina coraz mocniej zaciskał Polakom pętlę na szyi – skutecznie rugował język polski, skąd tylko się dało, a cenzura sięgała już granic żenady.

Z drugiej strony warszawiacy okopywali się na pozycjach, które im pozostały. Bronili swojej prywatności i prawie nikt nie utrzymywał kontaktów z Rosjanami ani niczego im nie ułatwiał. Wrogość stała się jeszcze bardziej wyczuwalna. On sam, jeśli zamierzał dowiedzieć się czegoś od miejscowych albo skutecznie coś z nimi załatwić, wkładał cywilne ubranie i mówił po polsku; na szczęście nauczył



się języka tak dobrze, że mało kto potrafił wychwycić wschodni akcent. W tej sytuacji zakrawało na cud, że Leontyna w ogóle wpuściła go za próg swego domu.

– Wszystko się zgadza. – Zakończyła lekturę i uniosła głowę; tym razem spojrzała wprost na niego. Nie zdążył odwrócić wzroku i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. – Nie mam niczego do dodania. Zaraz poproszę Kazimierę o stalówkę i atrament. – Wzięła do ręki dzwonek.

– Chwileczkę – powstrzymał ją Szuster. – Zanim pani podpisze protokół, chciałbym zapytać, czy nie przypomniała sobie pani czegoś podejrzanego.

– Panie Jerzy – zaczęła poważnie. – Myślę o tamtym wieczorze nieustannie, od kiedy tylko wróciłam z balu. Oka nie mogę zmrużyć. Zastanawiam się, czy nie mogłam w jakiś sposób zapobiec... Może gdybym przyszła tam wcześniej? W każdym razie jeśli coś przyjdzie mi do głowy, nie omieszkam pana zawiadomić... Albo pana komisarza. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Mamy pewną nieprzyjemną sprawę.

– Słucham.

– Otóż... – Jerzy się zawahał. Chyba nie umiał odpowiednio opisać tego, co przydarzyło się im poprzedniego dnia. Aleksander poczuł zaś przypływ odwagi i uznał, że nie ma co owijać w bawełnę; w końcu Leontyna zawsze była konkretna.

– Zgłosiły się do nas dwie damy – oświadczył, siląc się na spokój – które twierdzą, że to pani zabiła Majerową.

– Cóż pan opowiada?! – Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. – Skąd im to przyszło do głowy?

– Te damy widziały, jak w trakcie balu rozmawiałyście ze sobą – odezwał się wreszcie Szuster. – Ponoć wyglądała pani na zniecierpliwioną.

– Coś takiego – zachnęła się gospodyni i znowu sięgnęła po herbatę. Tym razem duszkiem wypila całą zawartość szklanki, ale nie odstawiła jej z powrotem na stół, tylko mocno zacisnęła palce na uchwycie podstakannika. – Zapewne panowie wiedzą, że pani Majerowa ma syna, który kilka lat temu owdowiał. Nie wiedzieć czemu, uznała mnie za idealną kandydatkę na jego drugą żonę.

– Ciekawe – mruknął Szuster, a Aleksander przygryzł wargę, gdyż wizja kolejnego ślubu dawnej ukochanej, zwłaszcza z kimś takim jak Seweryn Jedliński, nieoczekiwanie sprawiła mu ból. Tak samo jak przekonanie, że prędzej wyszłaby za mąż z rozsądku za jakiegokolwiek Polaka niż za niego, nawet z miłości.

Przywołał się jednak szybko do porządku: Leontyna mogła robić ze swoim życiem, co chciała, a jemu nic do tego.

– Pan Jedliński jest tak zajęty pracą, że nie bywa na przyjęciach – kontynuowała tymczasem gospodyni – więc w ciągu minionych trzech tygodni pani Józefina nieustannie namawiała mnie, abym ją odwiedziła i poznała jej syna.

– Rozumiem, że pani nie była zainteresowana tym mariażem? – dopytał Szuster, za co Aleksander podziękował mu w myślach.

– Nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż – oświadczyła zdecydowanym tonem. – Pani Józefina upierała się jednak przy swoim. Nie przyjmowała mojej odmowy. Zaczęłam jej unikać, więc kiedy spotkałyśmy się na balu, wykorzystała sytuację i wróciła do tematu. Dlatego trochę się zezłościłam... zwyczajnie straciłam cierpliwość.

– Dziękuję pani – powiedział Szuster, którego wyjaśnienia Leontyny wyraźnie uspokoiły.

– Czy mogliby mi panowie zdradzić, które damy wyciągnęły z mojego zachowania tak daleko idące wnioski?

Woronin był skłonny to zrobić, gdyż uważał, że powinna wiedzieć, kto nie znosi jej tak bardzo, że posuwa się do oskarżeń, ale ubiegł go Jerzy:

– Przykro mi, ale dla dobra śledztwa nie mogę udzielać takich informacji.

– Rozumiem – westchnęła z rezygnacją, a potem sięgnęła po dzwonek. Kiedy w pokoju pojawiła się służąca, poprosiła ją o przyniesienie przyborów do pisania. Wizyta dobiegała końca.

# ROZDZIAŁ V

## I.

Tego ranka Leontyna udała się na umówione spotkanie z mecenasem Paszkiewiczem. Mimo oporu matki postanowiła zostać w Warszawie na dłużej. Potrzebowała więc kogoś, kto pomógłby jej w załatwianiu spraw związanych z firmą handlową, którą odziedziczyła po mężu oraz zrobieniu porządku z roszczeniami ciotki Oktawii.

Prawnika, który pracował dla Janusza w Odessie, zwolniła na kilka tygodni przed wyjazdem; z trudem znosiła jego obecność, gdyż przez całe lata traktował ją jak głupią gęś, która nie potrafi zrozumieć najprostszych kwestii. Znał się jednak na rzeczy, więc zacisnęła zęby i wytrzymała z nim, dopóki sama nie zaczęła wystarczająco dobrze orientować się w interesach zmarłego męża.

Kancelaria Paszkiewicza mieściła się na Miodowej, ale w innej kamienicy niż niegdyś – ta, w której obecnie wynajmował lokal, stała bliżej gmachu sądu. Leontyna pojawiła się na miejscu mniej więcej kwadrans przed umówioną godziną spotkania, więc w oczekiwaniu na swoją kolej popijała herbatę i dyskretnie rozglądała się po biurze, które było obszerne, do tego urządzone dostatnio i ze smakiem; nic dziwnego, mecenas zrobił dużą karierę, gdyż, tak jak jego dawny pryncypał, słynął ze skuteczności.

Leontyna chciała znowu z nim współpracować, ponieważ ceniła jego mądrość, a przede wszystkim ufała mu. Dlatego też nie miała zamiaru przejmować się tym, że w domu jej matki pan Antoni stał się persona non grata, gdyż ośmielił ożenić się z miłości z pół-Rosjanką. Pochodzenie pani Paszkiewiczowej, zdaniem rodzicielki, wołało o pomstę do nieba i wykluczało jakąkolwiek konfidencję.

Poprzedni klient – wysoki chudy mężczyzna z włosami tak długimi, że zachodziły mu aż na kołnierzyk – wyszedł z gabinetu wyraźnie wzburzony, nawet nie zerknął na kancelistów, a ją omiótł niechętnym spojrzeniem i bez pożegnania opuścił kancelarię.

Po chwili w progu gabinetu stanął adwokat. Spojrzał na nią i wyraźnie odetchnął z ulgą; najwyraźniej wściekły mizerak musiał dać mu się porządnie we znaki.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem. – Cieszę się, że panią widzę. Proszę wejść.

Zostawiła niedopitą herbatę na stoliku, zebrała kuferek, w którym upchnęła teczeki z dokumentami i weszła do pokoju, który nie odbiegał wystrojem od reszty biura.

– To pomysły mojej żony – poinformował ją Paszkiewicz, kiedy zauważył jej zainteresowanie.

– Pańska żona ma doskonały gust. I w ogóle jest przeurocza.

– Ma przeuroczą matkę i jeszcze bardziej przeuroczego ojca. Zna go pani całkiem dobrze.

– Doprawdy? – zdziwiła się, gdyż znajomych Rosjan mogłaby policzyć na palcach jednej ręki.

– Katarzyna jest córką sędziego Mironowa.

– Jakież ten świat jest mały. – Zaśmiała się cicho. – Proszę pozdrowić ode mnie teścia przy najbliższej okazji.

– Nie omieszkam. Proszę usiąść.

Leontyna, zajmując miejsce w wygodnym fotelu, naprzeciwko gospodarza, pomyślała, że chętnie zapytałaby go o to, jak żyje się Polakowi w mieszanym stadle, ale zaraz się rozmyśliła: nie chciała być wścibska, sama tego zresztą nie znosiła.

– Przepraszam, nie złożyłem pani kondolencji z powodu śmierci pana Janusza.

– Dziękuję – westchnęła. – Do tej pory nie mogę uwierzyć, że już go nie ma. Sprawy potoczyły się tak szybko.

– Umarł nagle? – zainteresował się ostrożnie Paszkiewicz.

– Zachorował na zapalenie ślepej kiszki – powiedziała cicho i szybkim gestem otarła oczy; wspomnienie śmierci męża nadal ją bolało. – Nie było innego sposobu, więc po kilku dniach postanowił zaryzykować i poddać się operacji, i niestety jej nie przeżył.

– Niewymownie mi przykro.

– Po jego śmierci mój pobyt w Odessie stracił rację bytu – odezwała się po chwili milczenia. – Wie pan, to naprawdę piękne miasto, ale nie zdołałam go polubić.

– I rozumiem, że w związku z tym ma pani do mnie interes?

– Chciałabym prosić, żeby zajął się pan moimi sprawami. Przyniosłam niezbędne dokumenty. – Ułożyła ciężkie teczki na biurku.

– Z tego, co mi wiadomo, odziedziczyła pani doskonale prosperujący kantor handlu zbożem – upewnił się Paszkiewicz.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Staralam się, aby to się nie zmieniło. Nie stracił nic ze swojej renomy. Powiedziałabym, że w ciągu ostatnich dwóch lat nawet zyskał na wartości.

– Niesamowite. – Adwokat spojrział na nią z podziwem. – Niewiele kobiet poradziłoby sobie w takiej sytuacji.

– Nie miałam wyjścia. Janusz zainwestował w ten kantor cały mój posag. Gdybym po jego śmierci zdała się na obcych, pewnego dnia obudziłabym się bez grosza. Musiałam mieć baczenie na wszystko. Nie jest to jednak moje ulubione zajęcie...

– Prowadzenie spraw kantoru w Odessie to ogromna praca. Nie dziwię się, że jest pani zmęczona. Na dłuższą metę nie dam rady robić tego na odległość, ale mógłbym polecić pani kogoś, kto jest tam na miejscu i...

– Panie Antoni – przerwała mu łagodnie Leontyna. – Nie chcę dłużej prowadzić tej firmy. Zamierzam ją sprzedać, dopóki przynosi solidne zyski, a pieniądze zainwestować w coś mniej angażującego i przede wszystkim tu, na miejscu. Wiem, że jeśli podejmie się pan pośrednictwa, transakcja zostanie przeprowadzona porządnie. Oczywiście oprócz wynagrodzenia zapłacę też uczciwą prowizję – dodała po chwili.

– W takim razie zacznę szukać kupców – odpowiedział Paszkiewicz ku jej ogromnej uldze. – Zrobię, co w mojej mocy, żeby sprzedaż poszła po pani myśli. Najpierw jednak muszę przejrzeć księgi.

– Proszę bardzo. – Przesunęła papiery w jego stronę. – Tutaj są dokumenty z ostatnich trzech lat. Gdyby jeszcze coś było potrzebne, to resztę trzymam w domu.

– Zawsze lubiłem współpracować z panią. – Antoni uśmiechnął się do niej. – Doprawdy rzadko zdarzają się tak konkretni klienci.

– Oprócz sprzedaży kantoru mam jeszcze jedną sprawę. O wiele delikatniejszą. Zależałoby mi, aby podjął się pan także i jej.

– Proszę mówić.

– Chodzi o moją pasierbicę. Ciotka... a właściwie świekra, Oktawia Burzyńska, uważa, że nie mam prawa opiekować się nią i chce ją zabrać do siebie. Ma w tym wsparcie męża – zakończyła z goryczą.

– Co może przemawiać na pani korzyść?

– Kocham Joasię jak własne dziecko. – Spojrzała Paszkiewiczowi w oczy. – I nie oddam nikomu, a zwłaszcza ciotce... Zresztą Janusz chciał, żebym zajęła się jej wychowaniem i był na tyle przezorny, że zostawił testament z odpowiednim zapisem.

– Pani Oktawia nie zamierza uszanować woli syna? – zdumiał się prawnik.

– Uważa, że wymogłam na nim ten zapis, a on zgodził się, bo był w malignie. Ale to nieprawda – dodała po chwili. – Janusz spisał ostatnią wolę na kilka godzin przed operacją, w obecności notariusza i kilku świadków. Był całkowicie przytomny.

– Pani ciotka nie ma w takim razie zbyt wielu argumentów.

– Za to ma dużo czasu. Boję się, że chcąc postawić na swoim, zniszczy życie mnie i dziecku.

– Może uda się przekonać ją po dobroci do wyjaśnienia spornych kwestii?

– Rozumiem więc, że zajmie się pan tym? – zapytała z nadzieją.

– Mówiłem już, że cenię sobie współpracę z panią. – Adwokat uśmiechnął się znowu, jak nie on. Małżeństwo wyraźnie mu służyło.

– W takim razie poproszę jeszcze, aby w razie potrzeby reprezentował mnie pan w sprawie morderstwa pani Józefiny.

– Myślałem, że nie ma pani z nim nic wspólnego oprócz znalezienia zwłok.

– Też tak mi się wydawało do wczoraj. – Westchnęła ponuro. – Ale ponoć znalazły się osoby, które twierdzą, że jestem winna.

– Co takiego? – zdumiał się adwokat. – Ani Jerzy Szuster, ani tym bardziej Sasza Woronin nie uwierzą w taką bzdurę!

– Rozmawiałam z nimi wczoraj i wygląda na to, że ma pan rację. Niemniej jednak wolę być przygotowana na najgorsze.

– Porozmawiam z Woroninem. Myślę, że wyjaśni mi dokładnie, o co chodzi.

– Panowie nadal się przyjaźnią? – zapytała bez namysłu.

– Tak. – Prawnik kiwnął głową. – Od kiedy wrócił do Warszawy.

– A czy mógłby mi pan wyjaśnić... – Urwała, gdyż dotarła do niej cała niestosowność pytania, jakie właśnie chciała zadać. – Przepraszam, pan zapewne nie ma czasu na dłuższą rozmowę.

– Nie spodziewam się klientów. Proszę pytać – rzucił Paszkiewicz, przyglądając się jej uważnie; niewykluczone, że domyślił się, co takiego ją interesuje.

Wahała się jeszcze przez chwilę. Z jednej strony, im mniej wiedziała o Woroninie, tym lepiej. Z drugiej, istniała szansa, że adwokat powie coś, co utwierdzi ją w przekonaniu, że ma trzymać się od niego z daleka. Poza tym była zwyczajnie ciekawa. I w końcu ta ciekawość zwyciężyła.

– Czy wyjaśniłby mi pan – zaczęła cicho – jakim sposobem pan Woronin zdołał uniknąć kary za zabójstwo? Bo chyba uniknął? Inaczej nie mógłby nadal pracować w policji.

– Niestety, to poufna kwestia – odparł z namysłem Paszkiewicz. – Mogę tylko powiedzieć, że nie postawiono go w stan oskarżenia, więc nie było żadnego procesu. Mój teść ponad wszelką wątpliwość udowodnił, że Aleksander działał w wielkim wzburzeniu i do tego w obronie własnej.

– Rozumiem – szepnęła.

Nie dowiedziała się zbyt wiele, ale mogła przynajmniej odetchnąć z ulgą.

Nieoczekiwanie uświadomiła sobie bowiem, że przez długie lata przytłaczało ją bolesne przeświadczenie, że człowiek, którego niegdyś darzyła uczuciem, był zdolny do zabójstwa z zimną krwią.

## 2.

Szuster cenił Aleksandra za wiele rzeczy – między innymi za to, że niezależnie od konsekwencji postępował, jak należy. Jeśli zaś robił coś, czego robić nie należy, wynikało to zawsze – tak przynajmniej twierdził wuj Osip – z uczucia do Leontyny Rapackiej, z którym Woronin nie mógł poradzić sobie od lat. Potwierdzał to, jego zdaniem, choćby finał śledztwa w sprawie śmierci niesławnej pamięci mecenasa.

Tyle że akurat w tym przypadku Jerzy zgadzał się z kolegą; oddanie rodzinie zabitego pieniędzy nie było szaleństwem, tylko sprawiedliwością.

Teraz jednak, patrząc na Saszkę, po którym widać było ślady nieprzespanej nocy i który posepnie wpatrywał się w okno, zaczynał żałować, że dobro śledztwa wymusza na Woroninie spotkania z dawną ukochaną. Widać było, że źle to na niego wpływa. W jej obecności tracił rezon; podczas wizyty, którą jej złożyli, milczał jak zakłęty i cały ciężar konwersacji zrzucił na jego barki, ale przy tym cały czas przyglądał się gospodyni, niewątpliwie żywiąc przekonanie, że robi to dyskretnie.

– Musimy poukładać to, czego się dowiedzieliśmy – odezwał się w końcu. Nieszczęśliwa miłość nieszczęśliwą miłością, ale śledztwo nie poprowadzi się samo.

– Co mówisz? – Aleksander ocknął się z zadumy i spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Podsumujemy informacje, a potem zaplanujemy kolejne działania – odparł spokojnie Szuster. – Dasz radę się skupić?

– Oczywiście. – Kolega wyprostował się na krześle i już po chwili nie było po nim widać rozkojarzenia. Chwycił kajet leżący na brzegu biurka i otworzył go na gęsto zapisanej stronie. – Zrobiłem notatki, żeby nic nam nie umknęło.

Jerzy uśmiechnął się mimo woli, Woronin zawsze pracował w taki sposób i – jak widać – nie zmienił zwyczajów. Może nie jest z nim tak źle?

– Zaczynaj – polecił.

– Wypisałem wszystkich, z którymi mieliśmy do tej pory do czynienia, łącznie z denatką. – Policjant zerknął w notatki. – Wiemy, że Józefina Majerowa liczyła sobie pięćdziesiąt jeden lat i pracowała w „Kurierze Porannym” jako poczytna felietonistka. Była podwójną wdową. O pierwszym mężu wiadomo tylko tyle, że nazywał się Adam Jedliński. Drugi był profesorem chemii na Królewskim Uniwersytecie Warszawskim. Zmarł trzy lata temu na suchoty. Majerowa miała jedno dziecko z pierwszego małżeństwa, czyli znanego nam pana Seweryna. Nie utrzymywała szerokich kontaktów towarzyskich, tylko z kilkoma zaufanymi przyjaciółkami, ale w karnawale bywała prawie na każdym balu, a potem starannie je opisywała. Zapraszano ją też na przeróżne rauty i co elegantsze śluby i pogrzeby. Doskonale znała się na formach towarzyskich oraz modzie. Ludzie



szanowali ją i liczyli się z jej zdaniem. Mieszkała w eleganckiej kamienicy przy Nowym Świecie, ale dokładnego stanu majątkowego jeszcze nie znamy.

– To już wiemy, czego nie wiemy.

– Seweryn Jedliński, wspomniany syn denatki – kontynuował Aleksander – w lipcu skończy trzydzieści lat. Studiował na Wydziale Farmaceutycznym w Petersburgu. Ożenił się tam z siostrą kolegi, która, jak później się okazało, była terrorystką i nie wycofała się, nawet kiedy urodziła dziecko. Brała udział w zamachu na generała żandarmerii Konstantynowa. Zamach się nie powiódł, Konstantynowowi włos nie spadł z głowy, do tego sam zastrzelił jedną osobę, właśnie Jedlińską. Na jej męża nic nie znaleźli, więc oddał dziecko dziadkom, a sam wrócił do Warszawy i otworzył aptekę na ulicy Czystej, którą z sukcesami prowadzi do teraz. Samotnik i prawdopodobnie morfinista. Z matką żył w nie najlepszych stosunkach, ale mimo to został jej głównym spadkobiercą. Twierdzi, że ma alibi na czas zabójstwa.

– Skąd się tego wywiedziałeś? – zdumiał się Jerzy. – Jedliński nawet nie zająknął się na temat dziecka.

– Nie tylko ty wiesz, do czego służą archiwa, telegrafy i osobiste kontakty – uśmiechnął się Woronin. – Mam takich dwóch sprytnych agentów do pomocy.

– Jest ktoś jeszcze?

– O Leontynie Burzyńskiej obaj wiemy sporo. Należy jednak podkreślić, że ze sprawą łączy ją tylko fakt, że Majerowa chciała z niej zrobić synową. Poza tym to ona znalazła zwłoki, a jakieś stare plotkarki twierdzą, że popełniła morderstwo – zakończył z wyraźnym niesmakiem.

– Nie popełniła. A nawet jeśli, to nie uwierzyłbyś w jej winę – wyrwało się Szustrowi, zanim zdążył pomyśleć, co właściwie mówi.

– Posłuchaj. – Aleksander spoważniał i spojrzał mu prosto w twarz: – Prawie siedem lat temu, z własnej głupoty siedziałem w Ratuszu oskarżony o zabójstwo. Wielu było takich, którzy bez sądu chcieli mnie wysłać w najgorsze rotę. A ona wierzyła, że jestem niewinny. Do tego stopnia, że wbrew mojej woli wyciągnęła mnie z więzienia. I co? Miałbym zwątpić w taką kobietę? – mówił z takim żarem, że Leontyna na pewno nie była mu obojętna.

Jerzy wolał nie przedłużać dyskusji; Saszka był wzburzony i nie wiadomo, do czego mogłoby dojść. Pił więc herbatę w milczeniu i zastanawiał się, jak

bezboleśnie wrócić do służbowej rozmowy, na szczęście kolega postanowił zlitować się nad nim.

– Wypisałem jeszcze to, co wiemy o zabójcy – powiedział już normalnym tonem, unikając jego wzroku.

– Słucham?

– Prawdopodobnie to mężczyzna... Mówię, że prawdopodobnie, bo Patkiewicz ostatecznie nie wykluczył kobiety. W każdym razie był silny. Praworęczny. Musiał być gościem na balu, nikt postronny nie dostałby się do pokoju dla pań. Zapewne ofiara zaskoczyła go, kiedy robił coś niewłaściwego albo nawet karygodnego. Albo to ktoś, komu chodziło konkretnie o nią... Z mojej strony to na razie wszystko. A tobie udało się coś ustalić?

– Posiedziałem nad raportami z cyrkułu.

– Naprawdę je przeczytałeś?

– Powiedzmy – mruknął w odpowiedzi Jerzy, który nie chcąc mieć sobie nic do zarzucenia, spędził nad papierami kilka godzin. – Zgodnie z przewidywaniami nic nie wyczytałem. Nie dość, że lista gości niekompletna, to większość z nich nie miała okazji poznać się wcześniej. Tym samym teoria Owsianki wzięła w łeb.

– Próbowaliśmy zacząć od kąta – mruknął policjant – a tu trzeba wrócić do pieca.

– Czyli do Majerowej?

– Widzisz, nie uwierzę w teorię, że mogła zaskoczyć jakiegoś złodzieja. W pokoju oprócz książek i damskich fatalaszków nie było nic cennego. Widziałeś jej ciało? – Aleksander spojrział na niego wyczekująco.

– Tak – potwierdził niechętnie. Wolałby nie wracać, nawet myślami, do chwili, kiedy Patkiewicz demonstrował mu obrażenia denatki.

– Morderca uderzył ją butelką w skroń. Dwa razy. To były śmiertelne ciosy, ale on wolał mieć całkowitą pewność. Stłukł flaszkę i podciął jej gardło, a przy okazji zmasakrował twarz. I na pewno nie chodziło mu o to, aby utrudnić identyfikację... – urwał na chwilę. – Ten człowiek był wściekły. I to na Majerową. Może chciał się zemścić? Niewykluczone, że wcześniej zaplanował, że poczeka na odpowiednią okazję, a po zabójstwie ukryje się w tłumie. Mógł też działać pod wpływem impulsu.

– Wydaje mi się, że warto byłoby przeczytać jej felietony – zaczął Jerzy. – Sprawdzić, czy kogoś aby nie obraziła.

– Co w takim razie robimy? – Aleksander uśmiechnął się znowu. – Czytamy, panie sędzio śledczy?

Jerzy z rozbawieniem pokręcił głową, a potem, po chwili namysłu, oświadczył:

– Zaczynamy od tego pieca. Przesłuchamy najpierw redaktora naczelnego „Kuriera” i dziennikarzy, którzy współpracowali z Majerową. Potem jej przyjaciółki...

– Lepiej, żebyś ty porozmawiał z przyjaciółkami, a ja się wezmę za redakcję.

– Myślałem, że zrobimy odwrotnie – zawahał się Szuster. – Ty lepiej sobie radzisz z kobietami.

– Może i tak, ale boję się, że żadna dama z warszawskiego towarzystwa nie wpuści mnie za próg. Pani Oktawia Burzyńska sprawiła, że nie cieszę się wśród nich najlepszą opinią.

– Poradzisz sobie. – Nie miał wątpliwości, że tak właśnie będzie. – Zresztą zawsze możesz zagrozić wezwaniem do sądu albo, co gorsza, urzędu śledczego.

– Niech ci będzie – skapitulował Woronin. – Przygotuję się wieczorem, a od jutra zacznę nagabywać damy.

– Wieczorem? Nie przychodzisz dziś na kolację do wujostwa?

– To dziś?! Na śmierć zapomniałem! Wydawało mi się, że dopiero jutro.

– Dziś, dziś. – Jerzy pokiwał głową. – Przyjdź, bo inaczej wuj Osip nie wybaczy ci tego do końca życia. A ciocia Anna jeszcze dłużej.

– W takim razie nie mam wyjścia – odparł Sasza z ubolewaniem, na które Jerzy nie nabrał się nawet na sekundę. Wiedział bowiem doskonale, jak Aleksander lubi spotkania w gronie jego rodziny. Co prawda, kilka lat temu dobrowolnie skazał się na samotność, ale do tej pory nie nauczył się z nią żyć.

### 3.

Z sześciu córek Osipa Dymitrowicza i Anny Stanisławowny, aż cztery rozjechały się w różne strony Imperium. Dwie najstarsze – Natalia i Aleksandra – poślubiły

wysokich rangą oficerów; mąż pierwszej dowodził całym garnizonem w Tomsku, mąż drugiej robił to samo, tyle że w Berdyczowie. Następna w kolejności, Maria, pierwsze lata małżeństwa spędziła w rodzinnym mieście, aż wreszcie jej małżonka, wybitnego specjalistę od hipoteki, awansowano i przeniesiono do samego Petersburga. Czwarta, czyli Ludmiła, wyszła za ambitnego sędziego, który został niedawno prezesem Sądu Okręgowego w Piotrkowie Trybunalskim.

W Warszawie, blisko rodziców, pozostały tylko najmłodsze dziewczęta – Julia i Katarzyna. Nieobliczalny los sprawił, że obie poślubiły mężczyzn, których Woronin miał przyjemność nazywać swoimi przyjaciółmi. Choć czasem wydawało mu się, że są dla niego kimś więcej, prawie krewnymi. Tak samo jak starsi państwo Mironowowie.

Jego własna rodzina pozostała w Moskwie. Ojciec, od niedawna dźwigający na barkach ósmy krzyżyk, ewidentnie łagodniał z wiekiem. Już po śmierci Bojki, wraz z Osipem Dymitrowiczem, zrobił wszystko, aby zapobiec postawieniu syna w stan oskarżenia. A jakiś czas później nie wyklął Aleksandra po raz drugi, kiedy ten, na kilka dni przed planowanym ślubem, zerwał zaręczyny z Darią Sorokiną, panną z dobrej szlacheckiej rodziny. Co więcej, bez mrugnięcia okiem płacił ogromne rachunki wystawiane przez lekarzy ratujących upartego potomka, który tylko cudem przeżył pojedynek; kula wystrzelona przez brata obrażonej Darii Iwanowny nie trafiła w serce, ale za to strzaskała ramię.

Co najważniejsze, Nikita Andriejewicz pogodził się ostatecznie z faktem, że Aleksander nie robi kariery w wielkim świecie ani nie przejmie jego handlowego imperium. Na szczęście Fiodor, młody student w dziurawych butach, którego Nadia poślubiła niegdyś po kryjomu, okazał się nie tylko porządnym człowiekiem, ale także zdolnym kupcem; od kilku lat był prawą ręką teścia, który po narodzinach pierwszego wnuka wspaniałomyślnie wybaczył córce ucieczkę z domu. Młoda para doczekała się już czwórki dzieci, wyglądało więc na to, że ojcu nie zabraknie spadkobierców, nawet bez udziału Aleksandra.

Tęsknił za siostrą i jej maluchami, a nawet za ojcem. Wiedział jednak, że w Moskwie nie ułoży sobie życia żadnym sposobem, w końcu próbował, ale wyszło z tego tylko nieszczęście i jeszcze narobił sobie wrogów.

Inna sprawa, że w starej stolicy ani na chwilę nie opuszczało go przygnębienie i poczucie braku celu w życiu. Atmosfera panująca w Warszawie, gdzie życie

toczyło się wolniej, uspokajała go i jakimś sposobem kazała wierzyć, że coś jeszcze wydarzy się w jego życiu.

Czy miało to nastąpić właśnie teraz, kiedy drogi, jego i Leontyny, przecięły się po raz kolejny?

Niemożliwe. Na świecie nie istniały takie argumenty, które przekonałyby ją – a przede wszystkim jej matkę – że Rosjanin może być odpowiednią partią dla Polki. Zresztą powiedziała wprost – wiedział, że jej słowa były skierowane do niego – że nie zamierza powtórnie wychodzić za mąż.

Ale przecież już jej nie kochał. Zapomniał o niej. Pogodził się z tym, że spędzi całe życie w bezzennym stanie.

Natrętne myśli wwierały się w mózg tak uparcie, że nie zauważył, kiedy minął bramę kamienicy przy ulicy Leopoldyny, w której mieszkali Mironowowie. Wyrzucił niedopałek do rynsztoka i nie zwracając uwagi na stróża, ruszył w stronę drzwi na klatkę schodową.

#### 4.

– I jak idzie wam z Majerową? – Osip Dymitrowicz wyciągnął papierosa, więc Aleksander szybko podał mu ogień, a potem sam zapalił.

Siedzieli w gabinecie Mironowa i czekali na przybycie pozostałych gości, gdyż Woronin, jakimś sposobem, znowu przyszedł za wcześnie. Anna Stanisławowna akurat strofowała kucharkę, która przesoliła zupę, woleli więc zejść jej z oczu.

– Jerzy panu nie wspominał?

– Jerzy bardzo przejął się tą sprawą – uśmiechnął się dobrodusznie Mironow. – To jego pierwsze większe śledztwo i najchętniej przeprowadziłby je bez niczyjej pomocy.

– Nie uda mu się – odparł ze śmiechem Aleksander. – Ma mnie na głowie.

– I niech będą za to dzięki Świętej Przemysłej. Pilnuj, żeby z tej ambicji nie wpadł w kłopoty.

– Zaraz, zaraz, to ja jestem specjalistą od wpadania w kłopoty.

– Odkąd wróciłeś do Warszawy, zachowujesz się wzorowo. I oby tak zostało. – Osip Dymitrowicz uniósł ostrzegawczo palec. – A Jerzy jest na tym etapie życia, że więcej sobie wyobraża, niż faktycznie wie. Musi zdobyć doświadczenie. A od kogo ma się uczyć, jak nie od ciebie, Sasza?

– Na jego miejscu uczyłbym się od pana.

– Chyba wydaje mu się, że proszenie mnie o radę jest równoznaczne z porażką. A nie nadużywa, aby swojej pozycji?

– Akurat my dwaj potrafimy się dogadać.

O wilku mowa. Ledwo skończyli palić, w holu zaczęło się zamieszanie i usłyszeli głos Szustra, a potem jeszcze kilka innych, a nad wszystkimi górował wesół bas Michaiła.

– Proszę bardzo – mruknął z przekąsem Mironow. – Przyszedł mój ulubiony zięć.

Aleksander uśmiechnął się pod wąsem; historia znajomości sędziego i Kaługina była niezwykle burzliwa. Osip Dymitrowicz początkowo był niezadowolony, że koło jego ukochanej córki kręci się oficer – młody, z widokami na duży majątek i do tego hrabia – ale powszechnie znany z zamiłowania do alkoholu, hulaszczego życia i szwendania się po mieście w towarzystwie kobiet podejrzanej konduity. Dlatego kiedy Misza wyraził wprost chęć poślubienia Juli Osipowny, teść *in spe* poprosił go na stronę i pochwalił mu się dwoma doskonałymi rewolwerami. Michaił w lot pojął aluzję, ale nie zrezygnował ze starań o rękę panny, która też zdążyła obdarzyć go uczuciem.

Mironow pogodził się wreszcie z tym, że jego córka chce za męża niesforne porucznika i choć niechętnie, pozwolił na ślub. A że nie ufał całkiem zięciowi, co jakiś czas czyścił w jego obecności swoje rewolwery, uśmiechając się przy tym znacząco.

Na razie jednak Michaił nie dawał mu powodów do podjęcia interwencji, zaś Aleksander, który znał Kaługina od lat, nie był w stanie wyjść z podziwu, że przyjaciel tak uspokoił się w małżeńskim stanie. Kochał żonę, nawet jej nie zdradzał – Woronin wiedział to na pewno, w końcu Miszka nie miał przed nim tajemnic. Do tego mógł na palcach jednej ręki policzyć okazje, kiedy widział przyjaciela z kieliszkiem w ręce. Trzeźwość wyszła porucznikowi na korzyść także

w innych dziedzinach niż życie prywatne; od kiedy rzucił wódkę, jego kariera wojskowa ruszyła z miejsca – obecnie był już majorem.

– Idziemy – zarządził gospodarz, zgniatając w popielniczce kolejny niedopałek.  
– Nie będziemy się ukrywać.

Posapując, wstał od biurka i ruszył do drzwi. Woronin podążył za nim.

W holu nadal panował rozgardiasz: okazało się, że zaraz po Julii i Michaile, pojawili się Katarzyna i Antoni Paszkiewiczowie. Na dodatek między gośćmi kręcił się Timur, ukochany biały pers Anny Stanisławowny i wszyscy musieli uważać, aby przypadkiem nie nadepnąć mu na ogon.

Szczerze mówiąc, ślub Antoniego zaskoczył Woronina nawet bardziej niż małżeństwo Kaługina. Adwokat nigdy nie wspominał o swoim życiu uczuciowym, więc Aleksander doszedł do wniosku, że nie zamierza wiązać się z nikim, tylko dalej robić błyskotliwą karierę.

Sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy po ukończeniu petersburskich Bestużewskich Kursów z podstaw prawa do Warszawy wróciła Katarzyna Osipowna. Natychmiast zaczęła wiercić ojcu dziurę w brzuchu, że koniecznie chce iść do pracy. I to w zawodzie! Osip Dymitrowicz uległ jej naleganiom i poprosił Paszkewicza, aby wziął ją do pomocy w kancelarii, przynajmniej na próbę. Antoni niebacznie wyraził zgodę i pół roku później był już żonaty.

Aleksander, który w cerkwi miał zaszczyt trzymać nad nim koronę, zapytał go później ostrożnie, czy jako Polakowi nie przeszkadza mu, że żona jest prawosławną Rosjanką; po międzynarodowej aferze miłosnej, którą sam przeżył, nie dowierzał, że przedstawiciele dwóch, bądź co bądź, wrogich nacji mogą pobrać się tak zwyczajnie i bez dramatów.

W odpowiedzi Paszkewicz uśmiechnął się – co już samo w sobie było niezwykle – a potem wyjaśnił, że Katarzyna Osipowna jest przecież w połowie Polką i doskonale mówi po polsku, urodziła się i wychowała w Warszawie, więc daleko jej do typowej Rosjanki. Inna sprawa, że skoro znalazł wreszcie właściwą kobietę, nie ma zamiaru przejmować się opiniami obcych ludzi. Tym bardziej że jako wzięty adwokat wiedział wiele o grzechach osób z towarzystwa, więc nikt o zdrowych zmysłach nie odważyłby się obrazić jego żony.

Małżeństwo z Katarzyną otwierało mu też wiele zamkniętych do tej pory drzwi, ale Woronin nie wierzył, aby akurat to miało dla Paszkewicza jakiegokolwiek

znaczenie. Zastanawiał się za to, czy sytuacja świeżo poślubionych małżonków może mieć jakieś przełożenie na jego własną. Ostatecznie doszedł do wniosku, że mimo pozornych podobieństw, niestety żadnego. Antoni był mężczyzną, a mężczyznom wybaczano więcej, nawet zawarcie nieodpowiedniego małżeństwa – w końcu to żona szła za mężem i spoglądano na nią przez jego pryzmat.

Przywitał się serdecznie z obydwoma córkami Mironowów, uścisnął rękę Paszkiewicza, a wtedy Miska, który zdążył już wycalować teściową i szwagierkę, energicznie poklepał go po plecach.

– Saszka, jak dobrze cię widzieć.

– Też się cieszę. – Uśmiechnął się szeroko. – A jak tam Pietia i Paszka?

– Rosną... – Przyjaciel pochylił się ku niemu, a potem poinformował go konspiracyjnym szeptem: – Ciągłe nie mogę ich rozróżnić. Czort, im starsi, tym bardziej podobni. Kazałem niańce naszyć tasiemki na wszystkich rękawach... Pietce zielone, a Pawłuszy czerwone. Julia się śmieje, bo ona poznaje ich bez trudu – zakończył z westchnieniem, nawet nie starając się ukryć podziwu dla żony.

Aleksander z grubsza rozumiał problemy przyjaciela; on sam też nie potrafił odróżnić trzyletnich bliźniaków. Na szczęście nie należało to do jego obowiązków.

– Siadajcie do stołu, kochani. – Gospodyni szerokim gestem zaprosiła gości do jadalni, a potem zapukała w drzwi pokoju, w którym mieszkał jej młody krewny. – Jerzyk! Czekamy na ciebie.

Nie minęła pewnie minuta i Szuster, odświeżony po pracy, dołączył do towarzystwa, ale zanim zajął miejsce obok Woronina, musiał zsadzić z krzesła wyraźnie opierającego się kota, który liczył na to, że mający miękkie serce Aleksander, i tym razem będzie karmił go po kryjomu.

– Nie wiedziałem, że już przyszedłeś – powiedział półgłosem Jerzy, kiedy wreszcie udało mu się skutecznie wyeksmitować Timura. Przysunął sobie wazę i zaczął nalewać zupę, która – jak Woronin zdążył sprawdzić – jakimś cudem nie była wcale przesolona.

Kolacja, jak zwykle, została przygotowana z rozmachem – Anna Stanisławowna uwielbiała karmić rodzinę i przyjaciół. Woronin nawet nie próbował liczyć dań, pod którymi ugiął się stół. Oprócz wspomnianej już zupy były tam i klopsiki wołowe – ulubione danie Michaiła – i sałatka z jarzyn i pikli, a także mnóstwo innych rzeczy.



– Wyborna kolacja, najdroższa teściowo – zachwycał się tymczasem Kaługin. – Doskonała!

– Nie podlizuj się, nicponiu – mruknął siedzący u szczytu stołu Osip Dymitrowicz. – Jak coś skrewisz, nawet teściowa nie obroni cię przed moim rewolwerem.

W głosie gospodarza nie było jednak słychać złości ani potępienia, tylko starannie ukrywane rozbawienie. Aleksander już dawno zauważył, że Mironow uwielbia droczyć się z zięciem, którego koniec końców szczerze polubił.

– Święta prawda! – Miszka ku radości zebranych uderzył się w piersi. – Niech mnie teść zastrzeli na miejscu, jeśli kłamie. Psik! – rzucił odruchowo do kota, który akurat wskoczył mu na kolana i pchał pyszczek do talerza.

Woronin zaśmiał się, a następnie potoczył wzrokiem po rozbawionym towarzystwie. Spotkania u Mironowów sprawiały, że zaraz poprawiał mu się humor. W sumie nic dziwnego, każda kolacja odbywała się wśród śmiechów, żartów i przekomarzania, a on, choć przez chwilę, czuł, że gdzieś przynależy.

Nie był stworzony do samotności – powtarzał sobie to nieustannie. Tyle że jeszcze bardziej nie był stworzony do postępowania wbrew sobie. Coś za coś.

Kiedy dania zostały zjedzone, na stół wjechały ciasta; Woronin, spoglądając na nie, zastanawiał się, czy uda mu się wepchnąć w siebie chociaż kawałek. Anna Stanisławowna własnoręcznie przygotowywała słodkości, które były tak pyszne, że nie umiał im się oprzeć.

Nie zdążył zdecydować się, od którego wypieku rozpocznie degustację, kiedy pochylił się ku niemu Michaił i zapytał:

– Nie poszedłbyś zapalić?

– Chętnie – odparł Woronin i spojrzał na Mironowa, ponieważ wypadaloby zapytać także i jego, ale gospodarz był akurat pochłonięty rozmową z Katią i Antonim.

Przeszli do gabinetu Osipa Dymitrowicza, gdzie w takie wieczory jak ten urządzano palarnię. Służąca rozstawiła tam też nalewki, gdyby któryś z mężczyzn miał ochotę na coś mocniejszego.

– Jak chcesz, to sobie nalej. – Michaił wyciągnął z kieszeni papierośnicę.

– A ciebie nie ciągnie? Nic a nic?

– Nie ma mowy, żebym nawet powąchał – mruknął Kaługin, częstując go papierosem. – Jak znam teścia, to pułapka na mnie. Napiję się łyk, a on wywacha, wyciągnie rewolwer i zrobi mi to, co obiecuje od pięciu lat – zakończył ze śmiechem, a potem podsunął Aleksandrowi ogień i sam też zapalił. – Powiedz, Sasza, co tam u ciebie słyhać dobrego?

– Leontyna wróciła.

– Co ty opowiadasz?! – zdumiał się Miszka. – Z mężem? Czy uciekła od niego?

– Imaginuj sobie, że Burzyński umarł ponad dwa lata temu. Uprzedzając twoje pytanie, nie mam pojęcia, co mu się stało.

– Wszystko jedno! – Przyjaciół klepnął go w ramię. – Najważniejsze, że wyświadczył ci przysługę.

– Jaką znowu przysługę? – najeżył się Aleksander. – Historia z Leontyną jest dawno zakończona.

– Akurat! – rzucił Miszka, a potem dodał poważniejszym tonem. – Możesz oszukiwać sam siebie. Mnie może też dałbyś radę zmylić, ale nie oszukasz mojej Juli...

– Co ty opowiadasz?

– Powiedziała mi niedawno, że wyglądasz, jakby coś nieustannie cię dręczyło. I że pewnie to tęsknota za Leontyną... A Julia zna się na miłości. Oj, zna – zakończył z zadowoleniem.

Aleksander nie zdążył w żaden sposób odnieść się do tych rewelacji, ponieważ do gabinetu zajrzał Szuster, który, nie palił, ale zapewne miał ochotę na którąś ze sławnych nalewek wuja.

– Tu jesteś – ucieszył się na widok Woronina. – Można?

– Ty w ogóle się pytasz? – obruszył się Michaił. – Przecież mieszkasz w tym domu. I coś mi się wydaje, że masz sprawę do Saszki. Znowu prowadzicie razem jakieś śledztwo? – Zdusił niedopałek. – Gadajcie o pracy, jak musicie, a ja przez ten czas podenerwuję staruszkę.

– Przepraszam – powiedział Jerzy, kiedy Kaługin wyszedł. – Ale pomyślałem, że skoro się widzimy, nie będę czekał do jutra.

– Coś się stało? – zaniepokoił się Aleksander, któremu ton kolegi nie spodobał się wcale.

– Dziś po południu przyszła do mnie kolejna dama... niejaka Pytłasińska.

– I co? – mruknął drwiąco Woronin. – Uprzejmie doniosła, że winna jest Leontyna?

– Lepiej. Poinformowała mnie, że Majerową zabiła niejaka Maryla Mielczarska.

– Jedna z przyjaciółek ofiary?

– Tak. – Jerzy kiwnął głową. – Podobno jakiś czas temu pani Józefina w jednym ze swoich felietonów napisała coś niepoehlebnego o jej córce. Pytłasińska ponoć słyszała, jak Mielczarska odgrażała się, że urwie Majerowej głowę przy pierwszym spotkaniu.

– Święta Przekzysta, czy teraz wszystkie warszawskie matrony zaczną podejrzewać się nawzajem? – jęknął Woronin. – Zarzucą nas donosami i nie znajdziemy mordercy do końca świata.

– Ja też mam wrażenie, że to nowa zabawa towarzyska – westchnął Szuster. – Ale i tak trzeba porozmawiać z Mielczarską. Może coś wie. Kiedy wybierasz się do niej?

– Akurat jutro około południa.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę z tobą. „Kurier” zostawię sobie na później. I wiesz, myślę, że naprawdę trzeba szybko przejrzeć te felietony. Co najmniej dwa lata w tył. Przydałby się ktoś, kto dobrze zna tutejszy *beau monde*.

– Myślę – zaczął z namysłem Woronin, zapalając kolejnego papierosa – że wiem, kogo poproszę o pomoc.

# ROZDZIAŁ VI

## I.

Dokładnie o dwunastej w południe Aleksander i Jerzy minęli bramę trzypiętrowej kamienicy na Wilczej, której właścicielką była owdowiała kilka lat temu Maryla Mielczarska. Dama wraz z dwiema córkami zajmowała apartamenty na pierwszym piętrze, a pozostałe lokale zostały ponoć wynajęte co do jednego w bardzo krótkim czasie. Nic dziwnego, dom był nowy, wzorowo utrzymywany i podłączony do kanalizacji.

– Panowie do kogo? – Ze stróżówki wyrzwał czujny dozorca, ale na widok urzędniczych mundurów, natychmiast się wycofał.

– Chodźcie tu! – zawołał za nim po polsku Szuster.

Stróż po chwili, już w kapocie i czapce, wrócił na podwórze i spojrzał na nich z respektem połączonym z obawą. Jerzy sapnął z irytacji; wciąż nie mógł przywyknąć, że zaczął budzić w ludziach lęk.

– Do właścicielki którejdy? – zapytał Woronin, który nie zwracał uwagi na takie drobiazgi.

– Tędy. – Dozorca wskazał jedno z dwóch głównych wejść do budynku. – Pierwsze piętro – dodał, nie spuszczając z nich wzroku; chyba wydawało mu się, że urzędnicy powiedzą coś jeszcze, wytłumaczą jakoś swoje przybycie, ale żaden z nich nie kwapił się, aby to zrobić.

Widna klatka schodowa została wyłożona jasnym marmurem, a klosze latarni gazowych porozwieszanych na półpiętrach wyglądały jak kwiaty lilii. Jerzy oglądał wszystko dokładnie i z zainteresowaniem – kamienica wydawała się przestronna i co najważniejsze, czysta. Gdyby kiedyś postanowił wyprowadzić się od wujostwa, chętnie wynająłby mieszkanie właśnie w takim domu. O ile byłoby go stać.

– Chyba tutaj – powiedział Aleksander, zerkając na uchylone drzwi do mieszkania, zza których dobiegł dziwny hałas oraz podniesiony kobiecy głos:

– Franiu, pospiesz się, na miłość boską! W takim tempie będziesz sprzątać do wieczora!

Druga kobieta odpowiedziała coś półgębkiem, więc Szuster nie zrozumiał słów, ale pierwsza, zapewne gospodyni, zapytała zaraz wyraźnie, choć nie kryjąc zdenerwowania:

– Mam ci pokazać, jak to zrobić?!

Urzednicy wymienili skonfundowane spojrzenia, wreszcie Woronin, zaprawiony w bojach, odważył się zapukać do drzwi, które otworzyły się tak szybko, jakby ktoś stał zaraz za nimi i czekał na przybyszów.

– Słucham?! – zapytała ładna krągła szatynka, na oko trzydziestoparoletnia, ubrana w luźny domowy strój. – Co panów sprowadza?

– Radca kolegiálny Szuster, sędzia śledczy – poinformował ją po polsku Jerzy. – A to komisarz Woronin z policji. Czy pani Maryła Mielczarska?

Dama, do której dopiero w tej chwili dotarło, kto do niej zawitał, jęknęła głucho:

– Jeszcze tylko tego... Co panów sprowadza? – zmitygowała się szybko.

– Chcielibyśmy porozmawiać o śmierci Józefiny Majerowej – powiedział Aleksander, również po polsku.

– Panowie, na miłość boską – gospodyni złożyła błagalnie ręce – dziś wieczorem urządzam bal, a tu prawie nic nie gotowe. Niedługo przychodzi zamówiony fryzjer i musi uczesać nas wszystkie. Mają przynieść kwiaty do toalet i słodycze z cukierni. Urwanie głowy.

– Nie zajmujemy pani dużo czasu – odparł Woronin. – Sprawa jest poważna.

– Dobrze – skapitulowała dama i westchnęła: – Niech panowie wejdą.

Cofnęła się i wpuściła ich do środka. Szuster, kiedy tylko przekroczył próg i znalazł się w nadzwyczaj dużym i jasnym holu, zauważył młodą pokojówkę gorliwie froterującą nawoskowaną podłogę. Na widok gości dziewczyna znieruchomiała.

– Franka! – Gospodyni natychmiast pogroziła jej palcem. – Ani się ważyć przerywać robotę! Gdzie jest Marcjanna? Marcjanno, chodź tu zaraz!

Z jednego z bocznych pokoi wyszła druga pokojówka, znacznie starsza od Frani. A z za drzwi wyjrzały dwie rozczochrane dziewczęce głowy; Szuster musiał przyznać w duchu, że córki gospodyni są całkiem urodziwe.

– Jestem, proszę pani – zameldowała się służąca, ale pani Maryla nie zwróciła na nią uwagi, bo akurat dostrzegła swoją ciekawską progeniturę.

– Antosia! Basia! – rzuciła z przyganą. – Wracać do siebie! Już! Macie odpoczywać! Marcjanno – przypomniała sobie wreszcie o służącej. – Niech Marcjanna sprawdzi, czy woda w samowarze się zagotowała i przyniesie do jadalni tę tam... całą resztę. Muszę porozmawiać z panami.

Szuster zamierzał uspokoić gospodynię, że jakikolwiek poczęstunek jest zbędny, ale zanim otworzył usta, Marcjanna odwróciła się i pospiesznie powędrowała w kierunku kuchni.

– Ta podłoga ma błyszczeć! – rzuciła tymczasem gospodyni, łypiąc spod oka na Franię, która znowu przerwała pracę. – Zapraszam panów – dodała uprzejmie.

Podążyli za nią do przestronnej jadalni, w której też dało się zauważyć przygotowania do wieczornego balu; dywany leżały zwinięte pod ścianą, a bibeloty i inne drobiazgi zostały pozbierane z komód i półek. Tylko meble stały jeszcze na swoich miejscach, a podłoga czekała na woskowanie. Jednak nawet w takim stanie pokój prezentował się elegancko i Jerzemu coraz bardziej podobało się w tym mieszkaniu.

– Proszę, niech panowie siadają.

Ledwie zajęli miejsca przy stole do pokoju weszła Marcjanna, pchając przed sobą mały wózek, na którym stał samowar, cukiernica wypełniona rąbanym cukrem, piętrowa patera z ciasteczkami, szklanki, talerzy i sztucce. Pokojówka ustawiła wszystko na stole, a potem wyszła odprowadzana czujnym spojrzeniem chlebobawczyni.

– Napiją się panowie herbaty? – Pani Mielczarska przeniosła wzrok na gości.

– Poproszę – odezwał się Jerzy, któremu wstyd było odmówić. Aleksander poszedł w jego ślady.

Kiedy herbata została zaparzona i posłodzona, Szuster postanowił nie marnować czasu i przejść do rzeczy.

– Słyszałem, że była pani przyjaciółką zmarłej Józefiny Majerowej.

– Przyjaciółką? – prychnęła gospodyni. – To zbyt wiele powiedziane. Znałyśmy się od kilkunastu lat i spotykałyśmy dosyć często.

– U kogo?

– U mnie. U niej. U Stefanii Zagórskiej, u Salci Pytłasińskiej, Rozalii Reuttowej... w kilku innych domach.

– A w jaki sposób poznały się panie? – zainteresował się Woronin.

– Nie pamiętam... to było tak dawno – zamyśliła się pani Maryla. – Ach, no tak. Mój mąż, zanim na dobre zajął się handlem, był studentem profesora Majera. Potem też utrzymywali ze sobą kontakt i tak nawiązałyśmy znajomość.

– Czy pani Józefina miała wrogów? – Szuster ponownie przejął pałeczkę.

Mielczarska zamyśliła się głęboko i zanim zdążyła coś sobie przypomnieć, do pokoju znowu zajrzała Marcjanna i oświadczyła:

– Przywieźli ciasta od Semandiniego, proszę pani.

– Na razie niech postawią w moim pokoju – poleciła jej szybko gospodyni, a kiedy pokojówka wyszła, spojrzała na Szustra nieprzytomnym wzrokiem.

– O co pan pytał?

– Czy pani Majerowa miała wrogów?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła pospiesznie. – Oczywiście o takich prawdziwych. Zrozumiałe, że panie czasem złościły się na nią, kiedy napisała albo nie napisała czegoś po ich myśli. Sama się odgrażałam, że urwę jej głowę, jak spotkam.

Jerzy i Aleksander wymienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia, właściwie jedną kwestię mieli już z głowy.

– Jakies dwa tygodnie temu napisała – kontynuowała tymczasem pani Maryla – że moja Antosia na balu u Wioślarzy nosiła zbyt wydekoltowaną toaletę. A to wcale nieprawda, gdyż...

Drzwi do jadalni otworzyły się po raz kolejny.

– Proszę pani – zaczęła Marcjanna – przyszedł mistrz Eustachy i mówi...

– Zaprowadź go do panienek, a ja zaraz przyjdę i wybierzemy uczesania, tylko...

– Spojrzała ze westchnieniem na gości. – Panowie wybaczą, ale przez ten dzisiejszy bal naprawdę mam urwanie głowy.

– Nie będziemy pani dłużej zatrzymywać – powiedział Jerzy, który zrozumiał, że w takich warunkach nie zdołają dowiedzieć się niczego ważnego. – Niewykluczone jednak, że będziemy chcieli spotkać się raz jeszcze.

– Doskonale rozumiem – odparła gospodyni z wyraźną ulgą. – Proszę tylko zawiadomić mnie wcześniej, znajdę dogodny moment, a nie taki...

Wyszli na korytarz, a tam panował jeszcze większy rozgardiasz niż wcześniej. Frania zawzięcie froterowała podłogę, a na widok pani Maryli natychmiast zdwoiła wysiłki. Z pokoju panien dobiegał podniesiony męski głos; fryzjer mówił po polsku z udawanym francuskim akcentem. A tuż przy drzwiach wejściowych stała dama, która niewątpliwie przekroczyła już sześćdziesiątkę, ale – jak świadczył jej barwny i ekstrawagancki strój – była nadal w pretensjach.

– O, mamusia – ucieszyła się nieszczercze gospodyni. – Przyszła mamusia pomóc?

– Myślałam, że wszystko zrobione, a tu taki bałagan. – Dama, mrużąc oczy, rozejrzała się po wnętrzu z dezaprobatą. – Gdyby mój biedny syn to widział... Szkoda, że nie można wrócić do przeszłości. A panowie to kto? – Zatrzymała wreszcie wzrok na urzędnikach.

– Panowie właśnie wychodzą.

Starsza pani Mielczarska jeszcze przez chwilę świdrowała ich wzrokiem, a potem znowu zwróciła się do synowej:

– Słyszałam, że zamówiłaś mistrza Eustachego?

– Jest u dziewczynek – odparła ponuro pani Maryla.

– W takim razie zajrzę tam, to może i dla mnie znajdzie chwilkę.

Kiedy świekra ruszyła w stronę pokoju panienek, gospodyni odetchnęła z ulgą i powiedziała:

– Widzą panowie, co tu się wyprawia. Uprzejmie proszę zapowiedzieć się następnym razem.

– To my prosimy o wybaczenie. – Woronin uśmiechnął się do niej pocieszająco.

– Na przyszłość będziemy pamiętać.

Już mieli wyjść na klatkę schodową, kiedy Mielczarska nerwowo rzuciła:

– Proszę zaczekać! Ja... nie wiem, czy to ważne, ale coś właśnie przyszło mi do głowy. O Józefinie.

– Proszę mówić. – Szuster spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Otóż ona... – zaczęła niepewnie dama. – Nigdy nie opowiadała o swoim pierwszym mężu... W ogóle nie mówiła o przeszłości. Nawet kiedy pytałyśmy



wprost, zbywała nas. Dlatego mam... miałam wrażenie, że chciała zapomnieć o tym, co było.

## 2.

Drzwi do mieszkania otworzyła pokojówka Kazia, pulchna dziewczyna z dołeczkami w policzkach i grubymi rudawymi warkoczami. Woronin zdążył dowiedzieć się, że to najstarsza wnuczka Agaty Pietrowny; szczerze mówiąc, sam nie wpadłby na to, ponieważ dziewczyna nic a nic nie przypominała babki.

– O, to pan – przywitała go z pewnym zdziwieniem, ale pogodnym tonem.

– Czy zastałem panią Burzyńską? – Wyjątkowo nie lubił wymawiać tego nazwiska.

– Tak. Zaraz powiem, że pan przyszedł. – Wpuściła go do środka. – Pomóc panu zdjąć płaszcz?

– Sam sobie poradzę. – Uśmiechnął się do pokojówki. – Proszę zapytać panią, czy mnie przyjmie.

Dziewczyna kiwnęła głową i udała się na poszukiwanie chlebodawczyni, a Woronin zdjął szynel i odwiesił go do szafy razem z szalikiem i czapką. Ostrożnie podniósł rękę, która pobolevała go od rana i przeczesał palcami zmierzwione włosy.

Pomysł, aby o pomoc w kwestii felietonów Majerowej zwrócić się akurat do Leontyny, która nie tylko znała warszawskie towarzystwo, ale była też bystra i godna zaufania, spodobał się nie tylko jemu, ale także Szustrowi. Liczył, że dawna ukochana wyrazi zgodę: wtedy byłby absolutnie pewny, że zadanie zostanie wykonane najlepiej jak to możliwe. Do tego miałby pretekst, aby widywać ją częściej.

„Święta Przeczysta, co też roi mi się w głupim łbie?!” – skarcił natychmiast sam siebie.

– Praca – powiedział półgłosem. – Chodzi tylko o pracę.

Gdyby było inaczej, powinien użyć resztek rozsądku i natychmiast uciec stąd jak najdalej.

– Dzień dobry. – W holu pojawiła się Leontyna chyba nieco zmieszana jego widokiem. – Miło mi, że pan przyszedł. – Kiedy już podeszła bliżej, podała mu rękę, którą on natychmiast uniósł do ust.

Wyglądała tak ładnie, że nie mógł oderwać od niej wzroku: miała na sobie skromną ciemną suknię, ale elegancka fryzura kazała domyślać się, że dama niedługo dokądś wychodzi.

Zaprosiła go do niewielkiego pokoju, którego wygodne urządzenie, a także porozkładane wszędzie książki i gazety wskazywały, że zapewne jest to ulubione miejsce gospodyni.

– Proszę usiąść. – Uprzejmym gestem wskazała krzesło.

Chyba dostrzegła jego nadmierne zainteresowanie, ponieważ starała się nie patrzeć mu w twarz. Znowu powtórzył w myślach, że powinien uważać, zachowywać się grzecznie, ale oficjalnie; w końcu nie przyszedł do Leontyny w konkury ani nawet z wizytą towarzyską.

– Napije się pan herbaty?

– Dziękuję bardzo. Niedawno piłem.

Siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu. Aleksander nie wiedział, od czego zacząć rozmowę, gdyż – wbrew gromom rzucanym nieustannie na samego siebie – chciałby jej powiedzieć tyle rzeczy, w ogóle niezwiązanych z celem wizyty. A Leontyna najwyraźniej liczyła, że to on rozpocznie konwersację.

– Chciałbym prosić panią o pomoc w śledztwie – powiedział wreszcie, starając się, aby jego głos brzmiał jak najbardziej profesjonalnie. Z marnym skutkiem.

– Mnie? – Wyglądała na szczerze zdziwioną. – Nie znam się na śledztwach.

– Nie powinna być pani taka skromna. – Nie wytrzymał i uśmiechnął się do niej.

– Co prawda, od czasu, kiedy udowodniła pani moją niewinność, minęło kilka lat, ale tego się nie zapomina.

– Skoro pan tak twierdzi. – Odruchowo odwzajemniła uśmiech, ale zaraz spoważniała. Zapewne nie chciała spoufalać się z nim, a może bała się tak samo jako on. – Co powinnam zrobić?

– Czytywała pani felietony nieboszczki Majerowej?

– Niestety – wetchnęła, rozkładając ręce – nie miałam okazji ani czasu.

– A czy w takim razie, zgodziłaby się pani przeczytać je teraz? Tak, powiedzmy, dwa lata wstecz?

– Mogę to zrobić, jeśli dostarczy mi pan zaległe numery „Kuriera” – odparła bez namysłu. – Czego mam w nich szukać? – Znowu się uśmiechnęła. Loki, wysuwające się z misternego uczesania, wiły się wokół jej twarzy; miał ochotę dotknąć któregoś z nich, nawinąć na palec, poczuć lekką woń rumianku, którym zawsze pachniały jej włosy. Oczywiście nie mógł tego zrobić, za to uświadomił sobie, że zbyt wiele razem przeżyli, aby zachowywać się jak obcy sobie ludzie.

– Widzi pani – z udawaną bezradnością rozłożył ręce – problem tkwi w tym, że właściwie nie mam pojęcia. Wiem tyle, że zna pani warszawską socjetę lepiej niż ja i Szuster razem wzięci, więc może zauważy pani w tych felietonach coś dziwnego albo niepokojącego. Niepasującego do reszty...

– Nie było mnie w Warszawie przez kilka lat – odparła z namysłem. – Spróbuję jednak, najwyżej kogoś dopytam.

Rozległo się ciche pukanie i do pokoju wsunęła się wyraźnie speszona pokojówka; gdyby tak dobrze nie znał Leontyny, pomyślałby, że dziewczyna boi się jej.

– Co się stało, Kaziu? Coś z Joasią?

– Nie. – Dziewczyna gorliwie pokręciła głową. – Tylko, proszę pani, ta niebieska suknia, co kazała mi pani uprasować ma w falbanie taką dziurę, że kot by przelazł. Co zrobić? Martwię się, że nie zdążę zaszyć.

– W takim razie uprasuj tę zielonkawą na ciemnym spodzie – poleciła z westchnieniem Leontyna. – Też się nada.

– Dobrze, proszę pani. – Pokojówka wycofała się pospiesznie i zamknęła za sobą drzwi.

– Wybiera się pani dokądś? – zapytał Aleksander, chcąc za wszelką cenę podtrzymać rozmowę.

– Idę wieczorem na bal do pani Mielczarskiej – odparła bez entuzjazmu.

– W takim razie przepraszam, że ośmieliłem się zająć czas.

– Najgorsze mam za sobą. – Jakby od niechcienia wskazała na swą kunsztowną fryzurę. – Z resztą sobie poradzę. A nawet jeśli spóźnię się trochę, nikt nie zwróci uwagi. Nie jestem panną na wydaniu. W ogóle to nieszczególnie mam ochotę tam iść.

– Proszę zostać w domu – zaproponował z uśmiechem. – Może nikt nie zauważy.

– Och, to nie takie proste – westchnęła z rezygnacją. – Matka uważa, że muszę uczyć się, jak skutecznie szukać pannom mężów.

– Pani córka chyba jest za młoda na małżeństwo? – zapytał, czując, że znika całe skrępowanie; nic porozumienia, która zawiązała się między nimi dawno temu, wcale nie została zerwana.

– Moja matka ma dwie pasierbice i jest przeszczęśliwa, że może wprowadzać je w świat. Zwłaszcza że są posłuszniejsze niż ja i Helena. – Nagle zamilkła i spuściła głowę. Chyba uznała, że rozmowa zaczyna zbaczać na zbyt osobiste tematy.

Milczeli. Aleksander zastanawiał się intensywnie, co powiedzieć, aby nie wyjść na gbura albo natręta. Tym razem Leontyna wybawiła ich z opresji:

– Przeczytam dokładnie te felietony. Jeśli zawierają coś, co może rzucić światło na śmierć pani Józefiny, znajdę to.

– Wiem.

Chyba zaintrygowało ją coś w brzmieniu jego głosu, ponieważ spojrzała mu w twarz i przez czas jakiś wpatrywała się w nią, jakby chciała coś z niej wyczytać. Zamrugał, ale nie odwracał wzroku. Znowu poczuł, że chciałby jej tyle powiedzieć. O samotności. O tęsknocie. O braku nadziei. Zdobył się jednak tylko na zdawkowe słowa:

– Na mnie pora.

Zanim podniósł się z krzesła, drzwi zamasyżycie otworzyły się na całą szerokość i do pokoju, bez zawracania sobie głowy pukaniem, wkroczyła Agata Pietrowna z wielką drewnianą chochlą w dłoni.

– Nie ma mowy – oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Nie ruszy się Oleś stąd bez obiadu! Pani zamiaruje wypuścić go na głodniaka? – Łypnęła podejrzliwie na Leontynę. – Toż do wieczora będzie jak, nie przymierzając, mortusiak jakiś z pustym badziuchem latał. Niech mnie pani wywali na zbite gębę, ale na to nie pozwolę!

Aleksander i Leontyna zerknęli na siebie ukradkiem, z trudem zachowując powagę.

### 3.

Już na klatce schodowej było słyszeć łagodną muzykę – bez najmniejszych wątpliwości, pani Mielczarska wykosztowała się na najlepszy kwartet skrzypcowy – i podniesione głosy dochodzące z mieszkania na pierwszym piętrze.

Leontyna, wspierając się na ramieniu ojczyma, który zgodnie z wcześniejszą umową przyjechał, aby zawieźć ją na bal, uważnie pokonywała schody, starając się nie nadepnąć na falbanę sukni.

Wyszykowała się starannie na ten wieczór, chcąc uniknąć niezadowolenia matki, ale najchętniej zostałaaby w domu. Tym bardziej że nie spodziewała się, aby prywatna zabawa u Mielczarskich sprawiła jej większą przyjemność niż niezapowiedziana wizyta Woronina.

Po raz kolejny przekonała się, że to jedyny ze znanych jej mężczyzn, włączając w to zmarłego męża, przy którym czuje się naprawdę swobodnie. Siedział dziś przy jej stole, a do niej powoli docierało, że przyjęła to jako coś naturalnego. Wniebowzięta Agata sama przynosiła dania z kuchni, co było wydarzeniem bez precedensu, zaś Aleksander wychwalał potrawy za każdym razem, kiedy tylko pojawiła się na horyzoncie, a kiedy wychodziła, przekomarzał się z Joasią. Na nią zaś spoglądał częściej niż wypadało.

Leontyna zrozumiała, że mimo upływu lat i tego, że oboje starali się zapomnieć o przeszłości, nie byli obcymi sobie ludźmi.

Westchnęła ciężko.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się natychmiast wuj.

– Tak. – Pokiwała głową. – Miałam po prostu długi dzień.

„A teraz czeka mnie jeszcze trudny wieczór” – dodała w myślach, gdyż nie śmiałyby wyrazić tego głośno.

Drzwi mieszkania Mielczarskich były uchylone, więc bez pukania weszli do przedpokoju, gdzie przywitał ich lokaj wyprostowany niczym struna, a po chwili pojawiła się zaaferowana gospodyni. Wymiana kurtuazyjnych uprzejmości trwała kilka minut, ponieważ trudno było im przekrzyczeć gwar głosów gości i melodię walca; na zakończenie pani Maryla wskazała im drzwi do dwóch różnych pokoi i powiedziała:

– Proszę, niech państwo zostawią okrycia.

Weszła do eleganckiej sypialni pani domu, która na tę noc została przerobiona na garderobę dla dam. Znajdowało się tam wszystko, czego tylko kobieta mogła potrzebować, aby poprawić urodę lub uratować zniszczoną w tańcu kreację: szpilki, igły ponawlekane niciami różnych kolorów, guziczki do rękawiczek, sznurowadła, kwiaty żywe i sztuczne, a nawet szminka i puder. Młoda służąca dygnęła grzecznie na jej widok, a potem pomogła zdjąć etolę, odwiesiła ją do szafy i czekała na dalsze polecenia.

Leontyna przejrzała się w lustrze; na twarzy miała rumieńce od mrozu, ale one zaraz zbledną. Najważniejsze, że misterna fryzura trzymała się doskonale; nie przepadała za tak wymyślnymi uczesaniem, ale w karnawale należało złożyć kilka ofiar na ołtarzu elegancji. Zielona suknia leżała na niej nadspodziewanie dobrze, może nawet lepiej niż niebieska, którą wybrała na początku.

– Pięknie pani wygląda – powiedziała pokojówka, ale natychmiast się speszyła. – Przepraszam. Moja pani mówi, że ma mnie widzieć, a nie słyszeć.

– Nie szkodzi – uśmiechnęła się Leontyna. – I dziękuję.

Wyszła na korytarz i ruszyła w stronę salonu, z którego nadal dochodziła melodia walca i wesołe pokrzykiwania wodzireja, który wydawał danserom taneczne komendy.

W powietrzu unosił się zapach octu salonowego skutecznie zabijającego mniej przyjemne wonie. Na ścianach i futrynach wisiały niezliczone ozdoby ze sztucznych kwiatów, które – co do jednego – wyglądały jak żywe, musiały więc pochodzić z pracowni panny Siwińskiej na Nowym Świecie. Lampy płonęły jasno i równo, i nic nigdzie nie kopcilo, więc nafta też była doskonała, zapewne „cesarskiego” gatunku. Nikogo nie dziwiła ta rozrzutność, ponieważ pani Mielczarska była bardzo bogatą wdową i nie zamierzała żałować funduszy, aby jak najlepiej wydać za mąż swoje dwie urocze córki.

Po mieszkaniu kręciło się mnóstwo gości, wśród których przeważali młodzi mężczyźni. Cóż, naczelna zasada urządzania przyjęć w karnawale głosiła, że zabawa może udać się tylko wtedy, gdy zaprosi się dwa razy więcej tancerzy niż tancerek.

Leontyna minęła jeszcze pomieszczenie zamienione w elegancki bufet i w progu salonu natychmiast natknęła się na matkę i ojczyma. Skoro rodzicielka

opuściła swoje miejsce pod ścianą, należało przypuszczać, że Krysia walcuje w najlepsze z jakimś porządnym młodym człowiekiem.

– Spóźniłaś się – upomniała ją matka, a potem wzięła oddech i już miała wygłosić swą zwykłą opinię na temat zachowania córki, ale ubiegł ją mąż, który podkreślił węża i oświadczył z uśmiechem:

– Uważam, Amelciu, że powinniśmy zatańczyć. Taki piękny walc.

Zanim połowica zdążyła zaprotestować, pociągnął ją na parkiet. Nie opierała się, nie chcąc dawać powodów do plotek, a może zwyczajnie chciała zawirować w tańcu, przecież zawsze to lubiła. Dla odmiany ojciec zawsze lekceważąco wypowiadał się o balach i zaciągnięcie go na jakiś graniczyło wręcz z cudem. A kiedy już tam dotarł, sterczał pod ścianą i rozglądał się po sali z miną cierpiętnika. Wyglądało na to, że Leontyna przejęła sporo z jego nastawienia.

Matka i ojczym byli nader dobraną parą i wyglądali razem wspaniale. Pani Amelia tańczyła z taką lekkością, że trudno było oderwać od niej wzrok. Córka pomyślała, że gdyby miała tyle wdzięku, co ona, to zabawy być może sprawiałaby jej więcej przyjemności.

Zaczęła się kolejna tura. Wuj nie pozwolił żonie zejść z parkietu, więc ona, kierowana poczuciem odpowiedzialności, poszukała wzrokiem Krysi. Dziewczyna wraz ze swoim tancerzem stała nieopodal okna, tuż przy rzędzie krzeseł, gorączkowo rozglądając się w poszukiwaniu opiekunki. Leontyna podeszła do niej bez zwłoki, mając nadzieję, że żadna z plotkarek nie zauważyła tej sceny. Danser uklonił się uprzejmie, podziękował i odszedł, ale zanim Krysia rozłożyła wachlarz, jak spod ziemi wyrósł następny kandydat do tańca. Leontyna natychmiast rozpoznała Janka Zagórskiego, młodszego brata swojej przyjaciółki Emilii. Krysia, udając obojętność, zerknęła do karnetu, a potem podała mu rękę.

Odprowadziła ich wzrokiem. Krysia w zwiewnej sukni w kolorze kości słoniowej, o wiele lepiej podkreślającym jej ciepłą karnację i brązowe włosy niż biel, wyglądała skromnie i bardzo ładnie. Janek, którego pamiętała doskonale jako psotnego chłopca, z którym nikt, oprócz jego matki, nie potrafił sobie poradzić, wyrósł na przystojnego kawalera; szybko policzyła i wyszło jej, że młody Zagórski skończył już dwadzieścia cztery lata. Leontyna nagle poczuła się stara.

– Liczę, że zaszczyci mnie pani tańcem?

Odwróciła głowę i dostrzegła pana Wacława Bogusza, ojca Gabrysi, jednej z poznanych w tym sezonie koleżanek Krystyny. Pan Bogusz miał tak doskonałe maniery, że chwilami ją peszył i choć był mniej więcej rówieśnikiem zmarłego ojca, ewidentnie rozglądał się nie tylko za odpowiednim zięciem, ale i za sporo młodszą od siebie drugą żoną. Zdaniem Leontyny nie przemawiało to na jego korzyść, ale nie miała powodu odmówić mu tańca, a robić afrontu nie chciała.

– Z przyjemnością. – Uśmiechnęła się uprzejmie i podała mu rękę.

Poprowadził ją na parkiet w miejsce, gdzie panował najmniejszy ścisk i już po chwili wirowali w rytm walca. Leontyna musiała przyznać, że pan Bogusz jest bardzo dobrym tancerzem: jak to zwykł mawiać wuj Witold – stara szkoła, jeszcze sprzed powstania.

– Nie widziałem pani na balu u Bronikowskich – rozpoczął konwersację. – Tym bardziej cieszę się, że pojawiła się pani dzisiaj. W tym mieszkaniu od razu zrobiło się jaśniej. – Rzucił jej znaczące spojrzenie, które nie spodobało się jej wcale. Nie wątpiła też, że Bogusz zna prawdziwy powód nieobecności, którym był wstrząs wywołany znalezieniem ciała pani Józefiny.

– Czasem trzeba zostać w domu – odparła cicho.

– Liczę, że nic więcej już pani nie zatrzyma. Nie po to przyjechałem tu spod Białegostoku, aby nie spotykać największej ozdoby salonów.

Nie lubiła znaczących spojrzeń rzuconych przez obcych mężczyzn i miałych rozmów o niczym, ale niestety były one nieodłącznym elementem życia towarzyskiego, więc musiała podporządkować się regułom i jakoś je znosić.

Tańczyli, wymieniając kolejne zdawkowe opinie, głównie na temat starań gospodyni, która uwijała się niczym pszczoła, aby goście mieli wszystko, co potrzeba: sprawdzała między innymi, czy zbyt wiele panien nie podpira ścian i podsylała im opierających się nieraz danserów.

Wreszcie walc dobiegł końca i wodzirej dał hasło, aby pary ustawiły się do kontredansa. Pan Bogusz spojrział na nią pytająco, ale pokręciła głową; gdyby poświęciła mu zbyt wiele czasu, natychmiast zaczęłyby się plotki. Odprowadził ją więc do matki, która akurat zawzięcie tłumaczyła coś zdenerwowanej Krysi.

– Bardzo dziękuję. – Ukłonił się jeszcze raz i pocałował ją w rękę.

Usiadła na kanapie obok rodzicielki i aby zająć się czymkolwiek, rozłożyła wachlarz i zaczęła się wachlować. Liczyła na chwilę spokoju, ale pomyliła się



znowu.

– Bogusz jest wart prawie trzysta tysięcy rubli – poinformowała ją niezwłocznie Amelia. – Córka ma ponoć dostać sto tysięcy posagu. Nic dziwnego, że nie może opędzić się od konkurentów. – Przyglądała się przez jakiś czas Gabrysi płaszącej radośnie z młodzieńcem, którego żadna z nich nie знаła. – Gdybyś go poślubiła, nie zabrakłoby ci niczego do końca życia.

– Wystarczy mi tego, co mam. Nie zamierzam wychodzić za mężczyznę, który mógłby być moim ojcem.

Matka łypnęła na nią podejrzliwie, więc Leontyna, nie chcąc wdawać się w dyskusję, w której i tak znajdowała się na z góry straconej pozycji, wstała z otomany.

– Mama wybaczy, muszę napić się czegoś zimnego.

Zanim rodzicielka zdążyła poinformować ją, że najlepiej byłoby, gdyby posłała do bufetu któregoś z mężczyzn, ruszyła w stronę holu; na szczęście jako wdowa nie musiała trzymać się rygorystycznie etykiety. Kiedy opuściła już salon, rozejrzała się ostrożnie, nigdzie nie było widać Bogusza.

Bufet urządzony w bibliotece przedstawiał się imponująco. Na kilku długich, połączonych ze sobą stołach stały niezliczone tace z przekąskami, na paterach piętrzyły się owoce w cukrze, pączki, pomadki i najróżniejsze drobne ciasteczka. Nad wszystkim zaś górowały torty ozdobione karmelowymi piramidami. Nie brakowało cytrusów i innych owoców, a także dzbanków z napojami: była tam lemoniada, a także oranżada, orszada oraz kruszon z białego wina. Porozstawiano też butelki z różnymi nalewkami.

Poprosiła służącą o szklaneczkę lemoniady i ledwo zanurzyła usta w słodkim napoju, dwie damy, stojące tyłem do niej i wymieniające uwagi, których z racji głośnej muzyki nie usłyszała, odwróciły się jak na komendę. Leontyna natychmiast rozpoznała panią Ludwinę Mielczarską, świekrę gospodyni oraz profesorową Salomeę Pytłasińską, siostrę doktora Siemaszki, za którego ciotka Oktawia chciała wydać ją za mąż już ze dwa razy.

– Pani Leontyna! – ucieszyła się Mielczarska na jej widok; dama skończyła już sześćdziesiąt lat, ale jej strój i zalotna fryzura, a szczególnie podejrzany brak jakiegokolwiek siwizny, świadczyły o tym, że nie zamierza przyjąć tego faktu do wiadomości. Co ciekawe, przybrana koronkami suknia z zielonej tafty, zbyt

ozdobna i barwna jak dla damy mającej wnuczki na wydaniu, dziwnym sposobem, pasowała do niej. Inna sprawa, że pani Ludwina miała w towarzystwie tak wysoką pozycję, że mogła pozwolić sobie na lekceważenie konwenansów, w końcu nikt nie ośmieliłby się robić jej uwag.

– Dobry wieczór. – Skłoniła się uprzejmie.

– Cieszę się, że panią widzę. Rozmawialiśmy właśnie z Salomeą o śmierci nieszczęsnej Majerowej. Podobno to pani ją znalazła? – Oczy starszej damy błyszczały ciekawością.

Leontyna w pierwszym momencie chciała rzucić coś zdawkowo, ale szybko uświadomiła sobie, że jeśli pociągnie rozmówczynię za język, być może dowie się czegoś interesującego na temat wyjątkowo skrytej pani Józefiny. Zwłaszcza że obie damy powinny pamiętać jej młodość.

– Niestety, to prawda. – Westchnęła. – Nie wyobrażają sobie panie, jak straszne było to przeżycie. Śni mi się po nocach do tej pory.

– Podobno ktoś rozbił jej głowę butelką? – dopytała pospiesznie Pytłasińska. Siwawa, ubrana w elegancką popielatą suknię, na pierwszy rzut oka wydawała się starsza od koleżanki.

– Okropna śmierć – powiedziała, zastanawiając się gorączkowo, w jaki sposób skierować rozmowę na przeszłość Majerowej. – Podobno wciąż nie wiadomo, czy zabito ją przez przypadek, czy jednak z premedytacją – dodała, zawieszając głos.

– Przypadek? – Pani Salomea zmrużyła powieki. – Nie sądzę.

– Dlaczego pani tak uważa? – zapytała niby od niechcienia.

– Majerowa miała ponoć na sumieniu to i owo – kontynuowała Pytłasińska tonem osoby dobrze poinformowanej. – A jak mawiają, stare grzechy rzucają długie cienie.

– A ja o niczym nie wiem, choć z reguły jestem dobrze poinformowana. – Mielczarska spojrzała na koleżankę z przyganą.

– Pamiętam, że coś było – upierała się jej rozmówczyni.

– Głupstwa opowiadasz, moja droga.

– A czy ktoś mógłby... – zaczęła Leontyna. Bardzo chciała dowiedzieć się przynajmniej, z kim powinna porozmawiać. Nie zdążyła jednak zadać pytania, gdyż pani Salomea najwyraźniej poczuła się przywołana do porządku i zmieniła temat:

– Szkoda tego pani męża... Taki młody człowiek. Ale skoro musiał umrzeć, dobrze, że wróciła pani z Odessy. Mój brat ogromnie się ucieszy. Bo, proszę sobie imaginować, pół roku temu pochował szóstą żonę.

Leontyna jęknęła w duchu.

# ROZDZIAŁ VII

## I.

Woronin pomyślał, że gdyby mieli przesłuchiwać świadków tylko w te dni, kiedy nie odbywają się żadne bale, musieliby przełożyć śledztwo na czas wielkiego postu.

Poprzedniego dnia ustalili z Szustrem, że nadeszła odpowiednia pora, aby popracować osobno; Jerzy zamierzał porozmawiać z redaktorem naczelnym „Kuriera Porannego”, zaś Aleksander z samego rana wezwał kilku najbystrzejszych agentów i polecił im zebrać jak najwięcej informacji o Józefinie Majerowej oraz jej synu. Miał nadzieję, że wypłynie wreszcie coś, czego będą mogli się uchwycić, bo na razie śledztwo przypominało rozkopany poligon. A to złościło Jerzego, który wyraźnie miał ochotę jak najszybciej osiągnąć sukces.

Aleksander, dla odmiany, starał się podchodzić do tematu ze stoickim spokojem; pamiętał dewizę sędziego Mironowa, która głosiła, że jak człowiek rozgląda się uważnie i bez pośpiechu, w końcu wypatrzy, co trzeba. Śledztwo, zwłaszcza w sprawie morderstwa, to nie były zawody na czas.

Kiedy pokończył wszystkie zadania zaplanowane na ten dzień, dochodziło południe, a więc pora, kiedy powinien udać się do redaktorowej Zagórskiej. Nie chcąc ryzykować powitania takiego jak u Mielczarskich, uprzedził gospodynię o planowanej wizycie; z jej mężem Szuster umówił się na następny dzień w sądzie.

Ulica grafa Berga nie była daleko i Aleksander chętnie udałby się tam spacerem przez Ogród Saski, ale czas naglił. Wyszedł z budynku urzędu śledczego i wzdrygnął się z zimna, nacisnął czapkę na uszy, włożył rękawiczki i ruszył Daniłowiczowską w kierunku Senatorskiej. Kiedy znalazł się już w okolicach wejścia do Ratusza, skinął na pierwszą wolną dorożkę.

Wcisnął się w kąt budy i przykrył pledem, starając się ochronić przed zimnem. Fiakier ruszył, a on wrócił myślami do wczorajszej wizyty u Leontyny.

Coraz wyraźniej docierało do niego, że oszukuje sam siebie, upierając się, że ta kobieta wcale go nie obchodzi. Obchodziła, i to bardzo. Wczorajszy obiad... Początkowo był trochę zły na Agatę Pietrowną, ale szybko mu przeszło. Dawno nie spędził czasu tak miło. Dawno nie czuł się tak spokojnie i swobodnie.

Może więc spróbować jeszcze raz?

Oboje byli wolni, a ona, jako wdowa, miała więcej swobody niż za panieńskich lat. Nie musiała słuchać matki. Może więc istniała jeszcze dla nich jakaś szansa?

Dojechali. Aleksander, spoglądając na mijający dorożkę oddział kozacki, wyciągnął z kieszeni garść kopiejek i nie licząc ich, podał woźnicy.

Mieszkanie Zagórskich mieściło się na pierwszym piętrze, ale w tylnej oficynie. Nie zdążył nawet zapukać, kiedy drzwi otworzyły się prawie na oścież i stanął w nich wysoki młody człowiek o sympatycznej twarzy i kędzierzawych czarnych włosach. Spojrzał na przybysza z zaskoczeniem.

– Aleksander Nikitycz Woronin, komisarz policji śledczej.

– Jan Zagórski – przedstawił się młodzieniec, a następnie odsunął się, aby wypuścić go do środka. – Pan przyszedł do mamy? – W głębi korytarza stała przystojna brunetka w średnim wieku; wyraz jej twarzy świadczył o tym, że wcale nie ma ochoty z nim rozmawiać. – Przepraszam, ale bardzo się spieszę. – Ostatnie zdanie młody Zagórski wypowiedział już na schodach.

Woronin spojrzał wyczekująco na gospodynię, która przyglądała mu się bez słowa, wreszcie – chyba doszła do wniosku, że skoro przyszedł, to raczej się go nie pozbędzie – wskazała mu gestem wejście do pokoju. Sporego, lśniącego czystością i urządzonego bardzo starannie, ale bez żadnych ekstrawagancji, drogich sprzętów czy ozdób; jedyną rzeczą, która przykuwała uwagę, był sporych rozmiarów obraz przedstawiający jakąś szarżę kawaleryjską z czasów wojen napoleońskich.

Pani Zagórska odsunęła od stołu jedno z krzeseł, a następnie podeszła do samowara, nalała herbaty tylko do jednej szklanki i postawiła przed nim. Wciąż zaciskała usta.

Zrozumiał, co się dzieje – oczywiście to samo, co zwykle. Redaktor Zagórski, pracując w gazecie i obracając się w różnych kręgach, musiał posługiwać się rosyjskim, ale jego żona nie miała takiego zamiaru. Przyjęła w swoim domu rosyjskiego urzędnika, ponieważ nie mogła odmówić, ale nie zamierzała składać

zeznań w języku najeźdźcy. Zapewne spodziewała się, że Woronin – skoro zjawił się bez tłumacza – zniechęci się i zrezygnuje z zadawania pytań.

– Jeśli ma pani życzenie, będziemy rozmawiać po polsku – zaproponował spokojnie, słodząc herbatę konfiturami.

– Pan jest Polakiem? – Zagórska ze zdumienia natychmiast odzyskała mowę.

– Nie, Rosjaninem. Z Moskwy.

– I mówi pan po polsku? Pierwsze słyszę, żeby Moskal... – urwała.

– Jak widać, to przydatna umiejętność – odparł, udając, że nie usłyszał ostatniego zdania.

Redaktorowa prychnęła i cicho burknęła coś pod nosem.

– Nie powinnam była wpuszczać pana do domu – powiedziała już głośniej. – To skandal, że policja nachodzi uczciwych ludzi.

– Skandal byłby wtedy, gdybym przysłał stójkowych z rozkazem doprowadzenia pani na Daniłowiczowską.

– Rozumiem, że mam cieszyć się z pańskiej wizyty? – zapytała z przekąsem.

– Aż tyle nie wymagam. Wystarczy, że odpowie pani na kilka pytań dotyczących Józefiny Majerowej.

– Ale dlaczego interesują pana moje opinie? To mąż pracował z Józefiną w jednej redakcji, a nie ja.

– Pan Zagórski jutro porozmawia z sędzią śledczym – poinformował ją szybko. – A ja słyszałem, że pani przyjaźniła się z nieboszczką.

– Skoro tak pan słyszał, proszę pytać. Tylko konkretnie, bo nie mam czasu.

Słyszając takie dictum, Woronin natychmiast przeszedł do rzeczy:

– Czy była pani na balu w Resursie?

– Wszyscy byli. I nikt nie spodziewał się takiej tragedii.

– Czy zauważyła pani coś niepokojącego? Albo niezwykłego?

– Oprócz tego, że mój syn, zamiast panny Boguszówny, obtańcowywał pannę Osnowską, to nic takiego. Panna Boguszówna ma o wiele większy posag. – Z tonu jej głosu Aleksander wywnioskował, że gospodyni nie mówi poważnie.

– Długo panie się znały?

– Od jakichś dziewięciu lat... to znaczy, od kiedy mój mąż zaczął pracować w „Kurierze Porannym”. Przedstawił nas sobie. A że się polubiłyśmy, kontynuowałyśmy znajomość.

– A czy w trakcie balu pani Józefina coś pani mówiła? Może wspominała o jakichś swoich obawach?

– Nie. – Pani Stefania pokręciła przecząco głową. – Nie rozmawiałyśmy ze sobą prawie od miesiąca. Byłyśmy pokłócone.

– A o co, jeśli można spytać?

– Och, kłóciłyśmy się dosyć często. Głównie o wychowanie dzieci... Miałyśmy różne podejście do tego tematu. Ostatnim razem, zwróciłam jej uwagę, że pchanie trzydziestoletniego mężczyzny siłą do ołtarza to gruba przesada. Ja trzymałam swoje dzieci krótko, dopóki nie dorosły, ale nie przyszłoby mi do głowy zmuszać któreś do małżeństwa wbrew woli. Mnie też nie zmuszano i sama wybrałam sobie męża, więc niech i one tak zrobią, a potem ponoszą konsekwencje.

– I co odpowiedziała pani Majerowa? – dopytał Aleksander, którego temat rozmowy zaczynał coraz bardziej interesować.

– Że Seweryn raz ożenił się z własnej woli i zrobił piramidalne głupstwo... Nie wiem, czy pan słyszał, ale jego żona była Rosjanką. Fina nie mogła pogodzić się z tym, a po śmierci synowej nie chciała widzieć prawosławnego wnuka. Tu nawet ją rozumiem, sama nie wpuściłabym do domu takiej kobiety... Przepraszam. – Spojrzała na Woronina. – Ale chcę być szczerą.

– Nie szkodzi – mruknął. – Wiem, jakie zasady panują w Warszawie.

– Fina postanowiła sama znaleźć mu odpowiednią żonę... Szanowaną, z dobrej rodziny. I umyśliła zeswatać go z Leontyną Burzyńską, z domu Rapacką. Żadna ze stron nie była zainteresowana tym mariażem, ale ona uparła się jak oślica.

– U Rapackich w rodzinie był skandal – rzucił mimochodem.

– Mówi pan o śmierci mecenasa? – upewniła się pani Zagórska. – To było dawno temu, a sama Leontyna ma dobrą reputację. A do tego grube tysiące na koncie. Niech pan imaginuje sobie, że pożyczyła mojej córce pieniądze na studia we Francji. O to też się kłóciłyśmy, bo Fina uważała, że kobiety powinny studiować i nieustannie zwracała mi głowę, żebym pozwoliła Emilii wyjechać. Mówiła, że należy iść z postępem. Ja wołałabym, żeby poślubiła przyzwoitego człowieka i żyła, jak należy. Ale skoro obie tak się uparły, a córka kategorycznie zapowiedziała, że

nie chce za mąż, tylko na Sorbonę, uznałam, że nie będę stawiać jej w poprzek – westchnęła.

– Oczywiście.

– Poznałam upór Finy na własnej skórze. Dlatego jestem pewna, że prędzej czy później ożeniłaby syna z Burzyńską.

– Skoro panie tak się różniły poglądami, jak mogły się przyjaźnić? – Aleksander zmienił temat, gdyż wizja niedoszłego ślubu Leontyny nieco go zdenerwowała.

– Istniało wiele kwestii, w których się zgadzałyśmy – odparła pani Zagórska. – Można było na nią liczyć w potrzebie, a poza tym kiedy chciała, potrafiła być niezwykle urocza. O tym, że była bystra, chyba nie muszę panu wspominać.

– A dlaczego tak trzęsa się nad synem?

– Pochodził z jej pierwszego małżeństwa. Chyba bardzo kochała Adama, a kiedy umarł, całą miłość i uwagę przelała na syna. Tak tylko się domyślam – dodała pospiesznie.

– Wie pani, co stało się z Adamem Jedlińskim?

– Nigdy nie wspominała o nim wprost. Kiedyś zapytałam ją nawet, ale mnie zbyła.

– A kto, pani zdaniem, mógł ją zabić?

– Najprędzej Seweryn – odparła po namyśle. – Ale w afekcie. Matka naprawdę mogła wyprowadzić go z równowagi.

– Pan Jedliński ma alibi – powiedział Aleksander i już miał dodać, że zupełnie nie wygląda na kogoś, kto byłby w stanie zamordować własną matkę, ale powstrzymał się przezornie; nie na darmo przecież pouczał Szustra.

– Nie wydaje mi się, aby miała wrogów – kontynuowała gospodyni. – W artykułach nikogo nie obrażała, nie rozsiewała plotek. Opisywała tylko to, co naprawdę jej się podobało, a uwagi krytyczne były bardzo niewinne. Wiele dam, zanim zabrało się do urządzania przyjęcia, wolało się jej poradzić. A jeśli ktoś miał do niej pretensje, to raczej, że o nim nie wspomniała w artykule, niż o to, że tak zrobiła.

– Podobno krążyły jakieś plotki na jej temat?

– Jakie? Nic ostatnio nie słyszałam.

– Przed laty, kiedy wychodziła za profesora Majera.



– A to nie słyszałam tym bardziej. Fina też o niczym nie wspominała... Wie pan, ona w ogóle nie lubiła mówić o sobie, za to chętnie słuchała innych.

Aleksander pomyślał, że koniecznie musiał znaleźć kogoś, kto dobrze pamięta, co mówiono niegdyś na temat pani Józefiny – a przede wszystkim, będzie chciał mu o tym opowiedzieć.

## 2.

Jerzy spojrział na zegar – właśnie dochodziła pierwsza po południu. Gdyby uparty czasomierz chodził punktualnie, oznaczałoby to, że wezwany na przesłuchanie redaktor naczelny „Kuriera Porannego”, ma jeszcze kilka minut zapasu. Tyle że spóźniał się nieustannie, więc pan Fryze powinien tu być od dobrych siedmiu minut.

Nie znosił niepunktualności. Sam przychodził zawsze o czasie; uważał, że w ten sposób okazuje szacunek drugiej stronie i tego samego wymagał od innych. Chyba że tym innym był niepoprawny Woronin.

Wreszcie, dziesięć minut po wyznaczonej godzinie, usłyszał energiczne pukanie. Nie zdążył nawet się odezwać, gdy drzwi otworzyły się na całą szerokość i do pokoju dziarskim krokiem wmaszerował starszy mężczyzna z nieco poczochraną i siwiejącą strzechą włosów oraz tak samo nieporządną brodą.

– Feliks Fryze – rzucił przybysz, a potem, nie czekając na zaproszenie, nonszalancko rozsiadł się na krześle. Z każdego jego gestu emanowała energia. – Chciał pan rozmawiać ze mną o Józefinie Majerowej.

Szuster, który w pierwszej chwili zamierzał zganić redaktora za spóźnienie, szybko zrezygnował z tego pomysłu.

– Jerzy Szuster, sędzia śledczy – przedstawił się za to. – A to sekretarz Kulikow. – Wskazał na Grigorija Michajłowicza. – Będzie protokołował.

– Wiem, kim pan jest – odparł Fryze, mierząc go wzrokiem. – Zawsze lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia, więc zebrałem informacje tu i ówdzie – wyjaśnił po chwili. – Proszę pytać.

Pewność siebie zaprezentowana przez redaktora wprowadziła Szustera w konsternację; przez chwilę miał wrażenie, jakby zamienili się rolami, co

spowodowało, że nagle poczuł pustkę w głowie.

– Proszę opowiedzieć o pańskim związku z Józefiną Majerową. – Opanował się na tyle, aby zadać pierwsze pytanie.

– Zapewniam, że wbrew pozorom łączyła nas tylko praca zawodowa – odparł wyraźnie rozbawiony Fryze.

Jerzy pomyślał, że musi nie tylko bardziej panować nad mimiką, ale i słownictwem. Dziennikarz z każdą chwilą peszył go coraz bardziej. Pożałował nagle, że nie poprosił o pomoc Woronina, który radził sobie doskonale z takimi żartownisiami.

– Jak się poznaliście? – mruknął zniechęcony

– Zaraz po tym, jak zacząłem wydawać „Kurier”. – Fryze przestał bawić się w kotka i myszkę. – Za pośrednictwem jej męża, profesora Majera. Widzi pan, to była urocza kobieta, ale jak uparła się na coś, nie szło jej przekonać, że może być inaczej... Jeździła po głowach całej rodzinie i mąż pomyślał, że trzeba tę jej energię skierować na inne tory. A że szukałem akurat kogoś do rubryki towarzyskiej, złożyłem jej propozycję i zdołaliśmy się dogadać.

– Jaką była pracownicą?

– Słowną i punktualną. Etykietę i wszystkie te modowe wynalazki знаła doskonale, czasem pisywała o sztuce, ale już od polityki uciekała niczym diabeł od święconej wody. Miała ostre pióro, ale nie kąśliwe. Damy uwielbiały jej felietony. Wszyscy byli zadowoleni i nie mam pojęcia, komu to mogło przeszkadzać.

– A więc nie domyśla się pan, kto mógł ją zamordować?

– Postawiłbym na ducha jej męża. – Fryze uśmiechnął się tak, jakby powiedział doskonały dowcip. – Miał z nią za życia krzyż pański. Ale z tego, co wiem, nie żałował. Może się stęsknił?

– Pytam serio – najeżył się Szuster.

– Wiem, młody człowieku, że morderstwo to śmiertelnie poważna sprawa, ale czasem trzeba ciut się rozluźnić. – Redaktor nie przestawał się uśmiechać. – W moim fachu jest tak samo.

Jerzy z niedowierzaniem spojrział na rozmówcę – czyżby właśnie przed chwilą został potraktowany jak zupełny żółtodziób? I do tego jeszcze Fryze kazał mu żartować sobie z zabójstw? Miał coraz większą ochotę zakończyć to przesłuchanie.

– Czy wiadomo coś panu o pierwszym mężu pani Józefiny?

– Tyle że nazywał się Adam Jedliński... Józefina nie opowiadała o nim. Zaraz... – zastanowił się chwilę. – Raz jeden wspomniała, że straciła męża niedługo po urodzeniu dziecka i musiała radzić sobie sama.

– Podobno kiedy wychodziła za mąż za profesora, krążyły na jej temat jakieś plotki.

– Nie zbieram plotek – oświadczył Fryze urażonym tonem.

– Myślałem, że to pański zawód – odciął się wreszcie Szuster.

– Nie zbieram plotek – powtórzył Fryze, już inaczej spoglądając na przesłuchującego – na które nie mam potwierdzenia w faktach. Widzi pan, moja gazeta publikuje różne artykuły, niektóre nie mają wiele wspólnego z powagą... ale nasza główna zasada to rzetelność. Zresztą kiedy Józefina wychodziła za Majera, jeszcze jej nie znałem.

– Zna pan jej syna?

– Seweryna? Oczywiście. Bystry chłopak i porządny, ale ma bardzo niebezpieczne hobby... Jak to aptekarze i chemicy, za bardzo grzebie w różnych substancjach.

– Czy myśli pan, że młody Jedliński mógłby skrzywdzić matkę?

– Nie miał z nią lekko, ale nie sądzę, że posunąłby się do morderstwa. Wbrew pozorom, był do niej bardzo przywiązany.

– Jak układały się relacje pani Majerowej z współpracownikami?

– Na początku nie traktowali jej poważnie. Ot, znudzona dama przyszła się pobawić w dziennikarkę... Ale kiedy okazało się, że jej felietony szybko zyskują poczytność, zaczęli ją szanować.

– Czyli w redakcji nie miała wrogów?

– Nie zatrudniłem jej niczym kosztem, nie zabrała nikomu rubryki ani nie wtrącała się do pracy kolegów, więc nikt nie miał powodu, żeby jej nie lubić. Zresztą potrafiła zjednywać sobie ludzi, a kiedy chciała, była jedną z najdowcipniejszych osób, jaką miałem okazję znać. Będzie mi jej brakowało... a przede wszystkim jej felietonów. Mam już zastępstwo, ale to nie będzie to samo.

– Cóż – westchnął Szuster, nieco zawiedziony wynikiem przesłuchania. – Na dzisiaj to koniec. Dziękuję za przybycie. I gdyby przypomniał pan sobie coś ważnego, proszę skontaktować się ze mną. Właściwie będę wdzięczny za każdą informację...

Fryze zamyślił się na chwilę, a potem uniósł głowę, uśmiechnął się łobuzersko i powiedział:

– Właśnie coś mi się przypomniało... Józefina w karnawale nie nadążała z opisywaniem przyjęć, więc zaproponowałem, że zatrudnię kogoś, kto choć trochę ją odciąży. Powiedziała, że druga specjalistka od mody wejdzie do redakcji, tylko po jej trupie. Nie przejąłem się tym i zacząłem szukać... Wychodzi więc na to – dziennikarz nie przestawał się uśmiechać – że sam ją zamordowałem. Tyle że oficjalnie nie przyznam się do niczego. – Uniósł ostrzegawczo palec.

Jerzy nie skomentował tego wyznania, tylko jęknął w duchu.

### 3.

– Dzień dobry – zaczął uprzejmie Aleksander, starając się nie dać poznać po sobie zdenerwowania, które opanowało go zaraz po tym, kiedy minął bramę żółtej kamienicy na Kruczej. – Nie zmieniła się pani od naszego ostatniego spotkania.

– Witam pana – odparła Rozalia Reuttowa po francusku. – Miło to słyszeć, ale zakładam, że zapewne sprowadza pana coś innego niż chęć prawienia mi duserów. Proszę usiąść. Napije się pan herbaty?

– Nie, dziękuję bardzo. – Woronin także przerzucił się na język Dumasa i przecząco pokręcił głową. Liczba wypitych od rana herbat dawno przekroczyła jego dzienną normę. – Chciałbym porozmawiać o Józefinie Majerowej. Prowadzę śledztwo w sprawie jej śmierci.

Według wyliczeń Woronina Rozalia właśnie dobiegała czterdziestki, ale wyglądała o kilka lat młodziej i jak zwykle, uroczo.

– Biedna Fina – westchnęła, a potem uniosła do oczu chusteczkę. – Miała tyle energii... tyle planów. Nie potrafię wyobrazić sobie, że ktoś chciałby zrobić jej krzywdę.

– Pozwoli pani, że będę notował? – Rozłożył na stole kajet, a potem wyciągnął z kieszeni ołówki. – Podobno były panie zaprzyjaźnione?

– Rzeczywiście, przyjaźniłam się z Józefiną. Od jakichś sześciu lat dosyć blisko... Amelia nie była z tego zadowolona – dodała po chwili z wahaniem.

– Czemu?

– Często powtarzała, że to nieodpowiednia znajomość. Przed laty obracały się w tych samych kręgach. O Józefinie różnie ponoć mówiono, zwłaszcza kiedy drugi raz wyszła za męża. Niestety nie znam szczegółów.

– A pani nie pytała jej nigdy o te pogłoski?

– Nie uważam za właściwe wtrącania się w prywatne życie przyjaciół. Uznałam, że jeśli Józefina będzie chciała, sama opowie mi o tym.

„Akurat. Od kiedy to ludzi przestały obchodzić plotki?” – pomyślał Woronin, a na głos powiedział:

– Ale nie zrobiła tego... Nie zaniepokoiło to pani? Nie podkopało zaufania?

– Jakieś pogłoski sprzed lat? – zdumiała się gospodyni. – Ważne było to, że Fina nigdy mnie nie zawiodła ani nie okłamała. A o tamtej sprawie – zawahała się na moment – musiałby pan porozmawiać z moją siostrą.

– Z panią Oktawią Burzyńską? – zapytał bliski ataku serca.

– Nie. – Reuttowa pokręciła głową. – Z Amelią.

Jeszcze lepiej. Prościej byłoby jechać za góry, za lasy i szukać pióra żar-ptaka, niż wyciągnąć jakąkolwiek informację od wdowy po mecenasie Rapackim.

– Myśli pani, że powie mi choć słowo? – zapytał z powątpiewaniem.

– W normalnych warunkach zapewne nie chciałyby pana widzieć. Ale teraz bardzo jej zależy, aby wyplątać Tenię z awantury, która rzuca cień na całą rodzinę. A sprawy układały się już tak dobrze – dodała po chwili, spoglądając na niego znacząco.

Aleksander chrząknął, ale milczał; nie zamierzał prowokować kolejnej bezcelowej dyskusji na temat swojej znajomości z Leontyną. Uświadomił sobie jednak, że prosząc dawną ukochaną o niewielką pomoc w śledztwie, znowu postąpił wbrew woli jej matki. Pocieszył się szybko tym, że pani Amelia nie musi wiedzieć o wszystkim.

– Są tacy, którzy twierdzą, że to pani siostrzenica zabiła Majerową – odezwał się wreszcie, nie spuszczać wzroku z gospodyni; liczył, że podzieli się tą informację ze starszą siostrą.

– Tenia?! – oburzyła się Reuttowa. – Wolne żarty. Chyba nie uwierzył pan w coś tak absurdalnego?

– Ja nie, w końcu znam panią Burzyńską na tyle, aby nie wątpić w jej niewinność. Natomiast było u nas w tej sprawie kilka dam z towarzystwa. Wyglądały na pewne swoich opinii.

– Co pan opowiada?! – zdenerwowała się gospodyni. – Które?

– Proszę wybaczyć, ale tego nie mogę zdradzić. Tajemnica śledztwa.

Pani Rozalia tylko prychnęła w odpowiedzi.

– To kto, pani zdaniem, mógł ją zabić?

– Myślałam, że pan mi to powie – rzuciła z przekąsem.

– Ponoć pani Józefina miała trudny charakter? – kontynuował niezrażony Aleksander.

– Dopóki postępowało się zgodnie z jej wolą i opinią, była przemiła. A jeśli ktoś miał inne zdanie, potrafiła się pokłócić... Ale z drugiej strony, najgorsze, co można było zrobić w kontaktach z nią, to okazać strach. Nie szanowała ludzi bez charakteru...

– Dlatego ceniła Leontynę – mruknął bez namysłu.

– Zapomina się pan! – Rozalia zgromiła go wzrokiem.

– Stwierdzam tylko fakt. Słyszałem, że chciała wyswatać pani siostrzenicę i swojego syna – opowiedział, starając się z całych sił, aby głos nie zadrżał mu nawet przez sekundę.

– Tak – potwierdziła niechętnie. – Uważała, że Seweryn ją zawiódł. Zamiast wybrać jakiś szanowany zawód, został aptekarzem. Kiedy była zła, mówiła o nim, za przeproszeniem, smarujtyłek jeden. Tenia miała sprowadzić go na dobrą drogę. Fina oczekiwała, że pomogę jej skojarzyć to stadło.

– Pomagała pani?

– Tenia jest dorosła i sama może podejmować decyzje – odparła Reuttowa.

„Akurat” – pomyślał Aleksander. Doskonale wiedział, że samodzielność Leontyny kończy się tam, gdzie zaczyna się wola jej matki. Do pani Rozalii dotarło zaś najwyraźniej, z kim ma do czynienia, gdyż mruknęła coś niezrozumiale i unikając jego wzroku, spojrzała w okno.

– A więc nie ma pani żadnych podejrzeń? – spróbował raz jeszcze.

– Niestety. – Gospodyni nadal nie patrzyła na niego; widać było, że zaczyna się denerwować. – Może to był wypadek? Może pomyłono ją z kimś innym? Nie

umiem znaleźć innego wyjaśnienia.

– W takim razie dziękuję za poświęcony czas.

Siedziała w milczeniu, jakby zapomniała o jego obecności. Uznał więc, że najlepiej będzie wstać, ukłonić się uprzejmie i ruszyć do wyjścia. Tak też zrobił i dotarł już prawie do drzwi, kiedy dobiegł go głos Rozalii:

– Panie Aleksandrze... – zaczęła, tym razem po polsku.

– Słucham – odwrócił się, przekonany, że chce dodać coś do zeznań. Ludzie często przypominali sobie o ważnych sprawach w ostatniej chwili.

– Przepraszam... przepraszam za wścibstwo, ale... czy jest pan żonaty?

– Nie – zaskoczony jej pytaniem zdołał wykrztusić tylko tyle, choć doskonale rozumiał sens tego pytania. Serce zabiło mu mocniej.

Gospodyni, wyraźnie zdziwiona odpowiedzią, na szczęście nie kontynuowała rozmowy na tak osobisty temat.

– Przepraszam – powtórzyła, znowu uciekając wzrokiem. – I proszę, niech pan znajdzie zabójcę Józefiny.

#### 4.

Ten wieczór cała rodzina planowała spędzić w domu – zarówno Krysia, jak i jej opiekunki, zbierały siły przed wielkim charytatywnym balem, który już za dwa dni miał odbyć się w największej sali Ratusza. Co prawda, organizatorzy wahali się, czy w związku z zabójstwem pani Majerowej nie odwołać szumnie zapowiadanej imprezy, ale po namyśle uznali, że nie będą zmieniać planów: dzieci ze szpitala na Aleksandrii czekały na datki. Zaproszenia i bardzo drogie bilety rozeszły się niczym świeże bułeczki: największą ich liczbę sprzedano właśnie po tragicznie zakończonym wieczorze w Resursie. Wyglądało to tak, jakby warszawiacy liczyli na podobną atrakcję także w Ratuszu. Można było to potępiać, ale i tak należało przyjąć do wiadomości, że natura ludzka żądna jest sensacji.

Leontyna najchętniej zostałaaby w domu i zajęła się dalszą lekturą niezwykle interesujących felietonów pani Józefiny; kameralne domowe bale, jak ten u pani Mielczarskiej, była w stanie przetrwać, ale teraz obawiała się niezdrowego zainteresowania swoją osobą. Niestety, zaraz po przyjeździe z Odessy, chcąc

uspokoić nieco matkę, nieopatrznie obiecała jej pomoc w opiece nad debiutującą w towarzystwie Krystyną. Po tragicznych wydarzeniach, których była świadkiem, opuściła kilka zabaw, ale tym razem rodzicielka nie zamierzała zwolnić jej z danego słowa. Życzyła sobie najwyraźniej, aby wszyscy zobaczyli, że córka nie ma nic do ukrycia.

Nie zdołała wymówić się także od dzisiejszej herbaty. Gdyby odrzuciła zaproszenie po raz drugi z rzędu, pani Amelia uznałaby to za lekceważenie swojej osoby i dąsałaby się z miesiąc.

Leontyna tak długo zbierała się do wyjścia, że na Królewską przyjechała jako ostatnia. Drzwi otworzyła jej zaaferowana Pelagia.

– Och, panienka – ucieszyła się na jej widok. – Proszę wejść, pani już o panienkę pytała.

Mimo że od jej ślubu z Januszem minęły lata, Pelagia nie była w stanie zapamiętać, że panna Rapacka stała się panią Burzyńską. Leontyna nie miała jej tego za złe, zawsze lubiła rezolutną dziewczynę. Przed wyjazdem do Odessy chciała nawet zaryzykować gniew matki i zatrudnić ją u siebie, ale Pelagia z jakichś powodów nie zgadzała się opuścić kraju.

– Czy mama jest zła? – zapytała, zdejmując futro.

– Nie – uspokoiła ją służąca, zabierając okrycie, czapkę i mufkę. – Raczej zmartwiona.

– Niewiarygodne – mruknęła po nosem, a następnie powędrowała wprost do salonu.

Zastała tam nie tylko gospodynię, ale także obie ciotki. Matka wyglądała na znudzoną; najwyraźniej od dłuższego czasu wysłuchiwała niekończącej się paplaniny Oktawii. Ciotka Rozalia – sądząc po radosnych odgłosach dochodzących z pokoju Krysi i Celinki – zabrała ze sobą Nelę; kuzynka, która niedługo miała skończyć pensję, potrafiła rozbawić prawie każde towarzystwo. Oburzało to ciotkę Burzyńską, która powtarzała, że dziewczyna zachowuje się jak klaun w cyrku.

– Nareszcie jesteś, Teniu – odezwała się matka wyjątkowo łagodnym tonem. – Mam dla ciebie niespodziankę.

W fotelu pod oknem siedziała pani Klara Wyrzykowska, druga babcia Joasi. Leontyna, która nie zauważyła jej w pierwszym momencie, ucieszyła się z tego spotkania i pomyślała, że może ten wieczór nie będzie jednak całkiem stracony.



– Nie wiedziałam, że już państwo przyjechali – powiedziała półgłosem, kiedy po przywitaniu się ze wszystkimi obecnymi usiadła ze szklanką w ręku obok pani Wyrzykowskiej.

– Leon i Adam kończą ostatnią transakcję w Odessie i zjadą do Warszawy za kilka dni. Nawet nie wyobrażasz sobie, Teniu, jaka jestem szczęśliwa, że po tylu latach przestaniemy żyć na dwa domy i nareszcie będziemy wszyscy razem.

– Też bardzo się z tego cieszę. – Uśmiechnęła się. Szczerze lubiła panią Klarę i całą rodzinę Wyrzykowskich, a poza tym liczyła, że z ich pomocą powstrzyma zapędy Oktawii.

– Czy mogę jutro odwiedzić wnuczkę?

– W każdej chwili – odparła pospiesznie. – Doskonale pani wie, że nie musi pytać o pozwolenie. Joasia ogromnie się ucieszy.

Rozmawiały półgłosem jeszcze przez jakiś czas, popijając wyborną herbatę i racząc się tartinkami. Leontyna starała się ignorować natrętne spojrzenia, które zza szkieł rzucała na nią Oktawia, choć takie zainteresowanie zapowiadało, że ciotka zaraz zaatakuje i znowu zacznie deprecjonować ją jako żonę i matkę.

Przecucia, a może dogłębna znajomość charakteru krewnej, i tym razem jej nie zawiodły.

– Słyszałam od doktorowej Krajewskiej, że przedwczoraj wzywałaś doktora do Joanny – zaczęła oskarżycielsko. – Wiedziałam, że tak skończą się te wyprawy na ślizgawkę. Ostrzegałam, ale mnie oczywiście nikt nie słucha – westchnęła boleściwie.

– Joasia jest zdrowa – odparła spokojnie Leontyna; ten spokój kosztował ją naprawdę wiele. – Po prostu rozboleł ją brzuch, więc wolałam poradzić się doktora. Okazało się, że zjadła naraz za dużo cukrów.

– Czy pani to słyszy? – Oktawia oburzyła się teatralnie, spoglądając na Wyrzykowską. – Ona jest nieodpowiedzialna. Wcale nie pilnuje tego dziecka. Wspomnicie moje słowa, jak dojdzie do nieszczęścia.

Pani Klara zamierzała coś powiedzieć, ale wyprzedziła ją matka, która wpatrywała się w siostrę z nieukrywanym rozbawieniem.

– Pamiętam, moja droga – zaczęła lekkim tonem – jak pewnego razu... a byłaś wtedy starsza niż twoja wnuczka, zjadłaś ukradkiem cały tort, który nasza matka własnoręcznie przygotowała na urodziny ojca i schowała w spiżarni. Brzuch bolał

cię ze dwa dni... zaś dolna część pleców chyba jeszcze dłużej. A chyba nie powiesz, że matka nie potrafiła utrzymać nas w karchach?

Leontyna, która nie spodziewała się wsparcia akurat z tej strony, po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła wdzięczność dla rodzicielki. Oktawia zacisnęła tymczasem wargi i zgromiła siostrę wzrokiem, ale nie wdała się z nią w dyskusję ani nie kontynuowała obrażania Leontyny. Bała się, gdyż Amelia umiała dopiec jej jak nikt inny. Nie chcąc jednak okazywać słabości, natychmiast znalazła sobie inny cel ataku: wyraźnie nie spodobał się jej radosny uśmiech, z którym Rozalia słuchała wspomnień gospodyni.

– Podobno była u ciebie policja? – zapytała ponuro, nie zważając na obecność pani Klary. – Przyznaj się, moja droga, jaki skandal nam szykujesz?

– Nie będzie żadnego skandalu. – Reuttowa wcale nie przejęła się tym atakiem. – Odpowiedziałam tylko na kilka pytań dotyczących Józefiny Majerowej.

– Czułam, że ta znajomość sprowadzi kiedyś na ciebie kłopoty – westchnęła Amelia. – Naprawdę to nie była odpowiednia przyjaciółka dla porządnej kobiety. Za życia nie wiedziała, co to przyzwoitość, więc nic dziwnego, że nie umiała umrzeć, jak pan Bóg przykazał. I pomyśleć, że próbowała ożenić syna z moją córką!

– Ta śmierć, to nie była jej wina... – zaczęła cicho rzeczona córka, ale zaraz zamilkła; jeszcze tylko brakowało, aby złość i złośliwość rodzicielki obróciły się przeciwko niej.

– A cóż takiego zrobiła w młodości? – dopytywała wyraźnie zaciekawiona Rozalia. – Nigdy o tym nie wspominałaś.

Leontyna natychmiast nadstawiła uszu.

– Przyjaciółka ci się nie zwierzyła? Naprawdę? – zapytała z przekąsem matka. – W takim razie musisz obejść się smakiem. Ja tam nie zamierzam wracać do tej sprawy.

Oktawia chciała chyba wtrącić się do rozmowy, ale zrezygnowała. Za to nieoczekiwanie odezwała się pani Klara.

– Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło, ale mój mąż powiedział kiedyś, że w plotkach o pani Józefinie nie ma nawet źdźbła prawdy.

– A niby skąd on może to wiedzieć? – zainteresowała się ciotka Burzyńska.

– Poznali się przed laty i zawsze wypowiadał się o niej z szacunkiem.

Pomyślała, że koniecznie musi o tym wspomnieć Aleksandrowi i całkiem przestała żałować, że dała namówić się na tę herbatę.

– Mężczyźni – mruknęła tymczasem matka. – Im tak łatwo zamydlić oczy.

– Szkoda, że nie chcesz o niej rozmawiać – powiedziała Rozalia z zawodem. – Może pomogłoby to w znalezieniu mordercy. Podobno jakieś panie z towarzystwa twierdzą, że zrobiła to Tenia. – Spojrzała znacząco na siostrzenicę, która natychmiast spuściła głowę.

– Które?! – Matka prawie zerwała się z krzesła; na jej twarzy pojawiły się rumieńce. – Już ja sobie z nimi porozmawiam.

– Nie wiem – odparła Rozalia, rzucając na siostrę wystraszone spojrzenie. – Nie chciał powiedzieć.

– Kto?!

– Policjant... Ten, który mnie przesłuchiwał.

– Jaki policjant?!

– Z urzędu śledczego.

– Jak się nazywa?! – Rodzicielka nie zamierzała ustąpić.

– Woronin – odparła cicho Rozalia.

– Powiedz natychmiast, że się przesłyszałam – rzuciła matka lodowatym tonem. Leontyna zmartwiała. Bała się nawet odetchnąć.

– Wiedziałam, że będzie następny skandal – stwierdziła tymczasem Oktawia ze słabo ukrywanym triumfem. – Wiedziałam, że ten przekłety Moskał nie zostawi nas w spokoju.

– On tylko pytał, co wiem o zabitej.

– To tylko kwestia czasu, jak zaczniesz kręcić się przy mojej synowej i mojej wnuczce. Rozmawiałś z nim? – Ciotka Burzyńska świdrowała Leontynę wzrokiem. – Mów prawdę.

– Musiałam – odparła szeptem, bo inaczej nie zdołałaby wydobyć z siebie głosu. – Przecież prowadzi śledztwo.

Z coraz większym trudem znosiła tę dyskusję i fakt, że pani Wyrzykowska przygląda się jej podejrzliwie. Poczula, że zaraz zemdleje albo padnie trupem.

– Nie wspomniałś ani słowem, że znowu go spotkałaś. – Matka ocknęła się z ponurej zadumy. – Znowu mnie okłamujesz?

– Chcę pomóc w znalezieniu winnego – szepnęła, zanim zdążyła się powstrzymać.

Widząc wyraz twarzy Amelii, natychmiast tego pożałowała. Spuściła głowę, modląc się, aby zniknąć sprzed oczu rodzinnego areopagu. Przez jakiś czas w pokoju panowała nieprzyjemna i nerwowa cisza, wreszcie ciotka Oktawia postanowiła zmienić temat i oświadczyła tonem, w którym pobrzmiwało zadowolenie:

– Na szczęście doktor Siemaszko ponownie owdowiał.

# ROZDZIAŁ VIII

## I.

Jerzy nie powiedział tego głośno, ale naprawdę był zadowolony, że w przesłuchaniu redaktora Zagórskiego uczestniczył także Woronin. Zagórski, dostojny mężczyzna po pięćdziesiątce, był poważniejszy niż jego pryncypał Feliks Fryze, ale o wiele bardziej roztargniony. Aleksander, który miał więcej cierpliwości, ze spokojem po kilka razy zadawał mu te same pytania. Niestety, nie zdołali dowiedzieć się niczego istotnego: o Józefinie Majerowej Zagórski wiedział tylko tyle, że istniała... No dobrze, szanował ją jako profesjonalistkę, prawdziwą damę i bliską przyjaciółkę małżonki.

– Czy jego żona jest taka sama? – zainteresował się Szuster, kiedy dziennikarz w towarzystwie Grigorija Michajłowicza opuścił gabinet; sekretarz miał go odprowadzić do wyjścia, gdyż istniało ryzyko, że sam zabłądzi na korytarzu.

– Skądże. Żona jest energiczna, bystra i ma dużo do powiedzenia na każdy temat. – Aleksander się uśmiechnął. – W młodości musiała być piękną. Zresztą do tej pory jest niczego sobie.

– Poszedłeś do niej, żeby się poprzyglądać? – zapytał Jerzy z przekąsem.

– Mówiłem przecież, że ma dużo do powiedzenia. – Policjant śmiał się nadal. – Tu są moje notatki z wizyt u Zagórskiej i od Rozalii Reuttowej. Sam przeczytasz czy mam streścić? – Sięgnął po teczkę i wyjął z niej kilka kartek zapisanych równym pismem. Położył je na biurku i zapalił papierosa.

– Przeczytam. – Odruchowo podsunął Woroninowi popielniczkę i bez zwłoki zaczął lekturę.

Obie damy miały rzeczywiście do powiedzenia wiele ciekawych rzeczy, zarówno o Majerowej, jej mężach, jak i o synu. Niemniej jednak z tych informacji nie wynikało nic konkretnego dla śledztwa.

– Nie ma czego się uchwycić – mruknął, podnosząc wzrok na kolegę, który w zamyśleniu zapalał kolejnego papierosa.

– Ciekaw jestem tych plotek na temat pani Józefiny – powiedział Aleksander. – Może w tym tkwi klucz?

– Trzeba znaleźć kogoś, kto znał ją w młodości. Ale skoro nawet dziennikarze nie pamiętają...

– Trzeba zapytać kobietę. Nawet wiem którą.

– Na co więc czekasz? Chyba nie na moją dyspozycję.

– Boję się – mruknął Woronin, zaciągając się mocno. I nie, Jerzemu wcale się nie wydawało, naprawdę trzęsły mu się ręce. – Chodzi o panią Rapacką... teraz nazywa się Osnowska. Jej siostra twierdzi, że doskonale pamięta, co zarzucano Majerowej.

– Czego się boisz? Co może zrobić ci pani Amelia?

– Wyrzuci mnie na zbity pysk, zanim zdążę się odezwać.

– Do tej pory ma za złe, że nie znalazłeś zabójcy jej męża? Słuchaj, ale ona chyba nie wie, że... – urwał, zaniepokojony nie na żarty taką możliwością.

– Nadal nie ma pojęcia – uspokoił go natychmiast Woronin. – Leontyna też nie. Za to Helena była wtedy w domu i słyszała moją rozmowę z Ludwikiem. Calutką.

Jerzy tak przeraził się tego, co usłyszał, że nie potrafił wykrztusić ani słowa. Dotarła do niego informacja, że młodsza panna Rapacka widziała śmierć brata i z tej przyczyny podupadła na zdrowiu. A tymczasem wiedziała o wiele więcej. Biedaczka, cud, że zdołała znieść to wszystko.

Nagle zadał sobie pytanie, czy po doświadczeniach, które przez ostatnie lata były udziałem ich obojga, potrafiliby rozmawiać ze sobą tak jak osiem lat temu? I czy to, co poczuł do niej jako osiemnastoletni chłopak, miało coś wspólnego z prawdziwą miłością?

– Pani Amelii nie chodzi o śledztwo w sprawie śmierci męża – powiedział tymczasem Aleksander. – Widzisz, zanim wyszła awantura z Bojką, oświadczyłem się jej o rękę Leontyny.

– Naprawdę? – Jerzy przerwał rozmyślenia o przeszłości i wbił w kolegę zdumione spojrzenie.

Woronin pokiwał smętnie głową i sięgnął po kolejnego papierosa; Szuster pomyślał, że skończy dziś jako wędzonka, ale przezornie nie zwrócił mu uwagi.

– Powiedziała, że wolałaby zobaczyć córkę w trumnie niż jako moją żonę. A potem, jakimś sposobem, namówiła Leontynę na ślub z Burzyńskim. Dlatego nic mi nie powie.

– To może ja spróbuję? – zaproponował szybko. – Myślę, że na amen zapomniała o moim istnieniu.

– Spróbuj. Tylko nie obiecuj sobie za wiele.

– Dobrze – odparł, a potem zapisał w kajecie, że musi posłać pani Amelii oficjalne pismo; jeśli wystąpi w całym majestacie prawa, być może zdoła coś z niej wyciągnąć.

– Wiesz – odezwał się znowu Woronin, strzepując popiół do popielniczki – dziś w nocy nie mogłem spać, więc zacząłem myśleć o śledztwie. I nad ranem przyszła mi do głowy jedna rzecz. Chodzi o to, że do tej pory rozważaliśmy dwie możliwości. Pierwszą, że ktoś zabił Józefinę Majerową z premedytacją, niewykluczone, że z powodu jakichś grzechów z przeszłości. Drugą, że to przypadek, ponieważ morderca czyhał na kogoś innego. Jerzy, a co, jeśli mamy do czynienia z osobnikiem, który znajduje przyjemność w mordowaniu kobiet na balach? Co, jeśli będą kolejne ofiary? Przecież takie sytuacje już się zdarzały.

– Masz rację. – Szuster był zdziwiony, że sam na to nie wpadł. – Taką opcję też musimy wziąć pod uwagę, przynajmniej dopóki nie odbędzie się kolejny publiczny bal.

– Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać. – Aleksander zdusił niedopałek i ku jego uldze nie zapalił kolejnego papierosa. – Z samego rana wezwał mnie Adam Langer i z tego, co powiedział, wynika, że organizatorzy balu w Ratuszu, to znaczy hrabia Branicki, pan Dobiecki oraz ksiązę Czetwertyński, mają dokładnie takie same obawy jak my. Podzielili się nimi z oberpolicmajstrem Klejgelsem, a on zaraz wydał rozkaz, żeby połowa urzędu śledczego przebrała się we fraki i po cichu pilnowała gości. Ja też mam tam być.

– W takim razie zadzwonię do Langer'a i też wybiorę się na ten bal. – Szuster z zasady nie przepadał za hucznymi zabawami, uznał jednak, że raz może poświęcić się dla dobra śledztwa.

– Przyda się każda dodatkowa osoba. – Aleksander chciał sięgnąć po kolejnego papierosa, ale kiedy spostrzegł, że paczka jest pusta, zgniótł ją nerwowym gestem i wrzucił do kosza. – Tym bardziej że oprócz śmietanki polskiego towarzystwa

będzie tam sama oberpolicmajstrowa, małżonka wicegubernatora Andriejewa, a nawet generałowa Brock. Gdyby któregoś włos spadł z głowy... Wolę nie myśleć, co zrobiłby z nami Klejgels.

Obaj zamyślili się nad konsekwencjami, ale z zadumy szybko wyrwało ich pukanie do drzwi.

## 2.

Na widok przybyłych Aleksander otworzył usta i na bardzo długą chwilę zapomniał, że powinien je zamknąć. Do gabinetu sędziego śledczego wmaszerowała pani Amelia Osnowska. Towarzyszyła jej wystraszona pokojówka Pelagia.

– Dzień dobry – zaczęła po polsku dama. – Widzę, że panowie znowu razem.

– Dzień dobry – odpowiedział Jerzy, który chyba pogrzebał swe nadzieje na spokojną rozmowę o młodości Józefiny Majerowej. Aleksander wciąż nie był w stanie wydobyć z siebie słowa; żałował okrutnie, że nie zabrał dodatkowej paczki papierosów, gdyż ze zdenerwowania chciało mu się palić jak nigdy i gdyby tylko mógł, zrobiłby to, nie zważając na obecność kobiet.

– Dowiedziałam się w urzędzie, że zastanę pana tutaj – oświadczyła tymczasem przybyła, taksując go wzrokiem. – Czy byłby pan uprzejmy – zwróciła się do Szustra – zostawić nas na chwilę samych? Pelagio, ty też wyjdź na korytarz. I nie martw się, dam sobie radę.

Jerzy patrzył na niego wyczekująco. Chyba obawiał się, że to raczej Woronin nie poradzi sobie z niedoszlą teściową i czekał na jakiś sygnał, że ma jednak zostać.

Aleksander przecząco pokręcił głową. Co prawda, bał się pani Amelii, ale nie chciał pokazać jej tego za nic w świecie; gdyby wyczuła jego słabość, nie miałby żadnych szans w tym starciu.

Służąca pospiesznie opuściła gabinet. Zaraz po niej, oglądając się za siebie, wyszedł Szuster, który w progu natknął się na Grigorija Michajłowicza i szeptem polecił mu zawrócić i iść sprawdzić, co dzieje się w kancelarii.

I takim oto sposobem Aleksander został sam na sam z kobietą, która stanęła mu na drodze do rodzinnego szczęścia.



– Zechce pani usiąść – zdołał wreszcie wykrztusić pierwsze zdanie. – Czym mogę służyć?

Pani Amelia z wdziękiem zajęła wskazane miejsce, zaś on, niczym wystraszony uczeń, przycupnął na brzeżku krzesła. Czekał.

– Musimy wyjaśnić sobie pewną kwestię – oświadczyła wreszcie.

Przez chwilę liczył, że przyszła po to, aby opowiedzieć mu o zamordowanej, ale ton jej głosu i niechętnie spojrzenie, jakim go mierzyła, szybko pozbawiły go złudzeń.

– Im mniej niejasności, tym lepiej – kontynuowała. – Chodzi o moją córkę.

– Słucham. – Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– Jak pan zapewne wie, Leontyna dwa lata temu owdowiała i wbrew moim sugestiom postanowiła wrócić do Warszawy. Wiem, że widziała się z panem – rzuciła oskarżycielsko – choć nie powinna była tego robić.

Aleksander poczuł, że zaczyna budzić się w nim złość, zaś dama pochyliła się lekko w jego stronę i dokończyła zimno:

– Leontyna jest moją córką i mam obowiązek dopilnować, żeby robiła, co należy.

– Leontyna sama wie, co jest właściwe.

– Ma pan rację. – Amelia uśmiechnęła się kpiąco. – Siedem lat temu nie poszła za panem, tylko poślubiła przyzwoitego człowieka.

Aleksander miał o Burzyńskim inne zdanie, ale nie zamierzał kłócić się teraz o drobiazgi.

– Zmusiła ją pani do tego – rzucił przez zęby, panując nad sobą z coraz większym trudem.

– Wysłuchała moich argumentów i przyznała mi rację – oświadczyła z zadowoleniem. – Nie dość, że jest pan Rosjaninem, to jeszcze mordercą... Nie zaprzeczy pan, że zastrzelił człowieka z zimną krwią?

– Myślę, że nie powinna mówić pani o rzeczach, o których nie ma zielonego pojęcia – rzucił oschle.

– Proszę więc zostawić moją córkę w spokoju.

– Skoro jest taka posłuszna, wystarczy, że jej pani zabroni. Nie rozumiem, czemu pofatygowała się pani do mnie?

– Nie chcę, żeby mieszał jej pan w głowie – rzuciła lodowato. – Inaczej postaram się, żeby popamiętał mnie pan bardzo długo.

– Pani grozi policjantowi na służbie. Zaiste wielki pokaz mocy – dodał z przekąsem.

Nie miał pojęcia, co właściwie się wydarzyło, ale w jednej chwili przestał obawiać się tej kobiety. Czy mogła go skrzywdzić jeszcze bardziej, niż odmawiając mu ręki Leontyny?

– Tylko pana ostrzegam. Mam szerokie kontakty.

– U gubernatora Hurki? – odciął się natychmiast. – Jak mój ojciec?

– A więc dlatego pana uniewinnili? Czemuż mnie to nie dziwi... Za pieniądze można kupić wszystko. Sprawiedliwość. Wolność. Zwłaszcza gdy jest się Rosjaninem... Ale mojej zgody na związek z Tenią nie dostanie pan nigdy. Nie zbałamuci jej pan po raz kolejny.

– Nigdy nie zbałamuciłem Leontyny ani do niczego nie zmuszałem. Sama decyduje o sobie, niezależnie, czy mi się to podoba, czy nie. Pani też powinna się z tym pogodzić – zakończył ze złością.

Wczoraj jeszcze zastanawiał się, czy powinien znowu zbliżyć się do ukochanej. W tej chwili nie miał już najmniejszych wątpliwości, co zrobić.

– Jedna córka zawiodła mnie boleśnie – wycedziła Amelia, zaciskając pięści. – Druga tego nie robi.

Helena... Ciekawe, w jaki sposób zdołała przekonać matkę, aby pozwoliła jej wyjechać na studia? Czyżby...? Odpowiedź, która przyszła mu do głowy, była tak nieprawdopodobna i zaskakująca, że musiała być prawdziwa. Nie zamierzał jednak poruszać tego tematu – nie dotyczył Leontyny i jego.

– Proszę wbić sobie do głowy raz na zawsze, że nie pozwolę Teni postąpić niewłaściwie! Choćbym miała użyć siły.

– Czy Józefina Majerowa też zrobiła coś takiego? – zapytał jakby od niechcienia; dyskusję na temat przyszłości swojej i Leontyny uznał za zakończoną, więc nadeszła pora, aby wyrwać coś dla śledztwa. – Postąpiła niewłaściwie?

– Zdrady dwóch najświętszych rzeczy nic nie usprawiedliwia – rzuciła rozmówczyni, ewidentnie z rozpędu. Szybko jednak odzyskała jasność myśli i spokojniejszym tonem powiedziała: – Opowiem panu, co zrobiła Józefina, ale tylko wtedy... jeśli obieca mi pan, że zostawi Tenię w spokoju.

Spuścił głowę, gdyż nie chciał widzieć wyrazu triumfu malującego się na jej twarzy. Tyle że on jeszcze nie zdecydował. Co prawda, wybór między dobrem śledztwa a nadzieją na własne szczęście nie był prosty, ale Woronin wahał się tylko przez chwilę.

I niech mu Święta Przepczysta wybaczy, wybrał własne szczęście. W końcu w tym mieście musiały być inne osoby pamiętające plotki z dawnych czasów.

– Nie mogę pani niczego obiecać.

– W takim razie – zaczęła Amelia, podnosząc się z krzesła; on też zerwał się na równe nogi – proszę przygotować się na kolejną porażkę. Naprawdę byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby został pan w Moskwie. – Odrzucając jego pomoc, narzuciła futro na ramię i bez pożegnania ruszyła do wyjścia.

Drzwi zamknęła za sobą mocniej, niż należało.

Opadł z powrotem na krzesło, wbił łokcie w blat biurka i ukrył twarz w dłoniach. Kilka razy ciężko odetchnął, ale rozdygotanie serce nie chciało się uspokoić.

Pani Rapacka swoją wizytą osiągnęła efekt, którego raczej nie mogła się spodziewać. Aleksander ostatecznie skapitulował przed własnymi uczuciami. Dotarło do niego, że wrócił do Warszawy dla Leontyny. Tylko tutaj mógł żyć złudzeniem, że kiedyś ją odzyska.

Do gabinetu ostrożnie zajrzał Szuster.

– Można?

– Wejdz. – Wyprostował się i podniósł głowę. – Przepraszam, że sam cię nie poprosiłem, ale... musiałem się uspokoić.

– Nie dziwię się wcale. – Jerzy zajął krzesło z boku biurka. – Tylko na mnie spojrzała, a serce skoczyło mi do gardła. Swoją drogą, pamięć ma doskonałą.

– Jak dla mnie, za dobrą. – Zażartował, chcąc ukryć zakłopotanie.

– A czego chciała? Nie uwierzę, że dobrowolnie przyszła opowiedzieć ci o Majerowej.

– Może i by odpowiedziała – zaczął cicho, unikając wzroku kolegi – gdybym spełnił jej warunek. Tyle że nie mogłem tego zrobić. Przepraszam, nie mogłem przysiąc jej... Kazała mi nie zbliżać się więcej do Leontyny.

– Znajdziemy kogoś innego – powiedział pocieszająco Szuster. – Zresztą może te plotki nie mają żadnego znaczenia?

– Dowiem się. – Spojrzał na kolegę z wdzięcznością. – A swoją drogą chyba oszalałem, że chcę mieć taką teściową.

– O mnie chyba można powiedzieć to samo – mruknął Jerzy i uciekł wzrokiem w stronę okna.

– Czekasz na Helenę? – zainteresował się ostrożnie Aleksander. Może i był wścibski, ale ciekawiło go, czy coś zostało z młodzieńczego uczucia, które Jerzy niegdyś traktował ze śmiertelną powagą. I jak kolega zamierza upchnąć miłość między aktami a dowodami zbrodni.

– Nie wiem. – Szuster wyglądał na strapionego i nadal nie patrzył mu w twarz. – Nie widziałem jej prawie dziewięć lat. Nie wiem, jaka jest teraz. I czy w ogóle mnie pamięta.

– Siedem lat temu zapowiadała się na wspaniałą kobietę i pytała o ciebie. Cieszyła się, że spełniłeś marzenie o studiach.

– Ale to było siedem lat temu – rzucił krótko i zamilkł.

Aleksander zrozumiał, że to koniec rozmowy na prywatne tematy. Może i dobrze, on też nie miał siły, aby roztrząsać tak bolesne kwestie.

– Wybacz, ale już się odmelduję – powiedział. – Zbyt wiele wrażeń jak na jeden dzień.

– Jutro spotkamy się przed balem. Pewnie będzie do ustalenia kilka kwestii, ale najpierw muszę porozmawiać z Langerem.

– Obawiam się, że jak pójde do Ratusza, mogę nie wrócić stamtąd żywy. – Aleksander znowu spróbował zażartować. – Zakładam, że pani Amelia tam będzie, ponoć ma pasierbicę na wydaniu.

– W jakim stanie wrócisz, tego nie wiem – odparł Szuster, uśmiechając się krzywo – ale podejrzewam, że spotkasz tam panią Leontynę. I mogę założyć się o sto rubli, że masz ochotę zobaczyć ją w balowej sukni. Ale tylko zobaczyć! – Poniósł ostrzegawczo palec. – Nic więcej. Nawet jednego słowa. W końcu idziesz pracować.

Aleksander westchnął ciężko, ale całe jego zniechęcenie nagle gdzieś się ulotniło.

### 3.

– Zasnęła – powiedziała z uśmiechem pani Klara, wchodząc do pokoju. – Dopiero gdy przeczytałam jej trzy bajki.

– Ja czytam co najwyżej dwie – odpowiedziała z uśmiechem Leontyna. – Widać, jak mocno stęskniła się za panią.

– Och, ja za nią też. – Wyrzykowska opadła na fotel, a gospodyni przysunęła jej natychmiast piętrową paterę z tartinkami. – Z każdym miesiącem robi się coraz bardziej podobna do Felicji.

– I do pani – oświadczyła z niezachwianą pewnością, a następnie podeszła do samowara, aby przygotować świeżą herbatę.

– Doskonale ją wychowujesz, moja droga.

– Joasia to dobre i bystre dziecko. – Leontyna uśmiechnęła się, stawiając na stole szklanki z naparem. – Czasem mam wrażenie, że to ja uczę się różnych rzeczy od niej.

– Cieszę się, że też wróciłaś na stałe do Warszawy.

– Skoro państwo podjęli taką decyzję, było to dla mnie oczywiste. Joasia powinna mieć kontakt z rodziną. Inna sprawa, że handel nie był moim ulubionym zajęciem, a wielu kontrahentów nie traktowało mnie poważnie. Dawałam sobie radę tylko dzięki pomocy pana Leona.

– Świetnie ci szło – powiedziała pani Klara, sięgając po herbatę. – Gdybyś była mężczyzną, zakasowałabyś wszystkich kupców w Odessie. Co zamierzasz teraz robić?

– Zleciłam mecenasowi Paszkiewiczowi sprzedaż kantoru i jednocześnie zastanawiam się, w co zainwestować fundusze.

– Oby tylko nie w afrykańskie kopalnie diamentów – rzuciła żartem pani Wyrzykowska.

– O nie! – Leontyna się zaśmiała. – Cenię tylko takie przedsięwzięcia, które mogę obejrzeć na własne oczy. Może na przykład kupię kamienicę.

– Najlepiej zainwestuj w kilka interesów – poradziła pani Klara. – Mój mąż tak zawsze robi i uratowało go to kilka razy od wielkich kłopotów.

– To dobra rada, dziękuję. Chcę, żeby Joasia dostała jak największy spadek.

– Och, droga Teniu, chyba za wcześnie myśleć o takich rzeczach. Jesteś młoda, możesz jeszcze wyjść za mąż i mieć własne dzieci.

Leontyna posmutniała. Wiedziała, że pani Wyrzykowska nie ma na myśli nic złego, ale wspomnienia o dzieciach sprawiały jej ból. A może... Wbiła spłoszone spojrzenie w twarz starszej damy.

– Czy pani... czy państwo chcą zabrać wnuczkę?

– Ależ nie! – Pani Klara łagodnie wzięła ją za rękę. – Za nic w świecie nie zrobiłabym jej czegoś takiego.

– Staram się, jak mogę, żeby pamiętała o Felicji.

– Wiem. Ale to ciebie kocha. I naprawdę nie rozumiem, czemu tak się wystraszyłaś.

– Jestem trochę przewrażliwiona – powiedziała cicho. – Ciotka Oktawia nie kryje się z tym, że chce przejąć opiekę nad Joasią. Grozi mi sądem.

– Rozumiem ją poniekąd – westchnęła Wyrzykowska. – Straciła jedyne syna, więc szuka kogoś, kto zajmie jego miejsce. I wybór jest oczywisty... Sama widzę w Joasi córkę. Tyle że ona nie powinna być namiastką kogoś innego. Zasługuje na własne życie, które ty jej dajesz.

– Ciotka tego nie rozumie – powiedziała ze łzami w oczach. – Krytykuje mnie nieustannie, ponieważ chce przekonać rodzinę i znajomych, że nie nadaję się na matkę. Kiedy wszyscy już w to uwierzą, będzie mogła zabrać dziecko. Możliwe, że w majestacie prawa.

– Nie dopuścimy do tego. – Pani Klara uspokajająco poklepała ją po ręce. – Porozmawiaj z moim mężem, jak tylko przyjedzie. Na pewno będzie wiedział, jak powstrzymać Oktawię.

Leontyna pokiwała głową, poczuła się trochę lepiej. Nie była sama, miała kogoś po swojej stronie.

– Teniu – zaczęła pani Klara z wahaniem. – Chciałabym zapytać cię o pewną kwestię...

– Słucham. – Uniosła dłoń do piersi, aby ukryć jej drzenie; domyślała się, o co, a raczej, o kogo może chodzić rozmówczyni.

– Ten Rosjanin, o którym wspomniała twoja matka... Kim on jest? Czy naprawdę coś cię z nim łączy?

Musiała wytłumaczyć się, przekonać Wyrzykowską, że Amelia przesadza i że żaden Moskal nie zbliży się do jej wnuczki.

– Człowiek, o którym mówiła matka, to policjant. – Opuściła ręce i zacisnęła pięści tak mocno, że poczuła ból, gdy paznokcie wbiły się w skórę. – Prowadził śledztwo w sprawie śmierci ojca. Teraz szuka zabójcy pani Józefiny, a ciotka Oktawia wyciągnęła z naszych spotkań pochopne wnioski. W obecnej sytuacji obwini mnie o najgorsze rzeczy, ale w jej oskarżeniach nie ma cienia prawdy.

Ledwo skończyła mówić, ogarnął ją smutek: ten, który powoduje, że w jednej chwili traci się chęć do życia.

Oto właśnie wyrzekła się głośno jedyne go mężczyzny, którego w życiu kochała. Gdyby nie to, że musiała udawać obojętność, rozplakałaby się w głos.

# ROZDZIAŁ IX

## I.

– Jak tu pięknie. – Krysia, która wyglądała uroczo w kremowej sukni z gazy, chłonęła wzrokiem wspaniałości wnętrza reprezentacyjnej sali warszawskiego Ratusza. – Teniu, widziałas kiedyś piękniejsze miejsce?

Leontyna nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się do dziewczyny, gdyż pomieszczenie przytłaczało ją swoim ogromem – zajmowało całą szerokość elewacji budynku i było wysokie na dwie kondygnacje – tudzież przepychem, z jakim zostało urządzone. Gdziekolwiek patrzyła, widziała marmurowe kolumny połączone ze sobą szerokimi łukami. Liczne rzeźby nawiązujące do antyku – niewykluczone, że wśród nich znajdował się nawet jakiś oryginał. Ogromny portret cara Aleksandra III, którego oberpolicmajster Klejgels za nic w świecie nie pozwolił zasłonić, nawet na bal, którego gośćmi w większości byli Polacy. Do tego mnóstwo roślin i kwiatów, dzięki którym sala przypominała najprawdziwszy ogród. Największe wrażenie robiły jednak ogromne kryształowe kandelabry migoczące wszystkimi kolorami tęczy.

Na galeriach drugiej kondygnacji, opierających się na solidnych żeliwnych słupach, często zbierała się publiczność, która nie brała udziału w zabawie, ale mogła przypatrywać się jej z daleka. Tym razem – także zgodnie z poleceniem oberpolicmajstra – nie było tam nikogo.

– Marzyłam, żeby tu przyjść – kontynuowała swoje wynurzenia Krysia. – Ależ jestem szczęśliwa.

Choć cały dochód z dzisiejszej zabawy miał iść na szpital dla dzieci przy ulicy Aleksandria, zdobycie wejściówki niemal graniczyło z cudem. Gospodynie – hrabina Branicka i księżna Czetwertyńska – zadbały o to, aby zaproszenia i bilety powędrowały do osób, które mogły złożyć odpowiednio hojny datek. Wuj Witold, choć nie obnosił się z tym, miał rozległe koneksje, a także duży majątek, więc bez trudu znalazł się na ich liście wraz z całą rodziną.



Bal w Ratuszu był poniekąd imprezą wyjątkową: w przeciwieństwie do zabaw urządzanych choćby w obu Resursach można było spotkać tu Rosjan z najwyższych kręgów władzy: ich małżonki nawet patronowały całemu przedsięwzięciu.

I właśnie przez wzgląd na to matka zastanawiała się, czy wypada pokazać się w tym miejscu. Pragmatyzm w końcu zwyciężył, gdyż pani Amelia uznała, że Krysia powinna bywać wszędzie tam, gdzie można zaprezentować się jak największej liczbie arystokratycznych i bogatych kawalerów.

Niewykluczone, że myślała także o Leontynie, która po zakończeniu żałoby powróciła na wtórny rynek matrymonialny. Co prawda, zaklinała się nieustannie, że nie interesuje jej ponowne małżeństwo, ale rodzicielka bała się, że córka wywoła kolejny skandal, spoufalając się z pewnym Moskalem. Bezpieczniej było więc dmuchać na zimne i zastosować sprawdzone środki zaradcze, czyli znaleźć jej odpowiedniego męża.

Temu pomysłowi przyklasnęła nawet Oktawia, która początkowo uważała, że wdowa po jej synu powinna nosić żałobę do końca życia, ale po namyśle uznała, że jeśli uda się wydać ją za jakiegoś wdowca z przychówkiem – na przykład doktora Siemaszkę – łatwiej będzie przejąć opiekę nad Joasią.

Leontyna nie zamierzała spełniać zachcianek matki i ciotki, które na szczęście nie miały już nad nią takiej władzy, aby zmusić ją do czegokolwiek. Mogły tylko skutecznie obrzydzić jej życie.

– Każdy bal jest wspaniały – odparła w zamyśleniu, poprawiając przyszywanej siostrze bukiet kwiatów przypięty do sukni – jeśli spotykasz na nim tego, kogo naprawdę chcesz spotkać. – Powiedziawszy to, uświadomiła sobie ze smutkiem, że akurat jej nie grozi to wcale.

Goście napływali coraz szerszym strumieniem. Na sali z każdą chwilą robiło się rojniej i gwarniej. W powietrzu unosił się zapach kosztownych perfum i niezliczonej ilości kwiatów. Damy wzajemnie lustrowały swoje toalety, choć napięcie było mniejsze niż na wcześniejszych imprezach – brakowało dreszczyku emocji, zapewnianego wszystkim przez bezkompromisową panią Józefinę. Sprawozdanie z dzisiejszego balu miała napisać pani Rena Zelman, dziennikarka, która zajęła w „Kurierze” miejsce nieboszczki, ale było to już coś innego.

– Tu jesteście. – Obok Leontyny i Krysi pojawiła się matka wsparta na ramieniu towarzyszącego jej ojczyma. Wyglądała wyjątkowo pięknie, choć nosiła suknię w kolorze fioletowym, najbardziej znienawidzonym przez dojrzałe kobiety. – Szukamy was od kwadransa – dodała nadąsana.

– Wybaczcie, że was opuszczę – powiedział wuj Witold. – Widziałem przed chwilą Kowalewicza, a muszę z nim pilnie zamienić słowo.

– Jak sobie życzysz, mój drogi – odparła matka. – Zaraz przyjdzie Rozalia.

– Ja też za chwilę wrócę. – Ojczym pocałował ją czule w rękę. – Pamiętaj, że obiecałeś mi walca.

– A cioci Oktawii nie będzie? – zainteresowała się Leontyna niby od niechcenia, kiedy wuj zniknął w tłumie.

– Źle się czuje – westchnęła matka. – Twierdzi, że przez ciebie... Krysiu, ile razy mówiłam, że masz naciągać rękawiczki do samego końca. – Wdzięcznym ruchem złożyła wachlarz i lekko uderzyła pasierbicę w ramię. – Żaden mężczyzna nie zechce niedbałej panny. Pokaż karnet.

Podczas gdy Amelia sprawdzała, czy wśród przyszłych tancerzy pasierbicy nie ma kogoś nieodpowiedniego, ona przyglądała się gościom. Wieść o tym, że przynajmniej przez ten jeden wieczór nie będzie musiała znosić złości ciotki Burzyńskiej, poprawiła jej humor.

– Dobry wieczór, moja droga Teniu.

– Dobry wieczór – uśmiechnęła się do Rozalii, która dołączyła do nich zgodnie z zapowiedzią matki. Choć miała na sobie szarą suknię, wyglądała czarująco, a szyku dodawał jej przepiękny garnitur z szafirów. Ciotka zgromadziła imponującą kolekcję biżuterii; były to wszystko prezenty od zakochanego w niej bez pamięci męża.

– Pięknie wyglądasz w tej toalecie.

– Dziękuję – uśmiechnęła się do ciotki.

Tego wieczoru włożyła nową niebiesko-srebrną suknię z dużym dekoltem, w której wyglądała nader korzystnie: kolor materii sprawiał, że jej oczy wydawały się niebieskie, a nie jak zwykle bure.

Orkiestra skończyła stroić instrumenty i na chwilę zaległa cisza. Wykorzystał to wodzirej, który oficjalnie otworzył bal, a następnie uklonił się uprzejmie przed

madame Andriejewą, małżonką wicegubernatora, i zaprosił ją do pierwszego tańca, którym miał być oczywiście walc.

Obok Krysi zatrzymał się młody Krajewski, syn jednego z najbogatszych warszawskich kupców, który figurował w jej karnecie na pierwszym miejscu, i powiódł dziewczynę na parkiet; szli odprowadzani zadowolonym spojrzeniem matki. Ewentualna partia ze wszech miar była godna rozważenia – chłopak nie dość, że pochodził z bardzo bogatego domu, to jeszcze ukończył studia za granicą.

Matka i ciotka zajęły się rozmową, a Leontyna pomyślała, że pora znaleźć sobie jakieś mniej widoczne miejsce. Nie miała ochoty na pląsy, zwłaszcza gdy odkryła, że zwracają na nią uwagę wyłącznie mężczyźni w wieku wuja Witolda. Nie wiedziała, że młodość minie tak szybko...

O proszę, jednego z nich przywołała chyba myślami. Po sali kręcił się pan Wacław Bogusz; jego córka, która właśnie wirowała w objęciach jednego z młodych Lubomirskich, wyglądała przepięknie i niewątpliwie miała szansę zostać królową balu.

Bogusz szybko wypatrzył rodzinną grupę i zaczął kierować się w ich stronę.

– Dobry wieczór, paniom. – Ukłonił się elegancko matce i ciotce, a potem spojrzał na Leontynę. – Czy zaszczyci mnie pani tańcem?

Odruchowo, jak za dawnych lat, spojrzała na Amelię, która skinęła lekko głową na znak aprobaty. Cóż było robić? Nie mogła odmówić. Bała się tylko, że pan Wacław, który okazywał jej wyraźne zainteresowanie, wytłumaczy sobie opatrnie jej wymuszoną uprzejmość.

– Cieszę się, że spotykamy się znowu – stwierdził tymczasem jej partner, kiedy już prawie okrążyli salę.

– Miło mi to słyszeć – odparła grzecznie, acz zdawkowo. Wiedziała, że Bogusz tańczy bardzo dobrze. Podążała za nim, krok za krokiem, pilnując jednocześnie, aby przez cały czas trzymać odpowiedni dystans. Tak samo jak na balu u pani Mielczarskiej. – Pańska córka znowu robi konkietę. Czy odrzucił pan już jakichś kandydatów do jej ręki? – zapytała, ponieważ panująca między nimi cisza zaczynała jej ciążyć.

– Tak – potwierdził z całkowitą uwagą. – Odprawiłem kilku łowców posagów. Chcę, żeby Gabriela zrobiła naprawdę dobrą partię.

– A może wyszłaby za mąż z miłości? – rzuciła przekornie.

– Widzi pani na tej sali jakąś naprawdę dobraną parę, która pobrała się z miłości? Zaręczam, że nie ma ani jednej.

– Nie...

– A pani kochała męża? – Nie odezwała się słowem, ale on uznał to za odpowiedź. – Widzi pani – kontynuował – małżeństwo to zbyt poważna sprawa, żeby brać pod uwagę tak ulotne kwestie jak uczucia, zwłaszcza w przypadku naiwnej młodej dziewczyny. – Poszukał wzrokiem córki.

Ona zaś pomyślała, że matka i Oktawia zgodziłyby się z wyznawaną przez Bogusza filozofią, tym bardziej że ich zdaniem Leontyna była naiwna nieuleczalnie i bezterminowo.

– Mam nadzieję, że nie jest pani zła na mnie za tę opinię? – upewnił się po chwili. – Ale tak to jest, że z wyzryn doświadczenia widzi się więcej.

– Nie jestem. – Pokręciła głową. – I wierzę, że znajdzie pan dla Gabrieli odpowiedniego męża.

Resztę walca przetańczyli w milczeniu, a kiedy wreszcie muzyka ucichła, Leontyna odetchnęła z ulgą; liczyła na to, że pan Waclaw nie poprosi jej po raz drugi, gdyż byłaby to za duża ostentacja.

Podał jej ramię i zaprowadził do matki, następnie pocałował w rękę i kiedy pomyślała, że zostawi ją i oddali się wreszcie, powiedział:

– Czy pozwoli pani, że w najbliższych dniach złożę jej wizytę?

„Co takiego?!”

Zamierzał zacząć oficjalne konkury według wszystkich prawideł sztuki. Leontyna zaniemówiła ze zdumienia i – niestety – kiwnęła głową.

## 2.

Woronin okupował miejsce obok kolumny, nieopodal głównego wejścia i starał się wyglądać jak zblazowany dandys. W rzeczywistości rozglądał się uważnie, sprawdzając, jak zachowują się rozsiani wśród gości agenci. Przy okazji rzucały mu się w oczy blade debutantki, zmuszone do podpierania ścian, ponieważ nikt nie prosił ich do tańca, a także niezadowolone matki i opiekunki oraz inne, kontente – najwyraźniej ich córki nie narzekały na brak chętnych danserów.

Widział też mężczyzn wymykających się chyłkiem z sali balowej i podążających w kierunku pokoju karcianego, w którym można było palić w spokoju papierosy lub cygara, uprawiać hazard i rozmawiać na tematy, budzące zwykle znudzenie lub zgorznienie kobiet.

Aleksander sam zapaliłby coś chętnie, ale nie mógł zejść z posterunku. Inna sprawa, że gdyby pojawił się w zielonym pokoju, jego incognito momentalnie rozplynęłoby się w powietrzu, a rozkazy oberpolicmajstra przestały być tajemnicą. Miał oczywiście przygotowaną legendę i wiedział, jakie nazwisko podać w razie potrzeby, ale zawsze istniało ryzyko, że trafi na jakiegoś genealoga amatora albo innego nader dociekliwego rozmówcę. Rekonesans wśród panów wziął na siebie Adam Langer, który, jako zastępca naczelnika urzędu śledczego, był wystarczająco ważną figurą, aby oficjalnie wziąć udział w balu.

Woronin bywał wielokrotnie w reprezentacyjnej sali Ratusza, ale choć zawsze oszałamiała go przepychem, to jakoś nie przyszło mu do głowy, że w karnawałowych dekoracjach może wyglądać tak wspaniale. Szczerze mówiąc, niewiele widział wspanialszych. A miał przecież porównanie – w życiu przebalował niejedną noc w pałacach Moskwy i Petersburga.

Lubił tańczyć, ale już dawno nie miał ku temu okazji. Wsłuchując się w wesołą melodię kadryla, pomyślał, że chętnie sprawdziłby, czy jeszcze coś pamięta. Gdyby tak jeszcze towarzyszyła mu Leontyna...

Była tu. Zauważył ją prawie na samym początku balu. Ubrana w jasnoniebieską suknię wyglądała tak wspaniale, że w pierwszej chwili zaparło mu dech. Z trudem mógł skupić się na swoim zadaniu; najchętniej posłałby agentów do diabła i nie spuszczał z niej oka przez cały wieczór.

Jakiś starszy mężczyzna poprosił ją do tańca. Aleksander zazdrościł mu, że miał prawo podejść do niej zupełnie jawnie. Jemu nie wolno było tego zrobić, więc tylko patrzył z jaką gracją poruszała się na parkiecie; na pewno zasługiwała na lepszego tancerza niż zasapany i podstarzały adorator wpatrujący się w nią nachalnie.

Zrobił krok do tyłu i zlustrował dokładnie boczny korytarz biegnący wzdłuż sali. Nic podejrzanego – nikt nikogo nie morduje. Agenci na razie spisywali się, jak należy: żaden nie upił się ani nie wywołał awantury. Nie na darmo dziś z samego rana Adam wygłosił im zachęcającą do pracy pogadankę: wyrzucenie z urzędu na zbity pysk miało być najłżejszą karą, jaka mogła ich spotkać w przypadku niesubordynacji.

– Sasza, co tu robisz? – zapytał ktoś półgłosem.

Odwrócił się na pięcie. Obok niego stał Antoni Paszkiewicz, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Pracuję – odparł tak samo cicho. – Rozkaz oberpolicmajstra.

– Rozumiem – szepnął Antoni. – Widziałem na sali kilku waszych agentów. I Szustra w pobliżu pokoju wypoczynkowego dla dam... Zdziwiłem się trochę, ponieważ to miejsce do niego nie pasuje – zakończył z krzywym uśmiechem. Małżeństwo ewidentnie wyostrzyło mu dowcip.

– A czy nasi agenci nie robili czegoś, nie daj Bóg, niewłaściwego?

– Nie zauważyłem – zapewnił przyjaciel. – Zresztą w takim tłumie nikt nie zwraca na nich uwagi. Ja po prostu znam z widzenia te gęby.

– À propos gęby... Powiedz mi, kto to jest? Ten brzuchaty jegomość, który tańczy z Leontyną?

– Doktor Siemaszko. Sześciokrotny wdowiec z gromadą dzieci. Interesuje się nią pewnie z dziesięć lat. Raz uciekła mu w zaręczyny, drugi raz za granicę, a trzeci za mąż. Oktawia Burzyńska robi wszystko, aby tym razem ją dostał.

– Niedoczekanie – mruknął pod nosem, a głośniej dodał: – Idź do żony, bo zaraz zauważy mnie wodzirej i jeszcze zechce przedstawić jakiejś damie. A tego wolałbym uniknąć.

Antoni pokiwał głową ze zrozumieniem i odszedł w stronę środka sali, zaś on, zgodnie z tym, co ustalili wcześniej z Szustrem i Langerem, udał się na obchód stanowisk.

Przy wejściu do zielonego pokoju kłębił się spory tłumek mężczyzn próbujących schować się przed wodzirejem, który przy każdej okazji zachęcał ich do tańca i zabawiania dam. Fakt, że zamierzali się ukrywać, nie przeszkadzał im jednak w ożywionych rozmowach i śmiechach. Agenci, których mijał po drodze, zachowywali się, przynajmniej na oko, bez zarzutu.

Wreszcie dostrzegł Jerzego i pomyślał, że młody sędzia naprawdę pasuje do tego otoczenia. Wyglądał we fraku tak elegancko i dystyngowanie, jakby należał do najwyższych sfer. No tak, jego matka pochodziła z hrabiowskiej rodziny... Ta koligacja przyniosła korzyść także Katarzynie Paszkiewiczowej; dzięki niej warszawskie towarzystwo – z trudem, bo z trudem – ale zaakceptowało ją, choć była Rosjanką.

– Coś się dzieje? – zapytał, podchodząc do kolegi; jednocześnie zerknął na salę, gdyż Leontyna mignęła mu akurat w tańcu.

– Patrzysz na kogoś innego czy tylko na nią? – zapytał z przekąsem Jerzy, który bez trudu zauważył, w jakie rejony zabłądziło jego spojrzenie. – Langer nie powinien być pozwolić ci tu przyjść.

– Mądry Polak po szkodzie – mruknął w odpowiedzi Aleksander. – Ciekawe, kto mnie namawiał na tę eskapadę, opowiadając o Leontynie w balowej sukni?

Szuster spojrział na niego z zaskoczeniem, prawdopodobnie nie podejrzewał go o tak dobrą znajomość polskich przysłów, a potem westchnął teatralnie i pokręcił głową.

– Widziałeś coś ciekawego? – Aleksander postanowił sprowadzić konwersację na właściwe tory.

– Nie. Spłoszyłem tylko niechcący jedną parę. Czego się śmiejesz? – stropił się. – Musiałem przecież sprawdzić, czy on jej nie morduje.

– Mam nadzieję, że do końca balu będziemy mieli tylko takie problemy.

– Oby. A teraz zostań tutaj, bo ja już za bardzo zwracam na siebie uwagę.

Skinął głową i kiedy Jerzy się oddalił, zajął miejsce obserwacyjne. Właśnie skończył się kadryl i orkiestra ogłosiła krótką przerwę, po której miała zagrać mazura. Aleksander wzmógł czujność – o wiele łatwiej było obserwować ludzi, kiedy połowa z nich tańczyła. Jeśli tego wieczoru coś miało się wydarzyć, to właśnie w takiej chwili jak ta.

Popijając od niechcienia szampana, którego podsunął mu roznoszący trunki kelner, obserwował okolice damskiej garderoby. Kręciło się tam kilkanaście dam, które najwyraźniej potrzebowały pomocy szwaczki albo pokojówki.

Cofnął się gwałtownie, ponieważ dostrzegł zmierzającą w jego stronę Leontynę, której towarzyszyła młoda panna w jasnych gazach. Przez moment myślał, że go zauważy – przeszła tak blisko, że poczuł zapach jej perfum – ale okazało się, że prowadzi dziewczynę prosto do garderoby.

Wpatrując się w nią zachłannie, pomyślał, że nie zdzierży dłużej tej męki. Że jego samokontrola i upór też mają swoje granice. Zaiste niewiele jest gorszych rzeczy niż świadomość, że nawet zdobycie wzajemności ukochanej, nie musi prowadzić do szczęśliwego zakończenia.

Przywołał kelnera, odstawił pusty kieliszek na tacę i sięgnął po kolejny. Wypił go duszkiem, a potem – nie myśląc o tym, że opuszcza posterunek – wyszedł na korytarz. Musiał choć trochę dojść do siebie, a tam na szczęście było chłodniej i spokojniej.

– Szanowny pan weźmie kotyliona?

Podniósł głowę. Tuż obok niego stało dwóch młodzieńców w liberiach, którzy dzierżyli w dłoniach wielkie wiklinowe kosze wypełnione orderami z barwnej bibuły i sztucznych kwiatów: jeden z nich miał zapewne krążyć wśród mężczyzn, drugi wśród kobiet, a skoro obaj znajdowali się jeszcze w holu, najwyraźniej dopiero zaczynali pracę.

Na samym wierzchu leżała błękitna rozeta z niezabudkami, do złudzenia przypominającymi prawdziwe.

– Wezmę te niebieskie kwiaty i dam wam po pięć rubli na głowę – zaczął Aleksander, sięgając po pieniądze – a następne pięć dołożę, jeśli takie same wybierze dama, którą wam zaraz wskażę.

Chłopcy wcale nie wyglądali na zaskoczonych ani samą propozycją, ani wysokością proponowanej kwoty.

### 3.

Leontyna początkowo nie zamierzała tańczyć kotyliona, ale uległa zachętom młodego pomocnika wodzireja i po namyśle wybrała rozetę z niezapominajkami. Możliwe, że na jej decyzję miało wpływ to, że wyjątkowo pasowały do jej sukni. Inna sprawa, że bukietki były już przebrane i pozostały te najmniej kolorowe i najbardziej sfatygowane.

Kiedy po kolacji wróciła na salę balową w towarzystwie Krysi i ciotki Rozalii – matka i wuj Witold zostali jeszcze w jadalni – pożałowała swojej decyzji. Tego dnia ewidentnie nie miała szczęścia do danserów i mogła znowu trafić na doktora Siemaszkę.

Tłum gęstniał coraz bardziej, muzycy zajmowali miejsca – słychać było pierwsze bezładne dźwięki – a panowie ruszyli na poszukiwania tancerek przeznaczonych



im przez ślepy los albo własny spryt. Cóż, Leontyna doskonale wiedziała, że mężczyźni mają swoje sposoby, aby porwać do kotyliona upatrzoną damę.

Kryśka, przystrojona w różową gwiazdę z bielutkimi konwaliami, pierwsza doczekała się swojego partnera. Okazał się nim Janek Zagórski, więc panna nie kryjąc zadowolenia, powędrowała na parkiet. Leontyna na widok dwojga młodych uśmiechnęła się do siebie. On, wysoki, smagły, ze strzechą czarnych niesfornych loków i ona, zgrabna, niebieskooka i złocista, tworzyli piękną parę.

Młodszy brat Emilii adorował Kryśkę prawie od początku karnawału, ale pani Amelia zachowywała się tak, jakby wcale tego nie zauważała. Najwyraźniej nie brała pod uwagę faktu, że chłopak z rodziny porządnej i szanowanej, ale niezbyt bogatej, może być poważnym konkurentem do ręki pasierbicy. Oby wuj wykazał się większym rozsądkiem. Janek był miły, dobrze wychowany i wykształcony, do tego miał głowę na karku – pracował w spółce Lilpop, Rau i Loewenstein i podobno szybko awansował. Niewykluczone, że dzięki posagowi żony mógłby założyć własne przedsiębiorstwo.

– Zatańczy pani ze mną?

Leontyna drgnęła. Ten głos? Niemożliwe.

Nie, jednak wcale się nie przesłyszała. Tuż przed nią, z bukietem identycznych niezapominajek przypiętych do klapy fraka, stał... Aleksander Woronin. We własnej osobie.

Do tej pory widywała go przeważnie w urzędniczym mundurze, w którym wyglądał bardzo dobrze, ale we fraku prezentował się wspaniale; gdyby nie fakt, że podobał się jej od wielu lat, to w tym momencie straciłaby dla niego głowę.

Z obawą zerknęła na ciotkę Rozalię, która choć zajęta rozmową z doktorową Lisiecką, przyglądała się siostrzenicy spod zmrużonych powiek. Leontyna doskonale wiedziała, co oznacza to spojrzenie. Powinna podziękować grzecznie za zaproszenie i odesłać Aleksandra tam, skąd przyszedł, a potem udać się niezwłocznie do pokoju dla dam, zanosząc po drodze modły, aby żadna z plotkarek nie domyśliła się, z kim zamierzała zatańczyć.

Nie potrafiła jednak tego zrobić.

Co więcej, była szczęśliwa, że znowu go spotyka. Sala zrobiła się natychmiast mniej obca i przytłaczająca, a sam bal bardziej ekscytujący niż do tej pory.

– Skąd pan się tutaj wziął? – zapytała półgłosem Rozalia, która, opuściwszy znajomą, podeszła do nich i postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. – I co za przedstawienia pan urządza? Mówiłam przecież...

– Chciałbym zatańczyć z panią Leontyną – wpadł jej w słowo Aleksander. – Tylko ten jeden raz.

– Nie ma mowy – wysyczała ciotka. – Proszę stąd zniknąć i nie pokazywać się więcej.

Orkiestra zaczęła grać rumuńskiego walca *Fale Dunaju*, ostatni goście wracali na salę i Leontyna kątem oka dostrzegła matkę, która eskortowana przez ojczyma, podążała w ich kierunku i zdążyła już się zorientować, co wyprawia córka.

Leontyna wiedziała, że czekają ją wymówki, tyrady, groźby i krzyki. A skoro i tak ich nie uniknie, niech przynajmniej wie, że naprawdę zasłużyła.

– Oczywiście, że z panem zatańczę. – Wyciągnęła do Aleksandra rękę odzianą w białą rękawiczkę.

Mina ciotki Rozalii warta była wszystkich pieniędzy. Woronin, który też zauważył Amelię i doskonale wiedział, co się święci, natychmiast zaprowadził ją na sam środek sali.

Tu byli bezpieczni, przynajmniej na czas trwania tańca. Nikt, nawet matka, nie odważy się ściągnąć jej siłą z parkietu.

Jedną ręką objął ją w talii, a drugą ostrożnie ujął dłoń. Znaleźli się tak blisko siebie, że Leontyna poczuła niepokój, który był jak mrowienie wszystkich nerwów. Aleksander tańczył doskonale. Miał idealne wyczucie rytmu, do tego prowadził ją płynnie i pewnie, bez trudu wykonując figury zaplanowane i demonstrowane przez wodzireja.

Raz, dwa, trzy – liczyła kroki, gdyż nie chciała myśleć o tym, że lubi jego dotyk, który czuła nawet przez podwójną materię rękawiczek. Że bijące od niego ciepło przeraża ją, ale jednocześnie sprawia przyjemność. Że chce być blisko niego. Najbliżej jak to tylko możliwe.

– Dziękuję, że zgodziła się pani na ten taniec – odezwał się wreszcie.

Zupełnie nie myśląc, co robi, mocniej ścisnęła jego palce. Odwzajemnił uścisk i zdecydowanym gestem przygarnął ją do siebie. Woląca nie wyobrazać sobie, jak nieprzyzwoicie muszą razem wyglądać. Woląca w ogóle nie myśleć, aby nie psuć tej chwili, która zapewne już nigdy się nie powtórzy. Uspokoila się, a melodia

walca Ivanovici, która już zawsze będzie kojarzyć się jej z Aleksandrem, niosła ją dalej i dalej. Czuła się lekka jak piórko.

Kiedy wykonali kolejny tour wokół sali, odważyła się wreszcie podnieść głowę i spojrzeć w oczy swojemu partnerowi.

– Co pan właściwie tu robi? – zapytała.

– Nie zdradzę tajemnicy służbowej, jeśli powiem, że pracuję. – Uśmiechnął się do niej. Nigdy wcześniej nie widziała, aby tak błyszcząły mu oczy. Chyba cieszył się tym tańcem tak samo jak ona. – Kilku moich kolegów także.

– Pilnujcie, żeby nic się nikomu nie stało... Tyle tu ważnych osób.

Nie odpowiedział, tylko lekko skinął głową.

– Rozumiem, że urządził pan sobie przerwę?

– Znaleźliśmy się wreszcie na tym samym balu, więc nie wybaczyłbym sobie, gdybym nie skorzystał z okazji. Może jedyny raz w życiu – zakończył ciszej takim tonem, że coś zakłuło ją w piersi.

– Gdyby pan tego nie zrobił – zaczęła, unikając jego wzroku – ja też bym panu nie wybaczyła.

#### 4.

Jerzy był z natury spokojnym człowiekiem i niezwykle rzadko wychodził z siebie, ale w chwili, gdy zauważył Woronina tańczącego z Leontyną, poczuł, że zaraz eksploduje. Naprawdę niewiele brakowało, aby powędrował na środek sali, złapał nieodpowiedzialnego kolegę za łeb i w krótkich żołnierskich słowach przypomniał mu, że przyszli na ten bal w innym celu niż obtańcowywanie dam.

Problem w tym, że taka interwencja zwróciłaby na nich uwagę wszystkich obecnych. Zresztą nie wiadomo, jak Aleksander zareagowałby na taką próbę zdyscyplinowania. W końcu – jak to często powtarzał wuj Osip – kiedy na horyzoncie pojawia się panna Rapacka, robił się całkowicie nieobliczalny. Raz o mało nie zapłacił za swoją miłość wolnością, a może nawet i życiem, ale jak widać, nie wyciągnął z tego żadnych wniosków. Naprawdę oszalał dla tej kobiety.

Nie potrafił tego zrozumieć. Może dlatego że sam nie widział Heleny od ośmiu lat i w tej chwili dziewczyna była raczej pięknym wspomnieniem niż realną osobą.

Nie przeszkadzało mu to, w końcu zajęty karierą, nie spieszył się do ożenku.

Woronin był inny. Jerzy nie miał najmniejszych wątpliwości, że wystarczyłoby jedno słowo Leontyny, a natychmiast rzuciłby w diabły pracę, którą bardzo lubił i w której odnosił spore sukcesy.

– A kto to jest ten człowiek? – Usłyszał nagle.

– Który?

– Ten, który tańczy z młodą Burzyńską.

Oho, towarzyskie śledztwo właśnie się rozpoczęło. Jerzy ostrożnie wychylił się zza kolumny i bez zdziwienia skonstatował, że doskonale kojarzy obie wymieniane ze sobą uwagi damy. Radczyni Domańska i doktorowa Mrowińska złożyły mu wizytę po pamiętnym balu w Resursie, aby oskarżyć Leontynę o zabójstwo Majerowej. Ciekawe, że nie rozpoznały Woronina, który był przecież obecny przy ich rozmowie. Najwyraźniej nie przeszło im przez myśl, że mogłyby spotkać komisarza policji na wielkim balu dobroczynnym, tak licznie zaszczyconym obecnością arystokracji i przedstawicieli władzy.

– Słyszałam, że to jakiś baron zza kordonu – doktorowa oświeciła przyjaciółkę tonem osoby dobrze poinformowanej. – Właśnie przyjechał do Warszawy. Bardzo bogaty i szuka żony.

Jerzy śmiał się też rzadko, a już prawie nigdy w głos, ale w tym momencie ledwo się powstrzymał.

– A jak się nazywa? – dopytała profesorowa.

– Zapomniałam – zmartwiła się jej rozmówczyni. – Ale jakoś arystokratycznie.

– I dlaczego taki człowiek tańczy z wdową?

– Może nikt nie przedstawił go odpowiedniej pannie?

Uśmiechając się pod wąsem, Szuster opuścił dotychczasowe stanowisko; Aleksander, chcąc zrealizować swój kaprys, odszedł z przydzielonego mu miejsca, więc ktoś musiał go zastąpić. Szedł amfiladą w stronę głównych drzwi, mijając po drodze agentów, którzy nie dawali mu żadnych znaków, że dzieje się coś niepokojącego ani chociaż ciekawego.

Zatrzymał się nieopodal damskiej garderoby. Zerkał niby mimochodem na kręcące się w jej pobliżu strojne damy i nagle zaczął się zastanawiać, jak wyglądałaby Helena, gdyby akurat tu była. Wizja była tak oszałamiająca, że wziął od kelnera kieliszek wina i wypił duszkiem prawie całą zawartość.

– Co on wyprawia? – Obok Jerzego zatrzymał się sam wicenaczelnik urzędu śledczego, Adam Langer, i z dezaprobatą spojrzął na Woronina, który wciąż walcował w najlepsze. – Powinien mieć oficjalny zakaz zbliżania się do tej dziewczyny.

– Nic przecież się nie dzieje – zaczął pojednawczo Szuster, który nie rozumiał, czemu właśnie w tym momencie zachciało mu się bronić kolegi; przecież nadal był na niego zły.

– Śmiem wątpić – mruknął Langer. – W karcianym pokoju znalazłem butelkę, stłuczoną tak samo jak ta w Resursie. Zastanawiam się, czy to przypadek, czy któryś z panów przygotował sobie narzędzie?

– Majerowa została uderzona całą butelką.

– Ale tu kręci się więcej osób niż w Resursie, mógł więc zmienić modus operandi. A co do popisów Szaszki, to zdziwiłbyś się, ile osób was wypatrzyło. Szczególnie damy były bardzo zainteresowane waszą tożsamością. – Langer wyglądał na rozbawionego. – Żeby odwrócić ich uwagę, puściłem kilka plotek. Szaszka to baron z Galicji, a pan jest skoligacony z księciem Lubomirskim.

Jerzy o mało nie zakrztusił się ostatnim łykiem wina. Co prawda, jego dziadkowie po kądzieli nosili hrabiowski tytuł, ale do Lubomirskich sporo im brakowało.

– W takim razie musimy uciekać, bo ani się obejrzymy, a wyjdziemy stąd zaręczeni.

– Szaszka chyba o niczym innym nie marzy. – Langer znowu skierował wzrok na nieposłusznego podwładnego.

Jerzy spojrzął w tym samym kierunku i westchnął w duchu; mimo że muzyka ucichła, Aleksander i Leontyna nie zamierzali się rozstać. Stali na środku parkietu, wpatrzeni jedno w drugie, wciąż trzymając się za ręce.

## 5.

Leontyna знаła ciekawsze rozrywki niż bale, ale nie mogła zaprzeczyć, że wirowanie w walcu po ogromnej i wspaniale ozdobionej sali Ratusza w takt pięknej muzyki, miało w sobie coś magicznego. O ile patrzyło się w oczy

odpowiedniemu partnerowi. Niestety kotylion dobiegł końca, ale choć orkiestra ucichła, Aleksander nie wypuścił jej z objęć; zrobił jeszcze dwa obroty i dopiero wtedy zatrzymał się prawie na samym środku parkietu, ale nadal nie puszczał jej dłoni.

– Nie wie pani, ile znaczył dla mnie ten taniec.

Nie, nie mogli dłużej stać w tym miejscu, za bardzo zwracali na siebie uwagę.

– Proszę odprowadzić mnie do matki – szepnęła, zerkając na swoją rodzinę. Amelia zupełnie nie zwracała uwagi na zarumienioną Krysię, za to w nią wpatrywała się wzrokiem Meduzy szykującej się właśnie do petryfikacji. Ciotka Rozalia machała zaś wachlarzem tak nerwowo, jakby chciała połamać strusie pióra.

– Poradzi sobie pani? – Aleksander też musiał zauważyć komitet oczekujący na jej powrót. – Gdyby coś trzeba było...

– Proszę, niech pan mnie tylko odprowadzi i nie mówi nawet słowa. Dla dobra nas obojga.

Kiwnął głową na znak, że rozumie, o co jej chodzi. Leontynie jednak nie spieszyło się do konfrontacji z matką, więc z każdym krokiem zwalniała coraz bardziej.

Stanęli wreszcie przed groźnym areopagiem. Aleksander uklonił się uprzejmie, choć rodzicielka i ciotka udawały, że go nie dostrzegają, a potem ponaglany spojrzeniem Leontyny pożegnał się i odszedł. Obejrzał się za siebie kilka razy, aż wreszcie zniknął gdzieś za kolumnami.

Rozalia na znak siostry zajęła się Krysią, która dla własnego dobra nie powinna wiedzieć, co się dzieje, zaś Amelia mocno chwyciła córkę za ramię, przyciągnęła ją do siebie i nie zważając, że znajome damy przypatrują się tej scenie z zainteresowaniem, nachyliła się do jej ucha i ze złością rzuciła:

– Mało ci skandali? Zachowujesz się jak pierwsza lepsza.

– Kocham go – odpowiedziała z mocą. – Nic na to nie poradzę.

Matka zrobiła taką minę, jakby zamierzała zemdleć i gdyby nie to, że znajdowały się w publicznym miejscu pod obstrzałem wścibskich spojrzeń, na pewno zaczęłyby na nią krzyczeć.

– Lepiej coś poradź, bo pożałujesz.

– Próbowałam przez osiem lat, dłużej nie dam rady.

Nie dostała za to wyznanie w twarz; cóż, należało zachować pozory, ale spotkało ją coś gorszego. Rodzicielka przygryzła wargę, a potem przysunęła się jeszcze bliżej i patrząc jej w oczy, wysyczała:

– Nie ma większej hańby dla matki niż córka moskalska dziewczka! Ty powinnaś umrzeć, a nie Ludwik!

W pierwszej chwili Leontyna odniosła wrażenie, że się przesłyszała. Otworzyła usta i z niedowierzaniem spojrzała na kobietę, która sprowadziła ją na świat, ale w tym momencie wydawała się obca. Czuła, że robi się jej zimno, chyba nawet zaczęła drżeć i zapragnęła opuścić tę wielką salę, uciec jak najdalej od całej rodziny. Nie zastanawiając się dłużej, strząsnęła dłoń matki ze swojego ramienia, a potem odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wyjścia.

Bolało ją serce i robiła wszystko, aby nie wybuchnąć płaczem. Czuła się tak, jakby zgodnie z życzeniem rodzicielki umarła i teraz wędrowała przez zupełnie obce miejsca. Do piekła. Bo gdzież by indziej?

Nie zważając na zerkających na nią gości, uniosła rąbek sukni i zbiegła po schodach na parter. Tam minęła szatnię – przez głowę przemknęło jej, że powinna zabrać futro – był to jednak za wielki wysiłek.

Zatrzymała się dopiero na zewnątrz.

Stała na zaśnieżonym chodniku, za plecami miała Ratusz, a przed sobą ogromny budynek Opery. Trzęsła się jak osika. Obok niej przejeżdżał właśnie patrolujący okolicę konny oddział kozaków; dowódca przyglądał się jej podejrzliwie.

– Na Świętą Przczystą, co pani wyprawia?

Dźwięk głosu Aleksandra sprawił, że zadrzała jeszcze mocniej. Poczowała, że zaraz upadnie i nie podniesie się więcej. Zanim to jednak nastąpiło, Woronin okrył ją czymś, co pachniało znajomą mieszanką wody kolońskiej i tytoniu, a potem objął ramieniem. Zrobiło się nieco cieplej.

– Co się stało?

Spojrzała na niego z rozpaczą, gdyż nadal nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

– Lenoczka? – Ostrożnie dotknął jej twarzy.

W tym momencie lzy, których nie zdołała już powstrzymać, zamazały kontury całego świata. Nic już nie istniało. Oprócz Aleksandra.

– Mogę panią stąd zabrać? – zapytał szeptem.  
Próbując stłumić łkanie, skinęła głową.

## 6.

Fiakier zatrzymał się na podjeździe pod bramą jego kamienicy. Aleksander spojrzał na Leontynę skuloną w kącie budy, przykrytą futrem, które zabrał z szatni i wszelkimi możliwymi pledami. Mobilizując resztki rozsądku, które mu jeszcze pozostały, zapytał:

– Może odwieźć panią do domu?

– Za nic – wyszeptała i spojrzała na niego błagalnie.

Była upiornie blada – nawet bardziej niż w chwili, kiedy po rozmowie z matką, wybiegła z sali balowej.

Woronin nie byłby sobą, gdyby nie śledził ukradkiem przebiegu konwersacji, która – wbrew staraniom obu stron – nie wyglądała wcale na przyjazną, a potem, nie zwlekając nawet chwili, ruszył w ślad za Leontyną, która była tak wzburzona, że mogło przyjść jej do głowy coś szalonego.

– W takim razie zapraszam panią na herbatę. – Zapłacił woźnicy, a potem odrzucił pledy i wygramolił się na chodnik.

Powietrze, które go owionęło, było tak mroźne, że drgnął. Szybko zapiął palto, a potem wyciągnął rękę do Leontyny. Kiedy wreszcie, szczelnie otulona futrem, zdecydowała się wstać z kanapy i stanęła na schodku, nie zważając na ból ramienia, wziął ją na ręce.

– Co pan robi?

– Nie pozwolę pani iść po lodzie w tych pantoflach.

Nie oponowała, a nawet zrobiła coś zaskakującego – objęła go za szyję. Przyciskając ją do siebie, podszedł do bramy, która o tej porze była zamknięta na głucho.

– Czy mogłaby pani wezwać stróża? – Ruchem głowy wskazał jej dzwonek.

– Tak. – Szybko pociągnęła za druciany uchwyt.



Na szczęście stary Marcin nie kazał długo na siebie czekać. Opatulony długą kapotą, posapując, wyszedł ze swojego mieszkania.

– Dobry wieczór panu komisarzowi – przywitał się uprzejmie, przekręcając klucz w zamku. Potem szarpnął mocno za klamkę i otworzył wejście na całą szerokość.

– Dziękuję – powiedział Aleksander. – Zapłatę dostaniecie jutro, nie mogę teraz sięgnąć do kieszeni.

– Mam pieniądze – powiedziała cicho Leontyna, wyciągnęła garść drobnych i podała Marcinowi, a potem, najwyraźniej zawstydzona, przytuliła twarz do kołnierza palta Aleksandra.

Stróż z zaskoczeniem przyglądał się im obojgu, ale nie odezwał się nawet słowem; już dawno temu przekonał się, że niewtrącanie się w sprawy policjanta z urzędu śledczego zwyczajnie mu się opłaci – policjant nie wtrącał się za to w jego rozliczne interesy, z których większość nie była zgodna z obowiązującym prawem.

– Proszę się nie obawiać – powiedział, kiedy zatrzymali się za drzwiami klatki schodowej i pozwolił jej stanąć na własnych nogach. – Marcin nikomu nie powie, nawet rządcy.

W milczeniu wspinali się na pierwsze piętro, a kiedy stanęli przed drzwiami mieszkania, wyjął klucz z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Pozwoli pani, że wejdę pierwszy? Zapalę lampę.

W mieszkaniu było na szczęście ciepło – córka Marcina porządnie napaliła w piecach. Pozostawił gościa na środku ciemnego przedpokoju i udał się na poszukiwanie lamp, myśląc jednocześnie, że Leontyna wygląda, jakby przestraszyła się swojego nieprzemyślanego czynku. Niewykluczone, że dopiero w tej chwili dotarło do niej, jakie popełniała szaleństwo, przychodząc w środku nocy do mieszkania samotnego mężczyzny. Właściwie był przygotowany, że kiedy odwróci się, już jej nie zobaczy. Zdjął palto i frak, którego nie znosił, ale nie chciał usmarować sadzą i rzucił je na oparcie jednego z krzeseł. Klnąc w myślach, bo zapalki, jak na złość, gasły jedna po drugiej, drżącymi rękami zapalił wszystkie trzy lampy stojące na komodzie.

Wyjrzał do przedpokoju i odetchnął z ulgą. Leontyna tkwiła bez ruchu w miejscu, w którym ją zostawił i wciąż miała na sobie pelisę.

– Proszę, niech pani wejdzie.

Bez słowa spełniła jego życzenie, ale tuż za progiem pokoju zatrzymała się znowu. Podszedł do niej i pomógł zdjąć futro.

– Proszę spocząć. – Wskazał fotel stojący przy samym piecu. – Myślę, że powinniśmy napić się gorącej herbaty.

Kiwnęła głową, a potem posłusznie usiadła i skuliła się na głębokim siedzisku.

Kiedy spotykali się ostatnio, sprawiała wrażenie silnej i zdecydowanej, ale teraz wydała mu się całkowicie bezbronna; kiedy na nią patrzył, krajało mu się serce. Znał możliwości jej matki, więc nie wątpił, że reprimenda, którą usłyszała, nie należała do łagodnych.

W milczeniu zabrał się do rozpalania ognia. Na szczęście stróżowna, która wiedziała, że lubi pić herbatę o różnych dziwnych porach, przygotowała odpowiednią ilość węgla drzewnych, a obok nich ułożyła porwane gazety. Aleksander znowu sięgnął po zapalki. Miał nadzieję, że węgle szybko zaczną się palić i nie będzie musiał robić przedstawienia, używając długiego buta jako miecha.

Walka z samowarem zajęła mu kilka minut – spalił przy tym połowę papieru – wreszcie węgle zapłonęły i wyglądało na to, że nie powinny zgasnąć. Odetchnął z ulgą, bo nie dość, że poszło mu w miarę sprawnie, to jeszcze jakimś cudem nie zasmolił koszuli.

– Ma pan wprawę – odezwała się wreszcie Leontyna, która najwyraźniej śledziła jego poczynania.

Odwrócił się i spojrzał na nią; wydawała się spokojniejsza i nawet policzki zaróżowiły się jej odrobinę.

– Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca – uśmiechnął się. – Może zgasnąć.

– Nie zgaśnie.

Czekając na herbatę, siedzieli w milczeniu, ale jemu nie przeszkadzało to wcale. Cisza, która między nimi zapadła, nie ciążyła. Wreszcie węgle zaczęły żarzyć się tak, jak trzeba, a woda zaszumiała.

– Zapraszam na herbatę – powiedział Aleksander, stawiając na stole szklanki z naparem. Wcześniej przyniósł z sąsiedniego pomieszczenia cukiernicę z odrąbanymi kawałkami białego cukru, dwa rodzaje konfitur i ciastka, co do których pochodzenia Leontyna nie miała najmniejszych wątpliwości.

– Widzę, że Agata bardzo się stara – westchnęła, siadając na krześle tuż obok niego.

– Mam nadzieję, że nie ma pani jej tego za złe?

– Gdybym nie tolerowała pomysłów Agaty, dawno musiałabym ją zwolnić. Zapowiedziała mi, zaraz po pańskiej pierwszej wizycie, że nie dopuści, żeby zmarnował się pan bez opieki.

– A mnie rozkazuje niczym generał. – Gospodarz się zaśmiał. – Za każdym razem powtarza, co powinienem, a czego nie mogę robić.

– A co pan, jej zdaniem, powinien? – spytała odruchowo.

Jego spokojna obecność, uwaga, jaką ją obdarzał oraz ciepło panujące w mieszkaniu sprawiły, że poczuła się lepiej. Słowa matki wydawały się tylko koszmarnym snem, a ciężar w piersi nieco zelżał. Wiedziała, że złość i strach wrócą, i to bardzo szybko, ale teraz starała się o nich nie myśleć.

– Poukładać sobie wreszcie życie.

Leontyna doskonale wiedziała, jak zdaniem starej służącej powinno wyglądać to poukładanie, więc pożałowała zadanego pytania. Na szczęście Aleksander nie zamierzał kontynuować tematu; była mu za to wdzięczna, gdyż był tak śliski, że nie powinni roztrząsać go nawet żartem. Nie potrafiła jednak przestać mu się przyglądać. Co więcej, miała ochotę dotknąć jego policzka, na którym pojawił się już lekki cień zarostu albo chociaż pieprzyka pod prawą brwią.

– Herbata stygnie – powiedział, podnosząc na nią wzrok.

Nie zdążyła odwrócić głowy i na moment uchwycił jej spojrzenie. Chcąc ukryć zmieszanie, sięgnęła po szklankę i upiła kilka łyków.

– Doskonała – rzuciła z przekonaniem. – Chyba nie piłam lepszej. To ze składów Sokołowa?

– Mój ojciec uważa, że dobra herbata pomaga rozwiązywać problemy. A że ja mam problemów bez liku, regularnie przysyła mi swoją najlepszą mieszankę.

– Cieszę się, że jednak doszli panowie do zgody.

– Okoliczności tej zgody były dosyć dramatyczne – uśmiechnął się gorzko – ale ojciec wreszcie zrozumiał, że nie będzie miał ze mnie pociechy. Mimo to dał mi drugą szansę, a ja znów ją zmarnowałem, żeby gonić za czymś, czego pewnie nigdy nie dostanę. Chyba jestem wybrakowany.

Aleksander potrafił mówić o uczuciach, ale przecież nie mogła pozwolić, aby powiedział zbyt wiele. Nie powinna też milczeć.

– Niczego panu nie brak. Jest pan najlepszym człowiekiem, jakiego znam – oświadczyła stanowczo. – Wielu mogłoby uczyć się od pana.

Łagodnym gestem przykrył jej dłoń swoją, a ona nie cofnęła się nawet o cal, choć jeszcze kilka dni temu, zrobiłaby to na pewno. Teraz czuła, że ten nieobliczalny rosyjski policjant, którego nie powinna w ogóle znać, jest jej bliższy niż własna rodzina. Niż ktokolwiek na świecie.

Wpatrywała się w jego pobladłą twarz i błyszczące oczy tak intensywnie, że przestała oddychać. Wreszcie musiała zaczerpnąć powietrza i rozchyliła usta.

To było tylko lekkie muśnięcie ciepłych, nieco spierzchniętych warg, ale drgnęła niczym rażona piorunem.

Aleksander, chyba wystraszony jej reakcją, odsunął się, ale nieznacznie. Dzieliła ich tak niewielka odległość, że na policzku wciąż czuła ciepło jego przyspieszonego oddechu. Zupełnie nie myśląc, co robi, zarzuciła mu ramię na szyję i przyciągnęła go do siebie.

Już po chwili znów czuła jego usta na swoich. Nie chciała – nie zamierzała protestować – w końcu tak długo na to czekała. Od spotkania w ratuszowym areszcie. A może jeszcze dłużej?

O Boże – westchnęła w duchu. Działo się z nią coś dziwnego i niezrozumiałego: nigdy wcześniej nie całowała się z nikim tak żarliwie. Tak zapamiętała. Miała wręcz wrażenie, że robi to pierwszy raz w życiu. Że wreszcie robi to naprawdę.

Zniknęły wszelkie wątpliwości. W tej chwili liczył się tylko niecierpliwy i wręcz zuchwały dotyk ust mężczyzny, który był tu razem z nią. Uścisk jego ramion. Uniesienie, jakiego nie znała. I ciepło rozlewające się gdzieś w środku.

Oderwali się od siebie, ale tylko po to, aby zaczerpnąć tchu. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, oboje oszołomieni tym, co się dzieje. A potem całowali się znowu. Szaleńczo i gwałtownie. Może przez kwadrans, może przez godzinę,

a może tylko przez dwie minuty – nie byłaby w stanie odpowiedzieć, ile naprawdę to trwało, gdyż czas nagle się zatrzymał.

Mogłaby zostać tu z nim na zawsze, ale przez oszołomienie przebił się wreszcie cichy głos rozsądku, a razem z nim obawa, że lada chwila zabrną tak daleko, że nie będzie już odwrotu. A do tego nie powinna dopuścić.

Z trudem wyplątała się z objęć Aleksandra; była tak zawstydzona własną słabością, że nie potrafiła spojrzeć mu w twarz.

– Przepraszam – odezwał się pierwszy schrypniętym głosem.

– Proszę nie przeproszać. – Odważyła się podnieść wreszcie głowę.

Był już mniej blady niż przed chwilą i z trudem próbował ukryć poruszenie. W oczach zaś miał coś takiego, że najchętniej posłałaby do diabła odzyskany właśnie rozsądek i znowu rzuciła mu się na szyję; naprawdę z trudem zdołała się powstrzymać.

– Błagam, nie róbmy tego więcej.

Nie odpowiedział. A ją, wbrew temu, co powiedziała głośno, cieszyło jego milczenie. Wszystko wskazywało, że akurat tego nie zamierzał jej obiecać.

Czas mijał, a oni siedzieli obok siebie, wciąż trzymając się za ręce. Leontyna zapomniała o okropnych wydarzeniach minionego wieczoru i myślała tylko o tym, że przeżywa właśnie najpiękniejsze godziny w życiu.

– Dlaczego pani za niego wyszła? – zapytał wreszcie tak cicho, że ledwie zdołała go usłyszeć.

– Matkę tak przeraziły pańskie oświadczenia, że postanowiła wydać mnie za mąż siłą. – Poczuli, że mocniej ścisnął jej dłoń.

– A więc małżeństwo z Burzyńskim to moja wina...

– Nie – zaprzeczyła żarliwie. – Sama zdecydowałam. Janusz... Janusz wybawił mnie od ślubu z czterokrotnym wdowcem.

– Po prostu skorzystał z okazji.

– Proszę tak nie mówić. – Nie chciała rozpamiętywać przeszłości. – Wszyscy mnie zawiedli... nawet pan się nie pojawił. Tylko on stanął po mojej stronie. I było mi z nim lepiej niż w rodzinnym domu.

– Nie wyobraża sobie pani, jak żałuję, że nie mogłem nic zrobić.

Leontyna, niewiele myśląc, dotknęła jego twarzy – czuła pod opuszkami ciepło skóry i lekkie ułtucia zarostu – a potem przyciągnęła go do siebie i bardzo mocno przytuliła.

# ROZDZIAŁ X

## I.

– Saszka! Co ty, do czorta, wyprawiasz?! – zapytał Langer, który wcale nie zamierzał ukrywać niezadowolenia. – Rzuciłeś przydzielone zadanie i wyszedłeś z balu, nie racząc się odmeldować.

Aleksander patrzył na zagniewane oblicze przełożonego i nie mógł opędzić się od wyrzutów sumienia: zawiódł zaufanie człowieka, który w najtrudniejszym momencie wyciągnął do niego rękę i pomógł wrócić do służby. Z drugiej jednak strony, nie umiał żałować żadnego z wydarzeń poprzedniego wieczoru i nocy.

– Przepraszam – powiedział, prężąc się słuźbiście. – Musiałem... musiałem zaopiekować się panią Burzyńską. Postawiłem ją w niezręcznej sytuacji...

– Widziałem – mruknął Langer. – Co cię opętało?! Nie miałeś tam tańczyć, tylko pilnować gości! Zachowałeś się jak smarkacz!

– Ręczę honorem, że to się nie powtórzy, ale...

– Ale co?!

– Wiem, nie powinienem był z nią tańczyć... ale pomyślałem, że może to jedyny raz w życiu. Tyle że ściągnąłem na nią gniew matki i nie mogłem zostawić samej. Przepraszam.

– Saszka, jesteś jednym z moich najlepszych śledczych – oświadczył Langer – ale nie licz na taryfę ulgową. Masz szczęście, że żaden z agentów nie narozrabiał na balu, więc jeszcze ten raz mogę ci darować. Ale to ostatni. – Uniósł ostrzegawczo palec. – Nie będę tolerował braku subordynacji! Zrozumiano?!

– Tak jest.

Langer nie spuszczał z niego badawczego spojrzenia, więc wciąż stał na baczność i z każdą chwilą czuł się coraz bardziej zdeprimowany tym niezwykle zainteresowaniem.

– Do tego wyglądasz jak śmierć na chorągwi – powiedział wreszcie szef. – Masz kaca?

– Nie spałem w nocy – rzucił pospiesznie, ale zaraz się speszył, ponieważ dotarło do niego, jakie wnioski Adam mógł wyciągnąć z tej odpowiedzi. – Rozmawialiśmy.

– Liczę, że wasze rozmowy zakończą się ślubem i będzie wreszcie spokój.

– Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy.

– Oby w zgodzie z regulaminem – rzucił Langer, kręcąc głową. – Pamiętaj, dostałeś ostatnie ostrzeżenie!

Dyskretnie odetchnął z ulgą; Adam powiedział wszystko, co powinien powiedzieć w takiej sytuacji, ale nie zamierzał w żaden sposób pociągnąć go do odpowiedzialności. Poprzedni naczelnik urzędu za złamanie rozkazu natychmiast kazałby mu wynosić się na cztery wiatry. Nieoczekiwanie przypomniał sobie ostatnią rozmowę z radcą Korolewem, w trakcie której dowiedział się, że stracił nie tylko Leontynę, ale także pracę.

– Aha, załatw też sprawę z Szustrem. Zły był jak osa, a jeszcze cię bronił. Świętej cierpliwości człowiek. – Langer wyglądał na nieco rozbawionego.

– Załatwię.

– A teraz kończ na dzisiaj wzdychanie do panny Leontyny i bierz się do roboty! Czas mija, a podejrzanych ani widu, ani słyhu. Oberpolicmajster zaczyna się niepokoić. – Sięgnął po teczkę, która leżała na samym szczycie góry akt zaścielających jego biurko. – Rączka przyniósł to dla ciebie i był z czegoś bardzo zadowolony.

Aleksander zajrzał do środka i odruchowo zaczął przerzucać kartki; były to szczegółowe raporty kolejnych agentów. Nie zamierzał studiować ich w gabinecie wiceszefa urzędu, ale w roztargnieniu rzucił okiem na ostatni dokument podpisany przez Rączkę, jak zawsze, pełen błędów.

Przez chwilę wpatrywał się z niedowierzaniem w jego treść.

– *Job twoju...*

– Woronin! – Langer przywołał go do porządku, zanim zdążył skończyć zdanie.

– Co ty sobie wyobrażasz?

– Przepraszam – zmitygował się natychmiast. – Syn Majerowej skłamał w kwestii alibi. Pozwolisz, że się odmelduję?



Adam twierdząco kiwnął głową, więc Aleksander nie czekając dłużej, wyleciał z gabinetu jak z wystrzelony armaty.

## 2.

Leontyna spała tylko trzy godziny, ale i tak czuła się lepiej niż po wielogodzinnym nerwowym wierceni się w łóżku, przerywanym krótkimi chwilami męczącego snu; ostatnimi czasy takie noce zdarzały się jej coraz częściej. Tym razem zasnęła, kiedy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Była okrutnie zmęczona.

Po przebudzeniu leżała przez jakiś czas z zamkniętymi oczami i myślała o Aleksandrze. O jego przystojnej twarzy, na której tak wyraźnie malowały się wszystkie uczucia. O dużych oczach ozdobionych niewiarygodnie długimi rzęsami: gdy zakłopotany lub czymś poruszony opuszczał powieki, wyglądał jak zagubiony chłopiec, a jej krajało się serce. O ciepłe dotyku i sile, z jaką ją obejmował. O smaku jego ust... O tym, jak dobrze i bezpiecznie czuła się w jego ramionach.

Wiedziała, że postąpiła niewłaściwie, idąc w środku nocy do jego mieszkania. A skoro już poszła, powinna teraz na kolanach błagać Boga o wybaczenie. On, w przeciwieństwie do matki, być może odpuściłby jej winę.

Nadal nie otwierając oczu, zastanawiała się, jakby to było, gdyby mogli pokazać się razem publicznie, nie wzbudzając skandalu? Gdyby na ich ślub – trudno, nawet w cerkwi – przyszła cała rodzina i złożyła życzenia wszystkiego najlepszego? Gdyby matka traktowała Aleksandra tak samo jak Janusza? Gdyby znajome damy, zamiast plotkować po kątach o karygodnym mezaliansie, zapraszały ją na herbatę? Gdyby mogli żyć zwyczajnym życiem. Razem.

Niestety, jeżeli zdecydowałyby się na związek z Aleksandrem, rodzina i znajomi rzuciliby się nią i rozszarpali na strzępy. Niewykluczone, że Amelia zrobiłaby z niej szaloną i kazała zamknąć w zakładzie. Zabraliby jej dziecko.

„Ty powinnaś umrzeć, a nie Ludwik!” – właśnie tak powiedziała matka. Mocno zacisnęła powieki i wstrzymała oddech, nie chcąc rozplakać się w głos.

Zawsze wiedziała, że jest najmniej kochanym dzieckiem w rodzinie – nie wyróżniała się charyzmą i mocnym charakterem, jak brat, ani urodą i czarem, jak

Helena. W oczach rodzicielki – a tym samym i swoich – nadawała się wyłącznie do pilnowania służby i rozliczeń z kucharką. Nie zasługiwała na nic więcej.

Tylko ojciec – czym by nie zawinił – okazywał jej rodzicielskie uczucia i niekiedy stawał po jej stronie; po raz pierwszy od lat pozwoliła sobie za nim zatęsknić.

Lekko skrzypnęły drzwi, więc otworzyła oczy. Kazia przyniosła jej śniadanie do łóżka: najwyraźniej Agata musiała dojść do wniosku, że pani źle się czuje.

Nie była głodna, ale zjadła prawie całą porcję; wiedziała, że w innym wypadku kucharka zjawi się w sypialni osobiście, aby sprawdzić stan zdrowia chlebowodziny, a potem zacznie kurować ją po swojemu – gorzalką z pieprzem.

Wstała, kiedy dochodziła jedenasta. Odbyła poranną toaletę i przy pomocy pokojówki ubrała się i uczesała, a potem udała się do Joasi, która akurat tego dnia nie miała lekcji; pannie Eryce wypadła pilna sprawa rodzinna i poprosiła o wolne.

Spędziła z córką prawie dwie godziny na zabawie i lekturze bajek Mickiewicza, które mała uwielbiała i w większości znała na pamięć. Później zaś, już po obiedzie, dziewczynka pod opieką bony wybrała się na ślizgawkę do Ogrodu Saskiego, a ona znowu została sama ze swoimi myślami, którymi była już zmęczona. Korzystając z tego, że Kazia robiła akurat porządki w pokoju Joasi, poszła do kuchni, aby poprosić Agatę o jeszcze jedną filiżankę kawy.

Służąca, która zabierała się akurat do szykowania ciastek na podwieczorek, przerwała pracę i wprawnie przygotowała napój, a potem zapytała:

- Zanieść pani filiżankę do jadalni czy do pokoju?
- Niech Agata się nie trudzi, wypiję tutaj. Chyba że przeszkadzam?
- Póki mi się pani nie wtrąca do roboty, to nie.

Uśmiechnęła się pod nosem, a potem upiła łyk doskonałej kawy; Agata miała niewyparzony język, ale była skarbem, nie kucharką.

Coś chyba chodziło jej po głowie albo mocno martwiło, bo zamiast zabrać się do zagniatania drożdżówki, wciąż stała na środku kuchni i przyglądała się chlebowodziny z udawaną dezaprobatą, która ukrywała troskę. Wreszcie zebrała się na odwagę i oświadczyła poważnym tonem:

- Pani wie, że u mnie co w sercu, to na języku.
- Wiem. Bardzo sobie cenię Agaty szczerłość.

– To powiem, co myślę, bo dłużej nie zdzierzę. Jak pani się nie spodoba, najwyżej mi wymówi.

– Agata doskonale wie, że jej nie wymówię – powiedziała z naciskiem; już kilka razy przekonała się, że dzięki trzeźwemu osądowi i niewzruszonym zasadom, kucharka potrafiła trafić w sedno problemu, nad którym ona głowiła się przez tydzień. – Niech Agata mówi.

– Tak sobie myślę... Od kiedy zjechałyśmy z tej Rosji, marnieje pani z dnia na dzień. Niedługo nic z pani nie zostanie.

– Czuję się dobrze, powinnam tylko odpocząć – próbowała zaprotestować, ale zaraz umilkła, ponieważ służąca zmierzyła ją spojrzeniem pełnym politowania.

– Pani myśli, że nie wiem? Że to wszystko przez matkę i przez świekre? Do czego to podobne, żeby jeździły po pani jak po łysej kobyle?! Nieraz słyszałam, co wygadują i chciałam brać miotłę w garść.

Leontyna poczuła ucisk w gardle. Zresztą i tak nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała Agacie za złe tych słów. Co więcej, w duchu przyznawała jej rację i była wzruszona, że służąca tak przejmuje się jej losem i zdrowiem. Nie umiała jednak skrytykować rodzicielki – tak została wychowana. Albo może wytresowana?

– Karnawał kończy się niedługo – wyszeptwała wreszcie – matka wyjedzie z wujem na wieś.

– Świekra zostanie. – Agata wciąż świdrowała ją wyblakłymi niebieskimi oczami. – I będzie panią męczyć, póki nie zabierze małej. Wspomni pani moje słowa.

Wyraziła głośno to, czego Leontyna bała się najbardziej na świecie.

– Trzeba pani za męża. I to jak najszybciej! – Służąca, niezrażona brakiem odpowiedzi, kontynuowała swój wywód: – I pani dobrze wie za kogo.

– Dlaczego Agata uważa – z trudem zdołała wykrztusić pytanie – że powinnam wyjść... za niego?

– Robi w policji, zaraz przegoni obie damule.

Nie miała wątpliwości, że Aleksander mógłby to zrobić. Gdyby tylko go poprosiła. Tyle że nie chciała takiej pomocy – ingerencja policjanta byłaby kijem w mrowisko. Na jeden znak ciotki Oktawii warszawskie plotkarki rzuciłyby się jej do gardła. Poza tym po czymś takim nie umiałyby spojrzeć w oczy pani

Wyrzykowskiej, którą zaledwie kilka dni temu przekonywała, że nie ma nic wspólnego z Woroninem. Swoją drogą, jak w ogóle mogła tak skłamać?

– To nie jest wcale proste – westchnęła, w pośpiechu szukając argumentów, które przekonałyby upartą służącą. – Agata wie, że ja chyba nie nadaję się na żonę.

– Oleś jest tak za panią, że nie będzie zważał na nic – powiedziała kucharka, a jej twarz nagle złagodniała: – To porządny człowiek. I wiem, co mówię, bo znam się na chłopach! Żaden, u którego byłam w obowiązku, nie považał mnie tak jak on. Nawet paniny mąż... Świeć, Panie, nad jego duszą. – Przeżegnała się pospiesznie.

– Nie wyjdę przecież za Rosjanina – rzuciła z rozpaczą, nie mogąc uwierzyć, że to dzieje się naprawdę: oto siedziała we własnej kuchni, dyskutując z kucharką o ewentualnym ślubie z Woroninem. Matka, gdyby dowiedziała się o tym, pewnie potrzebowałaby podwójnej dawki laudanum. – Zwłaszcza za takiego, który wcale nie poprosił mnie o rękę.

– Poprosi – rzuciła Agata z niezachwianą pewnością. – A jakże by inaczej.

– Nie mogę wyjść za Moskala – powtórzyła z rozpaczą.

– Sama pani wie, że niejedyn raz chciałam dać nogę z Rosji, bo nie cierpię tego ichniego gadania, ale Oleś to co innego. On jest nasz.

– Nie jest – odparła stanowczo. – Ma swój język, swoją historię, swoje zwyczaje i swoją religię. Uważa, że władza cara pochodzi od Boga, a jeśli coś zacznie dziać się w Warszawie, to dostanie rozkaz i będzie strzelał do Polaków. Albo łapał i wsadzał do Cytadeli.

– Prędeż sobie w łeb palnie, niż usłucha – uświadomiła ją natychmiast kucharka.

– Ma Agata rację. Prędeż się zabije, niż otwarcie wypowie posłuszeństwo carowi i władzy. To takie rosyjskie...

– On zrobi dla pani wszystko – upierała się stara służąca – nawet innego Moskala ubije. Tego tam u siebie w domu zastrzelił, bo nie dość, że na niego nastawał, to jeszcze wygrażał pani i całej rodzinie. Nic dziwnego, że Oleś wyszedł z nerw.

– Skąd Agata wie? – Wbiła w kucharkę zdumiony wzrok. Chciała dowiedzieć się czegoś o tragicznych wydarzeniach sprzed siedmiu lat, ale Paszkiewicz nie mógł jej o tym opowiedzieć, a nie śmiała zapytać Woronina.

– Jego ojciec zaraz nabrał adwokatów, także paninego Paszkiewicza. Choć ten to wziął się sam, jak tylko mu powiedzieli, co zaszło... Słyszałam, jak rozmawiał z takim jednym starszym z policji i z tą lafiryndą... znaczy śpiewaczką. Przyleciałam z samego rana, bo akurat był mój dzień, a tam kipisz do sufitu i policajów jak karaczanów, to i dowiedziałam się niechcący tego i owego, bo na służbę nikt nie baczy.

Leontyna nie wiedziała, co powiedzieć, więc aby ukryć wzburzenie, sięgnęła po kawę, która zdążyła już wystygnać i wypila ją duszkiem.

### 3.

Woronin wpatrywał się uważnie w Seweryna Jedlińskiego, który siedział naprzeciwko niego po drugiej stronie biurka. Syn Majerowej wyglądał o wiele gorzej niż poprzednim razem; zmizerniał tak, że jego ciemne oczy – podkrążone, jakby nie spał od kilku dni – zdawały się ogromne jak talerze, a blada twarz, wokół której zwisały smętne czarne kosmyki włosów, domagała się natychmiastowego spotkania z brzytwą. Obrazu nędzy i rozpaczki dopełniało wymięte i nieszczególnie świeże ubranie. Na dodatek Seweryn zachowywał się tak, jakby nadal spał. Cóż, policjanci, których wysłał po niego Aleksander, wyciągnęli go z łóżka dokładnie w takim stanie i natychmiast zabrali do urzędu. Brak woni alkoholu wskazywała, że za sponiewieranie młodego człowieka nie odpowiada gorzałka, tylko coś innego.

– Przepraszam, że wezwałem pana w takim tempie – zaczął spokojnie Woronin – ale minęło już południe, więc miałem prawo przypuszczać, że pan nie śpi... po drugie, mam do pana kilka niecierpiących zwłoki pytań.

Seweryn lypnął na niego przekrwionymi, nienaturalnie matowymi oczami, ale nic nie powiedział.

– Jest pan chory?

Na to pytanie Aleksander też nie doczekał się odpowiedzi, więc zaklął w duchu. Nie miał jednak zamiaru rezygnować.

– Panie Jedliński – zaczął mniej przyjaźnie niż do tej pory. – Podczas poprzedniej rozmowy powiedział pan, że dzień zabójstwa matki spędził pan

w Łodzi. Nie wiem, jakie interesa zatrzymały tam pana, ale musiały być bardzo tajemnicze, bo żadna z osób, z którą rzekomo miał pan się spotkać, nie może sobie tego przypomnieć. Owszem, widzieli się z panem, ale kilka dni wcześniej... Czyżby jakieś omamy? Tylko, czy ich, czy pańskie?

Seweryn wpatrywał się w niego, mrugając nieustannie i chyba wreszcie zaczynało do niego docierać, gdzie się znajduje, z kim rozmawia i co się dzieje. Woronin był coraz bardziej zirytowany, ale jeszcze nie tracił cierpliwości, zaś Frołow, który spisywał protokół, przyglądał się przesłuchiwanemu z wyraźnym niedowierzaniem.

– Pytam ponownie: gdzie pan był i co robił w ten wieczór, kiedy zginęła pańska matka?

Jego rozmówca ukrył twarz w dłoniach; przez czas jakiś tkwił w bezruchu, wreszcie, gdy Aleksander zaczął już irytować się nie na żarty, podniósł głowę i potrząsnął nią kilka razy, jakby tym sposobem zamierzał doprowadzić się do przytomności.

– Skąd tu się wziąłem? – spytał wreszcie ochryplym głosem. – Czego pan ode mnie chce?

Woronin wznosił oczy do nieba – to znaczy do sufitu – a potem bardzo wyraźnie powtórzył:

– Gdzie pan był i co robił w wieczór śmierci matki? Pańskie alibi jest fałszywe.

– Gdzie jest w takim razie mój adwokat? – Jedliński odpowiedział pytaniem na pytanie; wyglądał przy tym zdecydowanie przytomniej. – Bez niego nie powiem ani słowa.

Powiedziawszy to, opuścił głowę na piersi i po chwili w sali przesłuchań rozległo się donośne chrapanie.

Woronin nie miał zamiaru hamować się ani chwili dłużej: zaklął paskudnie w głos.

#### 4.

Matka wydzwaniała przez całe popołudnie, więc Leontyna, dla świętego spokoju, zgodziła się przyjść do niej na herbatę. Przez chwilę miała nadzieję, że rodzicielka

zamierza przeprosić ją za słowa wypowiedziane na sali balowej, ale szybko zesłała na ziemię z wyżyn imaginacji i pobożnych życzeń: najprawdopodobniej czekała ją awantura, której i tak nie zdoła uniknąć. Lepiej mieć ją czym prędzej za sobą.

Zaczynała żałować, że wróciła do Warszawy. I nie, wcale nie chodziło o Aleksandra – po prostu traciła cierpliwość do wysłuchiwania wiecznych pretensji i żalów.

Punktualnie o czwartej po południu zapukała do drzwi mieszkania na Królewskiej. Przez chwilę chciała zawrócić i ukryć się gdzieś, gdzie rodzicielka nigdy jej nie dopadnie.

Otworzyła wzburzona Pelagia, która na jej widok zdenerwowała się jeszcze bardziej:

– Matko Boska, co panienka tu robi?!

– Coś się stało? – zaniepokoiła się natychmiast Leontyna, wchodząc do przedpokoju.

– Matko Boska – powtórzyła szeptem pokojówka, składając ręce jak do modlitwy: – Po co panienka przyszła? Proszę szybko uciekać, bo rozerwą panienkę na strzępy.

Zdumienie odebrało jej mowę: Pelagia była wcieleniem spokoju i nigdy nie zachowywała się w taki sposób.

– Niech panienka stąd idzie. – Służąca mocno chwyciła ją za rękaw i popchnęła w stronę wyjścia. – Już.

Nie zdążyła jednak skłonić osłupiałej Leontyny do opuszczenia mieszkania, ponieważ Amelia wyjrzała akurat z salonu; miała przy tym taki wyraz twarzy, że jej córka pojęła natychmiast, przed czym próbowała ustrzec ją Pelagia oraz własne przeczucia.

– Dobry wieczór – powiedziała, starając się zachować spokój. Nie chciała dać się sprowokować. – Przyszłam, jak mama sobie życzyła.

Drżącymi rękami rozpinała haftki futra; bliska łez pokojówka pomogła jej zdjąć okrycie, a potem odwiesiła je do szafy. Leontyna nie ruszała się zaś z miejsca, czekając, aż matka odezwie się pierwsza; sama nie zamierzała niczego jej ułatwiać.

– Chodź tutaj – powiedziała głucho Amelia, cofając się do pokoju. – Musimy porozmawiać.

Wmaszerowała do salonu z podniesioną głową i zaciśniętymi pięściami, ale kiedy dostrzegła, że czeka tam na nią Oktawia, poczuła ukłucie strachu.

– Jesteś wreszcie – powiedziała ciotka na jej widok. – Nie spieszyłaś się za bardzo.

Leontyna jeszcze mocniej zaciśnęła pięści; taki ton głosu zawsze przyprawiał ją o przyspieszone bicie serca.

Tymczasem matka dokładnie zamknęła drzwi na korytarz, a potem podeszła do niej szybkim krokiem i bez słowa wymierzyła jej siarczysty policzek.

Szok sprawił, że Leontyna nie poczuła bólu i tylko ciepły strumień, który popłynął po twarzy, świadczył o tym, że Amelia, którymś z ciężkich pierścieni, rozcięła jej skórę pod okiem.

Zamrugła i odruchowo dotknęła rany. Krew. Naprawdę. Powinna sięgnąć po chusteczkę, ale miała wrażenie, że nie zdoła się poruszyć. Nie mogła też wykrztusić ani słowa.

– Cała Warszawa mówi, że opuściłaś wczorajszy bal z obcym mężczyzną – poinformowała ją lodowato matka. – Cała Warszawa! Mało ci, że zmarnowałaś przyszłość Heleny?! Chcesz teraz zniszczyć reputację Krystyny i Celi?

Leontyna wciąż nie była w stanie otworzyć ust.

– Na szczęście jeszcze nikt nie dopatrzył się, że to Moskal. I policjant!

– Bezwstydnicą – syknęła Oktawia, podnosząc do oczu lorgnon. – Mój syn przewraca się w grobie. Wuj o mało nie dostał apopleksji, kiedy usłyszał, co wyprawiasz.

– Zerwiesz kontakty z tym człowiekiem. – Matka znowu przejęła pałeczkę. – Nigdy więcej nie spotkasz się z nim. I zaraz wyjedziesz.

– Dokąd? – Zdołała wreszcie odzyskać głos.

– Za granicę. Im dalej, tym lepiej. I nie wrócisz, dopóki ten Moskal będzie w mieście!

Amelii najwyraźniej nie przyszło do głowy, że Aleksander był zdolny do tego, aby rzucić pracę i natychmiast pojechać za nią. Wolą jej nie uświadamiać.

Przymknęła oczy, starając się oddychać regularnie. Musiała uspokoić rozkołatane serce, pozbyć się obręczy ściskającej gardło.



– Oczywiście Joanna zostanie ze mną – poinformowała ją Oktawia, z triumfem, którego nawet nie próbowała ukryć. – Gdyby Janusz zobaczył, co wyprawiasz, sam by ją zabrał.

Słowa wypowiedziane przez ciotkę były niczym uderzenie obuchem w głowę. Natychmiast ogarnęła ją złość.

– Nie zrobiłam nic złego – powiedziała twardo. – Nigdzie się nie wybieram, a Joasia zostaje ze mną. I nie zamierzam o tym dyskutować ani z ciocią, ani z nikim innym. – Spojrzała znacząco na matkę, która poruszyła się tak, jakby miała zamiar uderzyć ją po raz drugi. Nie zrobiła tego jednak, tylko powiedziała:

– Zrobisz, co każemy.

– Właśnie – potwierdziła skwapliwie Oktawia.

– Czy to groźba?

– Ostrzeżenie. – Ciotka podeszła do niej i spojrzała w twarz; w jej wzroku widać było determinację. – Posłuchaj uważnie... jeśli nie dostaniemy wnuczki, Ksawery zrobi wszystko, żeby cię zrujnować. Wrócisz do matki i będziesz żyła na jej łasce.

– Za późno – odparła zimno Leontyna. – Sprzedałam firmę razem z marką i całym zapasami zboża. Dostałam...

– Co takiego?! – Ciotka dotknęła ręką lewej piersi i opadła na kanapę.

– Dostałam bardzo dobrą cenę – kontynuowała, nie zważając na to. – Pieniądze, z podziałem na część moją i Joasi, wpłaciłam do kilku banków. Na razie na procent, ale niedługo w coś je zainwestuję.

Nie była to prawda, za mało czasu upłynęło, aby Paszkiewicz zdążył uwinąć się ze sprzedażą. Musiała więc nakłamać, aby Burzyńscy nabrali przekonania, że już nic nie da się zrobić; przynajmniej dopóki wuj nie dowie się od odeskich kupców, że do transakcji jeszcze nie doszło.

– Jak mogłaś zrobić coś takiego? – oburzyła się matka. – Bez pytania o pozwolenie?!

– Janusz przekazał mi nie tylko opiekę nad córką. – Spojrzała hardo na rodzicielkę. Wreszcie udało się jej na to zdobyć. – Ale i nadzór nad całym majątkiem. Bezwarunkowy.

– Ukradłaś! – Ciotka, do której wreszcie dotarło znaczenie słów synowej, natychmiast odzyskała siły; zerwała się z kanapy i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. – Ukradłaś cały majątek. Cały! Co do grosza! – Zatrzymała się naprzeciwko

Leontyny, popatrując na nią wściekle. – Dlatego za niego wyszłaś! Chodziło ci o pieniądze? Przyznaj się, że go zabiłaś! Mojego jedyne go syna... – Podniosła rękę, jakby chciała rzucić się na nią z pazurami. – Ty wywłoko!

– Oktawio! – rzuciła ostro Amelia. – Miarkuj się!

Leontyna odsunęła się od ciotki, próbując stłumić łkanie. Oktawia dalej miotła się po pokoju.

– Złodziejka!

– Zapominasz, droga siostrze, że Janusz zainwestował w swoją firmę cały posag Teni.

– Teraz chcesz ukraść dziecko! – Burzyńska nie zwracała uwagi na słowa siostry. – Wpędzisz mnie do grobu jak Janusza! Ty...

– Już mówiłam. – Leontyna szybko wytarła załzawione oczy; kiedy opuściła rękę, dostrzegła na niej rozmazaną krew. Zapomniała o niej. – Janusz chciał, żebym wychowywała Joasię. Jest moją córką.

– Akurat! – Ciotka nagle zaśmiała się urągliwie. – Nie jest! Nigdy nie będzie! Chcesz ją zatrzymać, bo nie masz swoich dzieci! Nie umiałaś urodzić! Co z ciebie za kobieta?!

Mocno uchwyciła się oparcia krzesła, ponieważ nagle zrobiło jej się słabo. Oktawia uderzyła w najczulszy punkt. Celnie. Nawet matka drgnęła nerwowo: zapewne nie spodziewała się, że awantura przyjmie taki obrót i siostra poruszy kwestię, która w rodzinie stanowiła tabu.

W czasie trwania małżeństwa Leontyna straciła dwoje dzieci. Drugie poronienie, na rok przed śmiercią Janusza, przyplaciła ciężką chorobą; mąż, nie bacząc na koszty, zwoził do niej profesorów medycyny z samego Petersburga. Po kilku miesiącach wydobrzała, ale żaden z lekarzy nie mógł jej obiecać, że kiedyś urodzi, ale – z drugiej strony – żaden nie odbierał też nadziei na macierzyństwo. Miała czekać, co przyniesie czas. Oktawia zaś przyjęła jej bezpłodność za pewnik.

Spojrzała na ciotkę, która wyraźnie była pewna zwycięstwa.

Niedoczekanie! Nie zamierzała pozwolić, aby ktokolwiek nią pomiatał. Nigdy więcej. Oktawia przekroczyła wszelkie granice i już nie należał się jej szacunek.

– Ciocia jest podła!

– Jak śmiesz?! – Burzyńska poczerwieniała z oburzenia, a matka nie odezwała się nawet słowem, stała tylko na środku pokoju i wpatrywała się w córkę

z otwartymi ustami. Najwyraźniej Leontynie udało się wreszcie ją zaskoczyć.

– Czy mama albo ciocia, życzą sobie coś jeszcze?

Żadna z matron nie spieszyła się z odpowiedzią, za to do pokoju wszedł nieoczekiwanie wuj, który zapewne przed chwilą wrócił do domu.

Popatrzył na zapłakaną i usmarowaną krwią pasierbicę, wściekłą szwagierkę i milczącą żonę, a potem odważył się zapytać ze zdumieniem wymieszanym z obawą:

– Na miłość boską, co się dzieje?

– Nic – odparła Amelia ze spokojem godnym matki spartanki.

– Przecież widzę – upierał się Witold. – Tu trwa awantura, tam – wskazał drzwi na korytarz – moje córki podsłuchują przez ścianę, a Pelagia ryczy w kącie, jakby ktoś umarł! Chciałbym usłyszeć jakieś sensowne wyjaśnienia.

– Nic się nie stało, mój drogi. Omawiamy rodzinne sprawy.

– Omawiacie? – Uniósł brwi. – W takim razie kto pobił Tenię?

– Nikt jej nie pobił – oburzyła się teatralnie Oktawia. – Miała tylko drobny wypadek.

Ojczym nie wyglądał na przekonanego i wciąż wyczekująco wpatrywał się w małżonkę, natomiast Leontyna uznała, że powinna wyjść stąd jak najprędzej, zanim rozmowa zbroczy na niebezpieczne tory.

– Uderzyłam się przez nieuwagę – skłamała bez mrugnięcia okiem. – I niech wujek pozwoli, że się pożegnam.

Opuszczały ją siły, ale jakimś cudem dała radę ruszyć w kierunku wyjścia. Zdezorientowany Witold odruchowo usunął się jej z drogi. A kiedy w końcu znalazła się na korytarzu, zamknęła za sobą drzwi i natychmiast usłyszała podniesione głosy. Najwyraźniej gospodarz zamierzał bezwzględnie dowiedzieć się czegoś więcej na temat niepokojących wydarzeń; w końcu on też należał do rodziny.

W holu nie zauważyła podsłuchujących dziewcząt, za to, nieopodal gabinetu wuja, czekała blada i zapłakana Pelagia.

– Daj... daj mi futro.

– Nie może panienska wyjść w takim stanie – jęknęła pokojówka, pospiesznie ocierając oczy wierzchem dłoni. – Zaraz wracam. – Odwróciła się i potruczała

w stronę kuchni.

Leontyna wcale nie zamierzała na nią czekać; było jej wszystko jedno jak wygląda. W ogóle było jej wszystko jedno. Podeszła więc do szafy, wyciągnęła okrycie i zarzuciła je na ramiona, a potem chwyciła kapelusz i wyszła na klatkę schodową.

Nie pokonała nawet połowy kondygnacji, kiedy Pelagia wypadła z mieszkania ze zwitkiem białej materii w garści.

– Niech panienka zaczeka!

Zawahała się i na moment przystanęła. Akurat tyle czasu potrzebowała pokojówka, aby ją dogonić.

– Dobrze. Już dobrze – powtarzała. – Zaraz wyczyścimy.

Zwitek materii okazał się wilgotną ścierką, którą Pelagia zaczęła ostrożnie przemywać jej twarz; rozcięcie pod okiem zapiekło boleśnie.

– Będzie widać przez kilka dni – zmartwiła się służąca, nie przerywając swojego zajęcia. – No, może być. – Z zadowoleniem przyjrzała się swojemu dziełu.

– Dziękuję – szepnęła Leontyna.

– Musi panienka się ubrać. – Pelagia pomogła jej włożyć i zapiąć futro oraz przypiąć kapelusz. – Może odwieźć panienkę do domu? W takim stanie lepiej nie jechać samej.

– Dam sobie radę – powiedziała stanowczo. – Nie chcę, żebyś wpadła w kłopoty.

– Jest panienka pewna?

– Stróż znajdzie mi dorożkę, a ty wracaj do domu, zanim pani się zorientuje. Jeszcze raz dziękuję. – Uścisnęła na pożegnanie rękę pokojówki, a potem, nie oglądając się za siebie, ruszyła na dół. Na zewnątrz narzuciła kaptur na głowę.

Na szczęście stróż akurat oczyszczał podjazd ze świeżego śniegu i kiedy poprosiła go o pomoc, zaraz udał się na poszukiwanie odpowiedniego pojazdu, a ona postanowiła zaczekać w bramie.

Z każdą chwilą robiło się coraz zimniej, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Miała wrażenie, że nic nie czuje – ani chłodu, ani złości, ani chęci do dalszego życia. Nie wiedziała, jak powinna teraz postąpić: czy wrócić, ukorzyć się, przeprosić matkę i zyskać odrobinę spokoju, czy może jednak postawić na swoim?

Nie, tym razem postąpi po swojemu... Chyba była wybrakowana. W taki sposób, jak rozumiał to Aleksander.

Nagle ze wszystkich sił zapagnęła go zobaczyć. Usłyszeć jego głos. Dotknąć. Przytulić. Przekonać się, że naprawdę ma na tym świecie kogoś bliskiego.

Dorożka zatrzymała się przed bramą, a ona zrozumiała, że nie zdoła zwalczyć tej pokusy. Trudno, niech dzieje się, co chce.

## 5.

– Mówię ci, to na pewno morfinista! – oświadczył dobitnie Woronin. – Albo i co gorszego. Dlatego musisz wystawić nakaz aresztowania! Jak posiedzi kilka dni w celi na pusto, zaraz przypomni sobie, co trzeba.

– Chcesz znęcać się nad człowiekiem? – zainteresował się chłodno Szuster. Widać było, że wczorajsza złość wcale mu nie przeszła. – Oszalałeś?

– Ten człowiek to jedyny spadkobierca swojej matki, a do tego ma fałszywe alibi. Chcę wiedzieć, co naprawdę robił w dniu zabójstwa.

– No proszę – mruknął Jerzy z ironią. – A już myślałem, że nie obchodzi cię śledztwo.

– Obchodzi mnie! I to bardzo. Chcę wykluczyć lub potwierdzić winę Jedlińskiego. Zawsze to będzie krok do przodu.

– Sugerujesz, że stoję w miejscu? – Najeżył się Szuster.

– Od samego początku wydawało mi się, że robimy tę robotę razem – zdziwił się Aleksander. – A tu wygląda, że zmieniłeś zdanie. Szkoda tylko, że nie raczyłeś mnie poinformować. Zająłbym się czymś innym.

– Na przykład bieganiem za Leontyną? Nie trzymasz się żadnych zasad. Robisz, co chcesz. Z tobą nie da się pracować!

– Leontyny w to nie mieszaj. Zrobiłem, co powinienem. Sam kiedyś zobaczysz.

– Nie sądzę – rzucił z przekąsem Jerzy. – A nawet jeśli, życie prywatne będę prowadził po godzinach pracy. Każda sprawa ma swoje miejsce i czas!

– Ty masz w ogóle jakieś „po godzinach pracy”? – Nie wytrzymał Aleksander. – Myślałem, że tu mieszkasz – rozejrzał się dokoła – i śpisz na papierach.

– Chcę znaleźć mordercę.

– To wystaw nakaz aresztowania – powtórzył uparcie Woronin. – Muszę odciąć Jedlińskiego od morfiny... albo innego świństwa, które bierze. Dopiero tak skłonię go do zeznań. Po dobroci nic nie powie. Wiem, bo rozmawiałem z jego adwokatem. To jakiś buldog! Myślałem, że przegryzie mi tętnicę.

– Nie mam podstaw wystawić nakazu. Nie zrobię tego na wyrost.

– Fałszywe alibi nie wystarczy? Zresztą jak potrzebujesz, zaraz ci przygotuję listę poszlak.

– Jedlińskiego nie było w Resursie. Nawet w okolicy nikt nie widział go na oczy. Nie zamknę człowieka dla twojego widzimisie. W odróżnieniu od ciebie mam zasady i nie zamierzam ich łamać.

– Osiem lat temu nie miałeś jakoś oporów – przypomniał mu natychmiast Aleksander. Upór Jerzego zaczynał doprowadzać go do szału: za długo pracował w policji, aby ludzić się, że wszystko da się załatwić uczciwie.

– Wtedy to było co innego – oświadczył Jerzy z przekonaniem. – Chodziło o sprawiedliwość. Każdy dostał to, co mu się należało.

– A teraz niby o co chodzi? Myślisz, że sprawia mi frajdę zamykanie ludzi w pudle bez dowodów? Nie chcę długo go trzymać – dodał nieco spokojniej – tylko tyle, ile trzeba.

– Nie ma mowy, nic nie wystawię. I to moje ostatnie słowo! Znajdź inny sposób.

Aleksander spojrział na kolegę z bezsilną złością, a potem, nie żegnając się, opuścił gabinet, tylko resztką siły woli powstrzymał się od trzaśnięcia drzwiami. Co za los, wyhodował sobie zmię na piersi. Niech to czort i wszyscy diabli!

Na zewnątrz już zmierzchało, a przez ten czas, który spędził na przepychankach z Szustrem, pogoda zepsuła się całkowicie; z nieba sypał mokry śnieg z deszczem. Mimo to postanowił przejść się przynajmniej kawałek, bo czuł, że jeśli nie wyrzuci z siebie złości, zrobi coś nieobliczalnego. Wolał tego uniknąć, choćby po to, aby nie dawać satysfakcji Jerzemu.

Dowędrował zaledwie do Kapitulnej, kiedy uznał, że podjął błędną decyzję. Chodniki pokrywała topniejąca breja, przez którą nie widać było dziur i dołów, więc spacer groził śmiercią przez utopienie lub w najlepszym przypadku utratą zębów. Aleksander zaczął się zastanawiać, czy warto brać dorożkę, bo kałuże na jezdni miały wielkość prawdziwych jezior.

Nie zdążył podjąć decyzji, gdy turlająca się środkiem ulicy drynda, chcąc wyminąć wóz nadjeżdżający z naprzeciwka, skręciła nieco i wpadła w sam środek bajora. Woda rozprysła się na wszystkie strony. Woronin stanął jak wryty, gdy lodowata i pełna brudu fontanna zmoczyła go od stóp do głów.

Zaklął po raz kolejny. Doprawdy nie był to jego szczęśliwy dzień.

## 6.

Zapłaciła dorożkarzowi, a potem uniosła głowę i spojrzała na kamienicę, w której mieszkał Woronin. Na pierwszym piętrze, tam gdzie powinna znajdować się jadalnia, paliło się światło. Zadrżała, pewnie z zimna, i pomyślała, że leci do tego ognia niczym ćma.

Wymyślona naprędce eskapada nie mogła skończyć się dobrze. Coś jednak pchało ją do przodu i nie pozwalało zawrócić. Nie dbała o konsekwencje. Szaleństwo, najprawdziwsze szaleństwo... Ale kiedy ostatnio zrobiła coś szalonego? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

Stróż Marcin, który zasypywał roztopowe kałuże dymiącym popiołem, rozpoznał ją bez trudu. Uprzejmie uchylił czapki, nie zapytał o nic i usunął się jej z drogi.

Pokaszłując w kułak, ponieważ gryzący dym wpadł jej do gardła, weszła do klatki schodowej i wolno wspięła się na pierwsze piętro. Mocniej naciągnęła kaptur na twarz – nie chciała, aby zapamiętał ją ktoś z sąsiadów – a potem zapukała. Raz, a potem drugi.

Czekała, ale nic się nie działo. Woronin nie otwierał. Najwyraźniej pomyliła okna, a jego wcale nie było w domu. Dlaczego jednak stróż jej nie zatrzymał?

Zapukała jeszcze raz i po kilku chwilach, które rozciągały się w nieskończoność, zrezygnowała. Zawiedziona, odwróciła się w stronę schodów i dopiero wtedy usłyszała zgrzyt klucza przekręcanego w zamku i zaraz w progu mieszkania stanął Aleksander: bosy, w spodniach i luźno puszczonej płóciennej koszuli kosoworotce.

– Pani? – zapytał z niedowierzaniem, ale zaraz uśmiechnął się szeroko. Nie mogła się mylić, naprawdę ucieszył się na jej widok.

– Myślałam, że nie ma pana w domu.

– Przepraszam, musiałem doprowadzić się do porządku. Zapraszam do środka.

Nie zastanawiała się wcześniej, co mu powie i jaki poda powód wizyty, więc poczuła się nieswojo, ale mimo to bez wahania weszła do holu. Odrzuciła kaptur.

– Czyżby tak zasmakowała pani moja herbata, że... – zaczął wesoło, ale gdy światło lampy padło na jej twarz, urwał, a po chwili odezwał się zupełnie innym tonem: – Kto... kto pani to zrobił? – Chwycił ją za rękę. – Proszę powiedzieć.

– Matka – szepnęła, spuszczając wzrok. Znowu chciało się jej płakać. – Musiałam pana zobaczyć – zakończyła desperacko.

Aleksander bez słowa przyciągnął ją do siebie. Mocno przywarła do jego piersi i zamknęła oczy. Wreszcie zrobiło się jej odrobinę lepiej. Spokojniej. Powinna więc wrócić do domu i dalej mierzyć się ze światem.

– Dziękuję. – Niechętnie odsunęła się od niego. – Muszę iść.

– Już teraz?

– Dobranoc – wyszeptała, nie chcąc wdawać się w żadne negocjacje. Nie powinna zostać ani chwili dłużej, choć wiedziała, że zacznie tęsknić za nim, kiedy tylko opuści mieszkanie.

– Dobranoc – rzucił półgłosem, a potem bez ostrzeżenia, ujął jej twarz w dłonie i zapatrzył się na nią tak, że zdumiona Leontyna, poczuła szczypanie pod powiekami. Zbliżył czoło do jej czoła i przez chwilę stali bez ruchu i w całkowitym milczeniu.

Chwyciła go za nadgarstki – czuła szybkie uderzenia pulsu – ponieważ uznała, że powinna jakoś zaprotestować, uwolnić się z jego rąk i naprawdę stąd wyjść.

I być może zrobiłaby to, gdyby Aleksander nie postanowił jej pocałować.

Dotyk jego ust sprawił, że ugięły się pod nią kolana. Zrobiła krok do tyłu, zrzuciła futro, w którym zaczynała się dusić i całym ciężarem oparła się o drzwi, a potem w obronnym geście położyła obie dłonie na jego piersi. Nie miała zamiaru go odepchnąć, wręcz przeciwnie, pieszczotliwym ruchem przesunęła ramiona w górę, na szyję. On zaś całował ją zupełnie inaczej niż poprzednim razem. Ostrożniej, delikatniej, z większą czułością. Była tym tak zaskoczona, że nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła odpłacać mu tym samym. I wtedy uświadomiła sobie, że same pocałunki nie wystarczą, że pragnie czegoś więcej.

Niech dzieje się, co chce.



Aleksander odsunął się od niej nieco. W świetle lampy widziała jego oczy i rozchylone usta: oddychał szybko, tak samo jak ona. Nie wytrzymała – wplotła mu palce we włosy i znowu przyciągnęła do siebie.

– Chcesz mnie? – zapytał cicho z radosnym zdumieniem w głosie i z ustami tuż przy jej uchu. – Naprawdę chcesz?

Nie myślała już o tym, że musi iść. W ogóle przestała myśleć. Serce biło jak oszalałe, krew rozsadzała skronie. Nie mogłaby mu teraz odmówić. Nie miała zamiaru. Nie potrafiła jednak odpowiedzieć wprost.

– Lenoczka...

– Cicho – szepnęła z trudem.

Futro leżało już na podłodze, ale nadal dzieliło ich zbyt wiele. Znacząc drogę elementami garderoby, dotarli do sypialni, w której panowała całkowita ciemność. Potykając się o różne sprzęty, odnaleźli łóżko. Aleksander niecierpliwie wyluskiwał ją z kolejnych warstw odzieży. Po omacku rozpinał guziki bluzki, a potem spódnicy, ściągał halki, koszulki i niezgrabnie, mrużąc coś pod nosem, mocował się ze sznurówkami gorsetu. Leontyna zaś śmiałym ruchem ściągnęła mu przez głowę koszulę. Zaśmiał się cicho, a ona – skupiona i zafascynowana – drżącymi palcami gładziła nagą skórę. Musiała go dotykać, to było silniejsze od niej.

W końcu wyplątali się z nogawek, sznurowadeł, sznurówek i całym ciężarem opadli na łóżko.

A potem był już tylko cierpki smak pocałunków. Przyspieszone i rwące się oddechy. Niecierpliwość błędzących po ciałach dłoni. Słodycz pieszczot, które – najpierw nieśmiałe i ostrożne – z każdą chwilą stawały się coraz gorętsze i odważniejsze.

Nareszcie nic ich nie dzieliło.

To była inna bliskość, inny dotyk niż ten, który znała. Bardziej niecierpliwy, śmielszy. Miała wrażenie, że Aleksander jakimś cudem wie wszystko o jej ciele. Zaskakiwała ją też własna swoboda: kochała się z tym mężczyzną tak, jak nigdy nie odważyła kochać się z mężem. Przy nim nie wstydziła się niczego: nie wiedziała, że jest zdolna do takiego szaleństwa. I że ktoś drugi może oszaleć razem z nią.

Jedną rękę zaciskała kurczowo na prześcieradle, drugą błędziła po jego plecach i z każdą chwilą coraz bardziej traciła nad sobą kontrolę. Oddech przyspieszał,

urywał się, stawał się coraz płytszy. A kiedy myślała, że nie zniesie dłużej napięcia, które narastało w niej wciąż i wciąż, poczuła pierwszy dreszcz.

– Aleksa... – Urwała w połowie słowa szeptanego mu wprost do ucha. Nie, nie to chciała powiedzieć, nie tak oficjalnie chciała go nazwać, ale czulej, tkliwiej. – Sasza...

Chyba nigdy w życiu nie było jej tak dobrze.

## 7.

Leontyna łudziła się, że dopóki nie otworzy oczu, nie będzie musiała wracać do rzeczywistości. Leżała więc z zaciśniętymi powiekami, przytulona do Aleksandra i cieszyła się łagodnym dotykiem jego palców, zapachem rozgrzanej skóry. Nieśmiało pozwoliła sobie na myśl, że to uczucie, które spadło na nią lata temu, nie jest czymś karygodnym, żadnym grzechem – po prostu, zupełnym przypadkiem, znalazła kogoś szczególnego. Kogoś swojego.

– O czym myślisz? – zapytał cicho; to, co wydarzyło się przed chwilą, musiało zaskoczyć go nie mniej niż ją, gdyż wyraźnie starał się ukryć zmieszanie.

– O tobie – odpowiedziała zgodnie z prawdą i w końcu rozwarła powieki.

Wzrok już dawno przyzwyczaił się do mroku, więc bez trudu dostrzegła, że Aleksander uśmiecha się do niej. Po raz pierwszy, od kiedy go poznała, wyglądał jak szczęśliwy człowiek.

– Mam nadzieję, że to dobre myśli?

W odpowiedzi przesunęła się nieco i szybko pocałowała go w usta. Nie pozwolił jej się cofnąć, tylko przygarnął mocniej i spojrzał w oczy. Zamrugła, ale nie odwróciła głowy.

Kochała, kiedy tak na nią patrzył i kiedy ją dotykał. Kochała każdy kawałek jego ciała. Nie umiała jednak powiedzieć mu tego – za bardzo bała się samej siebie. I tego, co mogłoby nastąpić po takim wyznaniu.

Poczuła drapanie w gardle; koniecznie musiała skierować myśli na inne tory, żeby znowu nie skończyło się płaczem.

– Czy tu była ta rana, o której kiedyś mówiłeś? – zapytała, wodząc palcem po rozległej poszarpanej bliznie na jego lewej piersi. – Z wojny?

– Tak – potwierdził cicho, a potem dodał takim tonem, jakby chciał mieć to już za sobą: – Ta wąska szrama na ramieniu to pamiątka po twoim mężu. A ta tutaj – wskazał miejsce tuż przy lewym barku – to najnowszy nabytek. Czasami jeszcze boli.

– Matko Boska, znowu się pojedynkowałeś? – jęknęła ze zgrozą. – Sasza!

– Nie miałem wyjścia – westchnął, unikając jej wzroku. – W Moskwie szykowałem się do ślubu. Po tym jak wyszłaś za mąż, było mi wszystko jedno... Ale się rozmyśliłem. Brat narzeczonej nie puścił mi tego płazem.

– Przysięgnij, że nie będziesz się bił nigdy więcej. – Poglaskała go po twarzy i skłoniła, aby na nią spojrział. – Nie chcę, żeby coś ci się stało. Rozumiesz?

– Nie będę. – Podniósł dwa palce i obiecał solennie. – A teraz chodź tu – złapał ją za ramię – i posłuchaj. Mam ci tyle do powiedzenia...

– Nie. – Dotknęła palcem jego ust. – Nic nie mów, proszę.

– Myślałem, że powinniśmy wspólnie zaplanować, co...

– Sasza – wpadła mu natychmiast w słowo – nie będziemy niczego planować. Nie chcę rozmawiać o przyszłości. Zrozum. – Spojrzała na niego błagalnie. – Po prostu cieszymy się tą chwilą.

Nie była gotowa na żadne wyznania. Nie miała siły na deklaracje ani na podejmowanie ostatecznych decyzji. Pragnęła tylko spokoju, ciepła i obecności ukochanego mężczyzny.

Aleksander westchnął, a potem bez słowa, mocno przytulił ją sobie.

# ROZDZIAŁ XI

## I.

Od awantury w mieszkaniu matki i nocy z Aleksandrem minęły już dwa dni, ale Leontyna wciąż nie mogła dojść do siebie. Co więcej, bała się wystawić nogę za próg mieszkania. Nie odbierała telefonów od matki ani od ciotek – Kazia, dokładnie pouczona, informowała natrętów, że pani jest chora i leży w łóżku. Odsyłaniem nieproszonych gości, którzy zjawili się osobiście, zajęła się Agata, która chyba jako jedyna osoba w tym mieście, potrafiła powiedzieć Amelii wprost – choć przez uchylone drzwi – że córka nie ma ochoty jej oglądać. Agata nie wpuściła do domu nawet Aleksandra. Tyle że jemu udzieliła przy okazji kilku prawdziwych informacji, więc oddalił się bez protestów. Odprawiła też – mając bliżej nieokreślonym terminem spotkania – pana Bogusza, który akurat postanowił złożyć Leontynie oficjalną wizytę.

A ona leżała w łóżku i zastanawiała się, co ma zrobić ze swoim życiem, gdy już odważy się wstać i wyjść z domu.

Decyzja była bardzo trudna. Przede wszystkim dlatego, że w ciągu jednego dnia dowiedziała się dwóch ważnych rzeczy.

Po pierwsze tego, że nigdy i żadnym sposobem nie zdobędzie szacunku, czy choćby akceptacji własnej matki. Nawet jeśli raz na zawsze zakończy znajomość z Aleksandrem i znajdzie sobie odpowiedniego – zdaniem rodziny – męża, rodzicielka i tak nie będzie zadowolona.

Zadawała sobie pytanie, jaki grzech popełniła, że została zepchnięta na sam dół rodzinnej hierarchii?

Co prawda, Helena oficjalnie też była w niełasce. Matka nie utrzymywała z nią kontaktów, ale różne pytania, zadawane niby mimochodem, kazały Leontynie przypuszczać, że kiedy marnotrawna córka skończy edukację i wróci do domu, przewiny zostaną jej wspaniałomyślnie darowane. Amelia chyba wyobrażała sobie, że Hela nabierze rozsądku, potraktuje studia jako przygodę, ale nie podejmie

praktyki lekarskiej i wróci na salony, aby zostać ich niewątpliwą ozdobą i znaleźć sobie świetnego męża.

Po drugie zaś, nabrała całkowitej pewności, że kocha Aleksandra i kochać go nie przestanie. Co z tego, skoro i tak nie odważy się powiedzieć mu o tym? Strach, że idąc za tym uczuciem, zawędruje do świata, w którym nie będzie potrafiła się odnaleźć, był silniejszy niż miłość. Jakże w tym momencie nie znosiła własnego tchórzostwa.

Co robić?

Drzwi otworzyły się prawie bez skrzypnięcia, drobny cień przemknął przez pokój i zanim Leontyna zdążyła zorientować się, co się dzieje, przy jej wezgiłowiu przycupnęła Joasia. Wyraźnie widziała zapłakane oczy dziewczynki i jej drżące usta.

Natychmiast usiadła na materacu.

– Co się stało, kochanie? – zapytała, a córka wdrapała się na łóżko i przywarła do jej boku. – Co się stało, powiedz, proszę – powtórzyła, gładząc małą po głowie.

– Niech mamusia nie umiera... Nie chcę. Niech mamusia... – Dziewczynka mocno przytuliła się do niej.

– Nie umrę – zapewniła ją natychmiast Leontyna. – Skąd przyszło ci to do głowy?

Rzadko chorowała, a już prawie nigdy nie kładła się do łóżka, nic więc dziwnego, że Joasia mogła się przestraszyć.

– Tato też był chory... a potem umarł i nie ma go wcale.

– Ja nigdzie się nie wybieram. Musiałam tylko trochę odpocząć.

– Ale Kazia i Agata mówią wszystkim...

– Dbają, żebym miała trochę spokoju.

– Naprawdę mama nie umrze?

– Naprawdę. – Pocałowała córkę w czoło. – Zaraz wstanę, ubiorę się i zjemy razem obiad.

– A co stało się mamie w oko?

– Nic takiego. Uderzyłam się drzwiami – westchnęła, ponieważ przyszło jej do głowy, że kłamiąc dwa razy z rzędu, traci moralne prawo, aby uczyć to dziecko prawdomówności.

Ktoś ostrożnie zapukał do drzwi i zaraz do pokoju weszła zaaferowana czymś Kazia.

– Ach, tu się panienka schowała – ucieszyła się widok podopiecznej. – A pani Bronia wszędzie panienki szuka... Zaraz przychodzi panna Eryka, a panienka nie jest gotowa do lekcji.

– Idź, kochanie – powiedziała Leontyna, nadal głaszcząc córkę po głowie. – I pamiętaj, że spotkamy się na obiedzie.

Mała, wyraźnie uspokojona, odkleiła się od niej niechętnie, a potem, kilka razy oglądając się za siebie – chciała chyba sprawdzić, że matka nie zniknie – wyszła z pokoju.

Kazia nie ruszała się za to z miejsca, więc Leontyna domyśliła się, że nie chodziło tylko o poszukiwania dziewczynki.

– Czy coś się stało?

– Dzwonił pan mecenas Paszkiewicz – wyrzuciła z siebie służąca jednym tchem.

– Mówi, że koniecznie musi widzieć się z panią. Pytał, czy może przyjść za godzinę.

Za godzinę? Skoro zawsze opanowany Antoni spieszył się tak bardzo, musiało wydarzyć się coś ważnego.

– Dobrze. Zadzwoń do niego i powiedz, że będę czekała. A potem wróc, pomożesz mi się ubrać.

Pokojówka prawie wybiegła z sypialni, a ona podniosła się wreszcie z łóżka. Podeszła do okna i jednym szarpnięciem odciągnęła zasłonę – do wnętrza wpadły pierwsze od wielu dni promienie słońca. Leontyna pomyślała, że nie może chować głowy w piasek – problemy nie rozwiążą się same.

## 2.

Jerzy już kolejny dzień studiował raporty agentów policyjnych, które – na jego wyraźne życzenie – dostarczył Woronin. Liczył, że znajdzie w nich coś więcej niż policjant, któremu nie zawsze było po drodze z dokumentami, a przede wszystkim, wyrobi sobie opinię co do podejrzanego zachowania syna denatki.

Inna rzecz, że wolał siedzieć u siebie w Sądzie Okręgowym, niż wyklócać się z kolegą, na którego złość nie przeszła mu jeszcze do końca.

Tak, Aleksander zawsze robił to, co należy. Tym razem jednak to jego „należy” za bardzo kolidowało z interesem śledztwa. Choć czy naprawdę dopiero tym razem? Przecież kiedy wspólnie pracowali przy sprawie Rapackiego, Saszka podejmował decyzje, które nijak miały się do przepisów i regulaminu. Były jednak uczciwe, dlatego Jerzy mógł zgodzić się z nimi bez wyrzutów sumienia.

Tym razem jednak ani pani Leontynie, ani jej majątkowi nie zagrażało niebezpieczeństwo. Może i miała problemy rodzinne, ale rozwiązywanie ich w czasie przeznaczonym na pracę nie miało nic wspólnego z uczciwością. Spokojnie mogły zaczekać.

Tyle że Woronin twierdził uparcie, że pani Burzyńska go potrzebuje.

Jerzy zmełł w ustach przekleństwo; wiedział, że kiedyś nastąpi moment, kiedy kolega zapomni, że obecnie to nie on dowodzi, więc ich relacja zostanie wystawiona na próbę. Szuster nie zamierzał odpuszczać, bo jeśli mieli współpracować w przyszłości, każdy z nich musi dokładnie znać swoje miejsce.

Jego rozmyślenia przerwał Grigorij Michajłowicz, który wrócił właśnie z archiwum z naręczem starych akt – Szuster zamierzał sprawdzić, czy nie znajdzie tam żadnych wzmianek o Majerowej albo kimś z jej rodziny – a zaraz za nim do gabinetu wszedł starszy elegancki jegomość; Jerzy ze zdziwieniem rozpoznał w nim mecenasa Lenarta, prawnika zamordowanej. Odruchowo podniósł się z krzesła.

– Dzień dobry – przywitał się adwokat. – Przepraszam, że nachodzę tak bez uprzedzenia, ale liczę, że szanowny pan sędzia znajdzie dla mnie choć kilka minut.

– Czym mogę panu służyć, panie mecenasie? – Uprzejmie wskazał gościowi miejsce naprzeciwko siebie.

– Otóż – zaczął Lenart, kiedy obaj już usiedli – chciałbym pomówić z panem o testamencie pani Józefiny, świeć Panie nad jej duszą. Rozmawialiśmy już o kwestiach dziedziczenia, ale widzi pan – prawnik westchnął ciężko – jest jedna kwestia, o której nie wspomniałem.

– Jaka? – zapytał Jerzy.

– Myślałem, że to nieistotne, w końcu pan Seweryn miał alibi. Dowiedziałem się jednak, że podał je panom trochę na wyrost.

Szuster poruszył się niespokojnie, a następnie zadał sobie pytanie, jakim sposobem w tym mieście wieści rozchodzą się tak szybko? I w jaki w ogóle sposób wydostają się z sądu? Zerknął podejrzliwie na pochłoniętego swoją pracą Grigorija Michajłowicza. Nie, to chyba nie on; wuj zawsze chwalił jego dyskrecję. Pewnie tym razem to robota Woronina, który szukał sposobu, aby dobrać się młodemu Jedlińskiemu do skóry.

– Otóż pani Józefina uważała, że jej syn marnuje sobie życie.

– Tak, słyszeliśmy o tym.

– Zdaję sobie sprawę... Tyle że jej wcale nie chodziło o to, że źle wybrał zawód. Nawet nie o to, że poślubił Rosjankę, a po jej śmierci zostawił dziecko w Petersburgu. Zamartwiała się, że przez swoją pracę wpakuje się w kłopoty, z których nawet ona nie zdoła go wyratować.

– Jakie kłopoty? Chodzi o jego zdrowie? O morfinę i tym podobne?

– Chyba tak – odparł niechętnie Lenart. – Nie mam jednak całkowitej pewności, gdyż pani Józefina nigdy nie wypowiadała się na ten temat wprost. Może ze wstydu... W każdym razie twierdziła, że musi go ratować.

– Słyszałem – mruknął Szuster. – Chciała go koniecznie ożenić z panią Burzyńską.

– Tak, ale... Stosowała też inne metody. Na przykład finansowe.

– Co pan przez to rozumie?

– Mówiłem panom w czasie ostatniego spotkania, że jedną połowę majątku pani Józefiny dziedziczy pan Seweryn, a drugą Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Otóż kiedy przed sześcioma laty nieboszczka spisywała pierwszy testament, planowała zostawić całość synowi. Pod warunkiem że się ustatkuje... Nie zrobił tego, więc po roku zmieniła zapis i od spadku syna odjęła dziesięć procent na rzecz Towarzystwa. Po dwóch latach syn miał dostać osiemdziesiąt procent, a Towarzystwo dwadzieścia. I tak dalej, co roku główny spadkobierca tracił dziesięć procent majątku... W zeszłym roku pani Józefina podzieliła wszystko na pół. A za dwa tygodnie mieliśmy szykować nowy dokument, według którego pan Seweryn dostałby już tylko czterdzieści procent. W tym tempie za cztery lata zostałby z niczym.



– Pani Józefina naprawdę była skłonna go wydziedziczyć?

– Cały czas miała nadzieję, że syn wróci na dobrą drogę, choćby ze strachu o przyszłość. Wie pan, ten jego interes tak naprawdę szedł słabo... – westchnął prawnik. – A moja klientka powiedziała kiedyś, że woli wszystko oddać na podrzutki niż na fanaberie syna.

– Rozumiem, że Jedliński o tym wiedział? – upewnił się Szuster.

– Matka oficjalnie informowała go o każdej zmianie w testamencie. Myśli pan, że mógłby... – Lenart ewidentnie obawiał się zapytać. – Znam tego chłopaka od dziecka. To naukowiec, a przy tym idealista. Nie umiem nawet wyobrazić sobie... – Urwał.

– Obiecuję, że dowiem się – zaczął Jerzy, kiedy zrozumiał, że prawnik nie dokończy zdania – czy pan Seweryn miał jakikolwiek związek ze śmiercią matki. Poproszę pana tylko o zeznanie na piśmie.

Wyglądało na to, że Woronin rzeczywiście wpadł na dobry trop. Cóż – westchnął w myślach – trzeba będzie w końcu pogodzić się i dogadać. Dla dobra śledztwa.

### 3.

– Przepraszam, że pozwoliłem sobie niepokoić panią – powiedział Paszkiewicz, przysuwając bliżej szklankę z herbatą, którą gospodyni postawiła przed nim chwilę wcześniej – ale naprawdę mam pilny interes. A nawet dwa.

– Słucham pana. – Leontyna, która na szczęście zdążyła doprowadzić się do przyzwoitości – w tym dokładnie przykryć pudrem wolno gojącą się ranę pod okiem – poczuła lekki niepokój; takie słowa w ustach adwokata nie zwiastowały niczego dobrego.

– Zacznę od tej prostszej i przyjemniejszej. Otóż Ostapczuk... ten mój partner z Odessy, o którym mówiłem pani onegdaj, znalazł kupca na skład i firmę.

– Sprawił się tak szybko? Naprawdę?

– Ostapczuk ma żyłkę do interesów, dlatego z nim pracuję. – Paszkiewicz się uśmiechnął. – Okazało się, że zgłosił się do niego jeden z jego wcześniejszych klientów, niejaki Gleb Glebowicz Petrenko, bogaty kupiec z Kazania i powiedział,

że szuka w Odessie dobrego kantoru handlu zbożem, bo chce wysłać zięcia i córkę na swoje. Ostapczuk zwietrzył okazję i zaraz podsunął mu pani firmę. Można powiedzieć, że prawie się dogadali. Potrzebna tylko pani zgoda.

– Jest pan pewien, że mój wuj nie podstawiał tego kupca?

– Czemu pani o to pyta?

– Widzi pan... – zaczęła zawstydzona, ale nie miała wyjścia; musiała wtajemniczyć Paszkiewicza w kolejną rodzinną aferę. – Ciotka Oktawia groziła niedawno, że puszcza mnie z torbami. Okłamałam ją, że i składy, i firma zostały sprzedane, a pieniądze leżą na koncie, ale może wuj dowiedział się, że wcale tak nie jest.

– Rozumiem. – Adwokat pokiwał głową. – Nie wydaje mi się, żeby to była pułapka. Znam Ostapczuka od lat, razem kończyliśmy studia, współpracujemy i oszukiwanie mnie zupełnie mu się nie kalkuluje. Poza tym twierdzi, że dobrze zna tego Petrenkę. Dla pani spokoju zادهpeszuję do niego z prośbą, aby przeanalizował wszystko raz jeszcze. A jeśli sprawa będzie czysta, rozważy pani sprzedaż?

– To zależy od ceny. – Uśmiechnęła się mimowolnie.

– On jest gotów zapłacić tyle, ile pani żąda.

– Jakim cudem? Nastawiałam się na ostre targi i wie pan, że jestem w stanie trochę opuścić.

– Niech pani więcej nie mówi tego głośno.

– W takim razie, jeśli transakcja dojdzie do skutku, zapłacę wyższą prowizję, niż ustaliliśmy. Zależy mi tylko na tym – zawahała się na chwilę – aby wuj o niczym nie wiedział.

– W pani sytuacji to zrozumiałe.

– A ta druga sprawa? Z tego, co pan sugerował, wnioskuję, że jest trudniejsza.

– Niestety. Chodzi o pani córkę. Dowiedziałem się, że pani Burzyńska zamierza walczyć sędownie o opiekę nad nią i prawo zarządzania jej pieniędzmi. Wynajęła właśnie dwóch adwokatów.

Nagle zrobiło się jej zimno. Chwila, której lękała się tak bardzo, właśnie nadeszła. Będzie zmuszona stanąć przed trybunałem naprzeciwko własnej ciotki, która – dziwnym kaprysem losu – była też jej świekrą i walczyć do upadłego. Gdyby

miała pewność, że dziewczynce będzie dobrze u dziadków, już dawno spróbowaliby zakończyć spór polubownie – tak samo jak z Wyrzykowskimi.

Tyle że rodzice Felicji wywiązywali się z ustaleń i kiedy zabierali małą do siebie, na przykład na lotnisko, Leontyna nie wątpiła, że Joasia wróci do niej w oznaczonym czasie zdrowa i zadowolona. Dla odmiany Oktawia mogłaby wpaść na pomysł, aby wywieźć gdzieś dziewczynkę w tajemnicy i ukryć przed wszystkimi. Do tego interesy wuja szły ostatnio marnie i istniało ryzyko, że Ksawery potraktuje majątek wnuczki jak dodatkowy kapitał do inwestowania i szybko go straci. A ona przyrzekła Januszowi, na kilka godzin przed operacją, której nie przeżył, że najlepiej jak potrafi zadba o Joasię i o jej przyszłość. Nie zamierzała złamać tego słowa.

– Skąd pan o tym wie? – zapytała wreszcie.

– Widzi pani, mam swoje źródła... – Urwał, najwyraźniej nie chciał wdawać się w szczegóły. – Burzyńscy będą dążyć do obalenia testamentu syna. Zapewne spróbują wykazać, że pani mąż był tak chory, że nie wiedział, co podpisuje. Albo że pani nieuczciwym sposobem skłoniła go do zapisów na swoją korzyść.

– Bzdura – rzuciła Leontyna. – Janusz nie miał gorączki! Mówiłam już, że był przytomny, wiedział, że operacja jest ryzykowna i chciał uporządkować swoje sprawy. Na testamencie podpisało się trzech lekarzy!

– Pani Leontyno, nie mam najmniejszych wątpliwości, że tak właśnie było – powiedział Paszkiewicz. – Trzeba jednak pamiętać, że państwo Burzyńscy wyciągną wszystkie brudy, prawdziwe lub sfabrykowane. Powinna pani przygotować się na najgorsze. To nie będzie czysta gra.

Zacisnęła pięści, gdyż wyobrażała sobie doskonale, jak będzie wyglądała ta wojna. Ciotka dużo o niej wiedziała i na pewno to wykorzysta. Niewykluczone, że sięgnie nawet po historie z Ignacym i z Aleksandrem i zechce zrobić z niej nieodpowiedzialną awanturnicę. Za nic w świecie nie zamierzała jej na to pozwolić.

– Panie Antoni. – Spojrzała prawnikowi prosto w oczy. – Czy zgodzi się pan mnie reprezentować?

– Jest pani moją najdawniejszą klientką – odparł prawie natychmiast – nie mógłbym odmówić. Tylko...

– Koszty nie grają roli! I może pan wziąć do pomocy, kogo tylko pan sobie życzy. Jak będzie trzeba, nawet z zagranicy. Albo i z Petersburga. Ma pan moje pełne zaufanie.

– Dobrze. Taka pani decyzja wiele mi ułatwi.

– A czy ja... czy mogłabym coś zrobić?

– Radziłbym porozmawiać z panem Wyrzykowskim. Dobrze byłoby, gdyby miała go pani po swojej stronie.

– Porozmawiam – przytaknęła gorliwie – kiedy tylko wróci do Warszawy.

– Jest w mieście od wczoraj. Przyjechał szybciej, bo ponoć żona naraiła mu jakiś świetny interes.

– Czy pan ma w kancelarii agencję wywiadowczą? Odnoszę wrażenie, że wie pan o wszystkim, co dzieje się w tym mieście.

– Można tak powiedzieć – uśmiechnął się Antoni. – Aczkolwiek w tym przypadku nie ma żadnej tajemnicy. Znam dobrze młodego Wyrzykowskiego.

– W takim razie nie będę czekała ani chwili dłużej – odparła Leontyna. – Zaraz zatelefonuję do pana Leona i poproszę, aby spotkał się ze mną jeszcze dzisiaj.

#### 4.

Ledwo zdążył zakończyć narady z agentami, którym zlecił nieustanne obserwowanie Jedlińskiego, a już dotarła do niego informacja, że dzwonił z Sądu Okręgowego, aby jak najszybciej stawił się tam i zgłosił do sędziego Szustra. Szczerze mówiąc, nie miał ochoty na kolejną dyskusję z kolegą i wysłuchiwanie jego naiwnych pouczeń, ale nie było wyjścia: sędzia śledczy każe, to policjant musi.

Powinien starać się zachować spokój, ale to mogło być trudne, ponieważ od rana nie czuł się najlepiej; wiele wskazywało, że podczas wczorajszej procesji z okazji Święta Jordanu złapał przeziębienie.

Właściwie mógł tam nie chodzić; wymówić się choćby pilnymi sprawami śledztwa, ale nie chciał, ponieważ styczniowe święcenie wód rzeki należało do jego ulubionych religijnych uroczystości. A w Warszawie miało jeszcze inny wymiar; przynajmniej przez kilka godzin dawało mu poczucie, że mimo wszechobecnych

różnic między Krajem Nadwiślańskim a Rosją, obie krainy stanowią jedno państwo, którego niepodzielnym władcą jest car Aleksander III.

Poskładał i włożył do teczki porozrzucane na biurku dokumenty, które zamierzał zabrać ze sobą, włożył płaszcz i już zbierał się do wyjścia, kiedy do gabinetu wpadł zadyszany Frołow.

– Panie komisarzu... – wysapał, łapiąc oddech. – Panie komisarzu!

– Co się stało? – zapytał Aleksander, kręcąc głową z dezaprobatą: dzisiejsza młodzież była tak słabowita, że nie nadawała się nawet do biegania po schodach. A co dopiero na wojnę.

– Przyleciał stójkowy z VII Cyrkułu, od rewirowego Owsianki...– wyrzucił z siebie Jegor Jegorowicz. – Mają morderstwo. Ktoś znaczny... Kupiec.

– A dlaczego przyszliście z tym do mnie? – zniecierpliwził się Woronin. – Idę właśnie do sądu do sędziego Szustra. Niech zajmie się tym jakiś inny śledczy.

– Radca Langer powiedział, że to pana zainteresuje.... Ofiara dostała w łeb... znaczy w głowę.

– Co takiego?! – Pomyślał, że się przestyszał. – Butelką?!

– Nie. – Pokręcił głową policjant. – Czymś innym. Ale ponoć nieboszczyk jest tak samo zaszlachtowany.

Do czorta! Czyżby spełniały się najgorsze sny jego i Szustra i w mieście grasował seryjny morderca? Na tę myśl przebiegł go zimny dreszcz.

– Czy sędzia Szuster już wie?

– Z tego, co mówił stójkowy, rewirowy posłał także po niego.

– Dobrze – ucieszył się Aleksander. – A teraz mów, gdzie to się stało i leć wołać fiakra!

– Kantor handlowy. Na Krakowskim Przedmieściu. – Chłopak wcisnął mu w rękę kartkę z dokładnym adresem i poleciał wypełnić drugie polecenie.

Rzucił papiery z powrotem na biurko, a potem wyciągnął z szuflady kajet i ołówek i wsadził obie rzeczy do kieszeni. Wyszedł z gabinetu i zbiegając po schodach, pospiesznie zapinał guziki szynela; zupełnie zapomniał, że jeszcze kilka minut temu czuł się raczej marnie.

Na dole minął prężących się strażników i wyszedł na zewnątrz. Dorożka czekała przed samym wejściem.

Do kantoru, w którym dokonano zbrodni, nie było daleko, ale po lodowatej fontannie sprzed kilku dni i wczorajszym przemoknięciu, nie miał ochoty brnąć przez kałuże w zacinającym deszczu; pogoda nadal była bardziej jesienna niż zimowa i Warszawa zamieniała się stopniowo w bure brudne miasto.

Wiercił się niecierpliwie na siedzeniu, gdyż chciał być już na miejscu i na własne oczy zobaczyć, czy nowa zbrodnia naprawdę może mieć coś wspólnego ze sprawą Majerowej. Miejsce zabójstwa wprawdzie bardzo różniło się od biblioteki Resursy, ale może zabójcy wcale nie chodziło ani o miejsce, ani o identyczne narzędzie, tylko o sposób działania? Ewentualnie dobierał ofiary według jakiegoś klucza.

Fiakier zatrzymał się niedaleko wejścia do kantoru, przy którym stał stójkowy; przed deszczem chronił go niewielki dach zamocowany nad drzwiami. Woronin zapłacił, wysiadł z pojazdu i stawiając kołnierz, spojrzał na duży dwujęzyczny szyld. *Kantor handlu zbożem. L. Wyrzykowski i Syn.* Potarł ręką czoło, próbując przypomnieć sobie, skąd zna to nazwisko. Na pewno gdzieś je słyszał.

– Woronin, urząd śledczy – przedstawił się szybko stójkowemu.

Policjant zasalutował i natychmiast ustąpił mu z drogi.

Już od progu dało się zauważyć, że główna sala kantoru, choć wysoka, nie była wcale duża. Ciężkie dębowe meble dzieliły ją na kilka samodzielnych stanowisk dla agentów handlowych i zapewne buchalterów. Wszędzie było pusto, więc Woronin wywnioskował, że nieboszczyk leży gdzieś w głębi lokalu.

– Aleksandrze Nikityczu! – Jak na zawołanie z bocznych drzwi wyszedł rewirowy Owsianko. – Jest pan wreszcie.

– Jestem, Jewsieju Glebowiczu – odparł, zrzucając z siebie płaszcz i wieszając go obok okryć pozostałych policjantów. – Co tu mamy?

– Zabójstwo – odpowiedział rewirowy. – Leon Fadijewicz Wyrzykowski, lat pięćdziesiąt sześć, właściciel tego przedsiębiorstwa. Pozwoliłem sobie posłać po pana, bo zamordowano go podobnie jak Majerową. Dostał w głowę, a potem przecięto mu tętnicę. Myśli pan, że to ten sam morderca?

– Na razie nic nie myślę, Jewsieju Glebowiczu – odparł niecierpliwie Aleksander. – Najpierw muszę wszystko obejrzeć.

– Proszę za mną. Doktorzy Patkiewicz i Maleski oglądają zwłoki.

– Obaj?

– Stójkowy znalazł ich na jakimś balu, więc uznali, że przyjdą razem.

Podążając za rewirowym, minął korytarz, gdzie znajdowały się dwie pary drzwi. Te, które wskazał Owsianko, wiodły do niedużego gabinetu urządzonego nader praktycznie meblami również dębowymi, ale skromniejszymi niż te w głównej sali kantoru. Obie boczne ściany zastawiono szafami, w których za szkłem leżały teczki pełne dokumentów. Biurko i krzesła upchnięto pod oknem, a sejf tuż przy samych drzwiach.

Po podłodze walały się papiery, które ewidentnie zrzuciono z blatu. Niewykluczone, że w trakcie szarpaniny albo walki. Na większości z nich widniały nieregularne czerwone plamki – jak po rześistym deszczu krwi. Aleksander wzdrygnął się mimowolnie.

Obok biurka, też mocno okrwawionego, leżały zwłoki, nad którymi pochylali się lekarze. Obaj wystrojeni we fraki.

– Zważywszy na okoliczności, nie powiem „dobry wieczór”.

Medycy, jak na komendę, odwrócili się w jego stronę.

– O, pan komisarz – ucieszył się Maleski szczerze i po rosyjsku. – Ileż to lat, ileż zim? Prawie zapomniałem, jak pan wygląda.

– Ja za to pamiętam doskonale – mruknął po polsku Patkiewicz. – I ostrzegam – uniósł palec do góry – będzie pan tłumaczył się mojej żonie. Od dwóch tygodni pilnowała, żebym nie zapomniał o dzisiejszym balu. A jak wpadli ci... – gestem wskazał Owsiankę – ...mało nie zemdląca.

– Wystosujemy oficjalne przeprosiny, jeśli pani doktorowa ma takie życzenie – odpowiedział mu zaraz policjant.

– I właśnie dlatego się nie żenię – oświadczył z satysfakcją Maleski. – Mogę wchodzić i wychodzić z balów, kiedy tylko chcę.

– Słyszałem, że całkiem przerzucił się pan na gruźlików i opuścił Warszawę?

– Nie, wcale nie opuściłem – zaprotestował doktor. – Jeździłem tylko do Zakopanego. Chałubiński miał całkowitą rację, to bardzo ciekawe miejsce... Nie tylko doskonale uzdrowisko. No ale wróciłem kilka dni temu i nie mogłem sobie odmówić ulubionego zajęcia. – Wskazał ręką nieboszczyka.

– Zaczynaj wreszcie mówić do rzeczy. – Patkiewicz przywołał kolegę do porządku.

– Komisarza interesują fakty, a nie twoje wspomnienia z wojaży na koniec świata.

– Zamieniam się w słuch. – Aleksander podszedł bliżej i ostrożnie zerknął na ofiarę.

Widok był prawie tak samo makabryczny, jak ten, który zapamiętał z Resursy; głęboka rana na szyi, włosy i odzienie przesiąknięte krwią. Pomyślał, że dziś raczej nie zaśnie.

– Na oko wszystko wygląda jak poprzednio – kontynuował Patkiewicz. – Człowiek uderzony w skroń ciężkim przedmiotem, przecięta tętnica z lewej strony... Postaram się zrobić sekcję jak najprędzej. O terminie dam panu znać jutro z samego rana, bo najpierw muszę pozbyć się tych delikwentów, co mi od wczoraj zalegają na stole.

– Nie wiem, jak dokładnie wyglądała poprzednia ofiara – wtrącił się Maleski – ale w tym wypadku chyba nie butelka, ale coś innego było w użyciu. Chyba że morderca przyniósł własną, a potem starannie pozbierał szkiełka i wszystkie, co do jednego, zabrał ze sobą.

– Przyniósł i zabrał ze sobą – oświadczył drugi lekarz z niezachwianą pewnością – ale nie była to butelka. Ślad po uderzeniu jest nieco inny... Postawiłbym ze sto rubli, że to coś kulistego. Na pewno o łagodnych brzegach.

– Masz rację – poparł go kolega, uważnie przyglądając się ranie.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego zginął. – Aleksander przykucnął obok zabitego, starając się nie uwalać krwią i przyjrzał mu się bardzo uważnie. – Mogę go dotknąć?

Spojrzał na lekarzy, a kiedy uzyskał pozwolenie, sięgnął do kieszeni kamizelki denata i wyciągnął masywny złoty zegarek. Na palcu Wyrzykowskiego tkwił ozdobny sygnet, zapewne wiele wart, a w kieszeni surduta Woronin znalazł wielki pęk kluczy. Zabrał go i kolejno zaczął przymierzać do zamka sejfu. W końcu trafił na ten, który pasował. Gdyby więc zabójca chciał coś z niego wyjąć, pewnie zmusiłby swoją ofiarę nie tylko do oddania klucza, ale także do podania kodu. I raczej nie trudziłby się zamykaniem kasy z powrotem. Nie, na pewno nie był to napad rabunkowy.

– Kto znalazł ciało? – Odwrócił się i spojrzał na Owsiankę, który czekał przez cały czas na korytarzu. – I kto wezwał policję?

– Dama, która ponoć przyszła do ofiary w rodzinnych sprawach. Czeka obok. W gabinecie syna ofiary.

– A co to za dama?



Jewsiej Glebowicz wyglądał na zmieszanego, więc najprawdopodobniej kobieta nie należała do wyższych sfer, a może i była przedstawicielką wiadomego fachu. Czego mogła chcieć od Wyrzykowskiego?

Wyszedł na korytarz i nacisnął na klamkę do drugiego pomieszczenia. Zajrzał tam i zdębiał, zapewne tak samo jak wcześniej rewirowy – na krześle pod oknem siedziała... Leontyna.

Skąd, do czorta, tu się wzięła?!

W pierwszej chwili nie zauważyła go, gdyż akurat wycierała chusteczką zapłakane oczy; przy okazji starła z twarzy cały puder i rana po uderzeniu matki stała się wyraźnie widoczna.

Nie zastanawiając się dłużej, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Dopiero wtedy zauważyła jego obecność.

– Na Świętą Przczystą, co tu robisz?

– Jesteś. – Zerwała się z krzesła. – Bogu dzięki. Sasza, ja... nie mam pojęcia, co tu się dzieje – wyrzuciła z siebie jednym tchem. Wyglądała przy tym tak, jakby za chwilę miała rozplakać się w głos.

– Spokojnie. – Objął ją odruchowo, a ona przytuliła się do jego ramienia. – Opowiedz mi o wszystkim po kolei.

– Byłam umówiona z panem Leonem – odparła cicho. – Jest... Był ojcem pierwszej żony Janusza. Dziadkiem mojej córki.... Matko Boska, jak to zniesie pani Klara? – Przytuliła twarz do poły jego munduru. – Dziś rano dowiedziałam się od Paszkiewicza, że ciotka chce sądownie obalić testament Janusza i zabrać mi dziecko. Zależało mi, żeby mieć drugich dziadków po swojej stronie. Dlatego umówiłam się z panem Leonem, kiedy tylko się dowiedziałam, że zjechał z Odessy do Warszawy...

– Umówiliście się tutaj?

– Tak. – Kiwnęła szybko głową. – Przyszłam punktualnie i przestraszyłam się, bo drzwi wejściowe do kantoru były otwarte, a w głównej sali nie zastałam nikogo. Pan Leon zawsze pilnował bezpieczeństwa. A potem... potem weszłam do gabinetu i zobaczyłam, że tam leży... Tak samo jak pani Józefina... – Przygryzła wargę, aby się nie rozplakać. – Boże, oni się znali. Zapomniałam ci powiedzieć.

Woronin, patrząc na jej pobladłą i pokancerowaną przez matkę twarz, oddychał z ulgą. Nie żeby ją podejrzewał, po prostu bał się, jak na informację o tym, że

znalazła drugiego nieboszczyka zareaguje choćby taki Jerzy... Nie mówiąc już o warszawskim towarzystwie. Na szczęście jej historia była rozsądna i w pełni wiarygodna. Paszkiewicz zapewne ją potwierdzi.

Leontyna myślała chyba o tym samym, ponieważ spojrzała na niego z rozpaczą i zapytała:

– Powiedz mi, Sasza, czy jestem przeklęta? Dlaczego znowu to mi się przydarza?

Nie potrafił jej odpowiedzieć ani nawet pocieszyć, więc znowu przytulił ją do siebie i ulegając impulsowi, czule pocałował w czoło. W tej chwili, jeszcze bardziej niż wcześniej, zapragnął doprowadzić śledztwo do końca. Dowiedzieć się, kto stoi za tymi zbrodniami.

Z drugiej strony drzwi ktoś nacisnął na klamkę. Oboje, nie odsuwając się od siebie, odruchowo odwrócili się w stronę wejścia.

W progu gabinetu stał Jerzy Szuster i wpatrywał się w nich z trudnym do ukrycia zdumieniem.

# ROZDZIAŁ XII

## I.

Po pracowitym wieczorze i prawie bezsennej nocy Aleksander z trudem zwłóknął się z łóżka, wciąż nie do końca przytomny umył się i wyszykował, coś tam nawet zjadł, a potem, chyba cudem, dotarł punktualnie do urzędu. Nie mógł pozwolić sobie na spóźnienie, ponieważ był umówiony z Adamem Wyrzykowskim, starszym z dwóch synów i współnikiem zamordowanego kupca.

Młody Wyrzykowski przybył niezwłocznie na miejsce zbrodni, ale w panującym tam zamieszaniu nie dało się spokojnie zamienić słowa. Inna sprawa, że po załatwieniu najważniejszych formalności Aleksander zamierzał zająć się Leontyną, która kategorycznie zabroniła poinformowania o wydarzeniach kogokolwiek ze swojej rodziny.

Wyrzykowski pojawił się o czasie. Policjant, zawiadomiony o jego przybyciu przez jednego z dyżurnych, zszedł na parter i uznał, że młodzieńca – ciemnowłosego, o nieco melancholijnej urodzie – łączy rodzinne podobieństwo z małą pasierbicą Leontyny.

– Adamie Lwowiczu – zaczął Woronin, spoglądając na bladą twarz gościa; chłopak był wyraźnie zdenerwowany. Nic dziwnego, nie dość, że w okropnych okolicznościach stracił ojca, to jeszcze musiał natychmiast przejąć obowiązki głowy rodziny. – Chciałem na wstępie zapewnić pana, że to nie jest przesłuchanie. Chcę tylko ustalić kilka faktów.

Rozmawiał z Wyrzykowskim sam, ponieważ Jerzy, zajęty wertowaniem licznych dokumentów zabranych z biura zabitego, nie chciał się rozpraszać.

– Leontyna powiedziała – młody człowiek spojrzał mu prosto w twarz – że można panu wierzyć.

Nie skomentował tego, ale zrobiło mu się ciepło na sercu na taki dowód zaufania.

– Chcę jak najszybciej złapać mordercę – powiedział.

– Proszę pytać. Choć boję się, że mam niewiele do powiedzenia.

– Tak dla porządku: co pan robił wczoraj po południu? – Aleksander z rzucanych przypadkowo słów, już wieczorem wywnioskował, że Wyrzykowski ma alibi, ale chciał się upewnić.

– Byłem w domu razem z matką i Tadeuszem... moim młodszym bratem. Mama chciała koniecznie, żebyśmy zjedli razem podwieczorek, w końcu nie widzieliśmy się kilka miesięcy. Ojciec miał jednak coś pilnego do załatwienia i poszedł do kantoru, a ja zostałem. Około szóstej wieczorem dostaliśmy wiadomość o zabójstwie. – Głos mu zadrżał. – Matka zemdląła i długo nie mogliśmy jej docucić, więc posłałem służącą po lekarza. Matkę zostawiłem pod opieką brata, a sam pojechałem do kantoru, gdzie zastałem pana i sędziego Szustra. To chyba wszystko.

– Kto mógł zabić pańskiego ojca?

– Nie mam pojęcia. – Adam Lwowicz westchnął bezradnie. – Nie znam nikogo, kto nienawidziłby go aż tak mocno. Może... może to przypadek?

– Pański ojciec nie miał wrogów? Naprawdę?

– Ojciec jest... był porządnym człowiekiem. Uczciwym.

– Widzi pan – zaczął Woronin, nie spuszczając wzroku z chłopaka – też jestem synem kupca. I mój ojciec mawiał, że w interesach najbardziej przeszkadza uczciwość. Pan Leon na pewno miał jakichś niezadowolonych współników albo kontrahentów.

Wyrzykowski zastanawiał się dosyć długo, czemu policjant wcale się nie dziwił: w końcu po takiej rodzinnej tragedii trudno dojść do siebie i zebrać myśli. Wreszcie odpowiedział z wahaniem:

– Pracuję w firmie ojca dopiero od roku, więc wielu rzeczy nie wiem. Słyszałem jednak, jak nasz główny buchalter, pan Janicki, mówił swojemu pomocnikowi, że kilka lat temu ojciec o mało nie zbankrutował, bo jeden z kontrahentów nie chciał zapłacić mu mimo ponagleń. Niestety nie wiem, o kogo chodziło, ale pan Janicki będzie pamiętać.

– Nie omieszkałam zapytać – ucieszył się Aleksander i zanotował sobie nazwisko buchaltera; Frołow od ósmej rano siedział w kantorze i spisywał dane oraz alibi wszystkich pracowników, więc na pewno będzie wiedział, gdzie go szukać.

– Myślę, że matka sporo mogłaby panu opowiedzieć. Oczywiście, kiedy dojdzie do siebie.

– Poczekam zatem cierpliwie. Wie pan, że ojciec znał Józefinę Majerową?

– Pierwszy raz słyszę nazwisko tej damy. Mógłby pan...?

– To dziennikarka „Kuriera Porannego” – wyjaśnił Aleksander. – Została zamordowana niecałe dwa tygodnie temu na balu w Resursie Obywatelskiej. Co ciekawe, zginęła w bardzo podobny sposób, co pański ojciec. Wiem też, że się znali. Chciałbym dowiedzieć się, czy te zbrodnie mają ze sobą coś wspólnego.

– Przykro mi, ale nigdy nie spotkałem tej pani. – Syn ofiary był wyraźnie zmartwiony. – O to też powinien pan zapytać mamę.

Aleksander pomyślał, że jeszcze dziś wstąpi do pierwszej napotkanej cerkwi i zapali świeczkę w intencji szybkiego wyzdrowienia pani Wyrzykowskiej; wyglądało na to, że była mu koniecznie potrzebna.

## 2.

– Zamierzasz ją aresztować? – zapytał Woronin ze spokojem, który natychmiast wydał się Jerzemu podejrzanym.

– Tak... Nie wiem. – Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

Z pozoru Leontyna Burzyńska nie była zdolna do zbrodni, ale jej nazwisko zdecydowanie zbyt często pojawiało się w dokumentach obu spraw, aby nie wzbudzić jego podejrzeń.

– Oświadczam ci – kontynuował Aleksander tym samym tonem – że zrobisz to wyłącznie po moim trupie.

– Prędzej spodziewam się własnego trupa – mruknął Szuster, zanim zdenerwowanie pozwoliło mu pomyśleć.

Woronin przeszył go lodowatym spojrzeniem, a potem oparł się na wyprostowanych rękach o blat i pochylił nieco; Jerzy widział z bardzo bliska jego błyszczące wściekłością oczy i zacięty wyraz twarzy.

– Leontynę zostaw w spokoju. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Skąd ta pewność? – zapytał hardo Szuster. – A jeśli wydam ci rozkaz, żebyś ją aresztował?

– Zrezygnuję z tego śledztwa. – Woronin nie spuszczał z niego wzroku. – Ale wtedy prezes odsunie także ciebie. Nie sądzę, żeby wuj zdołał pomóc ci i tym razem.

Jerzy zaklął w myślach. Aleksander akurat w tym starciu był górą i doskonale o tym wiedział. On zaś nie miał wątpliwości, że w swoim pierwszym śledztwie nie może popełnić ani jednego błędu. Pamiętał, co spotkało Woronina, gdy z powodu niewykrycia winnego umorzono śledztwo w sprawie śmierci Rapackiego i jak długo walczył, aby móc wrócić do poważnych zadań.

Z nim mogło być o wiele gorzej; prezes Ładogin w całej rozciągłości zgadzał się z przepisem stanowiącym, że sędziowie śledczy polskiego pochodzenia nie powinni wracać po studiach do rodzinnych miast, tylko podejmować pracę w głębi Imperium – im dalej od Kraju Nadwiślańskiego, tym lepiej. Jerzy stąpał więc po cienkim lodzie; po praktyce w Riazaniu zjechał do domu tylko dzięki wstawiennictwu Mironowa. Z drugiej strony nie chciał, aby rozniosło się w środowisku, że uparty policjant całkiem wlaź mu na głowę; łatki urzędnika bez charakteru nie zdołałby pozbyć się nigdy.

– To nie może być przypadek, że znalazła dwoje nieboszczyków – oświadczył chłodno, kiedy wreszcie zebrał się na odwagę i spojrzał koledze w oczy. – Na dodatek zabitych tym samym sposobem.

– Myślisz, że nie wiem? – Saszka wyprostował się nagle. – Jerzy, ja ją znam. Jest niewinna, i kropka!

– Fakt, że masz do niej słabość, nie czyni z niej anioła. Pamiętaj, do czego zdolny był jej brat, więc może ona...

– Jerzy, zastanów się, zanim ją obrazisz! – Woronin wyglądał w tej chwili groźnie jak nigdy wcześniej i do Szustra dotarło, że ma przed sobą człowieka, który tylko z pozoru jest lekkomyślny i nonszalancki.

– Ja tylko...

– Posłuchaj mnie uważnie. – Aleksander nie dał mu dojść do słowa. – Leontyna nie znalazła się w kantorze przypadkowo. Była umówiona z właścicielem na konkretną godzinę, co potwierdza jego własnoręczny wpis w notatniku. Chyba

musiałaby być szalona, żeby przybyć na zapowiedziane spotkanie z morderczym zamiarem i narzędziem zbrodni w garści!

– Przepraszam – odezwał się Jerzy pojednawczym tonem; wywód kolegi brzmiał logicznie, a to oznaczało, że miłość nie pozbawiła go zdolności racjonalnego myślenia. – Posunąłem się za daleko. Ale w tej sprawie nic nie ma sensu.

– A widziałeś kiedyś taką, co by miała? – zapytał Woronin spokojniejszym tonem, a potem wreszcie usiadł na krześle i wyciągnął papierośnicę. – Lepiej zacznij się przyzwyczajać.

– Czyja to może być robota?

– Na pewno nie Leontyny. – Woronin wbił w niego uważne spojrzenie, jakby znowu spodziewał się ataku. – Dużo straciła z powodu tej śmierci. Matka Burzyńskiego chce jej zabrać dziecko, a ona bardzo liczyła na pomoc Wyrzykowskiego.

– A kto skorzystał na tej śmierci?

– Prawnik rodziny, mecenas Korczuk, twierdzi, że najbardziej synowie i żona. Tyle że cała trójka ma alibi. Rozmawiałem ze starszym synem z samego rana. Jest zrozpaczony, a pani Wyrzykowska na wieść o tym, co się stało, padła jak nieżywa i do tej pory nie doszła całkiem do siebie.

– Mimo wszystko trzeba sprawdzić sytuację firmy i stan majątkowy spadkobierców – powiedział Jerzy, który nie chciał niczego zaniedbać.

– O szczegóły interesów zapytam – Woronin zerknął na zegarek – za godzinę głównego buchaltera, ale Korczuk mówił, że Wyrzykowski nie miał żadnych problemów finansowych. Co do testamentu, to firmę zapisał najstarszemu synowi, a dla żony, młodszego syna i wnuczki stworzył specjalne fundusze. Doraźnie nie mają żadnych profitów oprócz odsetek. Adam Lwowicz, to jest najstarszy syn, pracuje w firmie od roku i jest przerażony, że sam ma nią zarządzać... Młodszy to dopiero maturzysta. Trzeba więc poszukać poza najbliższą rodziną. Dowiedzieć się, czy coś łączy oba morderstwa. Zanim zdarzy się trzecie.

– Myślisz, że istnieje taka możliwość?

– Nie wykluczam tego – westchnął Woronin, gasząc niedopałek w popielniczce.  
– Ale moim zdaniem albo to seryjny zabójca, albo Majerowa i Wyrzykowski mieli jakiegoś wspólnego wroga.

– A co z Jedlińskim? Chcesz wykluczyć go z podejrzanych?

– O nie, nie. – Aleksander pokręcił przecząco głową. – Agenci wzięli na spytki osoby z jego otoczenia. Niemniej jednak drugie zabójstwo sporo zmienia, więc na razie nie będę upierał się przy aresztowaniu. Spróbuję za to przekonać go, że mówienie prawdy bardziej mu się opłaca niż mataczenie.

– Chcesz zrobić to wszystko sam? – Jerzy poczuł się nieswojo; wydało mu się, że kolega, który zaplanował sobie zadania, chce zmarginalizować jego udział w śledztwie. Jako doświadczony policjant mógłby to zrobić bez trudu.

– To zależy tylko od ciebie. – Woronin spojrział na niego znacząco.

Szuster westchnął w duchu. Niech mu będzie, przestanie interesować się panią Leontyną. Chyba że pojawią się dowody, które bez żadnych wątpliwości potwierdzą jej udział w zbrodni.

### 3.

Pękała jej głowa. W sumie nic dziwnego, zważywszy na wydarzenia wczorajszego popołudnia oraz pełną ciężkich snów noc. Pijąc trzecią poobiednią kawę, zastanawiała się, co Bóg chciał osiągnąć, doświadczając ją w ten sposób. Ukarać za to, że uległa uczuciu do Aleksandra?

Nie uważała, że oddając się kochanemu mężczyźnie, popełniła grzech. Co więcej, gdyby pojawiła się okazja, zrobiłaby to po raz drugi, a może nawet i kolejny. Wiedziała bowiem, że nie dostanie od losu więcej szczęścia.

O co więc chodziło?

Znalezienie ofiary zbrodni może przydarzyć się raz w życiu – nie każdemu człowiekowi, ale może. Natknięcie się jednak, po niespełna dwóch tygodniach, na drugiego nieboszczyka i to zabitego w podobny sposób, to zaiste podejrzana sprawa i chyba nie przypadek.

Niewykluczone, że ktoś chciał ją przestraszyć. Dać znak, że będzie następna.

Dlaczego jednak miałby jej grozić? Rozeźleni krewni byli zdolni do wielu rzeczy, ale, na miłość boską, nie do morderstwa!

Może to jednak upiorny zbieg okoliczności... Na wspomnienie martwej twarzy pana Leona i zabryzganego krwią gabinetu, znowu zrobiło się jej słabo i poczuła łzy pod powiekami. Poprzedniego dnia o mało nie wpadła w histerię.



Dobrze, że był przy niej Aleksander, który po załatwieniu formalności odwiózł ją do domu; gdy siedziała w dorożce, mocno przytulona do jego piersi, pojęła, jakie to szczęście mieć kogoś, kto cię wspiera bez względu na okoliczności.

W tej chwili też chciałyby mieć go przy sobie, ponieważ czekało ją trudne zadanie: musiała powiedzieć Joasi, która dopiero co martwiła się o nią, że ukochany dziadek odszedł i więcej go nie zobaczy. Nie miała pojęcia, w jaki sposób to zrobić, więc wciąż odkładała tę chwilę na później.

Wreszcie, po opróżnieniu czwartej filiżanki, poczuła, że jest gotowa na tę trudną rozmowę. Zanim jednak zdążyła podnieść się z fotela, dobiegło ją charakterystyczne trzaśnięcie drzwi wejściowych. W pierwszej chwili pomyślała, że to matka przyszła zrobić jej kolejną awanturę.

– Proszę pani. – Kazia weszła do pokoju tak cicho, że zauważyła ją dopiero w ostatniej chwili. – Ma pani gościa.

– Kto przyszedł? – zapytała z westchnieniem. Powszechnie praktykowany obyczaj wpadania na herbatę bez zapowiedzi zupełnie przestał jej się podobać.

– Pan Bogusz.

Westchnęła ciężko. Spodziewała się dzisiaj wielu rzeczy, ale nie kurtuazyjnej wizyty mężczyzny robiącego jej coraz wyraźniejsze awanse. Nie mogła jednak odprawić go po raz kolejny. Pocieszyła się szybko myślą, że znajdzie sposób, aby uprzejmie wyperswadować panu Waławowi nietrafione konkury.

– Jak moje oko? – zapytała nerwowo, odwracając się w stronę lustra.

– Już prawie nic nie widać. Dobrze się pani upudrowała.

– W takim razie prosz.

– Dobry wieczór – powiedział gość, wchodząc po chwili do pokoju. – Pozwoliłem sobie złożyć pani wizytę, gdyż usłyszałem o wczorajszej tragedii. – Pocałował ją w rękę. – Chciałbym zapewnić, że ma pani we mnie wsparcie i pomoc.

Nieustannie zaskakiwało ją tempo, w jakim w tym mieście roznosiły się informacje.

– Dziękuję – odparła, wskazując mu miejsce naprzeciwko siebie. – Już mi lepiej. Jestem tylko nieco poddenerwowana.

– Ależ to zrozumiałe. – Uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

– Napije się pan herbaty? – zapytała, ciesząc się w duchu, że poleciała Agacie i Kazi przygotować wszystko do podwieczorku; pozory należało zachowywać, bo gdyby tak matka lub Oktawia zdecydowały się jednak ją odwiedzić, aby osobiście wyrazić oburzenie, oberwałoby się jej przy okazji za niedbalstwo.

– Z przyjemnością.

Podeszła do samowara i wykonując wyuczone na pamięć gesty, przygotowała najpierw jedną szklankę naparu, dla gościa, a następnie drugą, dla siebie. Wystarczy kawy jak na jeden dzień.

– Proszę zaczekać. – Bogusz zerwał się z miejsca i podszedł do niej, aby pomóc przenieść herbatę. Leontyna postawiła przed nim talerzyk, potem przesunęła paterę z ciasteczkami. Wreszcie z ulgą wróciła na swoje miejsce; nie mogła nic poradzić na to, że w obecności tego mężczyzny czuła się jak nakręcana lalka.

– Doskonała z pani gospodyni – stwierdził tymczasem z wyraźnym zadowoleniem pan Wacław, ani na moment nie spuszczać z niej wzroku.

– Dziękuję – odparła odruchowo, w panice myśląc o tym, że te mało wyszukane komplementy to wstęp do poważniejszych deklaracji. – Wypełniam tylko swoje obowiązki.

– Należy się pani podziw, że nawet po przeżytych wczoraj wstrząsach nie zaniedbuje pani domu. Martwię się tylko, że taka sytuacja spotkała panią po raz drugi. Może to wpłynąć na pani zdrowie.

– Rzeczywiście, nie sądziłam, że zdarzają się aż takie przypadki. – Starła się odpowiadać grzecznie, ale zdawkowo. Do tego pilnowała się, aby żadnym gestem ani spojrzeniem nie sprowokować gościa do osobistych wynurzeń.

Na nic to się jednak zdało.

– Po śmierci żony moje gospodarstwo podupadło – poinformował ją z westchnieniem. – Żadna najemna gospodyni nie włoży w prowadzenie domu mężczyzny tyle serca, co odpowiednia małżonka. Co prawda, moja córka, od kiedy podrosła, bardzo stara się zastąpić matkę, ale niedługo, być może już na wiosnę, wyjdzie za mąż i uwije własne gniazdo.

– Zauważyłam, że panna Gabriela ma ogromne powodzenie. – Spróbowała desperacko pchnąć konwersację na inne tory.

– O tak – odparł gość z nieukrywaną dumą. – Odrzuciłem kolejnych trzech konkurentów, którzy chcieli się z nią żenić.

– Oni też nie byli odpowiedni?

– Wie pani, że moja córka jest piękna, doskonale wychowana i ustosunkowana. Moja żona pochodziła z Woronieckich... A ja nie po to otwierałem gorzelnię, cegielnię i tartak, aby owoce mojej pracy przejadł jakiś chłystek.

Nie było wątpliwości, że ambicje pana Bogusza sięgają wysoko i zapewne nikt poniżej księcia Lubomirskiego nie spełni jego oczekiwań. Ciekawe, co myśli o tym córka? Zapewne nie zapytał jej nawet o zdanie.

– Znalezienie odpowiedniego kandydata to rzeczywiście trudna sprawa – powiedziała, gdyż musiała w końcu się odezwać.

– Mimo wszystko jestem pewny, że Gabriela zdąży zaręczyć się przed końcem karnawału. – Pan Waclaw uśmiechnął się tajemniczo. – A wtedy ja zostanę sam. – Nie przestając się uśmiechać, spojrzął na nią w taki sposób, że ogarnął ją niepokój.

„Boże – pomyślała. – Niech coś się stanie. Niech ktoś przerwie tę rozmowę”.

Stwórca wysłuchał jej modłów, ponieważ drzwi wejściowe stuknęły po raz kolejny tego popołudnia.

– Proszę pani. – Kazia wmaszerowała do saloniku z drugą paterą ciastek. – Przyszedł pan doktor Siemaszko. Pyta, czy pani go przyjmie?

Leontyna szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Prędzej spodziewałaby się spotkania z duchem ojca niż wizyty odwiecznego adoratora.

– Dobry wieczór, szanownej pani. – Doktor, nie czekając na zaproszenie, wszedł do salonu, roztaczając wokół silną woń wody kolońskiej. – Przyszedłem sprawdzić, czy po wczorajszych wypadkach nie potrzebuje pani pomocy lekarskiej – wyjaśnił, składając na jej dłoni mokry i mlaszczący pocałunek. – Widzę, że nie tylko ja martwię się pani zdrowiem – dodał kwaśno, kiedy zauważył rywala. – Dobry wieczór, szanownemu panu.

Leontyna z trudem powstrzymała się, aby nie wytrzeć ręki. Siemaszko od pierwszych chwil znajomości, budził w niej lęk i niechęć. Nie umiała tego uchwycić ani konkretnie nazwać, ale było w nim coś śliskiego i nie budził zaufania. W tej jednak chwili ucieszyła się na jego widok.

– Napije się pan herbaty? – Podniosła się z miejsca i podeszła do szumiącego samowara; woda nadal była wystarczająco gorąca.

– Z pani pięknych rączek, z największą przyjemnością. Choćby i truciznę. – Doktor uśmiechnął się jowialnie i nie kryjąc się z tym wcale, taksującym wzrokiem

zmierzył jej figurę. Wyglądało na to, że wpadła z deszczu pod rynnę.

– A pan, panie Waławie? – Spojrzała wyczekująco na Bogusza. – Widzę, że ma pan pustą szklanę.

– Oczom doskonałej gospodyni nic nie umknie – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Jeśli nie będzie to dla pani kłopot, chętnie wypiję jeszcze jedną. – Nie zamierzał opuszczać placu boju, tylko zostać i pilnować tego, co zapewne uważał już za swoją własność.

Leontyna, przygotowując herbatę dla mężczyzn, którzy z jakiegoś względu uważali, że mają do niej prawo, zatęskniła za Aleksandrem. Ci dwaj, choć może w gruncie rzeczy porządni, nie mogli mierzyć się z nim w żadnym względzie.

Cofnęła pospiesznie rękę, bo w zamyśleniu prawie przelała wrzątek. Następnie, pilnując się, aby znowu nie zatonać w marzeniach, przyrządziła drugą porcję naparu, a potem zaniósła wszystko gościom, którzy mierzyli się wzajemnie niechętnym wzrokiem.

– Czy na pewno dobrze się pani czuje? – Siemaszko odwrócił się w jej kierunku. – Odkąd pamiętam, była pani okazem zdrowia, a w tej chwili wygląda jak suchotnica w ostatnim stadium.

– Czy to ma być komplement? – rzucił Bogusz. – Jeśli tak, to wyjątkowo nietrafiony. Pani Leontyna wygląda kwitnąco, jest tylko odrobinę zmęczona. Co chyba nie dziwi po tak trudnych przeżyciach.

– Rzeczywiście, nie spałam najlepiej.

– Zalecam mleko z laudanum – ożywił się natychmiast doktor. – Laudanum to cudowny środek. Będzie pani spała po nim jak niemowlę. Zaraz wystawię receptę.

– Ależ nie trzeba, panie doktorze – powstrzymała go Leontyna. – Po laudanum czuję się jeszcze gorzej.

– A to szkoda – zmartwił się Siemaszko. – Moje pociechy spały po nim jak anioły.

– A ileż ma pan tych pociech? – wtrącił się Bogusz.

– Ośmioro – odparł z dumą lekarz. – Widzi pan, ja ogromnie lubię dzieci. Mógłbym mieć ich i drugie tyle.

– Rozumiem, że pańska małżonka też za życia podzielała tę pasję?

– Sześć.

– Nie rozumiem. – Pan Waław uważniej przyjrzał się rywalowi.

– Miałem sześc, Panie świeć nad ich duszami, żon i rzeczywiście, wszystkie uwielbiały dzieci. Tyle że cztery z nich były słabszej kondycji i nie przeżyły porodów... Jedna zmarła na suchoty, a ostatnia... zatrula się lekarstwem. A tyle razy jej mówiłem, żeby nic nie brała z mojej szafy.

– Zaiste piękna kolekcja – mruknął kpiąco pan Waclaw.

– A i owszem – napuszył się Siemaszko, który nie wyczuł ironii. – Co jedna, to była piękniejsza. Ale moja siódma żona będzie najpiękniejsza. – Posłał Leontynie coś, co w założeniu miało być chyba zachęcającym spojrzaniem. Tyle że ona na ten widok o mało nie zemdlala.

Zaczynało brakować jej cierpliwości i pocieszała się tylko tym, że starania obu męzczyzn – jakkolwiek byłyby uparte – nie przyniosą spodziewanego efektu: kilka miesięcy po śmierci Janusza postanowiła, że nie wyjdzie drugi raz za mąż.

Choć ostatnio zaczęła podejrzewać, że jest jeden jedyny człowiek, dla którego mogłaby rozważyć zmianę decyzji.

#### 4.

Atanazy Michajłowicz Janicki, główny buchalter spółki handlowej *L. Wyrzykowski i Syn*, był łysiejącym korpulentnym męzczyzną około pięćdziesiątki i miał w sobie coś budzącego zaufanie. Aleksander jednak zbyt wiele widział w życiu, aby pozwolić zwieść się pierwszemu wrażeniu. Nie chciał też przestraszyć świadka, który mógł rzucić światło na motywy zbrodni. Dlatego zaprosił uprzejmie Janickiego do swojego gabinetu, poczęstował papierosem i posłał po Frołowa, który miał protokołować zeznania.

Przez pierwsze dwa kwadransy rozmawiali o sytuacji finansowej firmy i jej planach rozwoju, co utwierdziło Woronina w przekonaniu, że żona i synowie Wyrzykowskiego nie mieli żadnego interesu w zgładzeniu głowy rodziny – wręcz przeciwnie, musieli zmierzyć się z sytuacją, która ich może przerosnąć.

– Jak długo pracował pan u Leona Wyrzykowskiego?

– Ponad dwadzieścia lat, a znaliśmy się jeszcze dłużej – odparł Janicki z westchnieniem. – Darzyłem pryncypała wielkim szacunkiem i wdzięcznością.

– Wdzięcznością? Proszę wyjaśnić dokładniej.

– Bo wie pan, komisarzu... – Buchalter niespokojnie poruszył się na krześle. – Są sprawy, które łączą ludzi na zawsze.

– Takie jak...?

– Takie jak wspólne zesłanie na Sybir – odparł Janicki, patrząc mu w twarz. – A konkretnie do Nerczyńska. Leona... to znaczy pana Wyrzykowskiego uwolniono wcześniej, ale miał zakaz opuszczania Kraju Zabajkalskiego, więc zajął się handlem. A kiedy skończyłem odbywać karę, zatrudnił mnie u siebie. Po zakończeniu wyroku mogliśmy przenieść się najpierw do Odessy, a wreszcie do Warszawy.

– Za co panowie zostali zesłani? – zapytał, choć odpowiedź nasuwała się sama; Woronin wystarczająco długo mieszkał w Warszawie, aby wiedzieć, z jakiego powodu trzydzieści lat temu zsyłano polskich mężczyzn na drugi koniec Imperium.

– Za udział w powstaniu 1863 roku.

Jeszcze kilka lat temu Aleksander poprawiłby go natychmiast, przypominając, że była to zwykła rebelia przeciwko prawowitemu władcy, ale teraz nie zamierzał już tego robić. Wcale nie dlatego, że przyznawał Polakom rację, po prostu nie chciał tracić czasu na bezproduktywne dyskusje.

– Wcześniej, w czasie powstania, byliście towarzyszami broni?

Janicki spojrzał na niego z nieukrywanym zdziwieniem, najwyraźniej, znając rosyjską żandarmerię, wojsko i policję, nie spodziewał się takiej nomenklatury.

– Nie. Spotkaliśmy się dopiero w Nerczyńsku, w kopalni złota.

– Czy pan Wyrzykowski miał jakichś wrogów?

– W Nerczyńsku? Takich na śmierć i życie? – dopytał Atanazy Michajłowicz, a kiedy Woronin potwierdził, odparł: – Widzi pan, Leon... to jest pan Wyrzykowski był skrytym człowiekiem i mało mówił o sobie. A co dopiero o wrogach.

– Ale przez tyle lat wspólnej pracy mógł pan coś zauważyć?

– Miewał kłopoty z nieuczciwymi albo niewypłacalnymi kontrahentami, ale zawsze dochodził z nimi do porozumienia. Nie należał do osób zawziętych.

– Czy potrafiłby pan wymienić nazwiska choć kilku takich kłopotliwych kontrahentów? – zapytał Aleksander. – Chętnie porozmawiałbym z nimi, aby dowiedzieć się, jak wyglądały jego metody perswazji.

– Pełna lista byłaby bardzo długa. – Buchalter się zamyślił. – Ale jest na niej kilku znanych handlarzy zbożem... Choćby Kosmański, Śliwecki, Finkelsztajn, Niczypur, a także pan Burzyński.

– Burzyński? Chodzi panu o Janusza Burzyńskiego?

– Ależ nie – zaprotestował. – Ze swoim zięciem Leon nie miał najmniejszych problemów, to był uczciwy i zaradny chłopak... Mówię o jego ojcu, panu Ksawerym. Leon musiał zerwać z nim współpracę.

Aleksander z trudem krył rozczarowanie. Wolałby utwierdzić się w przekonaniu, że mąż Leontyny był niepoprawnym łobuzem, a nie słuchać peanów na cześć zalet jego charakteru.

– A przez którego z tych panów Wyrzykowski o mało nie zbankrutował? Adam Lwowicz wspominał mi o tym, ale nie zdołał przypomnieć sobie nazwiska.

– Niestety przez pana Ksawerego – westchnął buchalter. – To przykra historia.

– A co takiego zrobił pan Burzyński?

Janicki zawahał się na chwilę.

– Proszę się nie obawiać, to tylko do naszej informacji – uspokoił go Aleksander.

– Po ślubie pana Janusza z Felicją... to jest córką Leona, Burzyński przestał regulować zobowiązania wobec naszej firmy. Uczynił to dopiero po kilku monitach, ale i tak w kwocie znacząco niższej niż należna.

– Czy jakoś to tłumaczył?

– Uznał, że jako powinowatego Leon potraktuje go ulgowo i nie zażąda zapłaty. Kiedy jednak okazało się, że jego mniemanie było błędne, sam udzielił sobie rabatu. Leon uznał, że powinowactwo powinowactwem, ale nie pozwoli się wykorzystywać i szybko zakończył współpracę. Pan Burzyński do tej pory jest winny spółce ponad osiemdziesiąt tysięcy rubli. Wyrzykowsky tego nie rozgłaszali przez wzgląd na pamięć Felicji.

– Pan Ksawery to ciekawy człowiek – rzucił Woronin. Słuchając Janickiego, przypomniały mu się słowa Nikity Andriejewicza, który kilka lat temu stawiał pod znakiem zapytania uczciwość Burzyńskiego seniora. Postanowił jak najprędzej wysłać do ojca telegram z prośbą o bliższe wyjaśnienia.

Miał ochotę jeszcze raz zapytać o Janusza, aby dowiedzieć się czegoś więcej o jego małżeństwie z Leontyną, ale zmógł pokusę i wrócił do zasadniczego tematu rozmowy.

- Czy to prawda, że pan Wyrzykowski znał Józefinę Majerową?
- Tę dziennikarkę, którą zamordowano na balu?
- Tę samą.
- Tak. Wydaje mi się, że tak. Widziałem u Leona kilka listów, na których figurowało to nazwisko.
- Co było w tych listach?
- Nie wiem, ponieważ była to prywatna korespondencja. I wydaje mi się, że ostatni list przyszedł całkiem niedawno.

## 5.

Jerzy odrzucił raport z sekcji zwłok Wyrzykowskiego na piętrzący się na biurku stos papierów, a następnie potarł zmęczone oczy. Oficjalny dzień pracy skończył się już dawno i o tej porze powinien jeść kolację z wujostwem. Uparł się jednak, że jeszcze dziś przejrzy dokumenty zabrane z biura ofiary.

Niestety było tego bardzo dużo, sama korespondencja zajmował kilkanaście teczek, a on ledwo dotarł do połowy. Szczerze mówiąc, dywagacje na temat zmieniających się co chwila cen zboża, kosztów transportu oraz opłat celnych, zupełnie go nie interesowały. Wolałby już grzebać w księgach handlowych, gdzie dane były jednoznaczne i dokładnie wyliczone, a nieścisłości dawało się wychwycić bardzo szybko. Tyle że tymi papierami – oraz sprawującym nad nimi nadzór głównym buchalterem – zajmował się teraz Woronin.

Westchnął, wypił kilka łyków zimnej herbaty, a potem westchnął ciężko i sięgnął po kolejną porcję listów. Postanowił, że przejrzy jeszcze tę jedną stertę i pójdzie do domu; musiał przyznać sam przed sobą, że jest zbyt zmęczony, aby porządnie skupić się na lekturze.

Uniósł tekturową okładkę teczek i wyciągnął z niej kilka kopert. Obejrzał pierwszą z brzegu – stempel miał datę sprzed dwóch tygodni, co oznaczało, że natrafił na najnowszą korespondencję, której nikt nie zdążył jeszcze uporządkować.

Przeglądał kolejno list po liście: ich treść praktycznie nie różniła się niczym od tych, które czytał wcześniej, ale kiedy tylko zdążył poczuć, że za chwilę zaśnie ze



znużenia, w jego ręce wpadła nieduża biała koperta, zaadresowana okrągłym damskim pismem. Odwrócił ją, aby znaleźć nazwisko nadawczyni i zdębiał. „J. Majerowa”.

Całkiem już rozbudzony, wyciągnął kartkę i szybko ją rozprostował. Pismo była datowane na trzy dni przed śmiercią dziennikarki, do tego bardzo krótkie. Wyjaśniało jednak wiele.

*Drogi Leonie,*

*dowiedziałam się od Twojej żony, że przenosisz do Warszawy wszystkie interesy z Odessy i lada dzień zjedziesz do domu na stałe. Dlatego chcę Cię ostrzec – ten człowiek znowu się pojawił i groził mi. Musimy coś z nim zrobić raz na zawsze.*

*Fina*

# ROZDZIAŁ XIII

## I.

Nazajutrz po pogrzebie Leona Wyrzykowskiego, który Aleksander obserwował z bezpiecznej odległości, przyszła wiadomość od wdowy, że jest gotowa spotkać się z nim jeszcze tego samego dnia. Woronin ucieszył się z takiego obrotu sprawy, ponieważ bardzo liczył na to, że właśnie od Klary Wojciechowny dowie się wreszcie czegoś o związkach obu ofiar; poza Janickim, wszyscy pracownicy kantoru, a także prawnik, nie mieli nic do powiedzenia na ten temat.

O ustalonej godzinie stanął pod drzwiami mieszkania Wyrzykowskich, które znajdowało się na pierwszym piętrze nowej i niewątpliwie drogiej kamienicy na Złotej. Przyszedł sam, gdyż nie chciał niczym rozdrażnić gospodyni; wystarczająco długo naczekał się, aż dojdzie do siebie.

Do środka wpuściła go młoda smagła pokojówka.

– Komisarz policji śledczej Woronin – przedstawił się szybko. – Przyszedłem do pani Wyrzykowskiej.

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, z bocznego pokoju wyszedł Adam Lwowicz.

– Dzień dobry. – Wyciągnął rękę do Aleksandra. – Matka czeka na pana.

– Mam nadzieję, że czuje się wystarczająco dobrze, żeby móc odpowiedzieć na kilka pytań.

– Lekarz zabronił jej się denerwować, ale bardzo chce pomóc w śledztwie. Nie wyobraża sobie, żeby morderca ojca mógł nie zapłacić za swoją zbrodnię.

Aleksander oddał pokojówce płaszcz i czapkę, a potem ruszył za gospodarzem w głąb mieszkania; Adam Lwowicz zatrzymał się przed drzwiami pokoju najbardziej oddalonego od wejścia i lekko zapukał. Kiedy usłyszał zaproszenie, spojrzał na Woronina.

– Pozwoli pan, że wejdę pierwszy? Zapytam, czy mama jest gotowa.

– Oczywiście.

Został na korytarzu i zajął się oglądaniem olejnych obrazów wiszących na ścianie; wszystkie przedstawiały górskie widoki – zimowe i letnie. Czyżby to krajobrazy okolic Nerczyńska? Aleksander nie był nigdy w Kraju Zabajkalskim, więc nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Młody Wyrzykowski otworzył wreszcie szerzej drzwi i zaprosił go do środka.

Pokój był spory, ale w pierwszej chwili trudno było mu rozpoznać kształty mebli i kolor wystroju, ponieważ okna zostały szczelnie zasłonięte i panował w nim półmrok. W powietrzu unosiły się wymieszane zapachy kamfory i lawendy.

– Witam pana – powiedziała po rosyjsku pani Wyrzykowska. – Przepraszam za tak nieeleganckie otoczenie, ale wciąż nie najlepiej się czuję. Adasiu – zwróciła się do syna. – Odsłoń chociaż jedno okno, przyda się nam trochę światła. I poproś Kasię, żeby przyniosła herbatę.

Młody człowiek spełnił prośbę matki i po chwili w pokoju zrobiło się jaśniej. Aleksander rozejrzał się dyskretnie po wnętrzu, które w jednej chwili stało się przyjazne i przytulne. Oprócz lekkich mahoniowych mebli, dostrzegł obrazy malowane w tym samym stylu jak te na korytarzu. Gospodyni – krucha i blada – leżała na szezlongu, starannie okryta pledem. Kiedy spojrzął na nią, coś zakłuło go w sercu; nie wiedzieć czemu ta kobieta przypomniała mu matkę.

– Sama malowałam te widoki – powiedziała, widząc jego zainteresowanie. – Tamte w holu też. To Kraj Zabajkalski.

– Bardzo dobre – powiedział szczerze; dzięki ambicjom Nikity Andriejewicza coś tam jednak wiedział o malarstwie.

– Zbyt pan miły – westchnęła dama. – Co prawda, uczyłam się u Gersona, ale było to lata temu...

Kim był wspomniany Gerson, akurat nie miał pojęcia, ale domyślił się, że to pewnie jakiś znany tutejszy malarz.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Wskazała mu jedno z solidnych krzeseł. Przysunął je bliżej szezlonga. – Dziękuję, że znalazł pan czas na rozmowę.

– To ja jestem wdzięczny, że zechciała pani spotkać się ze mną. Razem z sędzią Szustrem staramy się znaleźć zabójcę... A jeśli pani woli, możemy mówić po polsku.

W oczach pani Wyrzykowskiej pojawiło się zdumienie – Aleksander dawno zdążył przyzwyczać się do takich reakcji nowych rozmówców – nic jednak nie powiedziała, tylko kiwnęła głową.

– Czy ma pani jakieś podejrzenia, kto zamordował pani męża?

– Zastanawiałam się długo – zaczęła drżącym głosem – ale nikt nie przychodzi mi do głowy... ale niewykluczone, że był to ktoś z dawnych czasów.

– Czemu pani tak uważa?

– O jego obecnych wrogach wiedziałabym na pewno, ale o starych nie mam pojęcia. Może byli, a może nie – zakończyła z westchnieniem.

– Proszę w takim razie opowiedzieć, co pani wie o przeszłości męża. I gdzie mógłby narobić sobie tych ewentualnych wrogów?

– Ale to bardzo długa historia... – Spojrzała na niego niepewnie.

– Jeśli czuje się pani na siłach mówić, to wszystkiego wysłucham – rzucił zachęcająco. – I proszę pozwolić, że zanotuję najważniejsze kwestie. – Wyciągnął z kieszeni kajet i ołówek.

Znowu kiwnęła głową, a potem zaczęła mówić półgłosem:

– Zapewne pan już wie, że w 1864 roku Leon został zesłany pod chińską granicę... do Kraju Zabajkalskiego.

– Za udział w powstaniu – dodał odruchowo Aleksander. – Pan Janicki wspominał o tym.

Zamilkała i przez chwilę przyglądała mu się z zainteresowaniem, wreszcie zdecydowała się kontynuować.

– Byłam jego narzeczoną, więc zdecydowałam się pojechać za nim. Rodzina nie chciała mnie puścić... Widzi pan, zaręczyliśmy się szybko, zaledwie po kilku tygodniach znajomości i mój ojciec, który nie przepadał za Leonem, był pewny, że uczucie mi przejdzie. Ale ja uparłam się i na ślub, i na wyjazd. Byłam młoda, zakochana do szaleństwa i nic mnie nie przerażało. – Przez chwilę uśmiechała się do swoich wspomnień. – Podróż trwała kilka miesięcy, a kiedy dotarłam na miejsce, Leon wystarał się o pozwolenie na ślub. Nasza córka, Felicja, urodziła się w Nerczyńsku... – Przerwała, a potem sięgnęła po chusteczkę i wytarła załzawione oczy.

Miała chwilę, aby odpocząć, ponieważ do pokoju weszła ta sama pokojówka, która wcześniej otwierała mu drzwi. Przyniosła herbatę, cukier, powidła i spory

talerz tartinek. Postawiła tacę przed gościem, ale zabrała z niej jedną szklanę naparu i zaniósła swojej pani, a potem opuściła pomieszczenie tak samo cicho, jak do niego weszła.

– Proszę się częstować – zachęciła go pani Wyrzykowska.

– Dziękuję. – Sięgnął po powidła, które wyjątkowo smakowicie zapachniały truskawkami i posłodził nimi herbatę.

– Leon dostał piętnaście lat katorgi, ale po carskiej amnestii skrócono mu karę do pięciu – gospodyni powróciła do przerwanej opowieści – lecz kolejne siedem musiał spędzić na przymusowym osiedleniu. Wreszcie w 1876 roku opuściliśmy Nerczyńsk i przeprowadziliśmy się do Odessy. Leon nie miał wtedy prawa powrotu do Polski...

Aleksander wiedział, że powinien zwrócić jej uwagę, byli w końcu w Kraju Nadwiślańskim. Nie zrobił tego jednak; uznał, że mógłby sprawić pani Wyrzykowskiej przykrość albo, co gorsza, zdenerwować ją, więc milczał i słuchał dalej.

– Zawsze miał żyłkę do interesów... już na zesłaniu handlował, czym się dało. Za zaoszczędzone pieniądze otworzył w Odessie kantor handlu zbożem i szybko zbił majątek. Rodzina nam się powiększała, ale niczego nie brakowało.

Jak na razie, wszystko zgadzało się z faktami podanymi przez Janickiego.

– Widzi pan, zmierzam do tego... Spędziłam z Leonem prawie trzydzieści lat życia i nigdy nie żałowałam swojej decyzji, był dobrym mężem i ojcem – uniosła chusteczkę do oczu – ale od samego początku odnosiłam wrażenie, że coś przede mną ukrywa. Pytałam go wiele razy, ale zbywał mnie lub obracał pytania w żarty. Podejrzewam jednak, że chodziło o czasy powstania...

– Z czego pani wnioskuje?

– Och, zdarzało nam się kłócić, gdyż oboje byliśmy uparci i raz w nerwach wykrzyczał mi, że się kogoś obawia. I że o tym nie mówił, bo chciał chronić mnie i dzieci... Szczerze mówiąc, wołałabym wiedzieć, czego mogę się spodziewać i jakoś przygotować zawczasu, ale nie docierał do niego ten argument. Twierdził, że sam sobie poradzi i w razie potrzeby nas obroni.

– I nigdy nie dowiedziała się pani, kto to był?

– Niestety nie... ale chyba coś z tym wspólnego miała Józefina Majerowa. Ona też się bała... Widziałam kiedyś list, który napisała do Leona. Wiele lat temu.

Skarżyła się, że ktoś jej groził.

– Kiedy to było?

– Jakieś dwadzieścia lat temu. Mieszkaliśmy jeszcze w Nerczyńsku, a Józefina nie była żoną profesora Majera.

– Skąd mąż ją znał?

– Pochodzili z tych samych stron, z zachodniego Mazowsza. Leon kiedyś wspomniał, że znają się prawie od dziecka... Ja spotkałam ją jakieś trzynaście lat temu, kiedy przywiozłam Felicję z Odessy na pensję w Warszawie. Nie utrzymywałam z nią bliższych stosunków towarzyskich, ponieważ Leon, z jakiegoś powodu, nie życzył sobie tego. Pewnie przypominała mu o czymś z przeszłości.

– Czy wie pani coś o jej pierwszym mężu? – zapytał Aleksander, klnąc w duchu, że nie zdołał na czas dotrzeć do drugiej ofiary: pewnie dowiedziałby się od pana Leona więcej niż od którejkolwiek z przyjaciółek Majerowej.

– Niestety, tylko tyle że zmarł jakoś niedługo po powstaniu – powiedziała, a po chwili dodała, widząc zdziwienie Woronina. – Kiedy się poznałyśmy, powiedziała, że mija piętnaście lat od jego śmierci... A to był 1880 rok.

– Podobno pani Józefina miała w młodości jakieś problemy? Słyszałem coś o plotkach i o ostracyzmie...

– Wiem tylko o groźbach, o niczym więcej... Może ich oboje zabiła ta sama osoba?

– Rozważamy taką możliwość – powiedział Aleksander. – Nie tylko ze względu na podobieństwo tych zbrodni. Pani Majerowa wysłała do pani męża kolejny list. Na kilka dni przed swoją śmiercią ostrzegała go przed jakimś człowiekiem, który ponoć znowu jej groził.

– Nie... nie zauważyłam niczego niepokojącego. Leon też nic nie wspominał.

– Pani mąż, niestety, nie zdążył przeczytać tego listu.

Pani Klara uniosła ręce do piersi, a Woronin pomyślał, że musi zakończyć tę rozmowę; gospodyni była wyraźnie zmęczona i drażnienie tematu mogło jej zaszkodzić. Wypił herbatę do końca, a następnie powiedział:

– Dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

– Żałuję, że nie wiem nic więcej. – Gospodyni spojrzała na niego z powagą. – Ale jeśli tylko dowiem się czegoś, nie omieszkać pana poinformować.

– Liczę na to – odparł, podnosząc się z krzesła. – Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Gospodyni sięgnęła po uchwyt dzwonka, ale zanim wezwała pokojówkę, jeszcze raz przyjrzała mu się bardzo uważnie, jakby wręcz chciała przewiercić go wzrokiem na wylot. Aleksander poczuł się niezręcznie.

– Czy dobrze kojarzę, że jest pan znajomym Leontyny Burzyńskiej?

Nie miał pojęcia, jaki właściwie cel ma to pytanie, ale nie widział powodu, aby skłamać.

– Prowadziłem śledztwo w sprawie śmierci jej ojca.

– Tak myślałam – odparła dama, ale niczego mu nie wyjaśniła, tylko zadzwoniła po pokojówkę.

## 2.

Jerzy zakończył wreszcie przegląd dokumentacji dostarczonej do Sądu Okręgowego z kantoru Leona Wyrzykowskiego, ale niestety – oprócz listu Józefiny Majerowej – nie znalazł nic, co mogłoby okazać się pomocne w śledztwie.

Po przeczytaniu setek listów, rachunków i zestawień, a także po zapoznaniu się z księgami handlowymi, które Aleksander odesłał mu z podejrzaną skwapliwością, mógł jednak powiedzieć, że *Spółka L. Wyrzykowski i Syn* była zarządzana wręcz modelowo i w dniu śmierci właściciela znajdowała się w doskonałej kondycji. Z kręgu potencjalnych morderców należało więc wykluczyć ewentualnych zniecierpliwionych wierzycieli.

Pozostawali jeszcze dłużnicy, ale tych nie było wielu; największe zaległości wobec firmy Wyrzykowskiego miał teść jego zmarłej córki, Ksawery Burzyński. Woronin już wcześniej wspominał mu, że kwestia rozliczeń między obydwoma panami to skomplikowana kwestia, ale Jerzy nie przypuszczał, że może chodzić o tak duże kwoty. Postanowił, że w najbliższym czasie porozmawia z panem Ksawerym – zapisał sobie tę myśl w kajecie, aby o niej nie zapomnieć. Resztę działań zaplanuje, kiedy Aleksander zakończy dzisiejsze przesłuchania – oby chociaż on dowiedział się czegoś przydatnego.

### 3.

Tym razem Seweryn Jedliński stawiał się w urzędzie śledczym po dobroci i w stanie umożliwiającym konwersację. Towarzyszył mu śmiertelnie poważny mecenas Rozenblum, który na wieść o poprzednim przesłuchaniu odwiedził Woronina w urzędzie i bez ogródek oświadczył mu, że bez oficjalnego pisma od sędziego śledczego, nie ma prawa zbliżyć się do jego klienta. Aleksander nie wspominał najlepiej tego spotkania – cóż, jego policyjna duma mocno ucierpiała w starciu z prawniczym taranem – niemniej jednak starał się nie myśleć o nim ze złością, gdyż w świetle ostatnich zdarzeń za bardzo zależało mu na zeznaniach syna pierwszej ofiary.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedział, siląc się na uprzejmość, a potem dał znak Frołowowi, aby był gotowy do protokolowania.

– Zapraszał mnie pan tak uprzejmie, że nie mogłem odmówić – rzucił nerwowo Seweryn. Miał cienie pod oczami, a bladością mógłby konkurować z niejednym klientem doktora Patkiewicza. Był jednak starannie ogolony, a jego elegancji nie mogłaby niczego zarzucić nawet zmarła matka.

– Jeśli chodzi o alibi – odezwał się beznamiętnym tonem mecenas Rozenblum – mój klient nie czuje się w obowiązku informować pana, co robił w dniu śmierci matki. Może za to przedstawić świadków, którzy potwierdzą, że nie było go w Warszawie. Proszę bardzo – wyjął z teczki zapisany papier – oto lista z adresami.

Woronin rzucił okiem na dokument i zauważył nazwiska trzech znanych warszawskich lekarzy.

– Liczę – podniósł głowę i spojrzał na adwokata – że dowiem się, co robił pański klient, kiedy zamordowano pana Wyrzykowskiego.

– To żadna tajemnica. – Prawnik zachował profesjonalny spokój. – Pan Jedliński spotkał się akurat ze znajomymi.

– Bardzo się cieszę z tych informacji – mruknął Aleksander niezadowolony, że Seweryn zaczyna mu się wymykać. – Ale chciałbym też wiedzieć – spojrzał wprost na Jedlińskiego, który nieustannie wiercił się na krześle – jak zareagował pan na wieść, że matka co roku pomniejsza pański spadek o dziesięć procent?

– Czy to ma coś wspólnego ze śmiercią pani Majerowej? – zapytał adwokat.



– Może to być doskonały motyw morderstwa. Strach przed utratą majątku – odparł Woronin.

– Chyba za wiele pan sobie pozwala – mruknął prawnik, a potem zwrócił się do klienta: – Panie Sewerynie, nie musi pan odpowiadać na to pytanie.

– Nigdy nie zależało mi na pieniądzach matki – rzucił Jedliński, dla odmiany bawiąc się guzikiem surduta. – Gdyby tak było, spełniłbym jej życzenie.

– Jakie życzenie? – zainteresował się natychmiast Woronin.

– Pan wybaczy, ale to delikatna rodzinna sprawa i matka nie chciałaby, abym o niej opowiadał przypadkowym osobom. A na pieniądzech mi nie zależy – powtórzył.

– To wzruszające, co pan mówi. Ale ponoć pańskie interesy idą o wiele gorzej, niż twierdził pan w czasie naszego pierwszego spotkania.

– Chyba nie muszę tłumaczyć się z własnych przekonań i podejścia do życia? – Wzrok przesłuchiwanego poszybował aż na sufit. Woronin uświadomił sobie, że od początku rozmowy Seweryn robi wszystko, aby nie patrzeć mu w oczy.

– To zależy. Jeśli z powodu pańskich przekonań zginęła matka...

– To są bezpodstawne insynuacje. – Rozenblum natychmiast wszedł mu w słowo.

– To jest przesłuchanie! – warknął Aleksander, zirytowany tą ciuciubabką. – Chciałbym wreszcie dowiedzieć się prawdy.

– Strasznie pan nerwowy, komisarzy – mruknął Jedliński, przyglądając się Frołowowi zajętemu zapisywaniem każdego zdania. – Powinien pan rozważyć kurację laudanum. Samopoczucie zaraz się poprawi.

„Akurat!” – pomyślał zjadliwie Aleksander, a głośno powiedział:

– Dziękuję za troskę o moje zdrowie, sam sobie poradzę, a pana chciałbym zapytać o coś innego.

Przesłuchiwany otworzył usta i już miał coś rzec, ale ubiegł go adwokat:

– A konkretnie, o co takiego?

– Panią Józefinę i Leona Wyrzykowskiego zamordowano w bardzo podobny sposób, co sugeruje tego samego sprawcę. Ustaliliśmy też ponad wszelką wątpliwość, że ofiary się znały. Czy mógłby pan – zwrócił się do Seweryna – powiedzieć coś więcej o tej znajomości?

- Niestety nie. Matka nie wspominała o tym człowieku.
- Jest pan tego absolutnie pewny? Proszę się skupić.
- Mój klient powiedział wyraźnie, że nie wie nic na ten temat – wtrącił się Rozenblum.
  - Może znali się w młodości. – Seweryn zignorował słowa adwokata. – Na pewno nie za mojej pamięci.
  - A może znał pańskiego ojca?
  - Tym bardziej nie umiem odpowiedzieć na pańskie pytanie. Ojciec umarł, kiedy byłem dzieckiem. Nie pamiętam go nawet.
  - Czy jego śmierć miała coś wspólnego z... z powstaniem 1863 roku?
  - Nie mam pojęcia! Już mówiłem panu, że matka prawie o nim nie wspominała.
  - Widzi pan – westchnął Aleksander – zastanawiałem się nad tym wielokrotnie i nie mogę zrozumieć, czemu pani Józefina próbowała o nim zapomnieć. Czy pańscy rodzice żyli w niezgodzie?
  - Nie musi pan nic mówić – rzucił pośpiesznie adwokat.
  - Spokojnie, pani Henryku – uspokoił go Seweryn. – Na to pytanie odpowiem. Co do moich rodziców... – Po raz pierwszy spojrzał Woroninowi w twarz; co ciekawe, policjant mógłby przysiąc, że to szczere spojrzenie. – Nie sądzę, żeby mieli jakieś problemy. Kiedyś zapytałem o ojca wprost, a matka odparła, że był wspaniałym mężczyzną. Miałem wtedy już ze dwadzieścia lat, więc nie sądzę, żeby okłamała mnie w tej kwestii. Wydaje mi się, że go kochała.
  - Gdzie jest pochowany pański ojciec?
  - Nie wiem. Nigdy nie byłem na jego grobie.
  - Czegoś nie rozumiem. – Aleksander z namysłem podrapał się po czole. – Jak matka mogła panu tego nie powiedzieć?
  - Cóż – westchnął Seweryn. – Niektórzy ludzie żyją w kulcie śmierci, a inni chcą szybko zapomnieć o stracie. Matka należała do tych drugich. Nie pielęgnowała przez lata pamięci po zmarłych mężach, myślała o przyszłości.
  - Może i tak – powiedział policjant. – Chyba jednak przeszłość nie chciała zostawić jej w spokoju.
  - Co pan ma na myśli? – zapytał wyraźnie zainteresowany Jedliński.

– Pańska matka bała się kogoś. Jakiś człowiek groził jej przed wieloma laty, a ostatnio był... a może ciągle jest w Warszawie. Niedługo przed śmiercią ostrzegła przed nim Wyrzykowskiego. Możliwe, że to właśnie zabójca.

– Moja matka miałaby się kogoś bać? – prychnął Jedliński, znowu podziwiając rozległą plamę na suficie. – Dobrze sobie. Ona trzymała cały świat w garści i dyktowała mu własne warunki.

– Pozory mogą mylić – odparł Aleksander. – I nie wierzę, że nie wiadomo panu nic na ten temat.

– W kwestiach prawnych wiara nie jest argumentem – powiedział adwokat. – Ma pan jakieś dowody, że mój klient coś ukrywa?

– Nie mam – odpowiedział spokojnie policjant, choć zaczynała buzować w nim złość. Obserwując zachowanie Seweryna, nabierał z każdą chwilą przekonania, że ten człowiek wie o wiele więcej, niż mówi. – Przynajmniej na razie.

– Jak już pan je znajdzie, chętnie spotkamy się, aby o nich podyskutować – kontynuował Rozenblum. – Mam nadzieję, że to wszystko na dziś? Czy ma pan jeszcze jakieś przeczucia?

– Nie – mruknął Aleksander, zaciskając pięści. – Dziękuję za rozmowę. I proszę, aby pan Jedliński podpisał protokół.

Formalności trwały kilka minut – mecenas zażyczył sobie przeczytać dokument, zanim jego klient złoży autograf – a kiedy za mężczyznami zamknęły się drzwi, Woronin zerwał się na równe nogi i rąbnął pięścią w blat, aż zabołało, klnąc przy tym koszarowymi słowy.

Wybuch był tak niespodziewany, że Frołow podskoczył na krześle i wypuścił z ręki stalówkę, która spadła na podłogę z cichym brzdękiem. Aleksander zaś, widząc nerwową reakcję podwładnego, oprzytomniał; wziął trzy głębokie wdechy i zaprzestał gwałtownych gestów. Szybko sięgnął po papierosy.

– Łże w żywe oczy – rzucił, pocierając zapałkę o draskę. – A ja nie mogę nic mu zrobić!

Śnieg sypał od kilku godzin i wcale nie zamierzał przestać. Dłonią odzianą w rękawiczkę Leontyna strzepnęła mokre płatki z kołnierza futra i z ramion, a potem szybko wsiadła do dorożki. Podała woźnicy adres, a potem cofnęła się w kątek kanapy i dokładnie okryła pledem. Jej zabiegi nie zdały się na wiele: wciąż drżała.

Śmierć Wyrzykowskiego wstrząsnęła nią bardziej, niż przypuszczała. I nie, nie chodziło o to, że straciła ważnego sojusznika w walce o dziecko. Zwyczajnie lubiła pana Leona. Wielokrotnie przekonała się, że on i pani Klara to porządni ludzie; w ich domu czuła się lepiej niż pod dachem własnej matki. Już widok zakrwawionego ciała pani Józefiny zszokował ją ogromnie, a dziadek Joasi był jej przecież o wiele bliższy – obraz tego, co ujrzała w jego gabinecie, nadal ją prześladował – nie tylko w snach.

Zajęła się więc sprawami, które należało załatwić, a nikt inny nie miał do nich głowy.

Zamknęła dom dla gości, zabrała ze sobą Joasię oraz Agatę i na kilka dni zamieszkała u Wyrzykowskich. Adama, do którego wciąż nie docierało, że z dnia na dzień został głową rodziny i szefem dobrze prosperującego interesu, zastąpiła w organizowaniu pogrzebu odpowiedniego do stanowiska, jakie w świecie zajmował jego ojciec. Miała w tym w końcu praktykę, zorganizowała wcześniej aż trzy żałobne uroczystości. Ojciec, Ludwik, Janusz... O trzy za dużo.

Pogrzeb odbył się wczoraj. Wdowa, choć stan jej zdrowia wciąż był niepewny – uparła się w nim uczestniczyć i nie dała sobie tego wyperswadować, gdyż nie wyobrażała sobie, że mogłaby nie odprowadzić męża na miejsce wiecznego spoczynku. Na szczęście, drogę z kościoła Świętego Krzyża na Powązki zgodziła się pokonać dorożką, a nie, jak kazał zwyczaj, piechotą za karawanem. Na jej wyraźne życzenie Leontyna nie zabrała Joasi.

Oczywiście zarówno w kościele, jak i na cmentarzu pojawili się matka i wuj Witold wraz z Krysią i Celinką, oboje wujostwo Burzyńscy oraz ciotka Rozalia z Nelą. Amelia, która wyraźnie czekała na to, że Leontyna przyjdzie do niej skruszona z przeprosinami, udawała, że jej nie dostrzega. Oktawia, dla odmiany, raz po raz rzucała na nią spojrzenia pełne dezaprobaty, a Rozalia przywitała się z nią, ale zrobiła to nader powściągliwie i jakby z obawą. Tylko ojczym i jego córki ucieszyli się ze spotkania.

Leontyna, stojąc nad grobem obcego człowieka, który darzył ją zawsze szacunkiem, poczuła się samotna i opuszczona. Dlatego po zakończeniu ceremonii, gnana nagłym impulsem, poszła odwiedzić grób rodzinny.

Kiedy poprzedniego dnia wpatrywała się w wyryte w granicie imiona dwóch tak bliskich sobie mężczyzn, nie poczuła ulgi. Wręcz przeciwnie, zaczęła w niej buzować złość. Zawiedli ją obaj! Zostawili na pastwę matki, która miała ją za nic. Na dodatek, przez ich nieodpowiedzialne decyzje, musiała radzić sobie z problemami, o których, jako kobieta, nawet nie powinna mieć pojęcia.

Żałowała, że Janusza nie ma już na tym świecie – kiedy żył, wszystko było prostsze. On jeden zaopiekował się nią, jak należy, a nawet nie mogła odwiedzić jego grobu, który został o setki mil od Warszawy, w Odessie.

Po pogrzebie wróciła do domu. Sama, gdyż na prośbę pani Klary zostawiła u niej córkę na kilka dni. Próbowwała zająć się zaległymi sprawami i wróciła do lektury felietonów pani Józefiny, ale nie umiała skupić się na tekstach o balach i kreacjach. Utrzymywanie nerwów na wodzy przychodziło jej z coraz większym trudem, a uczucie dojmującego smutku powodowało, że snuła się po domu, popłakując po kątach.

Wreszcie zrozumiała, że dłużej nie wytrzyma. Chciała wyjść z czterech ścian, zrobić coś, co pozwoli jej wrócić do równowagi. Odzyskać kontrolę.

Bezwzględnie musiała zobaczyć Aleksandra.

Unikając zatroskanego wzroku Agaty, która zapewne odgadła, co się święci, uszykowała się i przebrała, a potem kazała Kazi sprowadzić dorożkę. I oto teraz jechała do niego, nie zważając, że zbliża się dziesiąta wieczorem.

Ocknęła się z zamyślenia, kiedy fiakier zatrzymał się przed znajomą kamienicą na ulicy Erywańskiej. Wyluskując z kieszeni monety, spojrzała w okno Woronina – na szczęście i tym razem paliło się w nim światło.

Odprawiła dorożkę, narzuciła na głowę kaptur i chyłkiem przemknęła przez bramę, która na szczęście nie była jeszcze zamknięta; nigdzie nie widziała stróża. Kiedy stanęła pod drzwiami mieszkania, znowu przez głowę przemknęła jej myśl, że zachowuje się nierozważnie. Chcąc dodać sobie odwagi, odetchnęła mocno i zacisnęła pięści, a potem uniosła jedną z nich i zastukała w drzwi. Nie musiała długo czekać.

Aleksander nie powiedział nic na jej widok, nie sprawiał nawet wrażenia zaskoczonego niezapowiedzianą wizytą.

– Nie przeszkadzam? – zapytała, unikając jego wzroku. Cieszyła się, że go widzi, ale jednocześnie wstydziła, że nie umie nad sobą zapanować.

– Wejdz.

Pomógł jej zdjąć futro, a potem ostrożnie, palec po palcu, ściągnął rękawiczki i roztarł zgrabiące z zimna dłonie. Przygryzła wargę, starając się powstrzymać łzy; wyraz jego twarzy, dotyk, zachowanie powodowały, że ciężar na sercu nieco zelżał.

– Jak dobrze... – wyszeptała. – Jak dobrze, że jesteś.

Nie odpowiedział, tylko wyciągnął do niej ramiona. Skorzystała z tego zaproszenia i z cichym westchnieniem przytuliła się do jego piersi, i mocno objęła w pasie.

– Jestem – powiedział. – I będę.

Chciała spojrzeć mu oczy, więc uniosła ostrożnie głowę, a wtedy jego podbródek otarł się o jej skroń, jej usta znalazły się tuż przy jego wargach. Całowali się zachłannie i rozpaczliwie – jakby nie widzieli się całe lata, a nie zaledwie kilka dni. Albo jakby mieli zaraz się rozstać – tym razem na zawsze.

Odsunęli się od siebie dopiero kiedy zabrakło im tchu. Przez czas jakiś stali bez ruchu i w ciszy mocno objęci. Wreszcie Aleksander dotknął jej twarzy: chyba zamierzał znowu ją pocałować. Tyle że zawahał się nagle i stłumionym głosem powiedział:

– Nie chcę, żebyś wpadła przeze mnie w kłopoty. Potrzebujesz spokoju.

– Ciebie potrzebuję – wyszeptała, zarzucając mu ramiona na szyję. Nie miała zamiaru myśleć teraz ani o przeszłości, ani o kłopotach.

Nie odpowiedział, tylko długo na nią patrzył, a potem, wciąż bez słowa, wziął ją na ręce. Szybkimi krokami przemierzył hol, wszedł do sypialni i zanim zdążyła się spostrzec, już leżała na łóżku. Zafascynowana tym, co się dzieje, nawet nie zauważyła, w jaki sposób Aleksander rozkuł i uwolnił ją z gorsetu oraz wszystkich guzików, tasiemek i haftek. Mogła wreszcie bez przeszkód przytulić się do niego, wpleść mu palce we włosy. Czuć na skórze jego pocałunki: wyostrzone zmysły reagowały na każde nawet najdelikatniejsze muśnięcie.

Boże kochany, nie miała pojęcia, że można tak tęsknić do czyjegoś dotyku...

Przygryzła wargę i zacisnęła powieki. Oddałaby wiele, aby ta noc trwała jak najdłużej.

# ROZDZIAŁ XIV

## I.

– Umawialiśmy się, że dostarczysz mi raporty z samego rana – powiedział Szuster, patrząc na niego z wyrzutem. – A mamy już południe. Straciłem przez ciebie prawie cztery godziny.

– Dostałeś protokół z przesłuchania Jedlińskiego – przypomniał koledze Woronin.

– Ale nie ma w nim nic istotnego. Chcę wiedzieć, co zeznała Wyrzykowska, a jej akurat nie protokołowałeś na bieżąco.

– Przepraszam – mruknął nieco speszony. – Wypadło mi coś ważnego.

Planował sporządzić dokładny raport i brał właśnie stalówkę do ręki, kiedy niespodziewanie przyszła do niego Leontyna.

– Coś związanego ze śledztwem? – zapytał nieubłaganie Jerzy.

– Imaginuj sobie, że na morderstwach świat się nie kończy.

Szuster przyglądał się mu z przyganą.

– Masz tu dokładny raport z rozmowy z Klarą Wyrzykowską. – Woronin położył na biurku elaborat, który spisał w pośpiechu tuż przed śniadaniem, a potem postukał w niego palcem: – Jest tu kilka interesujących rzeczy. Przeczytaj i porozmawiamy, co dalej zrobić.

Jerzy znowu obrzucił go niezadowolonym spojrzeniem, a następnie sięgnął po nieco wymięte papiery.

– Nabazgrałeś jak kura pazurem – mruknął.

Aleksander nie odpowiedział – nie był w końcu uczniakiem i nie zamierzał tłumaczyć się z kleksów oraz przekreśleń – tylko sięgnął po papierosa, zapalił go i wrócił myślami do ostatnich wydarzeń.

Leontyna przyszła do niego z własnej woli i wcale nie ukrywała w jakim celu. Nie miał złudzeń, że za tym nagłym wybuchem namiętności kryła się rozpacz,



samotność i złość na rodzinę, a nie chęć zacieśnienia ich znajomości; poprzednim razem powiedziała mu przecież wprost, że nie chce układać z nim wspólnych planów. Kiedyś wspomniała też, że nie zamierza wychodzić za mąż po raz drugi. Sytuacja wydawała się jasna.

A tymczasem pojawiła się znowu. Od razu zauważył, że nie jest w najlepszym stanie i pomyślał, że trzeba uspokoić ją jakoś, napić herbatą. Tyle że znowu stracił kontrolę nad sobą i skończyło się tak, jak skończyło.

– Ciekawe – mruknął Szuster, który właśnie przeczytał zeznanie.

Aleksander natychmiast ocknął się z zadumy, zdusił w popielniczce papierosa, który nie wiadomo kiedy zdążył wypalić się prawie do końca, i spojrzał na kolegę.

– Rzeczywiście, bardzo ciekawe – odparł, wyciągając kajet, w którym wszystko sobie elegancko rozrysował. – Obie ofiary prawdopodobnie obawiały się tego samego człowieka i niewykluczone, że to on zabił.

– Czyli tak – Jerzy zerknął na wykresy Aleksandra – Majerowa, w czasach kiedy nazywała się jeszcze Jedlińska albo nawet i wcześniej, znała Wyrzykowskiego. I zadając sobie wiele trudu, bo odnalezienie zesańca nie było wcale łatwe, doniosła mu, że ktoś jej groził. Ten człowiek niedawno był w Warszawie... może nawet jest do tej pory. Syn Majerowej twierdzi, że nic o tym nie wie, ale niewykluczone, że kłamie. – Szuster zakończył podsumowanie, na chwilę się zamyślił, aż wreszcie skonkludował: – Trzeba dowiedzieć się więcej o przeszłości Majerowej i Wyrzykowskiego.

– Też mi się tak wydaje – powiedział Woronin. – Tyle że obie ofiary były bardzo skryte i nie lubiły opowiadać o dawnych czasach. Z Seweryna, wbrew jego woli, też nic nie wycisnę, bo alibi na czas drugiej zbrodni okazało się prawdziwe i niepodważalne.

– A co takiego robił?

– Spędzał wesoło czas w burdelu – rzucił Aleksander, z trudem zachowując powagę na widok miny kolegi, któremu awersja do przybytków rozpusty, nabyta przy okazji sprawy Rapackiego, nie przeszła chyba do tej pory. – Burdelmama jest naszą informatorką, więc nie mam powodu wątpić w jej zeznanie. Zresztą znajomi, którzy mu towarzyszyli, potwierdził tę wersję.

– Mógł wyjść, kiedy byli zajęci.

– Nie mógł, ponieważ sam też był zajęty – uśmiechnął się znacząco. – Swoją drogą, panienska ponoć bardzo go wychwalała.

– A alibi na czas śmierci matki? – zapytał Jerzy.

– Nie chce powiedzieć, czemu skłamał, ale podał nową wersję. Rzeczywiście jechał do Łodzi, ale dwa dni później, niż zeznał za pierwszym razem. Dokładnie wtedy, gdy odbywał się bal w Resursie, więc teoretycznie zdążyłby zabić matkę i dojechać z Krakowskiego Przedmieścia na Dworzec Wiedeński... Pewnie dlatego skłamał. Teraz twierdzi, że widział go doktor Dąbrowski, ten znany chirurg oraz jego dwóch asystentów. Jechali wygłosić jakiś odczyt dla łódzkich lekarzy... Dąbrowski potwierdził, że naprawdę tak było. Zamienił nawet z Jedlińskim kilka słów, gdyż znają się, jak to medyk z aptekarzem.

Najchętniej dodałby jeszcze, że powinni byli zamknąć Seweryna, kiedy o to wnioskował. Może dowiedzieliby się czegoś ważnego, zanim mecenas Rozenblum rozszarpałby ich na kawałki. Powstrzymał się jednak od uwag, bo jak na jeden dzień wystarczyło mu już dąsów Szustra.

– Musimy poczekać – oświadczył Jerzy. – I poszukać innych źródeł.

– Jedno nasuwa się samo.

– Pani Rapacka? To znaczy Osnowska... Rzeczywiście.

– Tyle że mnie nic nie powie – rzucił z westchnieniem Woronin. – Nie zostawiłem w spokoju Leontyny... i nie zamierzam tego zrobić.

– Chciałbym, żebyś wziął z nią ślub. – Szuster uśmiechnął się krzywo. – Miałbym wreszcie trochę spokoju.

– Jeśli zdołasz ją do tego przekonać, będę ci dozgonnie wdzięczny. Ja mogę iść do cerkwi choćby dzisiaj.

– Wolałbym przekonać ją, żeby poszła do matki i sama ją zapytała o te plotki.

– Nie ma mowy. – Pokręcił przecząco głową. – Są mocno pokłócone... Matka potraktowała ją haniebnie.

– W takim razie nie ma wyjścia – skonstatował Jerzy. – Sam pójdę.

Woronin miał ochotę zapytać go, czy zdaje sobie sprawę, na co się pisze. Możliwe, że za jakiś czas będzie chciał ożenić się z Heleną, a wtedy jej matka, w ataku furii, zmiecie go z powierzchni ziemi. Powstrzymał się jednak i od tego; w końcu Szuster jakiś czas temu stwierdził, że jego młodzieńcza miłość może nie mieć dalszego ciągu.

– A swoją drogą, nie uważasz, że pani Leontyna powinna wreszcie dowiedzieć się, kto zabił jej ojca?

– Nie ma mowy! – powiedział z naciskiem. – Wystarczy jej tych kłopotów, które już ma. Tamto dawno minęło i niech obaj Rapaccy spoczywają w pokoju.

– A jeśli ktoś inny jej powie? – drążył dalej Szuster.

– Chyba nie zrobisz tego? Ani Osip Dymitrowicz? – Aleksander wbił w niego zaniepokojony wzrok. – Helena chce ją chronić, tak samo jak ja.

– Skoro takie jest twoje zdanie, nie będę się wtrącał... Obawiam się tylko, że ta tajemnica odbije ci się czkawką.

– Zaryzykuję.

– A wracając do śledztwa – zaczął Jerzy po chwili niezręcznego milczenia – to nie chcę zwlekać. Złożę jej wizytę jeszcze dzisiaj.

– Pamiętaj, że ona nie powie ci nic po dobroci.

– Nie mam najmniejszych złudzeń, ale myślę, że znajdę na nią sposób... A ty masz jakieś plany?

– I owszem – potwierdził szybko Aleksander. – Zamierzam porozmawiać z Ksawerym Burzyńskim o jego kontaktach z ofiarami. A nuż okaże się, że znał nie tylko Wyrzykowskiego, ale także panią Józefinę.

– Dobrze, ale zanim pójde toczyć boje z panią Amelią, musisz mi pomóc. Dasz radę?

– Nikt nie obiecywał, że praca w policji będzie lekka. Słucham.

## 2.

Szuster oraz towarzyszący mu sekretarz Kulikow wysiedli z sań przed kamienicą na Królewskiej, w której mieszkała matka Leontyny ze swoją nową rodziną. Stawiając kołnierz palta, młody sędzia zatrzymał wzrok na zbudowanym z żelaznych prętów parkanie Ogrodu Saskiego; bez trudu dało się dostrzec przez nie licznych spacerowiczów niezważających na mroźną pogodę. Przemknęło mu przez głowę, że nie pamięta, kiedy sam wybrał się gdzieś na przechadzkę. Cóż, nie

miał do tego ani głowy, ani czasu. Może na wiosnę? Nie zastanawiając się dłużej, ruszył w stronę bramy; Grigorij Michajłowicz pospiesznie dreptał za nim.

– Do państwa Osnowskich którędy? – zapytał stróża, który czujnie wystawił głowę ze swojego mieszkania.

– Zaraz pierwsza klatka na lewo – odparł dozorca, kłaniając się unizienie; mundury obu przybyszy nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, że ma przed sobą osoby urzędowe wysokiej rangi. – Pierwsze piętro.

Stojąc pod drzwiami mieszkania państwa Osnowskich, Szuster pomyślał, że skłamałby, gdyby rzekł, że nie obawia się konfrontacji z groźną damą. Przed laty, kiedy był registratorem kolegiąlnym w urzędzie śledczym, nie odważył się powiedzieć nawet słowa w jej obecności, a sama myśl, że mogłaby odkryć jego, zupełnie przecież niewinną, znajomość z Heleną, napawała go panicznym lękiem. Podczas ostatniego spotkania w Sądzie Okręgowym nie czuł już obawy, ale i do zupełnej swobody brakowało mu jeszcze dużo.

Helena, co prawda, powtarzała, że matka wcale nie jest taka zła, ale Jerzy nie był w stanie jej uwierzyć. Inna sprawa, że młodsza panna Rapacka w każdej sytuacji i w każdym człowieku potrafiła dostrzec coś dobrego. Na przykład o nim mawiała, że jest szlachetny i bardzo mądry, co było o tyle przyjemne, że w tamtych czasach wcale za takowego się nie uważał. Dzisiaj zresztą też nie miał o sobie tak wysokiego mniemania.

Chciałby zobaczyć ją znowu. Z tego, co kiedyś napomknął Aleksander, wywnioskował jednak, że musi uzbroić się w cierpliwość: Helena planowała wrócić do domu nie wcześniej niż za dwa lata.

A może wcale nie przyjedzie, tylko wyjdzie za mąż i zostanie za granicą? Taka piękna dziewczyna na pewno nie może opędzić się od konkurentów.

Drzwi otworzyła im służąca Pelagia, którą pamiętał doskonale z dawnych czasów; nie zmieniła się prawie od tamtej pory, zrobiła się tylko nieco okrągłjsza.

– To pan? – Wpatrywała się w niego tak, jakby zamierzała uczynić zaraz znak krzyża. – Skąd pan...

– To ja – odpowiedział, starając się unikać zdziwionego wzroku Grigorija Michajłowicza. – Chciałbym porozmawiać z panią Osnowską.

– Kogo mam zameldować?

– Proszę powiedzieć, że przyszli sędzia śledczy Szuster i sekretarz Kulikow.

– Sędzia śledczy... – Pelagia z niedowierzaniem pokręciła głową, a potem jeszcze raz obejrzała go sobie od góry do dołu, wcale się z tym nie kryjąc. – A to ci dopiero pan wyrósł... że też panna Hela nie może pana zobaczyć.

Kusiło go, aby o nią zapytać, ale szybko przywołał się do porządku.

Weszli do holu, zdjęli czapki, a Grigorij Michajłowicz rozpiął nawet szynel, zaś Pelagia zniknęła w jednym z pomieszczeń, zapewne saloniku gospodyni, gdyż było jeszcze za wcześnie na popołudniową herbatę.

Czekali, a tymczasem zza drzwi wiodących do kolejnego pomieszczenia wyjrzała ładna, może szesnastoletnia panienka w skromnej sukience z białym kołnierzem i zaczęła spoglądać na Jerzego z wyraźnym zainteresowaniem. Zapewne była to młodsza pasierbica pani Amelii.

Szustra nie interesowały smarkule, ale umiał radzić sobie z nimi – wszyscy jego koledzy ze studiów mieli młodsze siostry – uchwycił więc jej wzrok, a wtedy dziewczyna, przyłapaną na gorącym uczynku, zaczerwieniła się niczym wiśnia i cofnęła pospiesznie, zamykając za sobą drzwi.

On zaś zaczął rozglądać się dyskretnie po wnętrzu, udając, że nie słyszy podniesionego głosu pani Amelii, która tłumaczyła coś gniewnie pokojówce. W porównaniu z imponującym lokum w Alejach Ujazdowskich mieszkanie przy Królewskiej wydawało się skromne. Jemu jednak podobało się bardziej niż tamto – nie było w nim nic przytłaczającego. Oprócz osobowości gospodyni.

Pokojówka opuściła wreszcie salon.

– Pani nie jest zadowolona – powiedziała konfidencjonalnym tonem – ale ostatecznie zgodziła się przyjąć panów.

„Zapewne tylko po to, aby powiedzieć, co o nas sądzi” – pomyślał Jerzy, zdejmując płaszcz, który Pelagia zaraz od niego odebrała i powiesiła w szafie razem z okryciem Grigorija Michajłowicza. Czapki ułożyła równo na półce.

– Zapraszam panów.

Poszli za nią: Jerzy, mówiąc szczerze, wolałby, aby odległość między drzwiami wejściowymi a wejściem do pokoju była o wiele większa.

– Pan sędzia śledczy Szuster i pan sekretarz Kulikow – zaanonsowała ich Pelagia.

Pani Amelia siedziała przy stole nad pełną szklanką herbaty. Nie była sama, towarzyszyła jej młoda miedzianowłosa panna, którą Szuster widział na balu

w Ratuszu; dziewczyna spłoszonym wzrokiem spoglądała na przybyszów, których macocha ewidentnie nie zamierzała jej przedstawić.

– Krysiu, moja droga, idź do siebie. – Pani Amelia zwróciła się po francusku do pasierbicy. – Muszę porozmawiać z tymi panami. – Zerknęła na nich niechętnie. – Przyszykuj się odpowiednio, gdyż pan Lechnowicz zapowiedział się z wizytą.

Panna posmutniała, ale nie odezwała się nawet słowem, tylko posłusznie wstała z miejsca i powędrowała w stronę drzwi.

– Czego panowie życzą sobie ode mnie? – zapytała ich dama, oczywiście po francusku, kiedy pasierbica i pokojówka znalazły się już na korytarzu.

Nie poprosiła urzędników, aby usiedli. Szuster przypomniał sobie zaraz dzień, kiedy obaj z Aleksandrem informowali ją o tragicznej śmierci pierwszego męża: potraktowała ich wtedy w taki sam sposób – jak najgorszych intruzów. Tym razem nie miał jednak zamiaru pozwolić jej na podobną demonstrację, więc nie czekając na zachętę, usiadł na krześle tuż obok niej i dał znak Grigorijowi Michajłowiczowi, aby też zajął miejsce. Sekretarz natychmiast rozłożył na stole aktówkę, kałamarz, przybory do pisania oraz kilka czystych kartek.

Pani Amelia uniosła brwi, spoglądając na ich poczynania, ale nie odezwała się nawet słowem.

– Pozwoliłem sobie odwiedzić panią – powiedział Jerzy po polsku, chcąc okazać dobrą wolę – ponieważ mam kilka pytań na temat pani Józefiny Majerowej. Na przykład chciałbym dowiedzieć się, z jakiego powodu miała przed laty nieprzyjemności. Deklarowała pani, że wie coś na ten temat.

Grigorij Michajłowicz, który znał doskonale miejscowy język, ale nie obnosił się z tym, rozpoczął protokołowanie.

– Nawet jeśli wiem cokolwiek – odparła gospodyni – nie zamierzam dzielić się tą wiedzą z nikim. A zwłaszcza z policją.

– Nie jestem policjantem, tylko sędzią śledczym – przypomniał jej Szuster.

– Czy to nie wszystko jedno?

– Nie, szanowna pani. Powiedziałbym, że różnice są całkiem spore.

– Człowiek, który brata się z zaborcą – rzuciła pogardliwie – nie będzie mnie pouczał. Nie wstyd panu? O czym pan myśli, kiedy spogląda rano w lustro?

– O tym, że pani Wyrzykowska i młody pan Jedliński liczą, że znajdę mordercę ich bliskich – odparł spokojnie, patrząc jej prosto w twarz.

Przygryzła wargę, najwyraźniej nie spodobała się jej obcesowość młodego urzędnika; Szuster, którego nagle opuściły obawy, nie zamierzał dłużej się z nią cackać.

– Co pani wiadomo na temat pierwszego małżeństwa Józefiny Majerowej?

Pani Amelia zacisnęła usta w wąską kreskę, pokazując tym samym przybyszom, że rozmowę z nimi uważa za zakończoną.

– Dlaczego Józefina Majerowa miała nieprzyjemności, kiedy była młoda?

Nic, nadal głucho milczenie.

– Ostatni raz pytam panią po dobroci.

Dama, nie zmieniając wyrazu twarzy, przecząco pokręciła głową. Kulikow przyglądał się jej z niedowierzaniem, zaś Jerzy uznał, że nadeszła pora realizacji planu, który wczoraj ułożyli z Aleksandrem. Podniósł się z krzesła i podszedł do telefonu stojącego na półce nieopodal drzwi.

– Pani pozwoli, że zatelefonuję? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, zdjął słuchawkę ze statywu i pokręcił korbką, aby połączyć się z centralą. Wreszcie, gdy wśród trzasków i szumów usłyszał po drugiej stronie głos telefonistki, zażądał: – Poproszę z urzędem śledczym na Daniłowiczowskiej.

Czekając na połączenie, odwrócił się i zerknął na panią Amelię; wciąż siedziała bez ruchu. Wreszcie po drugiej stronie kabla usłyszał głos dyżurnego z policyjnej kancelarii.

– Urząd? – upewnił się na wszelki wypadek, a kiedy uzyskał potwierdzenie, powiedział: – Tu sędzia śledczy Szuster. Proszę natychmiast przekazać komisarzowi Woroninowi, żeby przysłał do państwa Osnowskich na Królewską ośmiu policjantów... najlepiej uzbrojonych. Komisarz będzie wiedział, gdzie to jest... Tak, zamierzam dokonać aresztowania. – Specjalnie poprosił o liczny oddział, bo zależało mu, aby zauważyli go wszyscy mieszkańcy kamienicy i okolic.

– Jak śmiesz?! – Krnąbrna dama zerwała się na równe nogi i wbiła w niego roziskrzony wściekłością oczy. – Nie masz prawa! Ty...

– Mam. – Jerzy przerwał jej bez pardonu. – Prowadzę śledztwo w sprawie dwóch morderstw i mogę aresztować każdego, kto utrudnia mi pracę. A pani właśnie to robi.

– Co tu się dzieje? – Do pokoju wszedł postawny mężczyzna w sile wieku. – O co chodzi, moja droga? – Spojrzał z niepokojem na panią Amelię. – Kim są ci

panowie?

– Dzień dobry, sędzia śledczy Szuster. I sekretarz Kulikow.

– Witold Osnowski – rzucił szybko przybyły, zdziwiony faktem, że rosyjski urzędnik przemawia do niego po polsku. – Czego panowie życzą sobie od mojej żony?

– Wezwali policję. – Pani Amelia uchwyciła się mężowskiego rękawa. – Chcą mnie aresztować.

– Za co? – zdumiał się Osnowski, z czułością obejmując połowicę. Szuster spoglądał na niego z podziwem; człowiek, który ożenił się z wdową po mecenasie Rapackim zaprawdę musiał być bohaterem. – Jakim prawem?

– Pańska małżonka właśnie odmówiła złożenia zeznań w sprawie zabójstwa pani Majerowej oraz pan Wyrzykowskiego – poinformował go Jerzy oficjalnym tonem. – Tym samym pomaga mordercy. Nie miałem więc innego wyjścia, tylko wezwać oddział policji.

– Oddział policji? – Gospodyni złapała się za głowę. – W naszej kamienicy? A zaraz ma przyjść Lechnowicz. Zrób coś, mój drogi! Zanim wybuchnie skandal!

– Dlaczego nie chcesz powiedzieć panom tego, o co pytają? – zapytał Osnowski.

– Miałabym pomagać Moskałom?! Oni trzymają z tym Woroninem, który od lat prześladowuje Tenię!

Szuster szerzej otworzył oczy; nie wpadłby na to, że wzajemne uczucie Leontyny i Aleksandra można opisać w taki sposób.

– Myślałem, że chcesz, żeby morderca Leona odpowiedział za swoją zbrodnię – powiedział ze smutkiem Osnowski. – Mam... miałem dla niego dużo wdzięczności.

Pani Amelia poruszyła się niespokojnie; najwyraźniej chęć utrudnienia życia rosyjskim urzędnikom walczyła w niej z powinnością względem zmarłego oraz męża.

– O, widzę, że policja nadjeżdża. – Jerzy zerknął przez okno na ulicę, gdzie właśnie zatrzymały się dwie pary sań. – Zaraz będzie tumult i wrzawa na całą kamienicę. Nigdy nie zrozumieć, czemu oni robią tyle hałasu przy każdym aresztowaniu...

– Proszę ich zawrócić! – rzuciła desperacko gospodyni. – Powiem, co trzeba! Niech pan ich tylko zatrzyma!



- Naprawdę pani powie? – upewnił się, zerkając to na nią, to na jej męża.
- Powie, powie – zapewnił go spokojnie Osnowski. – Moja żona jest bardzo rozsądna, tylko czasem ponoszą ją nerwy. Ale już dochodzi do siebie.
- Grigoriju Michajłowiczu. – Szuster zwrócił się do sekretarza. – Proszę uprzejmie zejść na dół i odesłać policjantów. Niech wracają do urzędu i czekają na kolejne polecenia.
- Już idę, wasza wielmożność. – Kulikow zrobił się nagle nader oficjalny. I dobrze.
- Widzi pani – spojrzał na pokonaną damę – załatwione. Czy mogę już zacząć przesłuchanie?
- Pani Amelia kiwnęła głową, ale w jej oczach płonęła wściekłość. Jerzy zrozumiał, że przyjdzie mu kiedyś srogo zapłacić za dzisiejszą demonstrację urzędniczej siły.

### 3.

Woronin – jak to wcześniej ustalił z Jerzym – wysłał na ulicę Królewską kilku uzbrojonych po zęby policjantów. Sam został w urzędzie, nie chcąc psuć koledze szyków; nie wiadomo, jak pani Amelia zareagowałaby na jego widok. Inna sprawa, że sam wybierał się z oficjalną i zaplanowaną wizytą do pana Ksawerego Burzyńskiego.

Siedział więc teraz w gabinecie byłego teścia Leontyny, paląc spokojnie papierosa i wpatrując się w pobladłe z emocji oblicze gospodarza; pani Oktawia była na szczęście nieobecna, gdyż o tej porze zwykła chadzać na nabożeństwo do Panien Wizytek, co agenci Aleksandra zbadali nader skrupulatnie.

– Co do tego, że znał pan Leona Wyrzykowskiego, nie mam żadnych wątpliwości. – Zgasił niedopałek, wyciągnął kajet oraz ołówek. – Chciałbym dowiedzieć się jednak, czy coś łączyło pana z Józefiną Majerową.

– A cóż niby miałoby mnie łączyć? – oburzył się pan Ksawery. – Znałem ją z widzenia... jak wszyscy w tym mieście.

– Proszę nie traktować moich pytań tak dosłownie – mruknął policjant, z trudem powstrzymując rozbawienie. – Interesuje mnie to, co pan o niej wie.

– Pisała do gazety... Zresztą same bzdury. Moja żona czytywała je pasjami.

– A pan?

– Ja? Czemu miałyby interesować mnie damskie kiecki?

– Twierdzi więc pan, że nie znał pierwszej ofiary? – uściślił Woronin, chcąc pozbyć się wszelkich wątpliwości, a kiedy otrzymał potwierdzenie, zapisał ten fakt w kajecie na samej górze strony. – Jakie relacje łączyły pana z Leonem Wyrzykowskim?

– Był teściem mojego zmarłego syna – poinformował go niechętnie Burzyński. – Mamy wspólną wnuczkę... – urwał, gdyż do gabinetu weszła młoda, bardzo przystojna pokojówka, która przyniosła im zamówioną wcześniej herbatę; gospodarz proponował wódkę, ale Woronin, ku jego rozczarowaniu, odmówił kategorycznie.

– Dziękuję – rzucił po polsku do służącej.

– Zmykaj. – Pan Ksawery machnął ręką i chyba zamierzał klepnąć dziewczynę w pośladek, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

Służąca pospiesznie opuściła pokój, zaś Aleksander nieoczekiwanie przypomniał sobie Franciszkę Komarówę, która pracowała niegdyś w tym domu. A więc to Ksawery, a nie jego syn miał ją na sumieniu... Spojrzał na gospodarza, z trudem maskując obrzydzenie; najchętniej obiłby mu gębę, ale niestety nie był to jeszcze ten etap przesłuchania – gdyby mógł drania zaaresztować, znalazłby niejeden pretekst.

– Wiem, że macie państwo wspólną wnuczkę z Wyrzykowskimi. – Nie miał wyjścia, musiał wrócić do zasadniczego tematu rozmowy. – Interesują mnie jednak kwestie związane z interesami.

– Obaj zajmowaliśmy się handlem zbożem. – Burzyński przysunął sobie szklankę. – Miał w Odessie kantor, jak i ja, więc to oczywiste, że współpracowaliśmy. Tak blisko, że postanowiliśmy wyswatać nasze dzieci.

– A czy po ślubie pana Janusza – poczuł się nieswojo, wypowiadając w tak beznamiętny sposób imię zwycięskiego rywala – i panny Felicji, coś zmieniło się w tej współpracy?

– Do czego pan zmierza? – Ksawery łypnął na niego podejrzliwie.

– Buchalter pana Wyrzykowskiego, pan Janicki, twierdzi, że powołując się na rodzinne powiązanie, nie regulował pan terminowo swoich zobowiązań. A o niektórych zupełnie zapomniał.

– Janicki łże jak pies! – warknął gospodarz i sięgnął po papierosa; trzęsły mu ręce, więc zdołał odpalić go dopiero od trzeciej zapalki. – Gamoń, nie buchalter. Leon trzymał go tylko z łaski!

– Wszystko stoi w księgach rachunkowych – uświadomił go natychmiast Woronin. – Sędzia śledczy przeanalizował je bardzo dokładnie. A pan jest chyba na tyle bystry, żeby wiedzieć, że takie rzeczy łatwo udowodnić. Po co więc kłamać?

Burzyński rzucił mu wściekle spojrzenie, ale nic nie powiedział. Spuścił za to głowę i siedział w milczeniu przez czas potrzebny do wypalenia dwóch papierosów. Aleksander, który też sięgnął po papierośnicę, nie zamierzał go poganiać.

W końcu pan Ksawery odchrząknął i wyprostował się na krześle. W jego oczach nie było już złości, tylko przygnębienie i niepokój.

– Jeśli sprawa się wyda, będę skończony – powiedział głucho. – Nikt więcej nie da mi kredytu.

Woronin nie skomentował tego wyznania, tylko przeszedł płynnie do kolejnego pytania.

– Jak pan myśli, kto zabił Wyrzykowskiego?

– Na pewno nie ja – zastrzegł Burzyński. – Jest... był przecież dziadkiem mojej wnuczki. Zresztą mam alibi.

– Doskonale. Zapoznam się z nim bardzo chętnie. Liczę, że jest prawdziwe.

– Za kogo pan mnie uważa?!

– Ksawery Janowiczu, od uważania to jest sąd – odparł spokojnie. – Ja myślę tylko, że śmierć wierzyciela wiele ułatwia dłużnikowi.

– Adam, syn Leona na pewno przejmie firmę i nie podaruje mi długu... Nawet jeśliby chciał, matka mu nie pozwoli, a Janicki dopilnuje egzekucji.

– Czyżby miał pan na pieńku z panią Wyrzykowską? – zdumiał się Woronin. – Delikatna Klara Wojciechowna nie sprawiała wrażenia zawziętej ani mściwej.

– Przemówiliśmy się kilka razy o posag Felicji – wyjaśnił niechętnie przesłuchiwany. – Przekonywała Leona, że żądam za dużo.

– Dali w końcu tyle, ile pan sobie życzył?

– Daliby, ale Janusz zakończył dyskusję. Widzi pan – gospodarz pochylił się ku niemu – o zmarłych nie mówi się źle, poza tym, to był mój syn... ale czasem

postępował jak ostatni głupiec.

Woronin chętnie byłby się z nim zgodził, ale akurat nie w tym przypadku.

– Po śmierci Felicji mógł mieć każdą partię w mieście, ale uparł się na Tenię... A co ona dostała w posagu? Grosze! Marne dwadzieścia pięć tysięcy... Co znaczy taka kwota w poważnym handlu?

– Słyszałem, że pański syn dobrze zainwestował te pieniądze. – Aleksander nie potrafił uwierzyć w to, co robi; bronił Janusza przed jego własnym ojcem. – I w kilka lat zbił bardzo duży majątek.

– Rzeczywiście – potwierdził niechętnie pan Ksawery. – Niestety, Tenia położyła rękę na wszystkim.

– O ile się nie mylę, tak stanowił testament jej męża. Zresztą wychowuje jego dziecko jak własne.

– Dziwi się pan? – Burzyński spojrzał na niego z politowaniem. – Dysponując takimi sumami, można wychowywać i piątkę. Tyle że ona nie zna się na interesach i zmarnuje te pieniądze.

– Pan niewątpliwie pomnożyłby kapitał bardzo szybko. – Aleksander uśmiechnął się kpiąco i właśnie w tym momencie uznał, że nadarza się okazja, aby pomóc ukochanej. – Ponoć pańska małżonka zamierza obalić testament syna i zabrać wnuczkę pani Leontynie?

– Skąd pan wie o tym? – zdumiał się Burzyński.

– Warszawa to małe miasto, a ja jestem policjantem... Ciekawi mnie tylko, czy bardziej chodzi państwu o dziecko, czy o jego pieniądze?

– Oktawia... moja żona kocha tę małą ponad życie.

– Rozumiem – mruknął Woronin, któremu ta wymijająca odpowiedź wyjaśniła bardzo wiele. – W takim razie mam dla pana pewną propozycję... Otóż przekona pan małżonkę, żeby zostawiła w spokoju panią Leontynę i dziewczynkę, a ja za to dopilnuję, by wieści o pańskich problemach finansowych nie opuściły ścian sądowego archiwum.

Burzyński zbladł, ale nic nie powiedział, więc Aleksander postanowił użyć jeszcze jednego argumentu.

– Pamięta pan Nikitę Woronina? Tego kupca z Moskwy, któremu przez dziesięć lat nie zwrócił pan trzydziestu tysięcy? Tak się składa, że jestem jego synem i ostatnio zadałem mu telegraficznie jedno pytanie... – Nawet na moment nie

spuszczał wzroku z twarzy rozmówcy. – Ojciec nie rusza tej sprawy, bo, jak pan raczył wspomnieć, suma tego rzędu nie robi różnicy w poważnym handlu... A do tego z wiekiem coraz bardziej ceni sobie święty spokój. Ale jeśli go poproszę, aby upomniał się o swoje i jeszcze podzielił doświadczeniami z kilkoma odeskimi kupcami, na pewno mi nie odmówi...

– Niech będzie – mruknął pod nosem Ksawery po bardzo krótkim namyśle.

– Przepraszam, ale nie dosłyszałem.

– Przekonam żonę, żeby zostawiła Tenię w spokoju!

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. – Aleksander uśmiechnął się promiennie.

– Jaki pan ma w tym interes? – Gospodarz zerknął na niego podejrzliwie. – Tenia ciągle nie wywietrzała panu z głowy?

– A to akurat nie jest pańska sprawa – odparł z niewzruszonym spokojem. – Skoro jednak zdołaliśmy dogadać się w jednej kwestii, dogadamy się i w innych. Wróćmy do przesłuchania.... – Przynął bliżej kajet. – Proszę opowiedzieć mi ze szczegółami, co robił pan w czasach powstania styczniowego?

# ROZDZIAŁ XV

## I.

Paryż, 5 stycznia 1894 roku

*Droga Teniu,*

*dziękuję za Twój ostatni list i w odpowiedzi spieszę donieść, iż pokonałam chorobę, o której pisałam Ci zeszłym razem i nowy rok rozpoczęłam w dobrym zdrowiu. Wróciłam oczywiście do zajęć studenckich i jednocześnie, przy pomocy moich tutejszych przyjaciół z uniwersytetu, dostałam pracę i zaczęłam zarabiać nawet przyzwoicie. Cieszy mnie to niezmiernie, gdyż dzięki temu, będę mogła odkładać co miesiąc małą kwotę i zacząć spłacać dług, który u Ciebie zaciągnęłam. Wiem doskonale, iż wcale Ci niespieszno, ale nie chcę odsuwać tego w czasie, ponieważ Bóg tylko wie, co czeka nas w przyszłości.*

*Pytasz, cóż takiego robię? Otóż, imaginuj sobie, Teniu, iż zaczęłam pisywać do jednej z dużych paryskich gazet. Nie tak jak do tej pory, jeden czy dwa artykuły na miesiąc, ale regularnie. Nie każą mi też zajmować się błahymi tematami, ale sprawami nowoczesnego społeczeństwa, które, jak sama wiesz, ogromnie mnie interesują. Piszę więc szczerze o tym, co myślę i codziennie jestem zachwycona faktem, iż w tym kraju nie muszę obawiać się cenzury.*

*Wiesz, droga Teniu, coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, iż dziennikarstwo to moje prawdziwe powołanie. Przez lata całe, patrząc na ciężką pracę Papy, odsuwałam od siebie myśl, iż jako kobieta mogłabym pójść w jego ślady. Uznałam, że skoro nie chcę podążać tradycyjną drogą żony i matki, powinnam zostać nauczycielką, nikim więcej. Cóż, moja Mama powtarzała mi wielokrotnie, iż dziennikarstwo nie jest właściwym zajęciem dla naszej płci, co było dziwne o tyle, iż jedna z jej najlepszych przyjaciółek miała taką pracę i odnosiła w niej sukcesy. Nie pamiętam, ale chyba wspominałam Ci, że to właśnie pani Józefina Majerowa była osobą, która ostatecznie skłoniła Mamę, aby pozwoliła mi wyjechać na studia. Przeczytała kiedyś moje szkolne wypracowanie i od tamtej pory uważała, iż mam*

*odpowiednie zdolności. Żywię do niej ogromną wdzięczność, więc z tym większym żalem przyjąłam, przekazaną mi telegraficznie przez Papę, wiadomość o jej śmierci. Doprawdy, nie wyobrażam sobie, iż ktoś mógłby mieć do niej jakoweś pretensje, przecież jej artykuły i sprawozdania zawsze były kulturalne i pełne taktu, do tego pisane przepięknym językiem.*

*Gubię się w domysłach, ale jedyne, co przychodzi mi do głowy, to podejrzenie, iż zabójstwo mogło mieć związek z jej życiem prywatnym. Pamiętam, jak powiedziała kiedyś, iż dobra dziennikarka powinna mieć za sobą różnorodne doświadczenia, i że ona nigdy nie ocenia zachowania ani decyzji innych osób, jeśli sama nie zmierzyła się w przeszłości z czymś podobnym. A że wypowiadała się na łamach „Kuriera Porannego” w kilku drażliwych kwestiach, podejrzewam, iż mogła mieć za sobą kilka miłosnych awantur.*

*Proszę, Teniu, napisz mi, jak rozwija się śledztwo, ponieważ Rodzice nadal uważają, że trzeba chronić mnie przed drastycznymi szczegółami, a ja bardzo chciałabym wiedzieć, czy morderca został ujęty i ukarany? Pani Józefina zasługuje bowiem na to, aby oddać jej sprawiedliwość...*

*Twoja oddana przyjaciółka,*

*Emilia*

Leontyna odłożyła list i w zamyśleniu spojrzała w okno. Wiedziała, że pani Majerowa przyjaźniła się z matką Emilii; jako pensjonarka spotkała ją kilka razy u Zagórskich. Za to zupełną nowością były dla niej przemyślenia przyjaciółki na temat pisania i dziennikarstwa. Najwyraźniej Emilka przekonana, że nie ma co nawet marzyć o pracy w gazecie, nie dzieliła się nimi nawet z najbliższymi osobami. Jak dobrze, że miała wsparcie pani Józefiny.

Swoją drogą, uwagi o doświadczeniach życiowych, a szczególnie ta dotycząca oceny drażliwych kwestii, były bardzo ciekawe i Leontynę zaczęła nagle dręczyć myśl, że w jednym z felietonów, które przeczytała, dziennikarka zrobiła to... Oceniała sytuację, która wydawała się jednoznacznie skandaliczna w zupełnie inny sposób niż cała warszawska socjeta.

W którym to było numerze? Zerwała się z kanapy, podeszła do komody i wyciągnęła szufladę, w której trzymała gazety na polecenie Aleksandra przysłane z redakcji „Kuriera Porannego”.

Ułożyła pisma na stole, zrobiła sobie herbatę, a potem zasiadła do lektury. Do obiadu przejrzała prawie połowę stosu, ale nie znalazła tego, czego szukała; egzemplarzy było grubo ponad sto, nic dziwnego, że do tej pory nie zdążyła przeczytać wszystkich.

Po obiedzie kontynuowała poszukiwania i kiedy prawie straciła nadzieję, zobaczyła tytuł poszukiwanego artykułu; gazeta pochodziła z końca kwietnia 1890 roku: *Najdramatyczniejszy ślub sezonu*. Cóż to była za afera! Panna Aniela Ringelblum, dziedziczka jednej z największych bankierskich fortun w Warszawie, przeciwstawiła się woli rodziców i uciekła z własnego ślubu, pozostawiając przed ołtarzem jednego z bliskich kuzynów samego barona Kronenberga.

Nie widziała tego na własne oczy, ale matka zrelacjonowała jej wydarzenia ze szczegółami, kiedy przyjechała z wizytą do Odessy. Była oczywiście zbulwersowana haniebnym postępkiem dziewczyny, która po awanturze w kościele oświadczyła ojcu, że jeśli nadal będzie zmuszał ją do niechcianego małżeństwa, odbierze sobie życie.

„Kto to widział – perorowała wtedy matka – żeby tak nie szanować własnych rodziców i okryć hańbą ich nazwisko! Powinna po tym wstąpić do klasztoru albo zapaść się pod ziemię ze wstydu!”

Ostatecznie panna Aniela nie zrobiła żadnej z tych rzeczy, tylko po upływie roku wyszła po cichu za młodego urzędnika z banku ojca, w którym była ponoć szaleńczo zakochana; jej niedoszły małżonek wyjechał zaś do Wiednia, lecząc złamane serce i nadszarpniętą reputację.

Skandal był jednak tak wielki, że miasto żyło nim przez kilka miesięcy. Leontyna nie łudziła się, że ogromna większość warszawskich plotkarek bezlitośnie oceniała postępek młodej Ringelblumówny. W końcu kto to widział, aby panna miała własne zdanie w kwestii wyboru męża.

A tymczasem Józefina Majerowa, którą zaproszono na ślub, aby mogła szczegółowo zrelacjonować go w „Kurierze Porannym” napisała coś takiego:

*Małżeństwo to święta instytucja, a tym samym, jedna z najważniejszych spraw w życiu. W życiu kobiety być może i najważniejsza, gdyż ma wpływ na całą jej przyszłość. Od dnia ślubu to wola męża będzie dla niej prawem i drogowskazem, granicą jej swobody. Małżeństwa nie można zawierać ani pochopnie, ani pod wpływem płochych uczuć, ani wbrew woli którejś ze stron.*



*Wycofać się z obietnicy, którą ktoś inny złożył w naszym imieniu to żaden grzech. Odejść od ołtarza, zanim złoży się świętą przysięgę człowiekowi, nawet i najlepszemu, który jednak budzi w nas obawę lub niechęć, to żaden grzech. Pragnienie złączenia swego losu z losem kogoś, kto jest nam drogi, to też nie grzech, a najzwyczajniejsze ludzkie prawo.*

*Czas płynie, a skandale mają to do siebie, że cichną prędzej niż później. Złamanego życia nie da się naprawić.*

Odważny test. Leontyna była pod jego wrażeniem już wtedy, kiedy przeczytała go po raz pierwszy. Pomyślała wtedy, że czegoś takiego nie byłaby w stanie napisać żadna z kobiet ceniących sobie pozory ponad wszystko.

Nie chciała roztrząsać dłużej tego tematu, więc zaczęła zastanawiać się, jaka tajemnica z życia tej niezwykłej kobiety mogła kryć się za słowami artykułu? Jeśli prawdą było to, co napisała Emilia, Majerowa musiała mieć osobisty powód, aby bronić Anieli Ringelblum. Może sama zerwała kiedyś zaręczyny albo rzuciła narzeczonego? Tylko w jaki sposób to sprawdzić?

Aleksander na pewno będzie miał jakiś pomysł... Nie zastanawiając się dłużej, wyciągnęła z drugiej szuflady papier, bibułę, stalówkę i kałamarz i napisała krótki list, a następnie poleciła Kazi, aby bezzwłocznie znalazła posłańca.

Przez jakiś czas jeszcze przeglądała gazety, ale podekscytowana odkryciem, miała problemy ze skupieniem uwagi. Na dodatek w głowie wciąż dźwięczało jej jedno zdanie z artykułu pani Józefiny: „Skandale mają to do siebie, że cichną prędzej niż później”.

## 2.

– Żyjesz? – ucieszył się Aleksander, kiedy tylko przekroczył próg jego gabinetu. – Bałem się, że przyjdzie mi zamawiać kwiaty na twój pogrzeb.

– Nie było tak źle. – Jerzy uśmiechnął się, otwierając teczkę z zeznaniami pani Amelii. – Przestraszyła się srodze i myślę, że nie wybaczy mi tego nigdy.

– W takim razie jest nas dwóch. – Woronin odwiesił szynel, z jego kieszeni wyciągnął swoje papiery, które niedbale rzucił na biurko nieobecnego akurat

Grigorija Michajłowicza, a potem usadowił się na swoim zwykłym miejscu i sięgnął po papierosa. – Powiedz przynajmniej, czy ta akcja w ogóle się opłacała?

– A i owszem. – Starannie ułożył przed sobą dokumenty. – Dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy. Jeśli wpasują się w układankę, może do czegoś nas doprowadzą.

– Ech, żebym miał dowód, że Jedliński naprawdę coś ukrywa – westchnął Aleksander. – Wysłałbym do niego taki sam uzbrojony oddział.

– Jemu chyba wszystko jedno, co myślą o nim sąsiedzi – odparł Szuster. – A jak Burzyński?

– Oprócz tego, że chciałem dać mu w gębę, to nic ciekawego. Złapałem go na kłamstwie w kwestii jego długów u Wyrzykowskiego, ale nijak nie mogę powiązać go z zabójstwami. Majerowej praktycznie nie znał, a na czas śmierci pana Leona ma żelazne alibi, bo akurat przez całe popołudnie siedział z żoną u adwokata. Ale będę go dalej obserwował. To śliski typ.

– Nie jesteś do niego aby uprzedzony?

– Może i jestem – powiedział Woronin. – Ale wiem też, że ma swoje za uszami. Syn był porządniejszy... Wbrew pozorom.

Jerzy spojrzał na kolegę z niedowierzaniem; nie spodziewał się po nim, że kiedykolwiek zmieni zdanie na temat Janusza Burzyńskiego. Zdążył jednak pogodzić się z tym, że wiele wody upłynie w Wiśle, zanim dowie się, co Aleksander ma naprawdę w środku.

– Mów, czego ty się dowiedziałeś – kontynuował policjant, zaciągając się mocno. – Chyba widzisz, że umieram z ciekawości. Jeszcze trochę, a sam będziesz musiał lecieć po kwiaty.

– Zacznijmy od tego – Szuster zerknął do notatek – że obie damy, to znaczy pani Amelia i pani Józefina, poznały się w kilka miesięcy po upadku powstania styczniowego. – Zawsze i wszędzie mówił w taki sposób; przez usta nie przeszłoby mu nazwanie rebelią zrywu, który kosztował wolność i życie tak wielu Polaków, w tym brata jego matki.

– W Warszawie?

– Nie, w Zakroczymiu... Niewielkie miasto, coś około czterdziestu wiorst od Warszawy. Rodzina mecenasa Rapackiego pochodziła z tamtych okolic, więc

jeździł z żoną z wizytami do krewnych. Pani Józefina mieszkała tam przez jakiś czas z dzieckiem, u dalekiej krewnej swojej matki, niejakej pani Głowackiej.

– A jej mąż? Nie żył już?

– Żył jeszcze, ale był w drodze na katorgę.

– Niech zgadnę – wpadł mu w słowo Woronin. – Za udział w powstaniu?

– Oczywiście. Pani Józefina miała zaś na sumieniu najgorszą zbrodnię, jaką mogła popełnić wtedy Polka. Nie pojechała za nim.

– Ach tak... – Policjant zamyślił się na chwilę. – Pani Klara pojechała za to bez namysłu, choć Wyrzykowski był jeszcze jej narzeczonym.

– Spełniła swój patriotyczny obowiązek. Mieszkasz w Warszawie wystarczająco długo, aby móc wyobrazić sobie, jakie miało to wówczas znaczenie. Pani Amelia była oburzona postępowaniem Józefiny.

– Pani Amelia jest bezkompromisowa w takich kwestiach.

– Jej brata zesłali na Syberię.

– Wiem – rzucił Aleksander. – Żona też pojechała za nim, i to z dzieckiem. Cała trójka przepadła bez śladu. Pani Amelia poinformowała mnie o tym z dumą – wyjaśnił, widząc jego zaskoczenie – kiedy w imieniu córki odrzucała moje oświadczenia.

– W każdym razie o pani Józefinie bardzo plotkowano w tym Zakrocymiu. Szczególnie, kiedy przyszły wieści, że jej mąż, zaledwie po dwóch latach od aresztowania, umarł na katordze. Powszechna opinia głosiła, że gdyby żona spełniła obowiązek i zajęła się nim jak należy, na pewno by przeżył. Pani Amelia też tak uważa.

– Staram się to zrozumieć – mruknął Aleksander – ale ni czorta nie potrafię.

– Ja rozumiem wszystko i muszę z tym żyć... Ale nie chcę rozmawiać na ten temat – zakończył, unikając wzroku kolegi.

– I co się dalej działo z panią Józefiną? – zapytał Woronin, który na szczęście wiedział, co to takt.

– Jakiś czas później przez miasteczko przetoczyła się kolejna fala plotek. Jakiś znajomy znajomego czyjegoś znajomego, który wrócił ponoć z głębi Rosji twierdził, że spotkał Jedlińskiego żywego. Tyle że nie wiadomo gdzie konkretnie.

– Interesujące.

– Majerowa... to znaczy wtedy Jedlińska, nie wytrzymała nerwowo nagonki, zabrała syna i przyjechała do Warszawy, gdzie nikt jej nie znał. Oprócz państwa Rapackich. Na szczęście dla niej pani Amelia nie lubi plotkować, więc to, co wiedziała, zachowała dla siebie. Inna sprawa, że długo nie miała pojęcia, że Józefina jest w mieście, gdyż im bardziej kłóciła się z mężem, tym rzadziej odwiedzała jego krewnych.

– Ciekawe, czemu tak się kłócili? Nie wierzę, że zaczął zdradzać ją zaraz po ślubie.

– Nie szanowała go. – Szybko zaspokoił ciekawość kolegi. – Między innymi za to, że nie wziął udziału w powstaniu.

– Powiedziała ci to sama? – zdumiał się Aleksander.

– Kiedyś wspomniała mi o tym Helena, a resztę wyczytałem dziś między wierszami. Obecnego męża podziwia. I nawet czasem go słucha.

– Koniec świata... To musi być fascynujący człowiek!

– Bardzo uprzejmy – powiedział Jerzy. – I ma za sobą dziesięć lat zesłania. Co ciekawe, część drogi na Syberię, aż do punktu zbiorczego w Tomsku, pokonał razem z Leonem Wyrzykowskim. Na jednym z postojów Wyrzykowski uratował mu życie... Czemu tak mi się przyglądasz? Jak już tam byłem, to spytałem i jego przy okazji.

– Doskonale zrobiłeś.

– Wróćmy jednak do pani Józefiny... Przez kilka lat udzielała lekcji fortepianu, żeby zarobić na życie i u którejś z uczennic spotkała profesora Majera. Podobno z miejsca stracił dla niej głowę i oświadczył się po miesiącu. A przed ich ślubem znowu pojawiły się pogłoski, że Adam Jedliński żyje. Pani Amelia twierdzi, że nie ma z nimi nic wspólnego i wyobraź sobie, wierzę jej... W każdym razie plotki szybko ucichły, bo ani profesor Majer nie był gwiazdą towarzystwa, ani jego przyszła żona kimś ważnym. Zresztą ślub się odbył, a to może wskazywać, że Jedliński naprawdę leżał w grobie.

– Wiadomo przynajmniej – zaczął Woronin ze złośliwym uśmiechem – czemu inne damy nie znały tej historii. Po prostu nie bywały z wizytami w Zakroczymiu. Podsumujmy... Pozwól, że sobie zanotuję i popraw mnie, jeśli czegoś nie zrozumiałem. – Otworzył kajet i sięgnął po ołówek. – Adam Jedliński został zesłany na Syberię, a młoda żona nie pojechała za nim, czym naraziła się na ostracyzm.

Mąż umarł, choć ktoś ponoć twierdził, że widział go żywego. Józefina zamieszkała w Warszawie, gdzie po kilku latach wyszła ponownie za mąż. Bała się kogoś, ale nie wiemy kogo. A po trzydziestu latach została zamordowana przez nieznanego osobnika... Pytanie brzmi: co ma z tym wspólnego Wyrzykowski? – Podniósł głowę znad notatnika. – Oprócz tego, że znał Józefinę i bał się tego samego człowieka co ona.

– Nasuwa się jedna odpowiedź – mruknął niechętnie Jerzy, którego komplikacje uczuciowe przyprawiały o ból głowy.

– Że mieli ze sobą romans – domyślił się kolega. – Żona zdradziła Adama Jedlińskiego i ktoś teraz mści się za to. Może nawet on sam... Tyle że pani Wyrzykowska nic o tym nie wspominała.

– Mogła nie mieć o tym pojęcia.

– Może i tak... Dałbym wiele, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

– Niestety w tym ci nie pomogę. – Szuster nie lubił przyznawać się do niewiedzy, ale w tej chwili nie miał innego wyjścia.

– Możemy jeszcze raz spróbować wycisnąć coś z Seweryna... ale jeśli on naprawdę nic nie wie o swoim ojcu? – zastanawiał się głośno Aleksander. – Co powinniśmy zrobić? Już wiem!

– Co takiego?

– Zapytamy o radę kogoś mądrzejszego od nas – oświadczył tak spokojnie, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz na świecie, ale potem spojrzał na niego i dodał z tak rzadką u niego prawdziwą powagą: – Wiem, że wolałbyś zrobić wszystko sam. Ja w sumie też. Tyle że przychodzą momenty, kiedy trzeba zapomnieć o dumie i nauczyć się prosić o pomoc.

### 3.

– Co się stało? – zapytała, wpatrując się z troską w pobladłą twarz Krysi Osnowskiej i jej zapłakane oczy.

Krysia zjawiała się u niej wczesnym popołudniem w towarzystwie Pelagii. Leontyna była zaskoczona tą wizytą; szczerze lubiła obie pasierbice matki, i to z wzajemnością, ale do tej pory żadna z nich nie odwiedziła jej w pojedynkę.

Dziewczyna spuściła głowę i nerwowo spłotła dłonie. Leontyna, choć niespokojna, nie zamierzała jej popędzać; czekała cierpliwie, aż Krysia sama zbierze się na odwagę, aby podzielić się swoimi problemami.

– Nie wiem co robić. – Wbiła w nią wreszcie spojrzenie pełne rozpaczy. – Ciocia Amelia planuje wydać mnie za mąż.

Powszechnie uważano, że dla każdej młodej panny właśnie ślub był najwspanialszym ukoronowaniem karnawału, ale rozpacz dziewczyny mogła oznaczać tylko jedno; miała dostać za męża niewłaściwego mężczyznę.

– Z kim swata cię moja matka? – zapytała z ciężkim westchnieniem.

– Z panem Mieczysławem Lechnowiczem... Ciocia twierdzi, że to doskonała partia i powinnam jak najszybciej skłonić go do zaręczyn.

Leontyna wiedziała doskonale, o kogo chodzi; Mieczysław był najmłodszym z trzech synów magnata metalurgicznego, Karola Lechnowicza, udziałowca spółki *Knapp, Lechnowicz i Silberstein*. Ojciec wykształcił go na inżyniera i podobnie jak pozostałych synów, zatrudnił w firmowej fabryce. Obiektywnie nie było powodów do narzekań – młody człowiek, w przeciwieństwie do starszych braci, nie gościł na łamach rubryk towarzyskich.

– A co na ten temat twój twierdzi papa?

– Nie wiem. – Panna wytarła oczy i wydmuchała nos. – Ale boję się, że ciocia go przekona... papa w sprawach naszej przyszłości bardzo liczy się z jej opinią.

– Myślisz, moja droga, że pan Mieczysław zdecyduje się na oświadczenie?

Od czasu pamiętnego wieczoru w Ratuszu i kłótni z matką Leontyna całkowicie zrezygnowała z udziału w karnawałowych zabawach, musiała więc uzupełnić wiedzę na temat tego, co działo się ostatnio w towarzystwie.

– Adoruje mnie na każdym balu. – Krysia znowu spuściła głowę, widać było, że znowu jest bliska łez. – Dwa razy był u nas z wizytą... Ciocia twierdzi, że jego matka patrzy na mnie przychylnym okiem.

Panna Osnowska pochodziła z dobrej rodziny – jej zmarła matka była blisko spokrewniona z hrabiowską rodziną Potockich, ojciec cieszył się powszechnym szacunkiem, a macosze zapomniano rodzinne skandale – nawet studia medyczne Heleny poszły na karb młodzieńczych kaprysów pięknej panny – była też ładna, starannie wykształcona i posażna. Nawet pani Urszula Lechnowiczowa nie mogła życzyć sobie więcej od przyszłej narzeczonej syna.

– Boję się – powiedziała dziewczyna. – Tenu, błagam cię, pomóż. Nie chcę zostać jego żoną. Za nic... – urwała i zaraz, choć widać było, że broni się przed tym z całych sił, wybuchnęła płaczem.

Leontynie na widok tej rozpaczki krajało się serce i przypominały lata własnej młodości; przytuliła wreszcie Krysię do siebie i zaczęła gorączkowo zastanawiać się, co robić? Sama nie umiała do tej pory skutecznie przeciwstawić się matce, w jaki więc sposób zdoła obronić jej pasierbicę?

– Wiesz o nim coś, co cię przeraża? – zapytała cicho.

– Nie. – Panna nadal szlochała w jej ramię. – Ja... Kocham innego.

Wróciła pamięcią do przyjęć i zabaw, na których przyszło jej pełnić rolę przyzwoitki; na każdym z nich w ślad za Krysią pojawiał się tylko jeden młody człowiek.

– To Janek Zagórski, prawda?

– Skąd wiesz?! – Dziewczyna wyprostowała się nagle i obrzuciła ją spłoszonym spojrzeniem.

– Jestem spostrzegawcza. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Zresztą znam go dobrze, to młodszy brat mojej przyjaciółki.

– My... Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia – wyznała Krysia drżącym głosem. – Już dwa tygodnie temu był gotów oświadczyć się papie o moją rękę, ale... zabroniłam mu tego.

– Czemu?

– Bałam się – wyjaśniła dziewczyna. – Cały czas boję się, że ojciec odmówi. A wtedy nie będzie już żadnej nadziei. Ciocia go nie lubi... Mówi, że rodzina porządna, ale biedna jak mysz kościelna.

Leontyna westchnęła z rezygnacją. Lata mijały, a ona wciąż nie potrafiła zrozumieć postępowania własnej matki. Amelia miała dwóch mężów, za których wyszła z miłości. Wybrała ich sobie sama; ciotka Oktawia wspomniała kiedyś mimochodem, że dziadek Jakub Woyda upatrzył sobie innego kandydata na zięcia, ale jego szesnastoletnia córka oświadczyła, że jeśli nie wyjdzie za Wiktora Rapackiego, to zagłodzi się na śmierć. Oczywiście postawiła na swoim. Obie jej siostry też poślubiły mężczyzn, których darzyły uczuciem. Z jakiego więc powodu rościła sobie prawo, aby autorytarnie decydować o przyszłości córek, a teraz pasierbic?

Rozumiała, dlaczego jej wybór wzbudził w matce panikę, w końcu sama długo czuła się winna i nawet teraz, kiedy wdała się z Aleksandrem w romans – tak, należało nazwać wreszcie rzecz po imieniu – nie wiedziała, do czego ostatecznie doprowadzi ją ta miłość. Była to jednak jej miłość, jej przyszłość. I powinna być także jej decyzja.

Na szczęście Helena, jakimś sposobem, postawiła na swoim, choć kiedy wróci do Warszawy, matka zapewne spróbuje ułożyć jej życie według własnego widzimisię.

A teraz Krysia... Rzeczywiście, w kwestiach majątkowych, Janek Zagórki żadnym sposobem nie mógł równać się z młodym Lechnowiczem. Był jednak wykształcony, bystry, pracowity i, tak samo jak siostra oraz trzej bracia, miał dobrze poukładane w głowie; pani Zagórska, znana z surowych zasad, zrobiła wszystko, aby wpoić je także swoim dzieciom.

– Nie chciałabym być w skórze mojej matki, kiedy Stefania Zagórska dowie się, że nazwała jej syna biedakiem – powiedziała, próbując rozładować nieco grobową atmosferę.

Krysia uśmiechnęła się słabo i tylko na moment, a potem znowu sięgnęła po chusteczkę, która była już zmięta i wilgotna; Leontyna natychmiast podsunęła jej swoją.

– Kocham go – wychlipała dziewczyna. – Nie umiem bez niego...

Leontyna pogłaskała ją po głowie; doskonale rozumiała, co czuje przyszywana siostra. Pamiętała dzień, kiedy usłyszała, że Aleksander znowu trafił do aresztu za zabójstwo i tym razem nie ma żadnych wątpliwości co do jego winy. Pomyślała wtedy, że więcej go nie zobaczy i zapragnęła umrzeć. Poszła za to do ołtarza z Januszem i do tej pory nie wiedziała, jakim cudem udało się jej przetrwać pierwszy rok małżeństwa.

– Co mam zrobić? – Głaskała wciąż po głowie szlochającą Krysię. – Jak ci pomóc?

– Teniu, porozmawiaj z papą... błagam.

– Czemu sama tego nie zrobisz? Papa kocha i ciebie, i Celinę.

– Raz próbowałam zacząć, ale zaraz pojawiła się ciocia. Ona przekona go, że moja miłość to fanaberia... A ciebie papa wysłucha. Zawsze powtarza, że jesteś mądra. Proszę... Teniu.



– Dobrze, znajdę dogodny moment i przyjdę do was – zgodziła się ostrożnie, a Krysia najpierw znieruchomiała, a potem w nagłej eksplozji radości rzuciła się jej na szyję. – Nie wiem tylko, czy to przyniesie dobry skutek.

Panna była jednak tak szczęśliwa, że nie zwróciła uwagi na ostatnie zdanie. Leontyna pomyślała zaś, że spełniając jej prośbę, sama prosi się o kłopoty, bowiem matka nigdy nie wybaczy jej ingerencji w sprawy, które od czasu ślubu z wujem Witoldem uważała za własne.

#### 4.

Treść bileciku nie pozostawiała wątpliwości – Leontyna chciała spotkać się z nim, ponieważ znalazła coś interesującego w felietonach Majerowej. Aleksander ucieszył się nie tylko z tego faktu, ale też z niespodziewanej okazji, aby ją zobaczyć. Najszybciej jak się dało, zrobił to, co miał do zrobienia, potem przygotował dokumenty na następny dzień i kiedy zapadł zmrok, opuścił urząd, zatrzymał pierwsze wolne sanie i kazał wieźć się w okolice Dworca Wiedeńskiego.

Leontyna czekała na niego. Sama otworzyła mu drzwi, potem zaprosiła go do saloniku, gdzie w samowarze szumiała już woda, zaś Agata Pietrowna, przy wydatnej pomocy wnuczki, rozstawiała na stole patery z przekąskami. Przy okazji stara służąca łypała na niego znacząco; najwyraźniej oczekiwała, że Woronin wysłucha jej rad i wreszcie się zdeklaruje.

Gdybyż to było takie proste – westchnął w duchu, słodząc herbatę truskawkowymi konfiturami. Nawet na moment nie spuszczał wzroku z gospodyni, a ona rumieniła się niczym wiśnia, czując na sobie jego zachwycone spojrzenie.

– Nie wiesz, jak cieszę się, że cię widzę – powiedział półgłosem, kiedy Agata i Kazia opuściły wreszcie pokój, a po chwili podniósł się z fotela i usiadł na szezlongu, tuż obok ukochanej.

Nie zaprotestowała, więc wziął ją za rękę i delikatnie pocałował wewnątrz dłoni. Zamrugła i przygryzła wargę, a potem drżącymi palcami pogładziła go po policzku. Uczucie było tak przyjemne, że na chwilę przymknął oczy, a zanim zdążył je otworzyć, poczuł na ustach ciepło jej warg. Przyciągnął ją do siebie.

Nie był to ich pierwszy pocałunek, ale on wciąż nie potrafił przywyknąć, że kobieta może całować go tak, jakby był jedynym mężczyzną na ziemi. Święta Przczysta, oddałby wszystko, aby móc zabrać ją dzisiaj ze sobą.

Wreszcie odsunęli się od siebie. Woronin oddychał szybko, a Leontyna tuliła rozplómiętą twarz do jego piersi.

Może powinien zaryzykować i właśnie teraz poprosić ją, aby została jego żoną? Bał się jednak zepsuć taką doskonałą chwilę: Leontyna, kiedy tylko usłyszy pytanie, natychmiast oprzytomnieje, a potem odmówi, wyprosi go z domu i ograniczy kontakty wyłącznie do spraw oficjalnych.

Nie miał pojęcia, jak długo siedzieli spleceni uściskiem. Nagle coś stuknęło na korytarzu i Leontyna pospiesznie wyplątała się z jego objęć.

– Nie powinniśmy... – zaczęła cicho.

– Możemy. – Dla odmiany teraz on dotknął jej twarzy. – Możemy robić, co chcemy.

Pokręciła przecząco głową i był to dla niego ostateczny dowód, że powinien poczekać z poważnymi rozmowami. Gdyby tylko mógł wiedzieć, jak długo.

Wreszcie nieco oprzytomniał i przypomniał sobie, po co właściwie do niej przyszedł.

– Napisałaś, że coś znalazłaś w felietonach – powiedział cicho.

– Tak, myślę, że to cię zainteresuje. Zaczekaj – nie podnosząc się z miejsca, sięgnęła po papiery leżące na brzegu komody; był tam, między innymi, egzemplarz „Kuriera Porannego” oraz spora koperta zaadresowana równym pismem.

Wziął od niej gazetę i rozprostował ją starannie; pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to tytuł felietonu Majerowej.

– *Najdramatyczniejszy ślub sezonu* – przeczytał na głos, a potem spojrzał na Leontynę. – W jaki sposób łączy się to ze śmiercią autorki?

– Nie wiem, czy łączy się naprawdę – westchnęła, całkowicie już spokojna. – Może koincydencja zachodzi tylko w mojej głowie... Zaraz dowiesz się, o co chodzi.

– Zamieniam się w słuch.

– Dostałam rano list od Emilii Zagórskiej, mojej przyjaciółki z pensji. Jest córką redaktora...

– ...Zagórskiego z „Kuriera” – wpadł jej w słowo – oraz pani Stefanii, przyjaciółki Majerowej.

– Właśnie. Emilia bardzo dobrze znała panią Józefinę i posłuchaj, co pisze na jej temat.

Przeczytała głośno fragment listu, a następnie, nie tłumacząc niczego, cały felieton nieboszczki, opowiadający historię niedoszłego ślubu Ringelblumówny i kuzyna Kronenbergów. Kiedy dotarła do ostatnich akapitów, zrozumiała, co miała na myśli.

– Skoro nie rwała się do oceny wydarzeń, których nie odczuła na własnej skórze – zaczął półgłosem – można wnioskować, że przeżyła jakąś miłosną aferę... zerwane zaręczyny albo odwołany ślub.

– Tak właśnie sobie pomyślałam. Niewykluczone, że odrzuciła jakiegoś epuzera – kontynuowała Leontyna, jakby od niechcienia splatając jego palce ze swoimi. – A tacy czasem potrafią się mścić. Nawet po latach.

– Co mógłby mieć z tym wspólnego pan Wyrzykowski?

– Nie wiem. Może jakoś jej pomagał?

– Przyjmijmy, że to kolejny kawałek układanki. Jeśli dodamy do niego kolejny... Na przykład wydarzenia z czasów waszego powstania, może czegoś się dowiemy.

– Co ma do tego powstanie?

– Leon Wyrzykowski brał w nim udział i został zesłany na Syberię. Pierwszy mąż pani Majerowej także.

– O panu Leonie słyszałam. Ciotka Oktawia wspominała, że zaczynał interesy w Nerczyńsku, kiedy uwolnili go z kopalni... Ale o mężu pani Józefiny nie miałam pojęcia.

– Szuster wyciągnął te informacje od twojej matki.

– Niemożliwe! Jakim sposobem?

– Użył oficjalnych metod sądowych – odpowiedział z uśmiechem. – Twój ojczym też przemówił jej do rozumu.

– Boże drogi. Ona Jerzemu tego nigdy nie zapomni.

– Powiedziałem mu to samo, ale nie wyglądał na przejętego. Słuchaj – zaczął po chwili – czy twoja siostra nadal o nim pamięta?

– Nie mam pojęcia. – Wyglądała na zaskoczoną jego pytaniem. – Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Z listów jednak wynika, że interesują ją wyłącznie studia i odrzuca męskie awanse. Może Jerzy ma z tym coś wspólnego...

Aleksander nie zdążył się odezwać, ponieważ ktoś nieoczekiwanie otworzył drzwi i wpadł do środka tak szybko, że ledwo zdążył odsunąć się od Leontyny na przyzwoitą odległość; na szczęście była to roześmiana Joasia.

– Mamusiu! Niech mamusia posłucha! – wołała już od progu. – Nauczyłam się dzisiaj... – urwała nagle, ponieważ dostrzegła gościa. Speszona jego widokiem, zatrzymała się obok matki.

– Przywitaj się z panem Woroninem, kochanie – pouczyła ją łagodnie Leontyna, starając się nie pokazać, że w salonie mogłoby dziać się coś niezwykłego.

– Dobry wieczór, panu policjantowi. – Dziewczynka dygnęła wdzięcznie, a Aleksander, choć widział ją już kilka razy, nie mógł nadziwić się jej podobieństwu do wuja i babki.

– Dobry wieczór, panno Joanno – odpowiedział z powagą. – A czegoż to panna nauczyła się dzisiaj? Proszę pochwalić się zaraz.

– Wiersza – odparła natychmiast mała, której onieśmielenie przeszło w jednej chwili. – Ma tytuł *Śmierć pułkownika*.

Zapewne było to dzieło któregoś z licznych polskich poetów, których nazwisk Aleksander nie potrafił spamiętać; na razie znał tylko dwóch powieściopisarzy, ale był ciekaw nowości. Właśnie miał poprosić dziewczynkę o wyrecytowanie utworu, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Dla pozorów postanowił przesiąść się na fotel i dopiero kiedy to zrobił, gospodyni zawołała:

– Proszę!

Do saloniku weszła zaaferowana Kazia.

– Proszę pani – spojrzała na chlebodawczynię – przyszedł pan Bogusz. Razem z córką. Pyta, czy pani ich przyjmie.

Leontyna wyglądała na zaskoczoną; chyba nie spodziewała się żadnych gości, ale cóż, popołudniowe herbaty rządziły się swoimi prawami. Znajomi mogli w każdej chwili wpaść z wizytą bez uprzedzenia.

– Pójdę już. – Podniósł się z fotela, na którym nie zdążył się nasiedzieć. – Nie będę przeszkadzał.

Nie zatrzymywała go, choć sądząc z wyrazu jej twarzy, wolałaby spędzić ten wieczór z nim i z córką zamiast z przypadkowymi osobami. Pocałował ją w rękę, a małą pogłaskał po głowie.

– Niech pan jeszcze przyjdzie. – Dziewczynka spoglądała na niego z powagą, która mogłaby wydawać się komiczna, gdyby nie była urocza. – Agata mówi, że porządny z pana facet.

– Joasiu! – upomniała ją Leontyna, zaś Aleksander zaśmiał się i jeszcze raz pogładził małą po włosach.

– Słuchaj Agaty – oświadczył z udawaną powagą. – Ona zna się na ludziach.

Przepuścił w drzwiach obie damy – ciut starszą i bardzo młodą – a kiedy znaleźli się w przedpokoju, dyskretnie zerknął na gości. Pan Bogusz – przezornie zapamiętał nazwisko mężczyzny – miał pewnie coś około pięćdziesiątki, zaś jego córka – krągła, jasnowłosa i niebieskooka – chyba niedawno pojawiła się na salonach. Woronin miał wrażenie, że gdzieś ją widział, możliwe, że na balu w Ratuszu.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy – zaczął Bogusz uprzejmym tonem, ale spojrzenie, którym omiół Aleksandra, nie miało nic wspólnego z grzecznością.

– Ależ nie – zaprzeczyła słabo Leontyna. – Pan Woronin właśnie wychodzi... Nie wiem, czy państwo się znają? – Spojrzała wyczekująco na gości i na niego, a kiedy nie uzyskała potwierdzenia, rzekła: – Pan Aleksander Woronin, komisarz policji śledczej, a to pan Wacław Bogusz i jego córka Gabriela.

Panna, kiedy całował jej rękę, posłała mu spod rzęs zalotne spojrzenie, a jej ojciec niechętnie odwzajemnił uścisk dłoni; spoglądał przy tym na gospodynię takim wzrokiem, że Aleksander chętnie nauczyłby go szacunku do kobiet, a już na pewno do tej jednej.

– Pozwolą państwo, że ich pożegnam – powiedział, z trudem siląc się na spokój i narzucił płaszcz, który podała mu pokojówka.

Niechętnie wyszedł na korytarz, a kiedy zatrzymał się, aby dopiąć guziki i nałożyć czapkę, usłyszał głos mężczyzny.

– Czy ten policjant panią prześladowuje?

– Ależ skąd – zaprzeczyła Leontyna. – Prowadzi śledztwa w sprawie ostatnich morderstw. Zawsze jest u mnie mile widziany.

Uśmiechnął się pod wąsem – Bogusz mógł sobie patrzeć, ile chciał.

# ROZDZIAŁ XVI

## I.

Tuż przed południem Jerzy, odganiając łaszącego się do jego nóg Timura, zjawił się w gabinecie wuja. Osip Dymitrowicz kończył właśnie przeglądanie papierów, które dostał od niego poprzedniego wieczoru, aby móc, przynajmniej z grubsza zapoznać się z tematem, zaś uradowany kot zaraz wskoczył na biurko i zaczął podejrzliwie obwąchiwać akta. Szuster spoglądał na niego z niechęcią; nie znoślił czyścić munduru z białych kłaków.

– Woronin coś się spóźnia – skonstatował Mironow, próbując spędzić zwierzaka z blatu. Bezskutecznie.

– Rzeczywiście, ostatnio rzadko bywa punktualny.

– Najwyraźniej nie boi się ciebie wcale. – Wuj się zaśmiał, sięgając po papierosa. Dym tytoniowy natychmiast spowodował, że uparty kocur porzucił zabawę dokumentami i wskoczył na krzesło stojące nieopodal drzwi, a potem okręcił się trzy razy, usiadł, zadarł tylną nogę i rozpoczął toaletę.

– Strach przed wujem też mu chyba przeszedł – odpowiedział z uśmiechem; akurat na spóźnienia kolegi nie zwracał już uwagi. – Poczekajmy jeszcze chwilę.

Osip Dymitrowicz znowu zajrzał do akt, a Jerzy zamyślił się, nie spuszczać wzroku z kota. Do tej pory robił, co mógł, aby pokazać się z jak najlepszej strony i samodzielnie rozwiązać zagadkę dwóch nagłych śmierci. Niestety, nadszedł taki moment, że musiał przyznać Aleksandrowi rację i zwrócić się o radę do takiej osoby, która wie wszystko o prowadzeniu śledztwa i którą bez obaw można wprowadzić w arkana sprawy.

Wuj Osip był właśnie kimś takim. A że nudził się na emeryturze niemilosierdzie, natychmiast zgodził się im pomóc.

– O, chyba przyszedł. – Szuster nadstawił uszu i po chwili usłyszał wesoły głos Aleksandra i śmiech ciotki Anny, której przybysz prawił, jak to miał w zwyczaju,

jakieś wymyślne dusery.

Wreszcie Woronin, zarumieniony od mrozu i ściskający w garści swój nieodłączny kajet, zajrzał do gabinetu.

– Chodź, Sasza – zaprosił go natychmiast wuj. – Czekamy tylko na ciebie.

– Przepraszam, Osipie Dymitrowiczu – zaczął usprawiedliwiać się spóźnialski – miałem coś pilnego do załatwienia.

– Nie tłumacz się, Saszka, tylko wejdź i siadaj.

Aleksander rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Jedyne krzesło zajmował zajęty toaletą kot, więc policjant, który doskonale wiedział, że na Timura nie podziała żadne prostackie „psik”, chwycił zwierzaka za kark i ostrożnie postawił na podłodze, a potem przysunął mebel bliżej biurka i usiadł. Kocur zaś, wyraźnie zdegustowany takim brakiem szacunku dla swojej osoby, wdrapał się na sam szczyt szafy z książkami i zaszył w kącie, gdzieś pod sufitem.

– Trzeba będzie uważać – mruknął na ten widok gospodarz – żeby nie zleciał któremuś na głowę. Już były takie przypadki...

Aleksander i Jerzy spojrzeli na siebie z rozbawieniem, obaj słyszeli historię o przygodach, jakie przeżył Michaił Kaługin, kiedy przyszedł oświadczać się o rękę Julii Osipowny.

– Dawno cię nie widziałem, Sasza – kontynuował tymczasem Mironow.

– I co? – zaśmiał się Woronin. – Gorzej wyglądam czy może lepiej?

– Zdecydowanie lepiej – pochwalił go wuj Osip. – Jakby ktoś zapalił ci w środku lampę.

Szuster zerknął na kolegę. Tak, właśnie takiego sformułowania brakowało mu, aby opisać jego stan w ciągu ostatnich dni.

– Jestem szczęśliwy, Osipie Dymitrowiczu. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale teraz jestem.

Wuj nie skomentował tego wyznania, tylko spojrzął na dawnego współpracownika wzrokiem, jakim patrzył na niego bardzo często – pełnym troski i niepokoju.

– Może zaczniemy? – zaproponował Jerzy, który uznał, że lepiej nie kontynuować rozmowy na temat życia prywatnego kolegi.

– Przeczytałem wasze raporty – powiedział Osip Dymitrowicz. – Sprawa jest rzeczywiście pogmatwana... Nie macie prawie żadnych dowodów, tylko kilka zeznań i same kalkulacje.

– Rzeczywiście – westchnął Jerzy, w którym od pewnego czasu narastało niepokojące przekonanie, że być może pomylił się, co do swojego życiowego powołania.

– Pora, żebyście przeszli do konkretów – mówił dalej wuj. – Ustalili wreszcie jakieś niezbite fakty.

– Łatwo powiedzieć – stwierdził Woronin. – Stłuczona butelka i jeden list nie wystarczą, aby kogoś oskarżyć o zabójstwo.

– Bierzcie się do dokumentów.

– Jakich? – zainteresował się Jerzy.

– Z tego, co tu napisaliście, wnioskuje – wuj otwartą dłonią uderzył w akta, które trzymał w drugiej ręce – że mamy do czynienia z dwoma powstańcami z 1863 roku... – On też nie nazywał powstania rebelią, ciocia Anna oduczyla go tego dawno temu. – To znaczy drugą ofiarą zabójcy i mężem pierwszej. Poznajcie ich przeszłość. Może kiedy dowiedzie się, co robili, zanim poszli na katorgę, znajdziecie rozwiązanie sprawy.

– Ale gdzie szukać? – zapytał Jerzy. – Nie wiemy, gdzie dokładnie walczyli Wyrzykowski i Jedliński i gdzie ich aresztowano.

– Ja wiem – wtrącił się Aleksander.

– Jakim cudem?! – Spojrzał ze zdumieniem na kolegę. – Czemu nic nie powiedziałaś?

– Nie zdążyłem. Dopiero wczoraj wieczorem przyszło mi do głowy, aby zapytać o to panią Wyrzykowską, a dziś rano złożyłem jej wizytę. Opowiedziała mi, że mąż, a wtedy jeszcze narzeczony, został zaaresztowany w okolicach Płocka. I jeszcze jedno... Pomysł, że jej męża i Majerową mogło coś łączyć, uważa za kompletną bzdurę.

– Ośmieliłeś się zapytać ją o to?!

– Ośmieliłem – potwierdził Woronin z absolutnym przekonaniem, że postąpił słusznie. – Prowadzę w końcu śledztwo, a nie salonowe konwersacje.

– Ale tak całkiem wprost? I wierzysz jej?



– Tego jeszcze nie wiem.

– Chłopcy. – Wuj Osip wtrącił się stanowczo do dyskusji. – Dyskutować o grzeczności wobec dam będziecie później. Teraz wracamy do roboty.

– Pojadę do Płocka – powiedział po chwili milczenia. – Najszybciej jak się da.

– Nie spiesz się tak, Jerzyk – powiedział uspokajająco wuj. – Wszystkie potrzebne papiery powinny być w Warszawie.

– Skąd wuj może to wiedzieć?

– Mam nad wami tę przewagę, że dobrze pamiętam tamte czasy – wyjaśnił Osip Dymitrowicz. – Jeśli wasz Wyrzykowski został aresztowany w okolicach Płocka, to zamknięto go w tamtejszym więzieniu i na katorgę skazał go tamtejszy sąd wojskowy. Po rozprawie musieli jednak odesłać go do Warszawy, ponieważ stąd wychodziły transporty do Tobolska.

– Gdzie ich trzymali w Warszawie? – zapytał Aleksander.

– W Cytadeli, a gdzieżby indziej... Dokumenty sądowe, które przysły za skazańcami, też tam były, i to dosyć długo. Dopiero kilka, a może nawet kilkanaście lat temu, przenieśli je do Archiwum Akt Dawnych.

– Tego na Długiej? – ożywił się Szuster.

– Tak, właśnie tam. Idź, Jerzyk, do prezesa sądu i niech ci wystawi odpowiedni papier, ja szepnę kilka słów komu trzeba i zaraz dadzą ci dostęp do tajnych akt. Może znajdziesz w nich swojego nieboszczyka.

– A może i Jedlińskiego – dodał, zastanawiając się jednocześnie, ile lat zajmie mu wyrobienie sobie takich kontaktów, jakie ma wuj Osip.

– Przygotuj się na dużo roboty.

– Nie zdążyłem dodać – wtrącił się Aleksander – że Wyrzykowskiego aresztowano pod koniec grudnia 1863 roku, a to chyba nieco zawęży pole poszukiwań.

– Szkoda, że ciebie tam nie wpuszczą, Sasza. Niestety, papiery nie są przeznaczone dla zwykłej policji śledczej.

– Ależ nie pcham się tam wcale, Ospie Dymitrowiczu – zapewnił Woronin. – Z aktami niech wojuje Jerzy, jemu to wychodzi najlepiej.

– Albo mi się wydaje – Szuster zmierzył kolegę podejrzliwym spojrzeniem – albo masz jakiś inny pomysł?

– Nie chcę przecież obijać się beczynną, kiedy ty będziesz kurzył się w archiwum, więc wezmę w obroty Jedlińskiego. Dowiem się, co ukrywa, choćbym miał znowu użerać się z jego adwokatem.

Jerzy nie miał nic przeciwko kolejnemu przesłuchaniu pana Sylwestra, o ile kolega będzie działał w granicach prawa. Później go pouczy.

– Jedliński – wuj Osip zerknął w dokumenty – czyli syn pierwszej ofiary.

– Tak – potwierdził Woronin. – Ciekawy człowiek i całkiem bystry, ale jestem przekonany, że nie mówi prawdy. Podczas przesłuchania oczy tak mu latają, że sam nie może za nimi nadążyć.

– A sprawdzaliście, czy to aby nie jego robota? Grzebiecie w przeszłości, a może rozwiązanie macie przed nosem. Po prostu spadkobierca się niecierpliwił.

– Bierzemy to cały czas pod uwagę – odparł Jerzy. – Zwłaszcza że Jedliński okłamał nas w kwestii alibi na czas śmierci matki, a to, które podał później, można na upartego obalić.

– Tyle że nikt nie widział go na balu w Resursie. No i nie miał chyba motywu, żeby zabić Wyrzykowskiego – wtrącił się Aleksander. – Chyba że pani Wyrzykowska nie zna jednak całej prawdy i Sylwester jest synem obu ofiar... Tyle że w czasie drugiego morderstwa siedział, a nawet leżał w burdelu.

– Powiedz mi, Sasza, w którym?

– Na Powązkach, u ciotki Motylowej.

– W takim razie przyjrzałbym się tym zeznaniom dokładniej – oznajmił wuj Osip. – Widzicie, ciotka Motylowa, bardzo nam się przydawała w swoim czasie. Niestety zważała na dobry interes i już kilku delikwentom sprzedała alibi. Nie słyszałeś o tym, Sasza? Podobno któryś od was, bodajże Grün, wyniuchał ten przekręt... Dlatego na waszym miejscu sprawdziłbym tego syna bardzo dokładnie.

– A niech to czort! – warknął Woronin, który nie znośli być niedoinformowany. – Dobiorę mu się do skóry.

– Wiecie więc, chłopcy, co macie robić. – Wuj uśmiechnął się dobrodusznie. – Możemy więc zakończyć naradę, w spokoju napić się herbaty i porozmawiać o przyjemniejszych rzeczach.

Jerzy ledwo usłyszał ostatnie słowo, ponieważ za jego plecami coś właśnie głucho grzmotnęło o podłogę. Odwrócił się odruchowo i stwierdził, że Timur zakończył drzemkę i chyba też ma ochotę na drugie śniadanie.

## 2.

Leontyna, dzięki pomocy Agaty i Pelagii, zdołała wywiedzieć się, że tego popołudnia matka, wraz z obiema pasierbicami, wybiera się na herbatę do radczyni Fogielowej. Wizyty u najlepszej przyjaciółki, tudzież siostry męża, zazwyczaj przeciągały się do późna, więc spokojnie mogła wykorzystać ten czas i rozmówić się z ojczymem, który na szczęście miał zostać w domu – przynajmniej tak twierdziła wszystkowiedząca Pelagia.

Równy o piątej pojawiła się na Królewskiej, zastanawiając się gorączkowo, czy aby nie popełnia błędu. Przypomniała sobie jednak zapłakaną twarz Krysi i dotarło do niej, że nie może zawieść tej dziewczyny.

– Przyszła panienska – ucieszyła się Pelagia. – Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – uśmiechnęła się do pokojówki, której chwilami bardzo jej brakowało. – Liczę, że wuj nigdzie nie wyszedł.

– A gdzie tam. Siedzi u siebie i od dwóch godzin grzebie w jakichś papierzyskach.

– Dobrze. Dopilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał. I żadnych herbat.

– Pójdę i zamelduję panu...

– Nie trzeba.

Oddała pokojówce okrycie oraz kapelusz, a potem, ociągając się nieco, powędrowała w głąb korytarza. Zatrzymała się dopiero pod drzwiami gabinetu, odetchnęła mocno – miała ochotę uczynić jeszcze znak krzyża – i zapukała.

– Proszę.

Weszła do środka prawie bezszelestnie, zatrzymała się tuż za progiem i rozejrzała po wnętrzu. Zawsze podobał się jej ten nieprzeładowany meblami pokój, a w tej chwili, oświetlany łagodnie przez płomień lampy naftowej, wyglądał jeszcze przytulniej niż zwykle.

Ojczym, który wyraźnie był przekonany, że to któraś ze służących, nawet na moment nie przerwał przeglądania dokumentów. Dopiero po jakimś czasie, zaniepokojony przedłużającą się ciszą, uniósł głowę.

– Tenia? – zdumiał się na jej widok i od razu wstał z fotela. – Dawno u nas nie byłaś, a Amelcia z dziewczynkami akurat wyszły. – Podszedł do niej i pocałował w rękę; przy okazji zauważyła bandaż na jego prawej ręce.

– Dobry wieczór – powiedziała cicho. – Dziś pozwoliłam sobie odwiedzić akurat wuja. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Oczywiście, że nie. Siadaj, moja droga. – Przysunął drugi fotel bliżej biurka. – Zaraz poproszę o herbatę.

– Nie trzeba. – Powstrzymała go szybko. – Chciałabym tylko porozmawiać.

– W takim razie słucham, co masz do powiedzenia.

Usiedli naprzeciwko siebie. Leontyna czuła, że jej serce przyspiesza z każdą chwilą, spłotła więc dłonie tak mocno, że zabolęło, i przełknęła ślinę. Ojczym był naprawdę uroczym człowiekiem, ale świadomość jego zalet nie dodawała jej odwagi w sytuacji kiedy zamierzała wtrącić się w życie jego córki.

– Krysia poprosiła mnie o pomoc – powiedziała, nie patrząc mu w oczy.

– Krystyna? O pomoc? – zaniepokoił się Witold. – Czy dzieje się jej jakaś krzywda?

– Jeszcze nie, ale lepiej dmuchać na zimne.

– Dlaczego w takim razie nie przyszła do mnie sama? Ma bliżej niż ty. – Uśmiechnął się pod wąsem.

– Boi się.

– Mnie?

Był tak zaskoczony i chyba speszony tym, co właśnie usłyszał, że Leontyna uświadomiła sobie absurdalność własnych obaw; ojczym miał doskonałe maniery, a do tego był sympatyczny, więc cokolwiek by mu powiedziała, na pewno nie będzie się nad nią wytrząsał.

– Wuja tylko odrobinę. – Ona też odważyła się uśmiechnąć. – O wiele bardziej mojej mamy.

– Amelci? Przecież to taka szlachetna kobieta... Dba o moje córki jak o własne dzieci.

– Akurat tego obawiam się najbardziej – odparła z westchnieniem.

– Co masz na myśli, droga Teniu? – Przyglądał się jej uważnie; zraniona dłoń musiała go boleć, bo drugą ręką ostrożnie pomasował się po bandażu.

– Krysia uważa, że mama zamierza wyswatać ją z najmłodszym synem Lechnowiczów.

– Amelcia rzeczywiście wspominała, że pan Mieczysław wydaje się zainteresowany Krystyną, ale na razie nie rozmawiał ze mną o małżeństwie.

– Nie będę upierać się, że to zła partia. – Leontyna postanowiła przejść wreszcie do sedna. – Tyle że Krysia nie chce iść za niego. Obawia się, że mama, która jest zachwycona wizją tego mariażu, przekona wujka, aby nakazał jej go przyjąć.

Milczał, chyba się zastanawiał, jak powinien postąpić w tej sytuacji, a ona tkwiła bez ruchu na fotelu, coraz bardziej bojąc się, że jednak przeceniła odporność i dobrą wolę ojczyma. W końcu małżeństwo to poważna sprawa: jak pisała Józefina Majerowa – najważniejsza w życiu kobiety.

– Domyślam się, że Krystyna wolałaby kogoś innego... – Znowu na nią spojrzął; na szczęście wcale nie był zły. – Kogo?

– Nazywa się Jan Zagórski i pracuje w biurze handlowym spółki *Lilpop, Rau i Loewenstein*. Jest synem dziennikarza „Kuriera Porannego”.

– Znasz go?

– Tak – potwierdziła gorliwie. – Od szkolnych czasów przyjaźnię się z jego starszą siostrą. To mądry i porządny chłopak, ale nie ma pieniędzy i pozycji. Właśnie te dwie rzeczy dyskredytują go w oczach mamy jako kandydata na męża Krysi, choć dobrze zna jego rodziców i zawsze uważała ich za porządnych ludzi.

– A nie jest aby łowcą posagów?

– Ależ skąd! – oburzyła się Leontyna, której w kontekście Janka takie określenie nie przyszłoby nigdy do głowy. – Matka dobrze wychowała i jego, i pozostałą czwórkę rodzeństwa. Pierwsza urwałaby mu głowę, gdyby chociaż pomyślał o oszukaniu jakiejś panny. Zresztą – zawahała się na moment – kilka razy widziałam ich razem... To znaczy jego i Krysię. Nie mogli oderwać od siebie oczu nawet na chwilę.

– Czemu w takim razie ten młody człowiek nie pofatygował się do mnie osobiście?

– Krysia mu zabroniła – westchnęła. – Boi się, że wuj z miejsca mu odmówi i nie będzie już żadnej nadziei na ich wspólną przyszłość.

– A czemu miałbym to zrobić? – zapytał ojczym, coraz bardziej zaintrygowany epuzerem starszej córki.

– Jak powiedziałam wcześniej, mama uważa, że to żadna partia i zrobi wszystko, aby przekonać wujka do swoich racji.

– Naprawdę myślicie obie, że taki ze mnie pantoflarz? – Witold pokręcił głową z czymś, co można było wziąć za szczere rozbawienie.

– Nie, wcale tak nie uważam – zapewniła go szybko Leontyna. – Znam jednak mamę i jej metody perswazji.

Uśmiechnął się znowu, potem na jakiś czas popadł w zadumę, aż wreszcie oświadczył poważnym tonem:

– Teniu, wiesz, że cenię sobie twój rozsądek. Skoro więc mówisz, że Zagórski to uczciwy młody człowiek, mam pewność, że tak właśnie jest. Porozmawiam z nim. O ile wreszcie zdecyduje się przyjść.

W jednej chwili zrobiło się jej lżej na sercu; wuj spełnił pokładane w nim nadzieje. Z wdzięczności chciała uścisnąć mu rękę, ale powstrzymała się na widok bandaża.

– Dziękuję bardzo – powiedziała z uśmiechem. – Mam nadzieję, że przetrwa wujek wybuch złości mamy.

– Zaraz tam wybuch złości. Amelcia powie, co ma do powiedzenia, a potem przejdziemy nad tym do porządku dziennego.

Leontyna spojrzała na niego z podziwem – ależ zazdrościła mu takiego podejścia. Choć z drugiej strony zapewne nie kosztowało go ono zbyt wiele. Był mężczyzną, a to bardzo ułatwiało życie.

– Teniu – zapytał nagle, kiedy już myślała, że rozmowa dobiegła końca. – Wyjaśnij mi proszę, czemu Amelcia jest na ciebie taka zła? I o co chodzi z tym rosyjskim policjantem?

Przestraszyła się tych pytań, uznała jednak, że ojczym zasługuje na prawdę. Ledwo zdążyła jednak otworzyć usta, gdy zza drzwi dobiegł ich podniesiony damski głos. W pierwszej chwili Leontyna pomyślała, że matka wróciła z wizyty u szwagierki, ale szybko okazało się, że to Oktawia.

– Słyszę, że mamy gościa – powiedział Witold. – Chyba powinnaś zostać i wysłuchać, co dręczy twoją świekrę.

Wyszli razem na korytarz, gdzie zdenerwowana ciotka, ciągle w futrze, mufce i kapeluszu, niczym najlepszy śledczy przesłuchiwała Pelagię na okoliczność powrotu siostry.

– Dobry wieczór, szwagierko. – Ojczym podszedł do niej i szarmancko ucałował w rękę. – Napijemy się herbaty, a Amelcia zapewne niedługo wróci.

Oktawia nie odpowiedziała, ponieważ właśnie w tym momencie zauważyła Leontynę. Najpierw zbladła, a potem poczerwieniała niczym burak i zacisnęła pięści.

– Ty... – wysyczała. – Ty bezwstydnico! Mój syn przewraca się w grobie! Myślałaś, że się nie wyda?!

– Oktawio... usiądź i uspokój się – odezwał się gospodarz, wyraźnie zaskoczony tym wybuchem. – Napijesz się herbaty?

– Nie uspokoję się! – Ciotka zdenerwowała się jeszcze bardziej. – Dopóki nie rozprawię się z tą wywłoką!

– Oktawio! – Głos ojczyma nabrał twardych tonów. – Miarkuj się! Mówisz do mojej pasierbicy, a swojej synowej.

– Wiem, do kogo mówię! – Ciotka podeszła do niej i wykonała taki gest, jakby zamierzała uderzyć ją w twarz, ale nie odważyła się tego zrobić. Dodała za to ponuro: – Pochwal się ojczymowi, z kim się poniewierasz. Pochwal się! – Złapała Leontynę za ramię i mocno ścisnęła. – Ty...

– Oktawio! – Wuj najwyraźniej stracił już cierpliwość. – Nie życzę sobie takiego słownictwa w moim domu.

– Dobrze. – Ciotka ciężko odetchnęła i oświadczyła nieco spokojniej: – Skoro ona nie zamierza, to ja ci powiem, co wyczynia ta... – Spojrzała na synową jak na najgorszego wroga. – Łajdaczy się... I to z kim?! Z Moskałem! Do tego policjantem!

– Czy to ten... – zaczął z namysłem ojczym, spoglądając na pasierbicę.

– Tak! – Oktawia natychmiast wpadła mu w słowo. – Ten drań, który kiedyś chciał zabić mojego syna. Kręci się przy niej od lat. Za życia Janusza też z nim... – nie zdążyła dokończyć, bo uchwyciła ostrzegawcze spojrzenie szwagra.

– Nigdy nie zdradziłam Janusza – oświadczyła kategorycznie Leontyna; głos nieco jej się trząsał, ale wreszcie odzyskała mowę. – Aleksander zaś...

– Nie wypowiadaj tego imienia w mojej obecności!

– Oktawio, skąd wiesz, że to nie są pomówienia? Może ktoś rozpuszcza plotki? – dopytywał się zakłopotany wuj, skubiąc bandaż na ręce. – Może to pomyłka? Teniu?

Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, ubiegła ją ciotka.

– Chcę odzyskać wnuczkę – oświadczyła z mocą. – Dlatego wynajęłam człowieka, który chodził za jej macochą przez kilka dni. Zezna w sądzie o wszystkim, co widział.

Leontyna najpierw poczuła ulgę – nie zdradził jej nikt z domowników – która zaraz zamieniła się w strach. Zrozumiała bowiem, że przyjdzie jej drogo zapłacić za uleganie porywom serca i własną nieostrożność.

### 3.

Siedziała w sypialni oświetlonej tylko jedną lampą z umbrelką. Kuląc się w fotelu, próbowała zebrać myśli i ułożyć plan działania, który pomógłby jej załagodzić konflikt z Burzyńskimi i utrzymać opiekę nad córką. Agata, widząc jej stan, natychmiast przyniosła jej samogon z pieprzem, ale Leontyna kategorycznie odmówiła kuracji. Ze zdenerwowania nie chciało się jej ani jeść, ani pić, ani spać. Za to, skubiąc do krwi skórki przy paznokciach, myślała, że najchętniej pojechałaby do Aleksandra. Możliwe, że była – jak uparcie twierdziła ciotka – zepsuta do cna, ale nie żałowała ani jednej spędzonej z nim chwili.

Gdyby teraz był przy niej, o wiele lepiej zniosłaby upokorzenie zgotowane jej przez Oktawię oraz strach o przyszłość dziecka śpiącego spokojnie w sąsiednim pokoju i nieświadomego zamieszania, którego stało się centrum. Nie chciała jednak dostarczać ciotce kolejnych dowodów; być może wynajęty przez nią szpicel nadal czekał na posterunku.

Choć z drugiej strony, co za dowody mógł znaleźć ten człowiek? Fakt, że odwiedzała Woronina w domu o niczym jeszcze nie świadczył, zostawiał tylko pola do domysłów. Na szczęście nigdy nie byli tak nierozsądni, aby spoufalać się na widoku.

Trudno, jeśli trzeba, będzie iść w zaparte, a nawet kłamać. Paszkiewicz weźmie do pomocy najlepszych prawników, a ona poprosi o protekcję sędziego Mironowa, który miał ponoć bardzo szerokie koneksje. Poruszy niebo i ziemię, bo skoro ciotka posunęła się do tego, aby ją śledzić, to bez wyrzutów sumienia można odpłacić jej pięknym za nadobne. Nie zamierzała poddawać się bez walki.



Ktoś chyba przyszedł.. Szybkie kroki na korytarzu świadczyły, że Kazia bez ociągania pobiegła otworzyć drzwi.

– Proszę pani. – Nie upłynęło dużo czasu, a pokojówka cicho wsunęła się do sypialni. – Przyszła pani Osnowska. Czeka w saloniku.

– Dziękuję, moja Kaziu. Zaraz przyjdę. Zaproponuj jej herbatę.

Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z matką, dlatego wciąż odkładała ten moment, kiedy będzie musiała podnieść się z fotela i pójść do sąsiedniego pokoju, aby wysłuchać kolejnej porcji obelg. Najpierw usłyszała odgłos lekkich kroków, a potem matka pojawiła się w drzwiach sypialni. Oczami przyzwyczajonymi do ciemności Leontyna dostrzegła zarys jej twarzy oraz doskonale sobie znaną, zgrabną sylwetkę.

– Dobry wieczór – zaczęła chłodno Amelia. – Nie masz zamiaru mnie przyjąć? Może lepiej powiedzieć to wprost?

– Przepraszam – spuściła nogi na podłogę i z trudem dźwignęła się z miejsca – źle się czuję.

– Siedź. – Matka machnęła ręką, a potem, nie czekając na zaproszenie, uściła się w drugim fotelu. – Tu – rozejrzała się po wnętrzu – będzie nawet lepiej. Zawsze podobał mi się wystrój tego pokoju.

Leontyna nie mogła ukryć zdziwienia: rodzicielka zachowywała się tak, jakby w czasie poprzedniego spotkania nie zaszło między nimi nic złego. Do tego była nad wyraz spokojna, co wzbudzało w niej podejrzliwość. Strasznie to brzmiało, ale nie ufała własnej matce.

– Co mamę sprowadza o tak później porze? – zdobyła się wreszcie, aby zadać pytanie.

– Rozmawiałam z Oktawią, a teraz, jak zapewne się domyślasz, zamierzam porozmawiać z tobą.

– Ciotka nie miała prawa wysyłać za mną szpiegów. To okropne!

– Okropne jest to, co sama robisz. I zaraz wszystko ci wytłumaczę.

– Zamieniam się w słuch – powiedziała z rezygnacją.

Matka wpatrywała się w nią w milczeniu, co też, samo w sobie, było bardzo niepokojące.

– Naprawdę jesteś kochanką tego Moskala? – zapytała wreszcie.

– Ten Moskal ma na imię Aleksander. – Spojrzała Amelii prosto w twarz.

– Jesteś jego kochanką?

– A jak mama uważa? – Nie chciała odpowiedzieć wprost. Kto wie, czy ciotka nie zaciągnie siostry do sądu w charakterze świadka.

– Zawsze wiedziałam, że będą z tobą kłopoty, ale Wiktor – westchnęła lekceważąco – uważał, że jesteś za mądra, żeby traktować cię jak gąskę. Szkoda, że nie widzi, co wynikło z tej twojej mądrości.

Wspomnienie ojca sprawiło, że Leontyna poczuła ukłucie w piersi. Nie mogła jednak pozwolić sobie na żal w chwili, kiedy walczyła o swoją samodzielność i przyszłość.

– Kocham go – powiedziała, wciąż patrząc matce w oczy. – Mama doskonale o tym wie.

– I co dalej? – zainteresowała się rodzicielka. Nadal była spokojna, a Leontyna pomyślała, że woli krzyki i dramatyczne gesty, bo wtedy wie, czego może się spodziewać. – Będziesz romansować z nim, aż wybuchnie skandal na całą Warszawę? A może zamierzasz go poślubić, co będzie skandalem jeszcze większym?

– Nie wiem.

Aleksander do tej pory nie poruszał tematu ich wspólnej przyszłości, co chwilami ją niepokoiło, ale częściej czuła ulgę, że jeszcze nie musi podejmować ostatecznych decyzji.

– A jeśli nawet weźmiecie ślub, jak sobie wyobrażasz dalsze życie? – Matka uparcie drążyła temat. – Wyjedziesz do Moskwy? Pozwolisz, żeby zrusyfikował ci dziecko? A może obie z Joanną od razu przejdziecie na prawosławie?

– Nie...

– Pomyśl, kim przy nim będziesz? – Amelia najwyraźniej nie zamierzała dopuścić jej do słowa. – Ani Polką, ani Rosjanką. Wielu uzna cię za zdrajczynię. W tym mieście nikt nie będzie cię szanował. I nie opowiadaj mi znowu o miłości... Ona za dwa lata uleci i zostaną ci tylko wyrzuty sumienia i ludzka pogarda. Tego chcesz?

Leontyna poczuła łzy pod powiekami, ale otarła je szybko wierzchem dłoni i zapytała:

– Rozumiem, że zdaniem mamy powinnam wyjść za doktora Siemaszkę? Albo za pana Bogusza?

– Za kogokolwiek, byleby nie za tego Moskala!

– Kiedyś obiecała mama, że nie zmusi mnie do małżeństwa, a już raz próbowała to zrobić – zaczęła zimno. – Czy teraz będzie tak samo?

– Nie wierzę, że jesteś tak głupia, żeby nie rozumieć, o co mi chodzi. – Rodzicielka zmrużyła powieki – Chciałam mieć zięcia Polaka z dobrej szanowanej rodziny. Tylko tyle. Mogłaś wybrać według własnej woli. Zgodziłam się nawet na tego nieszczęsnego socjalistę. Ale tobie zachciało się Rosjanina... I nie mów nic o zmuszaniu, bo o małżeństwie z Januszem zdecydowałaś sama, a ja nie upierałam się przy Siemaszce.

Leontyna spojrzała na matkę z niedowierzaniem, ale nic nie powiedziała.

– Nie boisz się nawet tego, że Oktawia zabierze ci dziewczynkę? – Amelia chyba nie zauważyła reakcji córki, gdyż na nowo podjęła swój wywód. – Do tej pory uważałam, że Joannie będzie najlepiej u ciebie, ale teraz zmieniłam zdanie. Skoro masz zruszczyć dziecko, niech idzie do babki.

– Nie oddam Joasi nikomu – powiedziała twardo. – Mam wystarczająco dużo pieniędzy, aby opłacić najlepszych adwokatów.

– Kiedy Oktawia obali testament Janusza, zostaniesz z niczym.

– Nie zostanę. Mam własny majątek. Nie potrzebuję pomocy ani od Siemaszki, ani od Bogusza. Sama dam sobie radę.

– A ten Moskal?

– Powiedziałam, że go kocham.

– I naprawdę za niego wyjdiesz? – Upewniła się matka; w jej głosie czaiła się groźba. – Bez mojej zgody?

– Nie potrzebuję jej. Mam trzydzieści lat.

– Tym akurat nie powinnaś się chwalić. Tym bardziej że z wiekiem nie przybywa ci rozumu. Jesteś ciągle naiwna jak dziecko.

– Byłaby mama uprzejma wyjaśnić, co ma na myśli?

– Tak. Zwłaszcza że nie zostawiasz mi wyboru... Wierzysz temu Moskalowi?

– Nigdy dotąd mnie nie okłamał – odpowiedziała Leontyna, zastanawiając się jednocześnie, do czego zmierza ta rozmowa. Przeczowała, że za chwilę wydarzy

się coś złego. Matka zawsze miała w zanadrzu jakiegoś asa.

– Doprawdy? – zdziwiła się kpiąco Amelia. – A powiedział ci, na kogo chciał rzucić odpowiedzialność za śmierć Wiktora?

– Sprawę umorzono z powodu niewykrycia winnego – odparła, zdziwiona i przestraszona pytaniami.

– Wolałabym ci tego nie mówić. – Matka westchnęła ciężko; najwyraźniej, wbrew pozorom, dla niej też był to trudny temat. – Tyle że inaczej nie poznasz prawdy o tym człowieku. Może wreszcie wybijesz go sobie z głowy.

– Nie sądzę, że cokolwiek zmieni moją opinię na jego temat – rzuciła twardo, a potem wyprostowała się na fotelu i wbiła w matkę posępny wzrok. – Ale słucham, kogo chciał, zdaniem mamy, oskarżyć?

– Twierdził, że Ludwik to zrobił. Ponoć na rozkaz tych swoich socjalistów.

– Co takiego? – zirytowała się w pierwszej chwili, zaraz jednak dotarł do niej sens słów rodzicielki. Włosy zjeżyły się jej na karku i w obronnym geście uniosła ręce do piersi. – Czy... Ludwik zabił ojca?! – wyksztusiła ze zgrozą. – Skąd przyszło to mamie do głowy?

– Wiesz, że Helena była wtedy domu. Okazało się, że nie tylko w tym momencie, kiedy Ludwik... – załamał się jej głos i musiała przerwać. Zaraz jednak wytarła oczy i na nowo podjęła temat: – Wcześniej słyszała jego rozmowę z Woroninem. Każde słowo.

Co prawda, Aleksander przyznał, że miał tamtego dnia sprawę w okolicy, ale nigdy nie dodał, że musiał ją załatwiać w ich mieszkaniu i z jej bratem. I że dotyczyła śmierci ojca.

– Nic mi o tym nie wspominał.

– Wcale się nie dziwię – powiedziała matka z przekąsem – Zapytaj go wprost, dlaczego chciał obwinić Ludwika. Ciekawa jestem, co ci odpowie.

– Ludwik naprawdę to zrobił? – Pochyliła się ku rodzicielce i mocno chwyciła ją za rękę. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. – Zabił...

– Mówiłam, że tak uważał Woronin. – Amelia spojrzała jej w oczy. – Ale ja w to nie wierzę. Mój syn nie byłby zdolny do takiej zbrodni! Ten przeklęty Moskał chciał się go pozbyć. Zapewne przez ciebie.

– „Przepraszam za to, co zrobiłem i co jeszcze zrobię...” – wyszeptała Leontyna. Słowa z pożegnalnego listu brata, który cudem zdołała przeczytać, wryły się jej

w pamięć na zawsze. I wreszcie zaczynała właściwie je rozumieć. – Ludwiś, jak mogłeś?

– Nie wierzę, że to zrobił – powtórzyła ostro matka. – Zapytaj swojego Moskala, dlaczego zmusił go do samobójstwa? Twój brat mógłby żyć... Przed karą za socjalizm uciekłby za granicę. Ale ten... Woronin nie pozwolił na to. Otumaniał wszystkich, nasłał żandarmów i mój nieszczęsny syn...

– Nieprawda – oświadczyła z mocą. – Aleksander przyrzekł mi na grób swojej matki, że nie miał nic wspólnego z aresztowaniem Ludwika.

– Twój ojciec nieustannie mi przysięgał, że tylko gra w karty.

– Ależ to są dwie zupełnie różne kwestie – zaprotestowała Leontyna. – Aleksander na pewno mnie nie okłamał.

– Doprawdy? – Matka spojrzała na nią z wyższością. – Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że męskie przysięgi nie są warte funta kłaków.

# ROZDZIAŁ XVII

## I.

Agata Pietrowna, która żywiła niezmiennie przekonanie, że Aleksander nie poradzi sobie w życiu bez jej świątłych rad i opieki, odwiedzała go ostatnio regularnie w każdy czwartek rano. Oczywiście za zgodą i z błogosławieństwem Leontyny. Nie miał nic przeciwko tym wizytom, w końcu Agata Pietrowna była nie tylko doskonałą kucharką, ale także potrafiła skutecznie zagonić do pracy córkę stróża, która codziennie u niego sprzątała i paliła w piecach. Do tego jej obecność i barwne opowieści zawsze poprawiały mu humor.

Tym razem jednak stara służąca wyglądała na mocno czymś zmartwioną i nie miała ochoty na pogawędkę. Burknęła tylko coś na powitanie i zaraz zajęła się szorowaniem garnków, a głośniejsze niż zwykle brzdękanie naczyń, świadczyło o tym, że sytuacja musi być poważna. Aleksander nie bał się jednak ryzyka, więc kiedy wypił poranną herbatę, postanowił sprawdzić, co tak wyprowadziło z równowagi poczciwą kobietę.

Zajrzał do kuchni i już miał tam wejść, ale cofnął się, kiedy zobaczył, że służąca zabiera się właśnie do szorowania największej patelni; robiła to nader gwałtownie, tłukąc ciężkim spodem w miskę z piaskiem. O wiele bezpieczniej było ustawić się w pewnej odległości, więc Woronin zatrzymał się tuż za progiem, a kiedy nastąpiła chwila ciszy, zapytał:

– Stało się coś złego, Agato Pietrowna?

– I jeszcze robi zapytanie?! – Służąca zmarszczyła brwi, a potem zamaszystym ruchem przestawiła błyszczącą patelnię ze stołu na kuchnię. – Narobił bałaganu i zdziwiony! A niby taki oblatany.

– Powiedźcie, o co chodzi, bo naprawdę nie wiem.

– Dam fangę w kinola, to pojmie co i jak. – Chwyliła patelnię za uchwyt i uniosła ją nieco do góry.

– Agato Pietrowna... Mówcie albo walcie. Wiecie, że nie czytam w myślach.

Służąca sapnęła ciężko, a potem z hukiem odstawiła swoją broń z powrotem na kuchnię i rzuciła ze złością:

– Dałabym sobie grabę uciąć, że z Olesia porządny facet! I co? Byłabym bez graby. Oleś zaciągnął moją panią w bety! To porządna damula, a teraz ma przez Olesia przypałą!

– Zaraz, zaraz! Co za kłopoty? Mówcie! Za nic nie zrobiłbym jej krzywdy. Przecież wiecie, że ja...

– Niech Oleś zamknie jadaczkę i słucha. – Do służącej dotarło chyba, że Woronin nie ma zielonego pojęcia, co dzieje się z Leontyną. – Bo to ważna sprawa.

Przez chwilę przyglądała mu się z uwagą, a potem zaczęła nieco spokojniejszym tonem niż poprzednio:

– Dwa dni nazad, z wieczora, przyleciała do nas Osnowska, znaczy matka i dawaj rugać moją panią... Po cichu gadały, drzwi były zamknięte, ale Kazia siedziała przy samej dziurce od klucza i coś tam usłyszała. No to stara Burzyńska, niech jej cegła zleci na łeb, wzięła jakiegoś kapusia i ten wypatrzył, że nasza pani chodzi do Olesia. – Spojrzała na niego tak groźnie, jakby za chwilę naprawdę miała zdzielić go patelnią przez głowę. – Matka sztorcowała ją przez pół nocy. A pani ryczała aż strach. Ma pietra, że dzieciaka jej przez Olesia zabiorą.

Święta Przepczysta, był tak szczęśliwy z powodu wieczornych wizyt Leontyny, że nawet przez chwilę nie pomyślał o konsekwencjach.

– Nie ma ta moja pani szczęścia do chłopów – westchnęła Agata Pietrowna, patrząc na niego z wyrzutem. – Oj, nie ma.

– Podobno Burzyński był dobrym mężem – rzucił nerwowo, unikając jej wzroku.

– A jakże – potwierdziła służąca. – Był za nią i dbał, jak mógł, a ona stała przed nim na baczność.

– O czym mówicie? – Nie spodobało mu się to, co właśnie usłyszał.

– O tym, że moja pani czuła się w obowiązku robić wszystko szybciej, niż pan poprosił. Co by sobie nie zażyczył, zaraz się godziła... To chyba za to, że zabrał ją od matki, kiedy Oleś – rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie – dał się drugi raz zamknąć w pace. A teraz pan w parku sztywnych i nikt jej nie pomoże.

Ostatnie zdanie zdenerwowało Aleksandra, ale nie zamierzał pokazać tego po sobie.

– Mówicie, że kiedy to było? Ta wizyta matki?

– A w sobotę z wieczora. Czego Oleś pyta? – Służąca zerknęła na niego z zaciekawieniem.

– Czort – zaklął pod nosem.

Był poruszony przywiązaniem, jakie Agata Pietrowna okazywała Leontynie, nie zamierzał jednak tłumaczyć jej, że w zeszłym tygodniu osobiście wymógł na starym Burzyńskim obietnicę wycofania sprawy. Jak widać, pan Ksawery nie dotrzymał słowa.

– Insza rzecz, że źle Oleś zrobił. – Służąca nie spuszczała z niego wzroku.

– Ale co? – zapytał nieco zdezorientowany.

– Nie powinien Oleś bajerować naszej pani. Ona za porządna, żeby do niej chodzić na ksiuty.

– Co też opowiadacie! Szanują ją jak żadną inną.

– Niech mi tu nie barłoży, ja swoje wiem. Jakby Oleś tak ją považał, jak gada, dawno by było po zaręczynach. Czego Oleś się nie oświadczy?

Bezpośredniość tego pytania na moment odebrała mu mowę, ale kiedy trochę doszedł do siebie, zaczął zastanawiać się, co odpowiedzieć. Gdyby wyjawiał swoje obawy, Agata Pietrowna wyśmiałaby go na pewno: w końcu dla niej wszystko było proste. Czarne albo białe.

– Nie mogę – powiedział, jednocześnie uchylając się przed nadlatującą patelnią, która nie sięgnawszy celu, rąbnęła o futrynę i z hukiem spadła na podłogę.

Pospiesznie zamknął za sobą drzwi kuchni. Nie powinien przedłużać tej bezcelowej rozmowy, tylko wyjść natychmiast z domu, choć służąca pewnie mu tego nie wybaczy.

– Każden chłop taki sam! – krzyknęła za nim Agata na cały głos. – Łajdus, cykor i łapserdak!

## 2.

W czasie swej niedługiej kariery Jerzy zdążył odwiedzić wiele miejsc, w których przechowywano dokumentację, ale w warszawskim Archiwum Akt Dawnych



znalazł się po raz pierwszy w życiu. Znał dawny budynek komory celnej mieszczący się na Długiej pod numerem 24, w którym znajdowała się jego siedziba, do tej pory nie miał jednak potrzeby, aby zaglądać do środka.

Do dzisiaj.

Najpierw zgłosił się do kancelarii, gdzie przedłożył wymagane pozwolenia, które, dzięki wstawiennictwu wuja Osipa oraz prezesa Sądu Okręgowego, zdołał załatwić w kilka dni. Prezes był nieco zdziwiony faktem, że Jerzy chce przekopywać się przez papiery sprzed trzydziestu lat, ale po wysłuchaniu argumentów zgodził się podpisać, co trzeba. Następnie, na polecenie dyrektora Archiwum, przydzielono mu do pomocy – a może i kontroli – jednego z urzędników, sekretarza kolegiального, Iwana Frołowicza Kamyszkina, który zaprowadził go do pokoju na parterze, po czym poprosił o chwilę cierpliwości i udał się na poszukiwania właściwych akt.

Szuster z zainteresowaniem rozejrzał się po od dawna nie remontowanym pomieszczeniu. Nie było szczególnie obszerne, ale przez wysokie okna wpadało do niego sporo światła, więc istniała nadzieja, że da się przeczytać dokumenty bez utraty wzroku, przynajmniej za dnia. Pod ścianami znajdowały się półki, na których wały się sterty gazet oraz stało kilka gotowych do użycia lamp naftowych, a także oszklone szafy z książkami.

Kiedy zapoznał się z otoczeniem, usiadł przy stole, na blacie położył dwa nowe kajety i pięć ostrych ołówków zabranych na wszelki wypadek.

Wskazówki wiszącego na ścianie zegara wolno posuwały się do przodu, on jednak czekał cierpliwie. Wreszcie po upływie prawie trzech kwadransów do pokoju wszedł Kamyszkin, a za nim dwóch młodych urzędników z widocznym trudem wtargało do środka po sporej drewnianej skrzyni.

– To jest czwarta część dokumentów przesłanych z plockiego sądu do Cytadeli w 1864 roku – poinformował go sekretarz kolegialny. – Jeśli wasza wielmożność skończy z tym dzisiaj, przyniesiemy następne, a jak nie, to jutro. Wszystko powinno być poukładane miesiącami, ale mogą się zdarzyć pomyłki. Te akta leżą u nas tyle lat i rzadko ktoś je rusza. Ostatnio może i z pięć lat temu.

– Dziękuję – powiedział Jerzy, otwierając pierwsze pudło i ostrożnie wyjmując z niego kilkanaście mocno spłowiałych kartonowych teczek. Oby z dokumentami czas obszedł się łaskawiej.

– Może przynieść waszej wielmożności herbaty? – zapytał uprzejmie Kamyszkin.

– A poproszę. – Nie miał złudzeń, że przyjdzie mu tu spędzić co najmniej kilka godzin, więc coś do picia bardzo się przyda.

– Zaraz przyślę – powiedział urzędnik i wyszedł, zostawiając go sam na sam z papierami, które być może kryły w sobie rozwiązanie zagadki śmierci dwóch osób. Warto byłoby znaleźć je jak najszybciej.

Otworzył pierwszą teczkę i zabrał się do pracy.

### 3.

Poranna rozmowa z Agatą tak zdenerwowała Woronina, że zupełnie nie mógł skupić się na pracy. Przekładał raporty agentów z miejsca na miejsce, a kiedy próbował je czytać, nie rozumiał treści, gdyż jego myśli nieustannie kręciły się wokół Leontyny i ich wspólnej tajemnicy, którą Oktawia Burzyńska zamierzała wyciągnąć na światło dzienne.

Nie, Leontyna nie zasługiwała na to, by ktoś zszargał jej reputację. I choć jemu nic nie zagrażało, ponieważ świat był pobłażliwy dla męskich występków, nie zamierzał siedzieć bezczynnie i przyglądać się niesprawiedliwości rozgrywającej się na jego oczach. Postanowił, że dziś jeszcze pójdzie do Burzyńskich i raz na zawsze zakończy temat nieszczęsnego procesu. A jeśli go nie posłuchają i wciąż będą chcieli obalić testament syna kosztem wysłania Leontyny na dno, postara się z całych sił, aby sami tam skończyli, i to prędzej niż ona.

A może Agata Pietrowna miała rację? Może powinien postawić wszystko na jedną kartę, przestać czekać na znak z nieba i oświadczyć się ukochanej? Tyle że nic nie wskazywało, aby zmieniła zdanie w kwestii ich wspólnych planów i przyszłości: podczas ostatnich spotkań nawet nie zająknęła się na ten temat.

Co gorsza, skoro po wizycie matki popadła w rozpacz, to ewidentnie nadal liczyła się ze zdaniem rodziny, od której przecież nie zaznała wiele dobrego. Z taką przeciwniczką jak pani Amelia, nie miał szansy wygrać, a sromotnej porażki nie potrafił sobie wyobrazić.

Niech będzie tak, jak jest. Oby jak najdłużej.

– Panie komisarzu, przepraszam bardzo.

Potrząsnął głową. Czort, tak się zamyślił, że nie zauważył, kiedy Frołow wszedł do gabinetu.

– Przyszedł Seweryn Jedliński. Mówi, że pan go wzywał.

– Czort, zapomniałem na śmierć. – Woronin całkiem oprzytomniał. – Gdzie jest?

– Czeka w pokoju przesłuchań.

– Z adwokatem?

– Nie, tym razem sam.

Akurat z tej wiadomości Aleksander ucieszył się bardzo, gdyż nie miał ani siły, ani ochoty na kolejne przepychanki z mecenasem Rozenblumem. Swoją drogą, jeśli Burzyńscy, mimo jego interwencji, uprą się przy swoim, koniecznie poleci go Leontynie; we dwóch z Paszkiewiczem powinni roznieść jej świekrów w puch.

– W takim razie proszę iść ze mną, Jegorze Jegorowiczu. Trzeba będzie spisać protokół.

W pokoju przesłuchań było tego dnia ciemnawo, ale na szczęście ktoś zapalił aż dwie lampy. Aleksander bardzo uważnie przyjrzał się Jedlińskiemu, który ubrany w czarny surdut i śnieżnobiałą koszulę wyglądał wręcz elegancko. Sprawiał też wrażenie trzeźwego i całkowicie przytomnego; nie miał nawet podkrążonych oczu. Gdyby zawsze wyglądał tak jak teraz, jego matka miałaby mniej powodów do zmartwień.

– Cieszę się, że możemy spotkać się znowu – zaczął uprzejmie Woronin. – Jegora Jegorowicza pan już zna, więc przejdźmy od razu do rzeczy.

– Nie sędzę, żebym miał coś nowego do powiedzenia – odparł ostrożnie Seweryn. – Przyszedłem tylko dlatego, że policji śledczej strach odmówić.

– Sewerynie Adamowiczu – udał, że nie usłyszał ostatniego zdania – ja wiem, że pan mógłby mi opowiedzieć bardzo wiele, ale z jakiegoś powodu woli milczeć.

– Nie mam pojęcia, skąd pan zdobył takie informacje, ale zaręczam, że są błędne. – Uciekł wzrokiem.

– Pańska matka bała się kogoś – przypomniał mu Aleksander. – Kilka dni przed śmiercią ostrzegała przed tym kimś Leona Wyrzykowskiego. Naprawdę nie wie pan, co mogło łączyć te trzy osoby?

– Bardzo mi przykro, nie mogę panu pomóc.

– Nie mogę? Czy nie chcę?

– Czy to nie wszystko jedno? – Przesłuchiwany nadal unikał jego spojrzenia.

– Znał pan Leona Wyrzykowskiego? – Woronin postanowił spróbować jeszcze raz.

– Spotkaliśmy się raz czy dwa... Nie zapamiętałem jednak z tych spotkań niczego istotnego. – Seweryn natychmiast rozwiał jego nadzieje.

– Niech będzie – westchnął ciężko i postanowił zmienić taktykę – ale wie pan, że możemy obalić pańskie alibi na czas śmierci matki? Łatwo sprawdzić, czy zdążyłby pan zabić ją, a potem dostać się na Dworzec Wiedeński i wsiąść do pociągu do Łodzi.

– Czy dotarł pan chociaż do jednej osoby, która na własne oczy widziała mnie wtedy w Resursie? – Seweryn w stanie przytomności był równie wygadany jak jego adwokat.

– Jeszcze nie – mruknął zbity z pantafyku Aleksander.

– Jeśli pan coś znajdzie, wtedy porozmawiamy. Zresztą moje drugie alibi jest bez zarzutu, a o ile mi wiadomo, obie zbrodnie to robota jednego człowieka.

– Widzi pan, ciocia Motyłowa i jej dziewczynki mają już na koncie fałszywe zeznania. Dlatego drugie pana alibi też dokładnie badamy.

– Ciekawe, czemu miałbym zabić człowieka, którego ledwo znałem? – zapytał Jedliński, który nie wyglądał wcale na wystraszonego.

– Nie wiem – westchnął Woronin. – Myślałam, że pan mi to powie.

– W takim razie – gość podniósł się z miejsca – proszę pozwolić, że skończymy tę bezcelową rozmowę. Gdyby chciał pan w przyszłości zapytać o coś jeszcze, proszę kontaktować się z mecenasem Rozenblumem. A on w moim imieniu powie, że nic nie wiem.

Aleksander miał ochotę zgrzytnąć zębami i z wielkim trudem zdołał się powstrzymać. Kiedy jednak Seweryn podpisał dokumenty i opuścił pokój, rzucił wściekle:

– Co ja mam, do czorta, zrobić z tym człowiekiem?!

– Bierze nas na przetrzymanie. – Pytanie było retoryczne, ale Frołow poczuł się w obowiązku udzielić na nie odpowiedzi. – Wysłałbym za nim więcej agentów.

– To wyślijcie, Jegorze Jegorowiczu, jeśli macie jakichś wolnych. Wszystkich! A potem przyciśnijcie ciotkę Motylową. Muszę mieć coś na niego, zanim stracę cierpliwość i spuszczę mu manto. Albo poproszę kolegę Grüna, żeby mnie zastąpił.

– Tak jest – odpowiedział służbiście Frołow. – Zaraz biorę się do roboty.

– Liczę, że jutro dostanę jakieś informacje – powiedział Woronin już nieco spokojniej. – A teraz muszę wyjść, mam do załatwienia ważną sprawę.

Nie zamierzał informować podwładnego, że owa ważna sprawa w żaden sposób nie łączy się z pracą, za to bardzo mocno z jego życiem osobistym. Wiedział też, że pora jest wczesna i zapewne nie zastanie Burzyńskiego w domu, ale szczerze mówiąc, bardziej zależało mu na rozmowie z panią Oktawią.

#### 4.

Odmeldował się w kancelarii, a potem, niezatrzymywany przez nikogo, opuścił urząd. Na zewnątrz było zimno i przygnębiająco ponuro. Chmury zasłaniały niebo tak szczelnie, że było ciemno jak o zmierzchu, mimo że do zachodu słońca brakowało jeszcze kilku godzin.

Woronin postawił kołnierz i pałac papierosa, powędrował w stronę Senatorskiej, zastanawiając się przy okazji, jak najskuteczniej skłonić panią Burzyńską do rezygnacji z walki o dziecko i jego pieniądze. Wolałby użyć innych argumentów, ale obawiał się, że na tę zawziętą kobietę podziałają wyłącznie pogrożki. Cała rodzina uzna je zapewne za kolejny dowód, że Leontyna związała się z moskiewskim draniem. Trudno, przestało już go to obchodzić. Zresztą cokolwiek by zrobił dla nich i tak będzie tym najgorszym.

Nieopodal bramy Ratusza stało jak zwykle kilkanaście pojazdów oczekujących na klientów. Aleksander wyrzucił niedopałek na chodnik, przydeptał go, a potem wskoczył do pierwszych z brzegu sanek.

– Na Złotą, przy Marszałkowskiej – poleciał woźnicy, a potem wcisnął się w kątek siedzenia i okrył szczelnie pledem.

Minionej nocy śnieg zasypał ulice i do tej pory utrudniał poruszanie, na miejsce dotarł więc dopiero po dwudziestu minutach i mimo pledu zdążył porządnie zmarznąć. Zapłacił woźnicy i zaraz skręcił do bramy. Stróż udał, że nikogo nie

widzi – albo rozpoznał go z poprzedniej wizyty, albo wystraszył się policyjnego munduru. Do mieszkania wpuściła go znana mu pokojówka, która tym razem miała zaczerwieniony nos i zapłakane oczy. Wyglądało na to, że w tym domu żadne z państwa nie patyczkowało się ze służbą.

– Pana nie ma w domu – powiedziała szybko, zanim Aleksander zdążył się odezwać. – Nie wrócił jeszcze z biura.

– A pani? Tym razem chciałbym porozmawiać z panią.

– Jest – potwierdziła niechętnie. – Zapytam, czy pana przyjmie.

„Ciekawe, czy pani Burzyńska porozmawia ze mną po dobroci, czy będę musiał użyć policyjnych metod?” – zastanawiał się, kiedy pokojówka weszła do pokoju znajdującego się naprzeciwko gabinetu pana domu, gdzie gościł poprzednim razem.

– Co takiego?! – W podniesionym głosie gospodyni słychać było oburzenie połączone ze zgrozą. – Jak śmie przychodzić do mojego domu?

Westchnął. Przez lata spędzone w Warszawie przyzwyczał się do podobnych reakcji, a ze strony pani Oktawii nie spodziewał się niczego innego. Ostatecznie gospodyni uległa ciekawości i dostąpił zaszczytu ujżenia jej zagniewanego oblicza. A także wnętrza eleganckiego salonu, który w przeciwieństwie do gabinetu pana domu wydawał się oazą światła. Głównie dzięki bardzo jasnym tapetom i mniejszej liczbie mebli niż w mieszkaniach, które miał sposobność ostatnio odwiedzić. Na ścianie, dokładnie naprzeciwko okien wychodzących na ulicę, wisiał obraz przedstawiający Rynek Starego Miasta i nawiązujący stylem do prac francuskich impresjonistów. Aleksander przyglądał mu się z zainteresowaniem. Nie spodziewał się, że kobieta, za którą nie przepadał, może mieć tak dobry gust.

– Pankiewicz – poinformowała go sucho pani Oktawia, a po chwili dodała ostrzejszym tonem: – Co pan robi w moim domu? Nie przypominam sobie, żebym pana zapraszała.

– Jako policjant mam prawo przychodzić nieproszony – odparł, przysuwając sobie krzesło; wolał nie czekać na zaproszenie, które mogłoby wcale nie paść.

– Nawet do niewinnych ludzi? – Nie starała się ukryć niechęci. I nie zamierzała niczym go poczęstować. Ot, taki mały afront.

– Rozumiem, że mąż nie wspominał o mojej poprzedniej wizycie? Gdyby to zrobił, wiedziałyby pani, że niewinność to kwestia dyskusyjna.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. A więc domyślił się prawidłowo – pan Ksawery nie potraktował poważnie jego ostrzeżeń. Choć może, najzwyczajniej w świecie, bał się reakcji połowicy. Woronina nie obchodziły jednak racje Burzyńskiego i bezwzględnie zamierzał dostać to, co mu obiecano.

– Pan nachodził mojego męża? – upewniła się tymczasem pani Oktawia.

– Nie miałem wyjścia. – Teatralnym gestem rozłożył ręce. – Ucieliśmy sobie przy okazji bardzo przyjemną pogawędkę. Dzisiaj za to chciałbym porozmawiać z panią.

– Nie wydaje mi się, abyśmy mieli wspólne tematy.

– I tu akurat myli się pani. – Spojrzał gospodyni w twarz. Nie wytrzymała długo jego wzroku, więc zapewne domyśliła się w czym rzecz. – Wtrąciła się pani w prywatne sprawy swojej siostrzenicy. I moje.

– Tenia była moją synową i wciąż wychowuje moją wnuczkę – odpowiedziała Burzyńska. – Mam prawo wiedzieć, jak się prowadzi i szybko reagować na niemoralność. A w ogóle to jak panu nie wstyd?

– Obraża ją pani takimi przypuszczeniami. – Udał, że nie słyszał ostatniego pytania.

– Mówię prawdę – zaperzyła się Oktawia. – Zresztą dowiodę tego w sądzie. Postaram się, żeby moja wnuczka...

– Niczego nie zdoła pani dowieść – wpadł jej w słowo Aleksander, któremu z ogromnym trudem przychodziło zachowanie spokoju. – Joasia zostanie z matką.

– Tenia nie jest jej matką – rzuciła wyzywająco.

– Odnoszę wrażenie, że dziewczynka uważa inaczej. W każdym razie tak ją nazywa i wygląda na bardzo do niej przywiązaną.

– Odwiedzał pan Tenię w domu?! Śmiała poznać pana z dzieckiem? Oboje nie macie wstydu!

Aleksander nie zamierzał tłumaczyć się z czegokolwiek, wrócił do kwestii, która sprowadziła go do mieszkania Burzyńskich.

– Rozmawiałem z panem Ksawerym, ale chcę to samo powiedzieć pani. Żądam, byście wycofali sprawę z sądu.

– Słucham?! Nie ma pan prawa niczego od nas żądać.

– Mam – rzucił, zanim zdążył pomyśleć. Stanowisko komisarza policji nie dawało mu tak daleko idących uprawnień, ale niech tam. Im Burzyńska bardziej się przestraszy, tym lepiej.

– Proszę zapamiętać raz na zawsze. Nikt ani nic nie zmusi mnie do rezygnacji z wnuczki!

– A może z jej majątku? Pani mąż ma poważne problemy finansowe, a taki zastrzyk gotówki postawiłby firmę na nogi. O ile pan Ksawery nie straciłby i tych pieniędzy...

– Co za bzdura! Chodzi mi wyłącznie o wnuczkę! O jedyne dziecko mojego syna! Poza nią nie mam na świecie nikogo. Dam jej, co potrzeba i nie narażę na żadne skandale.

– Akurat tego nie byłbym taki pewny – mruknął Woronin, nie spuszczać z niej uważnego spojrzenia.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Że w ciągu kilku dni pan Ksawery z szanowanego kupca zbożowego może zmienić się w naciągacza, któremu nikt nie da kredytu. Zresztą nawet nie będzie potrzebny, bo kiedy dłużnicy upomną się o swoje, nic wam nie zostanie.

– Jacy dłużnicy? – zapytała z niedowierzaniem. – Ksawery nie ma żadnych dłużników!

– Ma i to nawet kilku. A ja akurat wiem, kim są. I nawet nie zmęczone się, przekonując tych panów, żeby w końcu zgłosili się po pieniądze, które powinni dostać dawno temu.

– Nie wierzę – jęknęła gospodyni, unosząc ręce do piersi. – Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.

– Nie musi pani, ale niedługo pojawią się niezbite dowody. Radziłbym więc wycofać sprawę, póki czas.

– Nawet jeśli to prawda i tak nie zostawię wnuczki u takiej bezwstydnicy!

– Proszę z łaski swojej nie obrażać Leontyny w mojej obecności. – Był zmęczony tą dyskusją, więc nie spostrzegł, że wyraził się o ukochanej zbyt poufale jak na standardy towarzyskie. – Nie zrobiła nic karygodnego.



– Akurat! – zakpiła Oktawia. – Spoufaliła się z obcym człowiekiem. Z Mo... – urwała.

– Z Moskalem, może pani śmiało dokończyć. Przywykłem do takiego traktowania – odpowiedział spokojnie, choć z każdą chwilą narastała w nim irytacja. – Ale nie jestem obcym człowiekiem. Łączy nas...

– Nie powie pan chyba, że zamierza się z nią żenić? – rzuciła kpiąco gospodyni, która bez pardonu wpadła mu w słowo.

– A i owszem – rzucił zgodnie z prawdą.

– Na miłość boską! – Pani Oktawia wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć, kiedy jednak usłyszała odgłosy świadczące o tym, że jej małżonek powrócił w domowe pielesze, ożywiła się natychmiast. Zerwała się z fotela i szybkim krokiem podeszła do drzwi salonu. – Kiedy?!

– Najszybciej jak się da.

– Ksawery! – zawołała, opierając się ciężko o futrynę. – Chodź tu natychmiast! Chodź i ratuj mnie przed tym człowiekiem!

– Co się stało? – zapytał pan Burzyński z roztargnieniem w głosie, najwyraźniej był przyzwyczajony do nerwowych wybuchów połowicy.

– Czemu on opowiada takie rzeczy?! Jakie długi? Co się dzieje?

Gospodarz, którego chyba zaniepokoiły te pytania, przekroczył wreszcie próg salonu. Pani Oktawia odkleiła się od futryny i ruszyła za nim. Wyglądała przy tym tak, jakby nie zamierzała odstąpić go nawet na krok.

– A, to pan – westchnął z rezygnacją na widok gościa. – Podejrzewałem, że znowu pan do nas przyjdzie.

– Skoro nie dotrzymał pan warunków umowy, było to raczej oczywiste – odparł z przekąsem Woronin. – Myślał pan, że zwykłem żartować z rzeczy, które żywo mnie obchodzą?

– Właśnie widzę, że nie... I rozumiem, że nie zmieni pan zdania?

– Tego też nie mam w zwyczaju.

Ksawery znowu westchnął, a potem zwrócił się do żony oficjalnym tonem:

– Oktawio, zaraz napiszę do mecenasa Roztockiego, żeby jutro z samego rana wycofał z sądu dokumenty. Nie będzie żadnego procesu.

– Co takiego?! – Gospodyni na kilka sekund zamieniła się w żonę Lota.

– Informuję cię, że nie będziemy obalać testamentu Janusza. Joanna zostanie z Tenią.

– Ty... ty naprawdę masz długi?! Ty... Ty oszuście!

– Uspokój się – odparł Ksawery tak samo beznamiętnie jak poprzednio. – Nie zamierzam tłumaczyć ci się z niczego. Nie znasz się na interesach, więc i tak nic nie zrozumiesz.

– Ale to nasza wnuczka! Chcę, żeby mieszkała z nami. Ze mną!

– Przecież Joanna nigdzie nie wyjeżdża, możesz widywać się z nią choćby codziennie. Przeprasz Tenię za swoje brewerie, ona nie jest zawzięta...

Oktawia najpierw długo i z niedowierzaniem wpatrywała się w twarz męża, a później opadła ciężko na fotel i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

# ROZDZIAŁ XVIII

## I.

Mimo że Agata nieustannie poiła ją przeróżnymi ziołami – a nawet raz wmusiła w nią wódkę z pieprzem – Leontyna wciąż nie mogła się uspokoić. Informacje, które przekazała matka były tak przerażające, że po raz kolejny jej świat zadrżał w posadach i zaczynała obawiać się, że nigdy nie powróci do poprzedniego stanu.

Od trzech dni snuła się po domu niczym zjawa, udając przed wystraszoną Joasią, że nie ma żadnych problemów. Małą trudno było jednak oszukać, zbyt dobrze zapamiętała śmierć ojca i związane z tym zamieszanie, więc każdego ranka przybiegała do sypialni, aby sprawdzić, czy matka jest nadal wśród żywych.

Była.

Za to w nocy nie zmrznięła oka. Leżała w łóżku, na przemian płacząc i wpatrując się w sufit i próbowała zapanować nad kłębiącymi się w głowie myślami. Uczucia już dawno wyrwały się spod kontroli.

Nie chciała widzieć nikogo, więc Kazia – a w szczególnych przypadkach Agata – znowu odsyłały gości i interesantów. Pan Bogusz przysłał ogromny bukiet róż, doktor Siemaszko nieco skromniejszą wiązaną goździków holenderskich, ale Leontyna zamiast ucieszyć się z nich, wpadła w jeszcze większe przygnębienie i kazała wyrzucić kwiaty na śmietnik.

Wieczory spędzała pólleżąc na szezlongu i pijąc herbatę, która stygła za szybko. Może dlatego, że pogrążona w zadumie, nieustannie o niej zapominała.

Ludwik zabił ojca. Mimo historycznych zapewnień matki czuła, że to prawda.

Zabił, gdyż wyżej od więzów krwi cenił sobie zasady organizacji, do której należał. Jak mogła tego nie zauważyć? Czemu nie nabrała podejrzeń, widząc jego zachowanie? Powinna była, przecież znała brata jak nikt inny. Dzielili ich niewielka różnica wieku, w dzieciństwie bawili się tymi samymi zabawkami, a później uczyli wspólnie pisać, czytać i zachowywać się jak należy. Przez kilka lat

byli prawie nierozłączni – mieli nawet wspólną bonę. Rozumieli się bez słów. Broili ile wlezie, doprowadzając ojca do śmiechu, a matkę do szewskiej pasji.

W którym momencie skończyło się ich porozumienie? Z jakiego powodu stali się prawie obcymi sobie ludźmi? Kiedy Ludwik uwierzył, że nierealna idea jest ważniejsza od żywych ludzi? Od jego własnej rodziny?

I jak mógł, na miłość boską, zamordować ojca?!

Tego samego ojca, który pokazywał mu, że nie trzeba bać się świata i zawsze walczyć o swoje. Który kochał go, mimo przeróżnych młodzieńczych wyskoków i potrafił wybaczyć mu wszystko. Wiktorowi Rapackiemu daleko było do ideału, przekonała się o tym nader boleśnie, ale nigdy nie wątpiła, że dzieci, a szczególnie syn, były dla niego najważniejsze. Gdyby umiał, przychyliłby im nieba.

Pocieszała się tylko tym, że Ludwik żałował swojego czynu: przez kilka tygodni patrzyła przecież, jak coś zżera go od środka. Wtedy nie była w stanie domyślić się, że są to wyrzuty sumienia. Jeśli powiedziałby choć słowo, postarałaby się przyjść mu z pomocą.

Tylko czy zdołałaby też wybaczyć?

Na to pytanie nie znała odpowiedzi. Nie wiedziała, co takiego zrobił ojciec, że socjalistyczna organizacja wydała na niego wyrok śmierci. Przecież nigdy nie interesowała go polityka, w swoim czasie nie poszedł nawet do powstania.

A może... może chodziło o to, że szykował się do obrony Ignacego, do którego Ludwik miał jakieś zastrzeżenia, ale nigdy nie powiedział wprost jakie?

„Jeszcze trochę, a oszaleję” – westchnęła w myślach, sięgając po zimną herbatę. Wypiła kilka łyków, bo okropnie zaschło jej w ustach. A kiedy odstawiła szklankę, znowu opadły ją natrętne myśli.

A Helena? Bez skrupułów wykorzystwała rodzinną tragedię, aby wymusić na matce zgodę na studia medyczne; rodzicielka zapytana o to wprost, nawet nie próbowała zaprzeczać.

Hela... Maleńka siostrzyczka.

Akurat ją potrafiła zrozumieć. Widziana na własne oczy samobójcza śmierć brata pozbawiła ją niewinności, zmieniła na zawsze. Tamtego dnia beztroska dziewczynka zmieniła się w przedwcześnie dojrzałą młodą kobietę, która chciała przeżyć jak najwięcej i spełnić marzenia, najlepiej wszystkie jednocześnie. Nic

dziwnego, w końcu w brutalny sposób dowiedziała się, że nic w życiu nie jest dane na zawsze. W jednej chwili można stracić najbliższych, a nawet życie.

A ona sama?

Była dumna ze swojego rozsądku i zapobiegliwości, myślała, że jest zdolna i bystra. Tymczasem okazała się całkowicie ślepa na fakty. Nie знаła własnej rodziny, żyła mrzonkami i wyobrażeniami na ich temat. A nawet matka okazała się inna, niż wydawało się jej przez lata. Zgorzknienie i złe humory brały się z zawiedzonych nadziei i nieodwzajemnionego uczucia pierwszego męża. Od czasu kiedy poślubiła wuja Witolda, bardzo się zmieniła. Tyle że akurat nie w stosunku do niej.

Może dlatego, że z trójki dzieci to właśnie ona najbardziej przypominała ojca... Tak, to tłumaczyłoby wiele. Czemu wcześniej na to nie wpadła?

Boże, ale skoro tak bardzo przypomina Witora Rapackiego, niewykluczone, że w przyszłości zachowa się tak jak on. Okłamię kogoś bliskiego, przestanie liczyć się z jego uczuciami, zawiedzie zaufanie. Może miała we krwi pogardę dla norm moralnych? Wdała się przecież w romans. Z człowiekiem, którego szczerze kochała, ale który stał z drugiej strony barykady.

Matka musiała być bardzo zdesperowana, skoro opowiedziała jej historię, którą usłyszała od Heleny. Naprawdę wierzyła, że znienawidzony przez nią Rosjanin odpowiadał za śmierć jej syna. I że starsza córka, kiedy tylko dowie się o tym, odsunie się od ukochanego ze wstrętem.

Jakże była rozczarowana faktem, że rzucona przez nią bomba nie wywarła oczekiwanego efektu. Cóż, Leontyna zdążyła na tyle poznać Aleksandra, aby wiedzieć, że stać go na różne szaleństwa, ale nie jest zdolny do podłości.

Miała mu jednak za złe, że okłamał ją, mówiąc, że nie znalazł mordercy ojca. I że nie wspomniał o swojej rozmowie z Ludwikiem. Czy ukrywał coś jeszcze?

Na szczęście była inna osoba, która mogła, a nawet powinna, powiedzieć jej prawdę.

– Musi pani koniecznie coś zjeść. – Do pokoju weszła Agata, niosąc w ręku dużą filiżankę.

W saloniku zapachniało bulionem tak smakowicie, że Leontyna mimowolnie przelknęła ślinę. Nie jadła obiadu, po prostu nie była głodna, ale teraz postanowiła

posilić się nieco. Czekają ją w najbliższym czasie za dużo bitew, aby mogła pozwolić sobie na utratę sił.

– Dziękuję, Agato. Spróbuję.

– Niech pani nie marudzi, tylko wszystko zjada. – Kucharka postawiła filiżankę na stole.

Bez słowa sięgnęła po nią. Zupa była przepyszna, do tego miała odpowiednią temperaturę, więc jadła ją z chęcią, choć wolno. Agata, która najwyraźniej zamierzała dopilnować, aby pracodawczyni nie przerwała posiłku w połowie, przyglądała się uważnie jej poczynaniom, w każdej chwili gotowa do pomocy. Leontynie nie przeszkadzała jej obecność; wręcz przeciwnie, czuła się rażonej. Stara służąca potrafiła ukoić jej nerwy.

– Jak można wypłakiwać oczy przez chłopca? – zapytała z westchnieniem. – Wiem, sama żem go pani raiła, alem nie myślała, że to taki łajdus. Nie chce się żenić, i już.

Coś zakłuło ją w piersi, zabolęło. Nie powinno, przecież między nią i Aleksandrem nie było nigdy mowy o małżeństwie. O miłości zresztą też, ale takie uczucie akurat trudno ukryć.

– Małom go nie brzdękła patelnią w makówkę, alem nie trafiła i drapnęła.

– Nie zasłużył na to – powiedziała cicho. – Nie płaczę przez niego.

– A przez kogo? – zainteresowała się Agata. – Przez panią starszą Burzyńską?

– Trochę przez nią, a trochę przez rodzinne sprawy, o których opowiedziała mi matka. Wcześniej nie miałam o nich pojęcia... A teraz nie wiem co robić.

– Kogoś przyniosło. – Służąca, czujna jak zwykle, odwróciła się w stronę drzwi. Widać było, że jest gotowa wspomóc wnuczkę, która mogła nie poradzić sobie z upartym przybyszem – na przykład, z którymś z konkurentów Leontyny.

Z korytarza dochodziły jednak odgłosy spokojnej rozmowy, a po chwili drzwi wejściowe stuknęły i zapanowała cisza. Nie musiały czekać długo, aż przyjdzie do nich Kazia.

– Co chciałaś? – zapytała natychmiast Agata.

– Przynieśli telegram do pani.

Leontyna za szybko zerwała się z miejsca, więc tak zakręciło się jej w głowie, że musiała oprzeć się na moment o szafę z książkami. Na szczęście słabość szybko

minęła. Chwyciła depeszę i rozdarła ją niecierpliwym gestem. Rzuciła okiem na treść, a potem zacisnęła powieki i odetchnęła z ulgą.

Dzięki Bogu. Doczekała się odpowiedzi na najważniejsze pytanie, a więc teraz przyszła pora, aby dowiedzieć się reszty.

– Kaziu – zwróciła się do pokojówki. – Przygotuj mi tę luźną granatową suknię. Muszę wyjść, żeby załatwić coś ważnego.

– Do Olesia pani idzie? – Agata zerknęła na nią podejrzliwie.

– Muszę.

– A zupa? Niech pani chociaż skończy. Gdzie tak łązić na głodniaka? Przecież ten łapserdak niczym pani nie ugości. – Kucharka załamała rękę. – Ani chybi coś pani zadał – dodała ciszej, kiedy Leontyna nie zareagowała na jej słowa.

## 2.

– Lenoczka? – zdumiał się Aleksander, otwierając drzwi na całą szerokość. – Wejść szybko.

Właśnie dopijał herbatę, kiedy usłyszał ostrożne pukanie. Nie spodziewał się tego wieczoru żadnych wizyt i nie spodziewał się także Leontyny, choć akurat ona zawsze zjawiała się bez zapowiedzi, co nie przeszkadzało mu wcale.

Tego wieczoru nie sprawiała jednak wrażenia zakochanej i stęsknionej kobiety. Błada, z podkrążonymi i zaczerwienionymi oczami, wyglądała na osobę przybitą rozpaczą. Wpatrywał się w nią z niepokojem.

Co takiego powiedziała jej znowu matka? Cóż za bezlitosna baba!

Leontyna w milczeniu odpięła kapelusz i prawie nie patrząc, rzuciła go na szafkę w przedpokoju. Dokładnie w ten sam sposób postąpiła z futrem – ciężkie okrycie momentalnie zaczęło zsuwać się na podłogę i Woronin zdążył uchwycić je w ostatniej chwili – i powędrowała do pokoju. Usiadła przy stole, wbiła łokcie w blat i ukryła twarz w dłoniach. Aleksander miał już pójść za nią, ale przypomniał sobie, że trzyma w ręku okrycie. Kiedy odwieszał je do szafy, z płytkiej kieszeni wypadł zmięty papier. Podniósł go z podłogi i przeczytał nagłówek. Depesza.

Złożył ją odruchowo, a potem, nie chcąc zgnieść jeszcze bardziej, rzucił na stół. Usiadł tuż obok wciąż nieruchomej Leontyny i czekał na jakąkolwiek reakcję. Nie

chciał natrętnie jej wypytywać. Liczył, że odezwie się pierwsza i sama powie, co ją dręczy. Niestety, wciąż milczała jak zaklęta.

Wreszcie nie wytrzymał napięcia i gęstniejącej atmosfery.

– Lenoczka, co się stało? – Ostrożnie dotknął jej ramienia. – Powiedz, co mogę zrobić?

Podniosła wreszcie głowę i spojrzała mu w oczy.

– Powiedz mi prawdę – zaczęła głucho – o śmierci ojca i brata. Całą.

– Dlaczego...

– Sasza – przerwała mu natychmiast. – Wiem, co zrobił Ludwik.

– Skąd? – zapytał, przelitykając nerwowo ślinę.

Serce waliło mu niczym młotem, ponieważ w końcu nadszedł moment, którego obawiał się od dawna. Prawda wyszła na jaw. Powinien był pamiętać, że zawsze wychodzi, a nie łudzić się, że tym razem będzie inaczej.

– Od matki. A matka od Heleny. Moja siostra... – zadrżał jej głos – ...zagroziła, że wywoła skandal, jeśli nie otrzyma zgody na wyjazd do Szwajcarii.

– Na pewno była zdesperowana – powiedział odruchowo. Nie zdziwiła go ta informacja, od jakiegoś czasu podejrzewał, że właśnie tak potoczyły się sprawy.

Słabo znał Helenę, ale miał pewność, co do jednego: szantaż przyszedł jej z trudem i na pewno nie byłaby zdolna do spełnienia groźby. Musiała więc mieć całkowitą pewność, że matka ugnie się przed jej żądaniem.

– Może i tak... ale zrobiła coś, czego nie spodziewałabym się po niej. Po Ludwiku też nie... Sasza – chwyciła go za rękę i ścisnęła ją kurczowo; palce miała zimne jak lód – powiedz mi wreszcie prawdę.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał, bo nie miał już powodu, aby cokolwiek przed nią ukrywać.

– Dlaczego mówiłeś, że nie znalazłeś winnego? Pytałam przecież kilka razy.

– Przepraszam – powiedział cicho, splatając jej palce ze swoimi. – Wiem, że to marne tłumaczenie, ale ja... Chciałem cię ochronić. Bałem się, że nie zniesiesz takiego ciosu. Że coś ci się stanie. Zresztą twój brat mnie prosił...

– O co?

– Żebym czuwał nad tobą. A ja nie chciałem, żebyś rozchorowała się jak Helena albo jeszcze gorzej. Teraz jesteś starsza. Silniejsza. Więcej rozumiesz.



– Nie mam wcale pewności. – Wyswobodziła dłoń z jego uścisku i jej wierzchem otarła łzy. – Jak to okropnie boli.

– Wytrzymasz. – Ostrożnie dotknął jej twarzy i skłonił, aby znowu spojrzała na niego. – I masz mnie.

Nie mogła powstrzymywać się dłużej: łzy popłynęły jej po policzku. Szybko wyciągnął z kieszeni czystą chusteczkę i podał jej bez słowa. Wytarła twarz i nos, a potem, kiedy zdołała uspokoić się nieco, zadała mu kolejne pytanie:

– Dlaczego Ludwik to zrobił?

– Wykonywał rozkaz... wyrok partyjnego sądu. Istniało podejrzenie, że wasz ojciec donosi żandarmerii. Że doniósł na twojego narzeczonego i kilka innych osób z kręgu znajomych.

– Czy ojciec był winny?

– Nie. – Pokręcił głową, a potem, fakt po fakcie, zrelacjonował jej wydarzenia sprzed ponad ośmiu lat.

Słuchała z uwagą, wręcz chłoneła jego słowa, nie przerywając mu ani na moment.

– Chciałeś oszczędzić nam kolejnego skandalu – szepnęła, kiedy skończył. – Syn zabijający ojca... przez pomyłkę. Boże drogi.

Wyglądała na zszokowaną. Aleksander przestraszył się, że znowu zacznie płakać, ale ona tylko westchnęła, pochyliła się w jego stronę, a potem objęła go w pasie i mocno przyłgnęła do jego piersi. Nieco zaskoczony, przytulił ją do siebie i zanurzył twarz w jej włosach.

Czuł przyspieszone bicie jej serca, drżenie całego ciała, ciepłą wilgoć łez, którymi moczyła mu koszulę. Chciał coś zrobić, pomóc jej pozbyć się tego ciężaru, który wisiał nad nią przez lata, a teraz spadł wprost na głowę, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby to zrobić.

Wreszcie Leontyna odsunęła się od niego łagodnie, wydmuchała nos, a potem wróciła do tematu rozmowy.

– A więc Ludwika nie zesłaliby na Syberię, tylko... – Chyba nie miała odwagi dokończyć, choć nie było wątpliwości, że jest zdeterminowana, aby poznać całą prawdę.

– Dostałby karę śmierci. Za tego majora żandarmów.

– Boże drogi. – Uniosła ręce do piersi, a potem szybko zadała mu kolejne pytanie: – Co robiłeś tamtego dnia w naszym domu?

– Byłem umówiony z twoim bratem – odparł spokojnie, głaszcząc ją po policzku.  
– Przyniosłem mu wasze pieniądze. Odebrałem je pewnemu złodziejowi, który przypadkiem zaplątał się w tę sprawę. Paszkiewicz i Szuster odwieźli całą kwotę do banku, a my mieliśmy do omówienia jeszcze kilka kwestii.

– Paszkiewicz też wie, co zrobił Ludwik? Dlatego tak troszczy się o mnie?

– Nie, on nie wie. – Uspokoił ją szybko. – Tylko Jerzy i Mironow, który zgodził się umorzyć sprawę.

– Matka nie wierzy w winę Ludwika. Uważa, że chciałeś go zrobić... Że nasłałeś na niego żandarmów i w ten sposób zmusiłeś do samobójstwa.

Nerwowo wciągnął powietrze. Wiele mógł zdzierżyć, ale nie takie oskarżenie.

– Przysięgałem ci kiedyś na Świętą Przczystą i grób matki, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią twojego brata. Mogę to powtórzyć.

– Nie musisz. Matka była pewna, że o niczym nie wiem. Myślała, że opowiadając o tej tragedii, zniechęci mnie do ciebie. Nie udało się jej, ale ja... Przepraszam, ale musiałam się przekonać.

– Co zrobiłaś? – zapytał z niepokojem.

– Zatelegrafowałam do Heli. I to – wskazała depezę leżącą na stole – jest odpowiedź. Zobacz.

Chciał dowiedzieć się wreszcie, o co chodzi, więc sięgnął po telegram, rozprostował go i przeczytał treść. Cztery krótkie zdania:

*L. był winny. A. chciał mu pomóc wyjechać za granicę. Mama nie umie pogodzić się z prawdą. Przepraszam.*

Wpatrywał się w słowa wypisane starannie na blankiecie pocztowym i nie wiedział, co powiedzieć. Pani Amelia po śmierci syna cierpiała tak bardzo, że potrzebowała własnej wersji wydarzeń i trzymała się jej kurczowo. Osiem lat temu Leontyna uwierzyłaby zapewne bez zastrzeżeń w opowieść matki i na zawsze zerwała z nim kontakty, na szczęście teraz było inaczej. Nie zamierzał złościć się na ukochaną, że starała się zyskać pewność, co do jego uczciwości. Zbyt wiele razy ją skrzywdzono.

– Przepraszam – powtórzyła cicho. – Gdybym pomyliła się też co do ciebie... nie zniosłabym tego.

– Nie pomyliłaś się. – Objął ją bez najmniejszych obaw. Czuł wręcz niewyobrażalną ulgę, bo nie było już między nimi żadnych kłamstw. Niech będą za to dzięki Świętej Przechyściej. – Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Prędzej strzeliłbym sobie w łeb.

– Och, Sasza – westchnęła z rezygnacją. – Nie opowiadaj mi takich rzeczy.

– Przepraszam. – Pocałował ją w rękę, cieplejszą niż na początku wizyty. – Nie pomyślałem... Przepraszam.

– Sasza... – zaczęła znowu po chwili milczenia. – Chcę zapytać cię jeszcze o jedno... O to, co naprawdę stało się u ciebie w mieszkaniu. Słyszałam tyle plotek... nie wiedziałam co myśleć. Martwiłam się o ciebie.

Spuścił głowę, ponieważ nie chciał, aby wyczytała z jego twarzy prawdę o tym, jak bardzo nienawidzi wracać do wspomnień o tamtym wieczorze. Wtedy wycofałaby pytanie, a miała prawo znać prawdę.

– Boję się, że mnie znienawidzisz – powiedział wreszcie. – Naprawdę zastrzeliłem tego człowieka.

– Wiem, że nie zrobiłeś tego z zimną krwią – wyszeptała.

– Zastrzeliłem tego człowieka – powtórzył, próbując opanować drżenie głosu – z rewolweru, z którego wcześniej do mnie mierzył. Gdyby nie Tatiana Kryłowa, byłby mnie zabił. Akurat przyszła... i ogłuszyła go wazonem. A ja wyrwałem mu broń i nawet nie pamiętam, że strzeliłem. Zrobiłem to, choć już nie musiałem. – Szybko wyrzucał z siebie słowa, ponieważ bał się, że za chwilę zabraknie mu odwagi. – Ale nie żałuję. Jak pomyślę, co zrobił Zofii... Co jeszcze mógł zrobić... Zamknęli mnie, ale Tatiana zeznała, że broniłem jej i siebie. – Poczuł, że Leontyna mocniej zacisnęła palce na jego dłoni. – Ojciec wziął najlepszych prawników... Prezes sądu i oberpolicmajster chcieli uniknąć skandalu, więc zamknęli sprawę tak szybko, że nawet gazety nic nie wywąchały. Ale Korolew wyrzucił mnie z urzędu na pysk. Po twoim ślubie nic mnie nie trzymało w Warszawie, więc pojechałem z ojcem do Moskwy. Wróciłem po trzech latach na życzenie Adama Langera. I to cała historia – zakończył cicho.

– Dlaczego miałabym cię znienawidzić? – zapytała, wciąż nie puszczając jego ręki.

– Nie jestem dobrym człowiekiem – powiedział, wpatrując się w nią w napięciu.  
– Ani porządnym. Wcześniej zabijałem ludzi, bo takie dostawałem rozkazy. Na wojnie nie ma miejsca na wątpliwości. A teraz... Nie chcę, żebyś uważała mnie za mordercę.

– Nie uważam – oświadczyła z powagą. – Nawet na chwilę nie przyszło mi to do głowy.

– Nie wierzę.

– Sasza, ten człowiek wciąż był w stanie was skrzywdzić. Zabiłeś go, broniąc życia. Swojego i kobiety, która ci pomogła... Czasem tak trzeba. Naprawdę nie potępię cię za to.

Dopiero w tej chwili spadł mu z serca największy ciężar.

– Zawsze będę wdzięczna pani Kryłowej, że cię uratowała – dodała szeptem. – Mam nadzieję, że wyszła z tego starcia bez szwanku.

– Z tego, co wiem, miewa się doskonale, ponoć odniosła sukces we Włoszech – odpowiedział prawie całkiem uspokojony. Nie dodał tylko, że Tatiana swą wielką karierę zawdzięczała pieniądзом jego ojca: kiedy tylko doszła do siebie po tragicznych wydarzeniach, oświadczyła adwokatom, że powie, co wydarzyło się naprawdę, ale pod pewnymi warunkami.

– W końcu jakaś dobra wiadomość. – Leontyna nareszcie uśmiechnęła się lekko.  
– Czy przyniósłbyś mi trochę wody?

– Może chcesz herbaty? Węgle jeszcze nie wygasły.

– Wystarczy woda. Zaszło mi w ustach.

Nie namawiał jej dłużej, tylko powędrował do kuchni. Miał zimną wodę zdatną do picia, stała w dzbanku na środku blatu, ale sporo czasu zajęło mu znalezienie szklanki, ponieważ Agata Pietrowna, chcąc najwyraźniej ukarać go za wczorajszą sprzeczkę, poprzestawiała w kredensach wszystkie statki i produkty. Wreszcie znalazł naczynia do picia w najniższej szufladzie, nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że można je schować w takim miejscu.

Po kilku minutach wrócił do pokoju, ale nie dostrzegł tam Leontyny. W pierwszej chwili wystraszył się, że wyszła bez pożegnania. Kiedy jednak zaszedł stół od drugiej strony, odnalazł ją: przesiadła się na kanapę, oparła o zagłówek i najzwyczajniej w świecie zasnęła. Cóż, godzina była późna, a ona ewidentnie wyczerpana. Możliwe, że nie spała od kilku nocy.

W tej chwili po zmęczeniu i zdenerwowaniu nie zostało śladu. Oddychała spokojnie i wyglądała tak uroczo, że przez długi czas wpatrywał się w nią z czułością.

Wreszcie uznał, że nie może pozwolić, aby spędziła noc na niewygodnej kanapie. Nie miał też sumienia budzić jej i odsyłać do domu. Zostawił więc szklankę, a następnie podszedł bliżej, pochylił się nad Leontyną i ostrożnie wziął ją na ręce – nie obudziła się, a kiedy niósł ją do sypialni, wymamrotała coś przez sen. Zrozumiał z tej wypowiedzi tylko własne imię i uśmiechnął się mimo woli.

Ułożył ją wygodnie na materacu, poprawił poduszkę, a potem rozsznurował i zzuł trzewiki. Szczęście w nieszczęściu, że nie wbiła się tego dnia w gorset, bo nie potrafiłby delikatnie rozkuć jej z tego diabelskiego ustrojstwa. Na koniec starannie okrył ją kołdrą.

Przez jakiś czas zastanawiał się, co ma zrobić ze sobą. Mógł przedrzemać na kanapie, ale ryzykował tym, że jutro będą go bolały kości. W końcu uznał, że Leontyna naprawdę nie przeżyje wstrząsu, kiedy rano obudzi się obok niego.

Przebrał się do snu, pogasił lampy, a następnie ułożył się po drugiej stronie łóżka. Wsłuchując się w równy oddech ukochanej kobiety, poczuł się szczęśliwy. Szczęśliwszy nawet niż w tych chwilach, kiedy trzymał ją w ramionach.

### 3.

Śniło się jej, że ucieka przed kimś, kogo nie umiała rozpoznać, wiedziała tylko, że jeśli ją dopadnie, nie ujdzie z życiem. Nie mogła biec szybciej – brakowało jej sił, traciła oddech – więc wyraźnie słyszała odgłos ciężkich kroków. Tknięta przeczuciem obejrzała się za siebie i zamarła, bo w podążającym jej śladem człowieku rozpoznała brata.

Otworzyła oczy i przycisnęła ręce do piersi.

„Boże, to sen. To tylko sen” – powtarzała w myślach, próbując się uspokoić.

Przychodziło jej to z trudem, gdyż nie miała pojęcia, gdzie właściwie się znajduje. Otaczała ją obca ciemność, nie dostrzegała swojego punktu na suficie, a okno mieściło się z niewłaściwej strony.

Ktoś leżący w łóżku obok niej zachrapał cicho. Odwróciła z wysiłkiem głowę.

Aleksander.

Uspokoila się prawie natychmiast, bo zrozumiała, że nie spotka jej przy nim nic złego. Przypomniała sobie wydarzenia tego wieczoru. Przyjechała tutaj, aby wyjaśnić raz na zawsze dzielące ich tajemnice. Rozmawiali. Płakała, ale wreszcie pojęła, że może mu ufać bezwzględnie.

I chyba ta wielka ulga sprawiła, że wreszcie zdołała zasnąć, a Sasza pozwolił jej zostać do rana.

Powinna była wrócić do domu. Może nawet teraz... Spróbowała się unieść, ale zaraz opadła ciężko na poduszkę. Nie miała siły, a na myśl, że należałoby ubrać się, wyjść na mróz, obudzić stróża, aby otworzył bramę i sprowadził dorożkę lub sanie, zupełnie odechciało się jej wstawać. Agata i Kazia wiedziały, dokąd poszła, więc nie będą się niepokoić, najwyżej stara służąca odsądzi ich oboje od czci i wiary.

Oktawia? A niech sobie robi, co chce! W tej chwili nie zamierzała przejmować się poczynaniami ciotki. Było jej ciepło i wygodnie. Bezpiecznie.

– W porządku? – zapytał Aleksander, który właśnie otworzył oczy.

– Tak – wyszeptała, odwracając się w jego stronę. – Przepraszam, że hałasuję. Śpij.

– Nie martw się, zaraz zasnę jak kamień. – Pogłaskał ją po policzku. – Najważniejsze, że tobie lepiej.

– I to o wiele – mruknęła cicho, a potem przytuliła się do jego boku.

Jak dobrze... Tak bardzo chciała poczuć, że ma go blisko siebie. Ból wywołany wspomnieniem śmierci ojca, a przede wszystkim okropnym postępkiem Ludwika, wcale nie minął i zapewne nie ustąpi nigdy, ale może nauczy się z nim żyć. Aleksander miał rację, kiedy mówił, że osiem lat temu nie podniosłaby się po takiej tragedii, a teraz wystarczy jej siła.

„Kocham cię, Sasza” – pomyślała, a potem zamknęła oczy i prawie natychmiast zasnęła.

# ROZDZIAŁ XIX

## I.

Około południa słońce zmieniło pozycję w taki sposób, że wpadające przez okno promienie zaczęły razić go w oczy. Jerzy potarł powieki, a potem odruchowo otrzepał uwalane szarym pyłem rękawy. Robił to za każdym razem, kiedy tylko na nie spojrział, choć jego wysiłki całkowicie mijały się z celem, gdyż po kilku minutach mundur był znowu brudny.

Przesunął górę dokumentów na drugi koniec stołu i przesiadł się, chcąc uniknąć ostrego światła, po czym wrócił do pracy. Dni mijały, a on dopiero kończył sprawdzanie dokumentów z trzeciego pudła i jak dotąd nie znalazł w nich niczego, co mogłoby pomóc w śledztwie, żadnej wzmianki na temat interesujących go osób.

Nie tracił jednak nadziei, ponieważ sekretarz kolegiálny Kamyszkin miał rację: w aktach panował nieład i spora część papierów znajdowała się nie w tych teczkach, w których powinna. Jerzego drażniło to okrutnie, więc w miarę możliwości starał się pozostawiać po sobie większy porządek niż ten, który zastał.

Tylko jedno znalezisko spowodowało, że na dłuższą chwilę przerwał pracę. Otóż w dokumentach z lutego 1864 roku trafił na zapis wyroku skazującego Stanisława Ulińskiego, syna Karola i Zofii, urodzonego w 1845 roku w Borowcu w plockim powiecie, na dwadzieścia pięć lat katorgi...

Stanisław Uliński był bratem jego matki, młodszym od niej o rok i nigdy nie powrócił z Syberii. Ojciec Jerzego dowiedział się kiedyś, zupełnym przypadkiem, że chłopak zmarł w drodze na zesłanie, zanim jeszcze dotarł do Tobolska. Nie miał jednak odwagi przekazać tej informacji teściowej wciąż czekającej na najmłodszego syna. Inna sprawa, że stara hrabina zapewne nie zgodziłaby się go wysłuchać, gdyż przez lata konsekwentnie udawała, że niechciany zięć oraz wnuk nie istnieją. Jerzy do tej pory nie rozumiał, co takiego się stało, że uwzględniła go w testamencie?

Początkowo, kierowany urazą i ambicją, chciał odrzucić legat. Na szczęście ciotka Anna, wspierana przez wuja Osipa oraz Woronina, skutecznie wybiła mu to z głowy. Pieniędzy było akurat tyle, że wystarczyło na studia prawnicze na dobrym uniwersytecie; sam nie zarobiłby takiej kwoty przez dziesięć lat. Nie żałował, że skorzystał ze spadku, który dał mu przepustkę nie tylko do dobrej przyszłości, ale też przyczynił się do tego, że przestał czuć się człowiekiem znikąd. Miał rodzinę, która w końcu uznała jego istnienie.

Poukładanie własnego świata zajęło mu sporo czasu. Płynęła w nim krew polska i żydowska. Z woli ojca, który przechrzcił się przed ślubem z matką, wychował się w wierze katolickiej, a jego pierwszym językiem był polski, ale o judaizmie też wiedział bardzo dużo. Potem, kiedy został sierotą, trafił do domu jedynej krewnej, która wówczas zainteresowała się jego losem. Domu na poły rosyjskiego, gdzie za przyczyną polityki dominowało prawosławie. Mimo tej mieszanki narodowości, kultur i języków nie miał wątpliwości, że jest Polakiem. Może dlatego, że ojciec powtarzał mu często, że najważniejsza jest krew matki.

Pracował w skupieniu, wreszcie sięgnął po chłodną herbatę. Musiał wypić choć kilka łyków, aby pozbyć się suchości z gardła; drobiny kurzu wzbijające się w powietrze przy każdym poruszeniu papierów bezlitośnie pchały się do ust i nosa. Niestety, odstawiając szklankę, potrącił łokciem górę odłożonych na bok, przejrzanym już dokumentów. Akta posypały się niczym domek z kart prosto na podłogę.

Jerzy zerwał się z miejsca, a potem przykucnął i zaczął ostrożnie zbierać i porządkować rozsypane papiery, których na szczęście nie było wiele, bo porządnie zawiązywał sznurki teczek.

Jeden z dokumentów zamiast opaść płasko, zatrzymał się w pozycji przypominającej stromy dach i wydał mu się grubszy od pozostałych. Dziwiąc się, że nie zauważył tego wcześniej, podniósł go i obejrzał dokładnie. Kilka kartek skleiło się ze sobą. Ktoś musiał coś na nich rozlać, gdyż marszczyły się w niektórych miejscach, a część liter sprawiała wrażenie rozmytych. Ostrożnie zaczął je rozdzielać.

Udało się. Miał w ręku jeszcze jeden wyrok z grudnia 1863 roku, wydany przez sąd wojskowy dokładnie w Wigilię Bożego Narodzenia. Szybko przebiegł go wzrokiem.



Adam Jedliński – tak brzmiało imię i nazwisko, na jakie natrafił prawie natychmiast.

Nie myśląc o reszcie walających się dokoła akt, przestał zżymać się na siebie za nieuwagę, tylko usiadł na twardej podłodze i opierając się o nogę od stołu, zaczął z trudem odcyfrowywać tekst.

## 2.

Zaledwie kilka godzin po powrocie od Aleksandra Leontyna wybrała się w interesach do kancelarii mecenasa Paszkiewicza. Prawnik przysłał jej z samego rana list z prośbą o spotkanie, a że sama niecierpliwie czekała na wieści dotyczące planów ciotki Oktawii, odpisała, że przyjdzie najszybciej, jak będzie to możliwe.

Dokładnie o godzinie dwunastej w południe przekroczyła próg biura adwokata. Przywitała ją uśmiechnięta pani Katarzyna, która tego dnia pomagała mężowi w pracy. Leontyna pożałowała, że zna ją tak słabo, ponieważ młoda kobieta już w czasie pierwszego spotkania wzbudziła w niej sympatię.

Mecenas czekał na nią w gabinecie.

– Cieszę się, że widzę panią w dobrym zdrowiu – powiedział, kiedy po wymianie uprzejmości usiedli przy stole nad szklankami z herbatą. – Słyszałem niepokojące wieści.

– To była tylko drobna niedyspozycja – odparła, wpatrując się uważnie w oblicze Paszkiewicza, które wydawało się nienaturalnie blade. – Czuję się już doskonale.

– Temu pani się przygląda? – Zauważył jej zainteresowanie i z wyraźnym zażenowaniem dotknął policzka. – Poszliśmy wczoraj z żoną na maskaradę do sal reutowych opery. Kasia przebrała mnie za Pierrota i wymalowała jakimś dziwnym mazidłem, którego nie mogę zmyć do tej pory. Dobrze, że zeszły chociaż czarne łyzy – zakończył z westchnieniem.

– Czyżby pani Katarzyna była Kolombiną? – zainteresowała się natychmiast Leontyna, z trudem powstrzymując wybuch wesołości, gdyż wizja poważnego mecenasa przebranego za postać z commedii dell'arte była naprawdę zabawna. Cóż miłość potrafiła zrobić z mężczyzną. A swoją drogą, oboje państwo

Paszkiewiczowie musieli cieszyć się dużą witalnością, skoro zaraz po hucznym balu byli w stanie stawić się rano w pracy.

– A jakże. – Paszkiewicz najwyraźniej zapomniał o zawstydzeniu, bo uśmiechnął się promiennie. – Wyglądała wspaniale. Zresztą maskarada była niezwykle udana. Szkoda, że nie mogła pani przyjść i na własne oczy zobaczyć tych strojów. Szły zakłady o wysokie stawki, któż to taki przebrał się za piec?

– Rzeczywiście, piec chciałabym zobaczyć. – Uśmiechnęła się słabo. – Choć nie mam zupełnie nastroju na zabawy.

– Niemożliwe! – zdumiał się adwokat. – Myślałem... – Urwał i przez chwilę milczał, nie spuszczać z niej wzroku.

– Boję się procesu – wyjaśniła zdawkowo, sięgając po szklankę.

– Z przyjemnością poprawię pani nastrój – ożywił się znowu Paszkiewicz. – Mam same dobre wieści.

– Doprawdy? – zapytała z powątpiewaniem.

– Państwo Burzyńscy wycofali pozew.

– Co takiego?! – Leontyna prawie krzyknęła. Przez chwilę wpatrywała się w adwokata, a kiedy dotarł do niej sens jego wypowiedzi, zorientowała się, że płacze. Sięgnęła pospiesznie po chusteczkę i wytarła oczy, a potem znowu spojrzała na Paszkewicza. – Ma pan pewność? Absolutną? Może to podstęp? Nie wierzę, że ciotka mogłaby... tak po dobroci...

– Jestem całkowicie pewny tego, co mówię – zaczął uspokajającym tonem. – Rozmawiałem wczoraj nie tylko z mecenasem Roztockim, ale i z samym panem Ksawerym, który z całą stanowczością potwierdził, że temat procesu jest zamknięty.

– Ja chyba śnię. – Leontyna znowu poczuła łzy cisnące się do oczu. – To cud!

– Nie, to dopiero pierwsza dobra wiadomość. Mam też drugą. Otóż z samego rana dostałem raport od Ostapczuka, mojego współnika z Odessy. Pamięta go pani?

– Oczywiście. – Kiwnęła głową. – To ten, który zajmuje się sprzedażą mojej firmy. Miał sprawdzić tego kupca... Jak mu tam... Petrenkę?

– Ostapczuk ma znajomości wszędzie, nawet w Ochranie, więc szybko zdobył potrzebne informacje. Petrenko ma w kręgach kupieckich bardzo dobrą opinię i co

najważniejsze, jest wypłacalny. Ja też mu się przyjrzałem i wniosek jest jeden: jeśli wciąż chce pani sprzedać firmę, możemy finalizować transakcję.

– Chcę – potwierdziła. – Zróbmy to jak najszybciej. Nie zamierzam więcej wracać do Odessy ani do handlu zbożem.

– Pozwoliłem sobie przygotować odpowiednie pełnomocnictwa. – Adwokat sięgnął po tekturową teczkę leżącą na blacie, wyjął z niej kilka dokumentów i rozłożył przed Leontyną niczym wachlarz.

Ona zaś przestudiowała je kolejno – nie żeby nie ufała Paszkiewiczowi, po prostu taki miała zwyczaj przejęty od męża – a następnie sięgnęła po stalówkę, zanurzyła ją w kałamarzu i złożyła podpisy w miejscach wskazanych przez prawnika.

– Proszę bardzo.

Adwokat sprawdził dokładnie, czy wszystko się zgadza, a następnie przyłożył bibułę do papieru, aby osuszyć atrament.

– Dziś, najpóźniej jutro z samego rana, wyślę dokumenty Ostapczukowi i niech działa. Będę panią informował na bieżąco o postępach sprawy.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała z wdzięcznością. – Naprawdę poczułam się lepiej.

– Zastanawiała się pani, w co zainwestuje kapitał?

– Jeszcze nie. Za bardzo martwiłam się procesem, ale teraz... Liczę, że coś mi pan doradzi.

– Jest do sprzedania kilka kamienic. Myślę, że warto byłoby przyjrzeć się im.

Leontyna kiwnęła głową, a potem wróciła do tematu, który tego dnia nurtował ją najbardziej.

– Nie wie pan, czemu ciotka i wuj zmienili zdanie?

– Zapytałem o to pana Burzyńskiego – odpowiedział z wahaniem Paszkiewicz.

– I co powiedział?

– Wyjaśnił, że zrezygnowali z roszczeń z powodu zmiany pani sytuacji osobistej... Przepraszam, wiem, że nie powinienem mieszać kwestii prywatnych i służbowych, ale znamy się tyle lat... Najserdeczniej gratuluję pani i Aleksandrowi z okazji zaręczyn. Miałem nadzieję, że kiedyś to nastąpi.

Leontyna zdębiała do tego stopnia, że straciła mowę.

„Zaręczyny? – huczało jej w głowie. – Jakie znowu zaręczyny?!”

Co prawda, rozmawiali wczoraj bardzo długo, ale temat był tak odległy od małżeństwa jak Irkuck od Warszawy.

– Skąd mojemu wujowi przyszło do... – wyksztusiła wreszcie. – Skąd wie?

– Wydaje mi się, że od swojej żony.

Na miłość boską, jakim sposobem Oktawii przyszło do głowy coś takiego? Kilka dni temu zrobiła jej awanturę z powodu romansu z Moskałem, a teraz nagle widzi ich razem przed ołtarzem? Zapewne zaszła pomyłka albo – co bardziej prawdopodobne – ciotka coś knuła. Może uznała, że plotka o ślubie z rosyjskim policjantem skompromituje synową bardziej niż romans. Zrobiła krok do tyłu, aby później zaatakować z jeszcze większym impetem.

Tylko czemu, w takim razie, zrezygnowała z procesu? Postanowiła, że koniecznie musi dowiedzieć się, o co chodzi Burzyńskim.

– Bardzo proszę – spojrzała błagalnie na adwokata – aby pan nie rozpowszechniał tej informacji.

– Oczywiście – przytaknął, ale wydawał się przy tym nieco zmieszany; możliwe, że zdążył już podzielić się nowiną z żoną. – W końcu to delikatna sprawa.

### 3.

– Zamieniam się w słuch – powiedział Woronin, mocno zaciągając się papierosem.

Nieco ponad godzinę temu Szuster przysłał do niego kancelistę z prośbą, aby jak najszybciej zjawił się w Sądzie Okręgowym. Aleksander bez zbędnej zwłoki opuścił urząd i przespacerował się z Daniłowiczowskiej na Miodową, zastanawiając się po drodze, cóż takiego Jerzy wynalazł w archiwum, że chce widzieć się z nim jeszcze dzisiaj.

– Nareszcie coś mam – poinformował go z uśmiechem kolega. – Trzy dni kopałem w tych aktach, i nic. Czwartego za to niewiele zabrakło, a byłbym przegapił właściwy dokument, bo kilka kartek sklepiło się ze sobą. Następnym razem muszę być uważniejszy.

Woronin popatrzył na młodego sędziego ze zdziwieniem: naprawdę musiał mieć wyśmienity humor, skoro nie dość, że był rozradowany, to jeszcze posunął

się do wygłoszenia wyczerpującej samokrytyki.

– Mów wreszcie, co wykopałeś, bo zabraknie mi papierosów – rzucił żartobliwym tonem, nie chcąc pokazać po sobie, jak bardzo się niecierpliwi.

Szuster rozłożył wreszcie kajet na odpowiedniej stronie. Szybko przejrzał notatki, a potem oświadczył:

– Wiem w końcu, co łączyło obie ofiary.

– No to na co jeszcze czekasz? Mów! – ucieszył się Aleksander.

– Leon Wyrzykowski i Adam Jedliński w czasie powstania walczyli w jednym oddziale partyzanckim. Nie da się też wykluczyć, że znali się wcześniej, może nawet przyjaźnili.

– Majerowa w listach zwracała się do Wyrzykowskiego po imieniu – przypomniał sobie Aleksander. – Skoro nie była jego kochanką, przyjaźń usprawiedliwiałaby taką poufałość.

– W każdym razie zostali też razem aresztowani i tego samego dnia postawieni przed sądem wojennym w Płocku, dokładnie 24 grudnia 1863 roku. Dziesięć dni wcześniej walczyli pod Zykiem, w jednej z ostatnich bitew na Mazowszu.

– Wzięli ich do niewoli na miejscu?

– Nie, złapali prawie piętnaście wiorst dalej – odparł Jerzy. – We dworze. W Wólce Zachodniej.

– Próbowali uciekać i dotarli tam po drodze – myślał głośno Aleksander. – A na miejscu wpadli w ręce naszych żołnierzy, bo nie wątpię, że pogoń za niedobitkami oddziału poszła we wszystkich kierunkach.

– Tyle że bliżej Zycka były inne dwory, a oni zatrzymali się dopiero w tej Wólce.

– Może chcieli odejść jak najdalej od miejsca walki? Mieli nadzieję, że pogoń tam nie dotrze? Albo planowali udawać miejscowych? A właśnie – przypomniał sobie Woronin – Wyrzykowski dostał dziesięć lat katorgi. Jedliński tyle samo?

– Nie, aż dwadzieścia.

– Ciekawe, z czego wzięła się ta różnica?

– Jedliński popełnił jeszcze inne przestępstwo... Zabił kogoś, kogo nazwiska nie zdołałem odczytać – odpowiedział z namysłem Jerzy. – Swoją drogą, chciałbym wiedzieć, czy w ogóle dotarł na miejsce zesłania? I kiedy dokładnie umarł?

– Podobno w 1865 roku – przypomniał mu Aleksander. – Majerowa wspominała o tym pani Wyrzykowskiej.

– A widziałeś jakiś dokument, który by to potwierdzał? Pamiętaj, że ktoś tam twierdził, że widział go żywego.

– Czort! Mamy za mało informacji, żeby wyciągnąć wnioski, który byłyby coś warte. Może dałoby się przesłuchać właściciela dworu. Wiesz chociaż, czyje to było?

– Wiem. – Szuster kiwnął głową. – Wólka Zachodnia należała ówczasie do niejakiej Michaliny Piotrowskiej.

– Może powinniśmy tam pojechać? Może ta Piotrowska żyje? Albo chociaż ktoś z jej rodziny?

– Pomyślałem o tym – odparł Jerzy. – Dlatego zaraz po wyjściu z archiwum wysłałem pilną depezę do Sądu Okręgowego w Płocku. Odpowiedzieli mi bardzo szybko... Michalina Piotrowska zmarła, co ciekawe, w kwietniu 1864 roku, a jej majątek został natychmiast skonfiskowany przez władze. Obecnie jego właścicielem jest emerytowany pułkownik artylerii, Głowin. Nie sądzę, aby miał nam coś do powiedzenia.

– Zaraz, zaraz... mówisz, że majątek skonfiskowano – zainteresował się Woronin, dusząc niedopałek w popielniczce. – Z jakiego powodu? Bo chyba nie za niewinność właścicielki?

– Akurat na to pytanie nie potrafię ci odpowiedzieć – przyznał niechętnie Szuster. – Ale jutro z samego rana znowu zادهpeszuję do Płocka, a później pojedę do Archiwum, żeby szukać dalej.

– Myślałam, że znalazłeś wszystko, co było.

– A gdzie tam. Dokumenty dotyczące sprawy Jedlińskiego i Wyrzykowskiego zostały zalane czymś kleistym, więc niektórych informacji nie da się odczytać. Tak jak nazwiska tego człowieka zabitego przez Jedlińskiego. Lista załączników do aktu oskarżenia jest rozmyta i zdołałem tylko odcyfrować, że powinny być tam czyjeś zeznania.

– Nie znam się na pismach procesowych, ale biorąc na zdrowy rozum, takie załączniki powinny być razem z resztą papierów.

– W tych aktach panuje bałagan, więc mogły przepaść albo zawieruszyć się w innym pudle – wyjaśnił mu z westchnieniem Szuster. – Mam do przejrzania

jeszcze połowę papierów, a nuż coś znajdę.

– Może ci pomóc? – zaoferował się Aleksander.

– Wybacz, ale wolę, żebyś nie dotykał się do tego – Jerzy uśmiechnął się krzywo – zaraz tak namieszasz, że nie znajdę niczego. Zresztą nie masz pozwolenia, żeby tam w ogóle wchodzić.

– Nie znoszę bezczynności – mruknął, sięgając po kolejnego papierosa. – A ile można czekać, aż szanowny pan Seweryn zdecyduje się łaskawie coś zeznać.

– W takim razie siądź na... miejscu i rozrysuj po swojemu to, co wiemy. Może coś sensownego wreszcie przyjdzie ci do głowy.

#### 4.

*Najukochańsza Teniu,*

*dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję!*

*Pan Jan odwiedził nas wczoraj wieczorem i Papa, który zasięgnął wcześniej opinii u samego pana Lilpopa, rozmawiał z nim ponad dwie godziny i w końcu zgodził się na oficjalne konkury. Słyszałam później przypadkiem, jak tłumaczył Cioci, że pan Jan to mądry i obiecujący młody człowiek, który zdoła zapewnić rodzinie życie na odpowiednim poziomie. Ciocia zgodnie z przewidywaniami nie była zachwycona, ale Papa wyjaśnił jej, że woli uczciwego młodego człowieka z perspektywami niż syna bogatego przemysłowca, którego familia będzie patrzyła na mnie z góry.*

*Mam nadzieję, że wyjdę za mąż jeszcze w tym roku.*

*Teniu, jestem Twoją dozągonną dłużniczką.*

*Krystyna*

*PS Ciocia nic nie wie o Twojej rozmowie z Papą.*

Leontyna starannie złożyła list, który został dostarczony przez posłańca zaledwie kilkanaście minut temu, oddychając z ulgą. Jak dobrze, że przynajmniej jedna osoba w tej rodzinie była naprawdę szczęśliwa.

## 5.

Rozalia Reuttowa była jedyną z sióstr, której niekiedy dawało się przedstawić swoje racje. Dlatego na widok ciotki, niewidzianej od pamiętnego balu w Ratuszu, Leontyna ucieszyła się szczerze. Tym bardziej że po rewelacjach Paszkiewicza spodziewała się kolejnej wizyty matki.

– Cieszę się, moja Teniu, że widzę cię w dobrym zdrowiu – powiedziała Rozalia, wchodząc do salonu.

Nie była pewna, czy rzeczywiście wygląda na zdrową, gdyż od chwili opuszczenia gabinetu adwokata, nie przestawała się zamartwiać, co może kryć się za opowieściami o jej rzekomych zaręczynach.

– Cieszę się, że ciocia przyszła – odpowiedziała, starając się zachować spokój. – Herbaty?

– Poproszę. – Rozalia wygodniej rozsiadła się na kanapie. W ciemnoniebieskiej sukni z błękitnymi wypustkami wyglądała jak zwykle wspaniale. – Będzie nam lepiej się rozmawiało. Choć, szczerze mówiąc, nie wiem, czy ucieszy cię to, co mam do powiedzenia – zakończyła z westchnieniem.

Leontyna przygryzła wargę i skupiła się na przygotowywaniu naparu, co nie było wcale łatwe, gdyż nagle zaczęły trząść się jej ręce.

– Czy odwiedziła mnie ciocia na prośbę mamy? – zapytała, stawiając na stole tylko jedną szklankę z herbatą, ponieważ zrobienie drugiej, dla siebie, przekraczało w tym momencie jej siły.

– Nie, to moja własna decyzja. – Rozalia sięgnęła po cukier. – Aczkolwiek podjęłam ją po rozmowach z Amelią i Oktawią.

Westchnęła w duchu, ale nie odezwała się ani słowem, więc rozmówczyni, uznając milczenie za zgodę na wysłuchanie jej argumentów, kontynuowała:

– Teniu, jestem bardzo rozczarowana twoim postępowaniem. Nie słuchasz niczyich rad, za nic masz dobro rodziny. Oktawię doprowadziłaś do rozpacz. – Spojrzała na siostrzenicę z wyrzutem. – Do tej pory nie opuszcza domu i wciąż płacze. A twoja matka jest roztrzęsiona po waszym ostatnim spotkaniu. Pytała mnie ostatnio, czym zgrzeszyła, że lekceważą ją własne dzieci.

Leontyna otworzyła usta. Przez wiele lat rodzicielka wyładowywała nie niej złość na przeróżne i coraz to nowe sposoby, ale nigdy z jej powodu nie była



nieszczęśliwa. Wątpiła, że mogłoby to zmienić się tak nagle. Jeśli naprawdę była zdenerwowana, to tylko dlatego, że chcąc przywołać córkę do porządku, musiała powrócić do wspomnień o straszliwym postępku najdroższego syna, o którym jej siostra nie miała zapewne pojęcia.

– Matka nie jest, nie była i nigdy nie będzie zadowolona z moich decyzji – odparła cierpko. – Za bardzo przypominam ojca, żeby mogła znieść mnie spokojnie w swojej obecności. Dbaj tylko o pozory.

– Dziecko, co ty opowiadasz?!

– Dawno nie jestem dzieckiem. I zrozumiałam, co naprawdę działo się w naszym domu.

– Co takiego, na miłość boską?

– Ciocia tego nie wie? Przez lata nie zauważyła, że mama obrzydzała ojcu życie na wszelkie sposoby, bo ją zawiódł i unieszczęśliwił? – zapytała prowokacyjnym tonem, nie spuszczać wzroku z Rozalii. – Nie miała wpływu na jego postępowanie, w końcu, jako mężczyzna, mógł robić, co chciał. Za to ja byłam dziewczynką i musiałam jej słuchać. Na dodatek ojciec mnie kochał. Pewnie za to, że byłam do niego podobna.

– Cóż za głupstwa opowiadasz! – Ciotka wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. – Matka kochała tak samo całą waszą trójkę.

– Pozwolę sobie pozostać przy własnej opinii. – Mocno zacisnęła rękę, aby opanować ich drżenie.

– Nie poznaję cię, Teniu. – Rozalia patrzyła na nią tak, jakby spotkały się po raz pierwszy. – Zawsze byłaś łagodna. Rozsądna i akurata. Nawet jeśli przyszło ci do głowy coś niewłaściwego, wiedziałaś, gdzie przebiegają granice, których nie wolno przekroczyć. Co się z tobą stało?

– Zawsze postępowałam tak, jak życzyła sobie mama i cała rodzina – odparła, coraz bardziej zdziwiona wypowiedziami ciotki. Zawsze myślała, że Rozalia zna ją lepiej niż rodzicielka, a tymczasem ona także widziała tylko to, co chciała zobaczyć. – Poczulałam się tym zmęczona.

– To przez Woronina. Prosiłam tyle razy, żeby zostawił cię w spokoju.

– Nie przez niego. Mam własny rozum i zaczęłam go używać.

– Boże drogi, myślałam, że dawno przeszło ci to zauroczenie. Wydawało się... Byliście z Januszem taką zgodną parą. Myślałam...

– Szanowałam Janusza, ponieważ był lepszy i mądrzejszy, niż wydawało mi się wcześniej. Starłam się być dla niego dobrą żoną i matką jego dziecka, ale... nie kochałam go. Nie kochałam też Ignacego. Tylko Aleksander... – urwała, gdyż nie potrafiła powiedzieć głośno, ile naprawdę znaczy dla niej ten mężczyzna.

Ciotka musiała chyba przemyśleć to, co usłyszała, bo odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

– Teniu, rzeczywiście, nie jesteś dzieckiem. Powiem ci więc coś jak dorosła kobieta dorosłej kobiecie... Możesz buntować się przeciwko temu z całych sił, ale twoja matka ma rację: pozory są najważniejsze. Jeśli przestajesz o nie dbać, tracisz wszystko... reputację, a wraz z nią miejsce w świecie i szacunek. Stajesz się wyrzutkiem, którego wstydzi się rodzina.

– Cóż to ma wspólnego z Aleksandrem? – zapytała, gdyż nie była pewna, do czego zmierza ten wywód.

– Nikt nie zabroni ci kochać go i widywać się z nim. Tylko postępuj jak do tej pory. Dyskretnie. Nie musisz zaraz kompromitować się publicznie, wychodząc za niego za mąż. Widzisz, bycie wdową naprawdę ma swoje dobre strony... jeśli rozumiesz, co mam na myśli – zakończyła Rozalia, uśmiechając się znacząco.

– Co... – Leontyna była tak zdumiona, że nie zdołała wykrztusić z siebie nic więcej. Ciotka opowiadała rzeczy, których nigdy nie spodziewałaby się od niej usłyszeć. Czyżby sama...?

– Obiecuję, że porozmawiam z twoją matką, a ona na pewno przymknie oko... Zerwij tylko te zaręczyny, zanim będzie za późno. – Ciotka ściszyła głos. – Plotki na ten temat krążą już po mieście.

– Skąd... skąd ciocia wie, że my...? – Zdołała wreszcie wydobyć z siebie więcej niż jedno słowo.

– Od Oktawii. Jak mogłaś zrobić jej coś takiego?

– Co ciocia ma na myśli?

– Jeszcze pytasz? – oburzyła się Rozalia. – Wysłałaś do niej swojego...Woronina, a on groźbą nakazał wycofać pozew. Na pytanie, jakie ma ku temu prawo, odparł, że jest twoim przyszłym mężem. Oktawia posłuchała, bo wie, że cokolwiek by robiła, nie wygra w sądzie z żoną rosyjskiego policjanta. A on nie zawahałby się pewnie wykorzystać stanowiska... Naprawdę, Teniu, jeśli z nim nie zerwiesz, ciotka tego nie przeżyje.

W tym momencie to Leontyna była bliższa nagłej śmierci niż jej świekra. Serce waliło niczym młotem, a do tego nie potrafiła pojąć, co właściwie dzieje się wokół niej. Zrozumiała tyle, że Burzyńscy niczego nie knują. I że to Aleksander zmusił ich do wycofania pozwu.

Jak mógł bez jej wiedzy pójść do wujostwa i zacząć im wygrażać? Nawet jeśli uznał, że należy tak postąpić dla dobra jej i Joasi, powinien był wcześniej zapytać o zgodę. Zainteresować się, czy ona naprawdę życzy sobie jego interwencji.

I jeszcze te rzekome zaręczyny... Czemu naopowiadał Oktawii kłamstw, skoro ewidentnie nie zamierzał się żenić? Nie wpadł na to, że taka wieść rozniesie się po mieście, a ona znajdzie się w kłopotliwym położeniu? Kłopotliwym, to mało powiedziane... Wszak rodzina była o krok, aby wyrzec się jej i zaraz się okaże, że nie ma żadnych szanowanych znajomych.

O co mu chodziło? Jaki był cel tego przedstawienia, które odegrał u Burzyńskich?

Była tak zła, że najchętniej poszłaby do niego i urządziła karczemną awanturę, aby raz na zawsze przyjął do wiadomości, że nie ma prawa nieproszony wtrącać się w jej życie. I że ona niczego nie znosi tak jak prób uszczęśliwiania na siłę.

– Teniu, uporządkuj swoje sprawy – poprosiła tymczasem ciotka, biorąc ją za rękę. – Nasza rodzina nie zasługuje na kolejny skandal.

– A jeśli tego nie zrobię? – zapytała wyzywająco.

– Matka nie zechce widzieć cię więcej. Wyraziła się bardzo jasno.

– A ciocia? Co ciocia zrobi w takiej sytuacji?

– Teniu, jeśli złamiesz serca moim siostron, nie zdołam ci tego wybaczyć – odpowiedziała Rozalia z ciężkim westchnieniem. – Chcę, żebyś miała tego świadomość.

Leontyna zacisnęła pięści, bo choć wiedziała, że krótkim wyjaśnieniem mogłaby uspokoić rodzinną burzę, nie zamierzała tego robić. Nie zamierzała po raz kolejny ulegać szantażom.

Zresztą gdyby powiedziała prawdę, całe jej życie powróciłoby na stare tory. A ona, nie wiedząc czemu, poczuła, że właśnie tego boi się najbardziej.

## 6.

Woronin, tak jak zasugerował mu Szuster, siedział na miejscu we własnym mieszkaniu i próbował spisać zdobyte ostatnio informacje w taki sposób, aby dało się wywnioskować z nich coś przydatnego.

Niestety, skupienie się na pracy przychodziło mu z trudem. Rano odbył bowiem niespodziewane spotkanie z mecenasem Rozenblumem, który w oficjalnych i bardzo nieprzyjemnych słowach, poinformował go, co jego klient myśli o uganiających się za nim policyjnych agentach. Aleksander, wysłuchawszy tego zażalenia oraz całej litanii cytatów, paragrafów i casusów, odwołał więc obserwację Jedlińskiego – która i tak była już bezcelowa – a po wyjściu mecenasa zrzucił z biurka i potłukł dwa kałamarze, na szczęście prawie puste. Bezsilna złość nie opuszczała go do tej pory.

Wpatrywał się jednak uparcie w otwarty kajet, gdzie mniej więcej w połowie strony widniały nazwiska dwóch aresztowanych powstańców. Od nich, w różnych kierunkach, odchodziły strzałki wiodące do punktów oznaczonych nazwiskami ludzi zamieszanych w sprawę, a także nazwami miejsc, w których wydarzyło się coś istotnego. Musiał odnaleźć w tej płątanie jakąś prawidłowość albo niezauważone wcześniej połączenia.

Starając się zapomnieć o doznanym despekcie, skupiał się na trzech najważniejszych osobach, czyli Leonie Wyrzykowskim oraz Adamie Jedlińskim i jego żonie Józefinie. W którąkolwiek stronę by kombinował, wychodziły mu tylko dwie możliwe wersje wydarzeń: albo dramat rozegrał się wyłącznie między tą trójką, albo istniał ktoś czwarty, jeszcze im nieznan.

Jeśli zaistniała pierwsza sytuacja, mogło to oznaczać, że Adam Jedliński wcale nie umarł. Co prawda, jego żona tak twierdziła, ale jak trafnie zauważył Jerzy, nie istniał żaden dowód, który potwierdzałby jej słowa. Bardzo dokładnie przeszukali wszystkie pozostawione przez nią dokumenty, ale niczego nie znaleźli. A po kimś, kto trzymał w szufladach biurka opisane pudełka z rachunkami od krawca sprzed dziesięciu lat, należało spodziewać się, że zachowa coś tak ważnego jak akt zgonu. Z drugiej strony Majerowa musiała mieć absolutną pewność, że jest wdową, skoro zdecydowała się ponownie wyjść za mąż. Co więcej, taką pewność musiał mieć także ksiądz udzielający ślubu. Mógłby spróbować to sprawdzić, ale nie miał pojęcia, w którym kościele odbyła się uroczystość.

Ciekawe...

A jeśli to prawda, że Adam Jedliński przeżył? Nie było to przecież takie nieprawdopodobne. Sam słyszał kilka historii o pomyłkach strażników i policji, w wyniku których pod cudzymi nazwiskami wracali z katorgi ludzie dawno uznani za zaginionych. Może w tym przypadku było tak samo? Jedliński upozorował własną śmierć, ponieważ żywił żal do żony i kolegi i chciał zemścić się za jakąś wyrządzoną przez nich krzywdę. Tylko dlaczego miałby zamordować Wyrzykowskiego i swoją żonę dopiero teraz? Dlaczego wcześniej nie podniósł ręki na Majera? Czyżby dopiero teraz wrócił z zesłania? Chyba to niemożliwe, skoro Majerowa pisała do Wyrzykowskiego o człowieku, który pojawił się „znowu”. I kogo zabił przed laty, zanim został aresztowany?

Jeżeli zaś w grę wchodziła druga wymyślona przez niego wersja, to można przyjąć, że pierwszy mąż Józefiny nie miał nic wspólnego z ostatnimi zabójstwami. Że naprawdę zmarniał na Syberii albo żyje gdzieś pod zmienionym nazwiskiem i nie ma do nikogo pretensji. Oznaczałoby to także, że istnieje ktoś czwarty, kto żywił urazę do obu ofiar. Ewentualnie do Leona i Adama, zaś Józefina została zabita w zastępstwie zmarłego męża. Dlaczego jednak do tej pory nie natknęli się na żaden ślad tego człowieka? Na żadną, choćby najdrobniejszą, informację?

Istniała też możliwość – choć jego zdaniem mało prawdopodobna – że morderstwa nie mają ze sobą nic wspólnego.

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na żadne z pytań. Musiał czekać, licząc, że Jerzy znajdzie zagubione zeznania albo jakimś sposobem skłoni syna Józefiny i Adama, aby wreszcie powiedział to, co wie.

## 7.

Leontyna nie zdążyła dojść do siebie po rozmowie z ciotką Rozalią, kiedy do drzwi jej mieszkania zapukał kolejny niezapowiedziany gość, czyli doktor Siemaszko. Szczerze mówiąc, nie miała ochoty na spotkanie z nim, ale odsyłała go ostatnio tyle razy, że kolejny byłby już jawną obrazą.

– Ależ mizernie pani wygląda – oświadczył na powitanie, wręczając jej z ukłonem bukiet karminowych azalii. – Trzeba pić więcej tłustego mleka... Mleko doskonale robi na zdrowie i na urodę.

– Dziękuję za radę – mruknęła, nie zamierzając wdawać się w dyskusję na temat pożywności pokarmów. – Zaraz wracam. – Wskazała mu miejsce na kanapie, a sama podeszła do drzwi i zawołała: – Kaziu, przynieś wazon!

Pokojówka błyskawicznie wykonała polecenie, więc Leontyna ustawiła kwiaty na komodzie; nie przepadała za azaliami, ale w obecności doktora nie mogła postąpić z nimi tak jak z poprzednią wiązką.

– Napije się pan herbaty?

– Proszę się nie kłopotać, przed chwilą jadłem podwieczorek – odpowiedział Siemaszko, który, jak nakazywała uprzejmość wobec damy, nie zajął jeszcze wskazanego mu miejsca. – Wolałbym spokojnie porozmawiać.

– Usiądźmy. – Spojrzała gościowi w twarz, a on, choć miał już na karku pięćdziesiątkę z okładem, natychmiast zarumienił się niczym panna na wydaniu. – Słucham pana z uwagą.

– Otóż widzi pani... – Poruszył się niespokojnie, najwyraźniej szukając wygodniejszej pozycji. – Otóż czekają mnie w życiu duże zmiany.

– Doprawdy? – zainteresowała się grzecznie.

– Widzi pani, Barbara, to znaczy najstarsza córka... Skończyła niedawno dwadzieścia trzy lata i moja siostra, jak to kobieta, uparła się wprowadzić ją do towarzystwa. Nakupowała jej sukienek, choć zapowiedziałem, że nie będę zwracał kosztów ani tym bardziej prowadził na bale. Myślałem, że nic z tego nie będzie, bo choć Barbara jest posłuszna i pracowita, ale z urody podobna do, świeć Panie nad jej duszą, swojej matki, która była bardzo chuderława... A tymczasem, niech sobie pani imaginuje, miesiąc nie minął, a złapała męża!

– W takim razie szczerze gratuluję.

– Nie wiem, czy jest czego – westchnął doktor z zakłopotaniem. – Będę musiał dać jej jakiś posag. I wyprawę. A co najgorsze, nie będzie komu zająć się drobiazgiem, ponieważ trzech kolejni, najstarsi wiekiem, to chłopcy. Myślałem, czy nie odmówić konkurentowi, ale widzi pani, to syn samego mecenasa Roztockiego... Też prawnik. Nie wypada.

– Myślę, że pańska siostra pomoże znaleźć panu dobrą bonę albo niańkę.

– Uważam, że moje dzieci zasługują nie na jakąś najemną opiekunkę, ale na nową matkę. – Patrzył na nią takim wzrokiem, że zrobiło się jej zimno. Na miłość boską, to był wstęp od oświadczyn.

– Droga pani Leontyno – zaczął uroczyście Siemaszko, ocierając pot z czoła wielką kraciatą chustką. – Znamy się, od kiedy była pani uroczym podlotkiem... I zawsze powtarzałem, że jest pani doskonałym materiałem na żonę. Nie dość, że gospodarna, to jeszcze przystojna.

– Dziękuję – wykrztusiła z trudem.

– Nie było nam do tej pory pisane, mijaliśmy się... Ale teraz oboje jesteśmy wolni, do tego rozsądni, bo w sile wieku...

Siła wieku doktora była prawie dwa razy większa niż jej, ale on najwyraźniej nie zamierzał brać pod uwagę takich nieistotnych drobiazgów.

– Nikt tak jak pani nie zajmie się moimi dziećmi. A może... – zawahał się na chwilę – ...może i naszymi wspólnymi?

„Jeszcze tylko tego brakowało!” – westchnęła w myślach. Zastanawiała się gorączkowo, jak wyplątać się z sytuacji.

– Pani Leontyno, czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną?

Nie, nie mamił jej wzrok, doktor właśnie buchnął przed nią na kolana. Bliska paniki, próbowała wymyślić, w jaki sposób mogłaby zakończyć to żenujące przedstawienie i nagle doznała olśnienia.

– Panie doktorze – zaczęła uprzejmym tonem. – Pańska propozycja ogromnie mi pochlebia.

– Rozumiem, że przyjmuje ją pani? – Konkurent niecierpliwie wpadł jej w słowo: najwidoczniej podłoga nie była zbyt wygodna do klęczenia.

– Nie mogę... – zawahała się na moment, ale niech dzieje się, co chce. – Otóż widzi pan, od kilku dni jestem już zaręczona.

# ROZDZIAŁ XX

## I.

Od czasu powrotu z Odessy do Warszawy Leontyna nie miała jeszcze okazji odwiedzić kościoła Świętego Aleksandra; na msze chodziła przeważnie do świątyni Apostołów Piotra i Pawła, ponieważ tam było najbliżej. Tego jednak dnia, budząc się rano, poczuła, że ciągnie ją do znajomego miejsca; musiała chyba uspokoić się po niefortunnych – i daj Boże, ostatnich w jej życiu – oświadczeniach doktora Siemaszki.

W czasach kiedy mieszkała wraz z rodziną w Alejach Ujazdowskich, a szczególnie po śmierci ojca, bywała tam kilka razy w tygodniu, nie tylko na nabożeństwach, ale też w momentach, gdy potrzebowała wyciszenia i samotności. A teraz pragnęła tego jak niczego innego. Wciąż nawiedzały ją wspomnienia, rozpaczliwe myśli, połączone ze złością na bliskich jej ludzi: matkę, ciotki, Aleksandra.

Przed południem odbyła rozmowę z panną Eryką na temat ostatnich postępów Joasi w nauce – wspólnie uznały, że należy zwiększyć liczbę godzin rysunku, gdyż dziewczynka wykazywała ku temu niewątpliwe zdolności – a następnie kazała sprowadzić sobie dorożkę i zegnana niespokojnym spojrzeniem Agaty, wyszła z domu.

Dzień był ładny, od kilku dni utrzymywała się mroźna, ale przyjemna pogoda. W ciepłym świetle promieni słonecznych miasto wydawało się ładniejsze niż jeszcze kilka dni temu. W okolicach Dworca Wiedeńskiego panował wzmożony ruch; najprawdopodobniej przyjechał pociąg z Wiednia albo z Paryża. Leontyna widziała liczne pojazdy wypakowane bagażami, co wskazywało, że część podróżnych podążała w kierunku mostu Kierbedzia, aby dostać się na drugą stronę Wisły, na Dworzec Petersburski, skąd droga żelazna wiodła w głąb Imperium.



Kiedy zaś dorożka skręciła z Alei Jerozolimskiej w Nowy Świat, Leontyna od razu dostrzegła monumentalną budowlę i przez chwilę wydawało się jej, że woźnica wiezie ją gdzieś indziej. Przypomniała sobie jednak, że od kilku lat kościół jest w przebudowie, gdyż poprzedni był ponoć zbyt skromny, aby nosić imię cara Aleksandra I. Może jednak nie było tak źle, skoro Woronin, na początku swej bytności w Warszawie, wziął go za cerkiew? Coś takiego pasowało przecież do cesarza. Obecnie, patrząc na imponującą kopułę zdobiącą dach, wzorowaną ponoć na Bazylice Świętego Piotra w Rzymie, nikt nie miałby już takowych dylematów.

A zresztą nie jej oceniać... Nieoczekiwanie uświadomiła sobie, że nigdy w życiu nie przestąpiła nawet progę prawosławnej świątyni. W sumie nic dziwnego, bo czego miałyby tam szukać? Od najmłodszych lat wpajano jej przekonanie, że religia katolicka góruje nad prawosławiem pod każdym względem, a epatujące bizantyjskim przepychem przybytki, to oznaki zniewolenia miasta, prawie takie same jak Cytadela.

Człowiek, którego kochała, modlił się jednak w cerkwi. Już ten powód wystarczał, aby wreszcie zainteresować się tematem i chociaż zajrzeć do wnętrza świątyni. Tknięta nagłym impulsem kazała dorożkarzowi zawracać i wieźć się na Długą, do soboru Najświętszej Trójcy, który wydawał się na tyle duży i uczęszczany, aby mogła bezpiecznie wtopić się w tłum.

Denerwowała się jednak z powodu własnej zuchwałości i aby zająć czymś myśli, zaczęła liczyć warszawskie prawosławne kościoły, ale w końcu poddała się, gdyż nie miała pewności, czy zna wszystkie. Przypomniała sobie za to krążące po mieście pogłoski, że lada chwila, na placu Saskim, rozpocznie się budowa ogromnego soboru. Uważała – jak większość rodaków – że to fanaberia gubernatora Hurki, któremu zamarzył się spektakularny symbol rosyjskiego panowania nad Warszawą. O to samo chodziło kuratorowi Apuchtinowi, gdy jakiś czas temu powziął kuriozalną ideę przebudowania Pałacu Staszica na bizantyjskie nie wiadomo co.

Nieprzyjemne myśli sprawiły, że zaczynała żałować swej decyzji i być może kazałaby jak najprędzej odwieźć się do domu, gdyby nie fakt, że właśnie dotarli do celu.

Zapłaciła woźnicy część należności i kazała czekać na swój powrót, a potem, z drżeniem serca, przekroczyła próg nieznanego jej świata. Odruchowo przeżegnała się na rzymską modłę, a potem rozejrzała wokoło i odetchnęła z ulgą,

żadna z obecnych tu osób nie zwróciła na nią uwagi. We wnętrzu świątyni panowała cisza oraz półmrok, rozświetlony płomykami cienkich świec, o których wiedziała tyle, że wierni zapalają je w przeróżnych intencjach.

Mijając wielkie filary dźwigające sklepienie, ruszyła w kierunku miejsca, gdzie powinien znajdować się główny ołtarz. Zatrzymała się jednak w pół drogi, gdyż zamiast niego, ujrzała przed sobą umieszczony na podwyższeniu trzyczęściowy ikonostas, do którego wiodły schody z czarnego marmuru. Przez chwilę przyglądała się kapiącym od złota ikonom, tak różnym od obrazów, jakie widywała w kościołach. A kiedy napatrzyła się wreszcie na te wspaniałości, zerknęła za siebie i zauważyła, że w niszach okiennych wiszą podobizny apostołów, zaś nad głównym wejściem pyszni się rzeźbiony chór wsparty na czterech solidnych kolumnach.

A więc w takim miejscu brałaby ślub, gdyby zdecydowała się wyjść za Aleksandra – to znaczy, gdyby on, zamiast opowiadać ludziom niestworzone historie, oświadczył się jej naprawdę. To tu przychodziłyby się modlić jej dzieci. Na myśl o tym ogarnęło ją nagle uczucie, którego nie umiała nazwać: nie był to strach, ale nie była to też radość.

Jeszcze raz rozejrzała się dokoła – nadal nikt nie zwracał na nią uwagi – i zajęła miejsce w ławce.

Panująca tu atmosfera tak sprzyjała skupieniu, że nie zauważyła, kiedy zaczęła modlić się żarliwie za dusze ojca i Ludwika. Błagała Boga o siłę, dzięki której zdołałaby choć częściowo zrozumieć motywy kierujące bratem i móc kiedyś mu wybaczyć.

Sama też prosiła o wybaczenie – wcale nie z powodu, że oddała się mężczyźnie, który nie był jej mężem – ale dlatego, że nie potrafiła wykrzesać z siebie nawet odrobiny skruchy. Po latach życia w kłamstwie coś w niej pękło i dała ponieść się uczuciu. Nie miała siły, żeby dłużej się przed nim bronić.

I choć Aleksander – Rosjanin, wróg i najeźdźca – nie był ideałem i umiał zaleźć za skórę, nie chciała nikogo innego. Dałaby wiele, aby dowiedzieć się, co przyniesie im najbliższa przyszłość. Przystawały jej bowiem wystarczać ukradkowe spotkania, a Woronin coraz bardziej gmatwał ich relację: z jednej strony nie robił nic, aby uporządkować wspólne sprawy, a z drugiej twierdził, że jest jej narzeczonym.

Wiedziała, że najlepiej byłoby zapytać wprost, o co mu naprawdę chodzi, brakowało jej jednak odwagi, zaś obawa przed zakłopotaniem, a nawet wstydem, była silniejsza od tęsknoty. Za nic w świecie nie chciała usłyszeć, że miłość miłością, namiętność namiętnością, ale małżeństwo to jednak zbyt poważna kwestia, aby kierować się tylko uczuciem. Żona Polka mogłaby przecież zrujnować mu karierę. Kiedyś oświadczał się o nią matce, ale od tamtego dnia upłynęły lata i Sasza mógł diametralnie zmienić zdanie.

A może będzie lepiej, jeśli pozostanie tak, jak jest?

Nie wiedziała, ile czasu spędziła na rozmyślaniach i modlitwach, ale powiększająca się nieustannie liczba wiernych oznaczała zapewne to, że niedługo rozpocznie się nabożeństwo. Nie planowała na nim zostawać – to byłoby już za dużo jak na pierwszy raz – więc znowu przeżegnała się po swojemu i ze spuszczoną głową ruszyła do drzwi.

Oślepiąca słońcem i bielą śniegu zamrugła i na chwilę przymknęła powieki, a kiedy wzrok przywykł do ostrego światła, rozejrzała się za dorożką. Czekala na nią, tylko woźnica odjechał trochę dalej. Odetchnęła z ulgą i powędrowała w stronę pojazdu.

Pokonała już prawie połowę drogi, gdy zauważyła, że od strony ulicy Freta nadchodzi Mania Siemińska, jej dawna koleżanka z pensji, w towarzystwie mniej więcej dziesięcioletniej dziewczynki, sądząc z podobieństwa, swojej córki. Po zakończeniu edukacji ich znajomość znacznie się rozluźniła, ale Leontyna słyszała od doskonale poinformowanej Emilki Zagórskiej, że Mania wyszła za mąż za profesora Rogulskiego, który uczył je w szkole matematyki.

Zaskoczona i ucieszona tym nieoczekiwanym spotkaniem, uniosła rękę i pomachała. Mania natychmiast ją dostrzegła, ale zamiast zatrzymać się albo chociaż przywitać z daleka, mocno chwyciła córkę za rękę, odwróciła głowę i ostentacyjnie przeszła na drugą stronę.

Leontyna, zaskoczona tą reakcją, stała bez ruchu, wpatrując się w oddalającą się koleżankę, aż dotarło do niej, że plotka na temat jej zaręczyn z rosyjskim policjantem musiała w ciągu zaledwie kilku dni zatoczyć bardzo szerokie kręgi. Od dziś zaczną jeszcze opowiadać, że porzuciła wiarę ojców i zaczęła uczęszczać do cerkwi.

Wyglądało na to, że została skompromitowana ze szczerem i raz na zawsze.

## 2.

– Mam szczęście – powiedział Misza Kaługin, kiedy Aleksander otworzył przed nim drzwi do mieszkania. – Akurat byłem niedaleko i pomyślałem, że zajrzę. Pytam stróża, a on mówi, że jesteś u siebie.

– Wejdz. – Przesunął się i gestem zaprosił przyjaciela do środka.

Nie widzieli się od kilkunastu dni, co stanowiło szmat czasu. Z reguły spotykali się o wiele częściej, ponieważ Woronin, któremu cknęło się samemu, lubił zaglądać do Michaiła na pogawędkę, przeważnie połączoną z kolacją. Ostatnio jednak starał się nie wychodzić wieczorami, ponieważ chciał, aby Leontyna – jeśli akurat postanowi wpaść z wizytą – zastała go w domu.

– Przyniosłem ci podarek – oświadczył tymczasem Kaługin, wyciągając z kieszeni butelkę wódki, którą zaraz mu wręczył, a następnie zdjął szynel i od niechcienia rzucił go na krzesło.

– Znowu pijesz? – zaniepokoił się Woronin. – Co na to Julia Osipowna?

– Nie opowiadaj głupot. – Gość rozsiadł się wygodnie za stołem. – Normalnie nie piję, ale czasem przychodzi taki dzień, że trzeba strzelić kielicha. Na szczęście.

– Znowu zostaniesz ojcem?

– Ciebie, Saszka, żarty się trzymają. – Zaśmiał się dobrodusznie. – Bliźniaki to diablęta wcielone, a jakby trzecie było takie? Zaraz bym całkiem osiwiiał. Nie wiem, w kogo wdały się te dzieci... – Misza niby narzekał na swój los, ale widać było doskonale, że pęka z dumy i zadowolenia. – A wracając... masz wolny wieczór w tym tygodniu?

– Najpierw powiedz, co to za okazja? – zaniepokoił się Aleksander, któremu często zdarzało się zapominać o ważnych rocznicach.

– Teściowie planują urządzić kolację. Na twoją... a właściwie na waszą cześć. Dlatego podaj dzień, a potem bierz Leontynę Wiktorownę i przychodź. Nawet nie wiesz, jacy wszyscy są szczęśliwi. Anna Stanisławowna popłakała się ze wzruszenia.

– Miszka, nie wiem, o czym mówisz. Nic a nic.

– Rozumiem, że masz powody, żeby tego nie rozgłaszać, ale najlepszemu przyjacielowi możesz chyba powiedzieć?

– Co niby zrobiłem? – zapytał całkiem już zdezorientowany.

– Nieżle żeś popił ze szczęścia. Nie pamiętasz, że się żenisz? Choć może i nie dziwne. Tyle czasu żeś czekał, że mus odreagować. Widzisz. – Michaił klepnął go mocno po plecach. – Cierpliwość popłaca.

Woronin słuchał słów przyjaciela z niedowierzaniem, a kiedy ten skończył swój wywód, natychmiast zapytał:

– Skąd przyszło ci do głowy, że się żenię?!

– Jak to „skąd”? – Kaługin wpatrywał się w niego z politowaniem. – Katia nam powiedziała, oczywiście w tajemnicy. A ona wie od męża. Antoni chyba by jej nie okłamał?

– Jak Paszkiewicz wpadł na coś takiego?!

– Katia twierdzi, że dowiedział się od wuja Leontyny Wiktorowny, więc informacja musi być pewna.

Aleksander nie wytrzymał nerwowo, wstał z krzesła, chwycił butelkę, odbił ją i otworzył, a potem wyciągnął z kredensu szklanekę, nalał wódki do połowy i wypił ją jednym haustem. Dopiero wtedy ciut oprzytomniał i spojrzał na Michaiła.

– Przepraszam, musiałem. Też ci nalać?

– Nie trzeba. Lepiej mów, o co chodzi? Żenisz się w końcu czy nie?

– Nie.

– Jak to „nie”? – jęknął z zawodem Kaługin. – A żeśmy tak się cieszyli. Tylko coś czułem, że to za piękne, żeby było prawdziwe.

Klapnął na kanapę, przez chwilę siedział w milczeniu, bijąc się z myślami, aż wreszcie uznał, że wyjaśni wszystko Michaiłowi. Komu miał się zwierzyć jak nie najlepszemu przyjacielowi?

– Powiem ci, co się dzieje, ale pod warunkiem że nie wspomnisz o tym żonie. Ani nikomu innemu – zakończył twardo.

– Za kogo mnie masz?!

– Dobrze, dobrze... Parę razy chlapnąłeś jęzorem, jak nie było trzeba.

– A właśnie, że było trzeba! – oburzył się Michaił. – Doskonale wiem, kiedy mam siedzieć cicho, a kiedy nie. Teraz będę milczał jak grób.

– Widzisz, Misza – zaczął z wahaniem Woronin. – Sprawy tak się potoczyły, że Leontyna i ja... My zbliżyliśmy się do siebie.

– Co takiego?! – Kaługin wybałuszył oczy. – Czy to znaczy...

– Tak. Można powiedzieć, że mamy romans.

– A skąd wzięła się wiadomość o ślubie?

– Nie mam pojęcia. – Rozłożył bezradnie ręce. – No dobrze, podejrzewam, że to robota starej Burzyńskiej. Chciała zabrać Leontynie dziecko, to poszedłem się z nią rozmówić. Musiała wyciągnąć błędne wnioski z tego, co jej powiedziałem, a potem podzieliła się nimi z mężem. A mąż z Antonim.

– Antoni to zdaje się adwokat Leontyny... – wtrącił cicho Misza, a po chwili zapytał już głośniej: – Saszka, ale nadal ją kochasz?

– Gdybym nie kochał, od czterech lat miałbym żonę i nie ruszał się z Moskwy.

– A skoro ona spotyka się z tobą, też cię kocha. Nie należy do kobiet, które ucinają sobie z nudów romanse na boku. A zresztą, o czym my gadamy? Pamiętam, jak ratowała cię z więzienia. Takich rzeczy nie robi się dla obcego człowieka. Dlaczego, do czorta, nie poprosisz ją o rękę?

Zastanawiał się przez czas jakiś, co odpowiedzieć na tak postawione pytanie, w końcu uznał, że prawda będzie najlepsza.

– Boję się.

– Czego?! – zdumiał się Michaił. – Małżeństwa? A może teściowej?

– Niedługo po tym, jak spotkaliśmy się znowu, powiedziała, że nie zamierza wychodzić za mąż po raz drugi.

– Zaraz – zaniepokoił się Kaługin. – Co próbujesz mi powiedzieć?

– Jeśli się oświadczę, to uzna, że chcę od niej za dużo. Nie dość, że odmówi, to jeszcze zerwie ze mną kontakty. A ja... Wolę po kryjomu być jej kochankiem, niż stracić ją całkiem i tylko oglądać z daleka. Nie ma dla mnie życia bez niej. Rozumiesz?

– Ech, Saszka – westchnął Kaługin i ponownie poklepał go po plecach, dużo lżej niż poprzednim razem. – Taki z ciebie niby bystry policjant, a w miłości głupi jesteś jak mój but. Nawet gorzej! Jak podkowa mojego wierzchowca.

– Znalazł się znawca – mruknął urażony słowami przyjaciela.

– Żebyś wiedział! Zakochałem się w Juli i chociaż jej ojciec nie chciał o mnie słyszeć i rewolwerami straszył, po niecałych dwóch latach byliśmy małżeństwem.

– Julia kochała cię od samego początku – przypomniał przyjacielowi. – A ja nie wiem, co naprawdę myśli o mnie Leontyna.

– Same dobre rzeczy, bo inaczej nie wpuściłaby cię do łóżka. – Miszka najwyraźniej nie zamierzał owijać w bawełnę. – Kiedy mówiła, że nie zamierza wychodzić za męża? Zanim to zrobiła? Czy już po?

– Zanim – odparł z westchnieniem.

– A nie przyszło ci przypadkiem do pustej łepety, że mogła zmienić zdanie?

– Po wszystkim, to mi powiedziała, że nie chce niczego ze mną planować.

– Toś się bracie chyba nie postarał. – Michaił pokręcił głową, próbując bezskutecznie ukryć rozbawienie.

– A niech cię czort! – rzucił nerwowo Woronin i znowu nalał sobie wódki.

– Spokojnie, przyjacielu. Zaraz wymyślimy, co zrobić... A od tamtej pory, kiedy ci to powiedziała, widzieliście się jeszcze?

– Tak – mruknął niechętnie, opróżniając szklanę. – Kilka razy.

– To nie może być tak źle, jak mówisz – ucieszył się Miszka. – Jest nadzieja.

– Nadal nie rozmawia ze mną o przyszłości... Chciałbym, żeby dała mi jakiś znak.

– Śpi z tobą, czego jeszcze potrzebujesz? Chłopie, nie mam już do ciebie zdrowia – westchnął zirytowany Kaługin. – Naprawdę, zrób coś, zanim wpakujesz ją w kłopoty.

– Jakie kłopoty masz na myśli? – zapytał zaraz Aleksander, któremu przyszedł do głowy tylko jeden ich rodzaj.

Miszce chodziło jednak o coś innego.

– Pomyśl, Sasza – zaczął takim tonem, jakby coś tłumaczył, któremuś ze swoich trzyletnich bliźniaków. – Skoro stary Burzyński powiedział o waszych niby-zaręczynach Antoniemu, to mógł też poinformować inne osoby. A jak nie on, to jego żona. Sam mówiłeś, że jest jędzą. Pewnie zaraz poleciała do matki...

– Czort! – rzucił Woronin.

Michaił miał rację, jeśli plotka dotarła do pani Amelii, życie Leontyny już zamieniło się w piekło. Może dlatego przestała go odwiedzać?

– Ale to jeszcze nic – kontynuował przyjaciel. – Takie wieści roznoszą się błyskawicznie i już pewnie wszystkie baby o was trajkoczą. Za chwilę cała polska Warszawa będzie wiedziała, że dziewczyna wybiera się za Moskala. I twoja ukochana dostanie dokładnie to, czego chciała uniknąć. Skandal! Tyle że za

niewinność... Nie sądzisz, że to draństwo zostawić ją z tym samą? – zakończył z wyrzutem, gdyż od czasu wspólnego ratowania Woronina, darzył Leontynę szacunkiem.

Aleksander uniósł dłoń do czoła: miał mętlik w głowie. Zdumiewał go fakt, że pani Oktawia z krótkiej odpowiedzi na jedno pytanie wyciągnęła tak daleko idące wnioski; on sam, choćby myślał i miesiąc, nie wpadłby na coś takiego. Najbardziej jednak przeraziły go ostatnie słowa Michaiła. Przypomniał sobie doktorową Mrowińską i radczynię Domańską, które przyszły kiedyś do Sądu Okręgowego, aby donieść na Leontynę. A on przez głupią nieostrożność rzucił ją na pastwę takich kobiet. Jak to kiedyś tłumaczyła mu Irena Ginterówna – zabrał jej wszystko, co najcenniejsze, pozbawił oparcia, a na dodatek nie dał nic w zamian. Cóż z tego, że skrzywdził ją niechcący. Poczł się nagle jak ostatni łobuz.

– I co? Miłość ci przeszła? – zapytał Michaił kpiącym tonem, ale patrzył na niego z powagą.

– Nigdy tak nie mów – oświadczył z mocą. – Zrobię, co trzeba i to zaraz. Jeśli wyrzuci mnie na zbity pysk, wrócę oknem. Muszę tylko zastanowić się...

Przerwało mu głośne walenie; ktoś dobijał się do jego mieszkania tak uparcie, jakby próbował poinformować go o kolejnej zbrodni. Woronin, który nie wykluczał takiej ewentualności, zerwał się z krzesła i popędził do przedpokoju.

Za progiem stał zgięty wpół Frołow i z trudem próbował złapać oddech.

– Wchodźcie, Jegorze Jegorowiczu. Co się stało?

Na odpowiedź musiał jednak poczekać, aż podwładny dojdzie nieco do siebie.

– Zabójstwo – wykrztusił wreszcie policjant, spoglądając z obawą na Michaiła, którego dopiero zdołał zauważyć.

– Mówcie przy panu majorze – uspokoił go Aleksander. – Kogo zabili?!

– Jedlińskiego. Syna...

– Czort i jasna cholera! – warknął Aleksander, a potem dodał już ciszej, ale nie mniej nerwowo: – Wiedziałem, że pacan tak skończy! Jedziemy. Misza – spojrzał bezradnie na przyjaciela – przepraszam, ale muszę wracać do pracy.



– Cieszę się, moja droga, że znalazłaś czas, żeby mnie odwiedzić. – Póллеżąca na szeszlangu Klara Wyrzykowska spoglądała na nią ze słabym uśmiechem.

Była blada, mizerna i chudsza o kilka funtów niż jeszcze kilkanaście dni temu. Ponoć od dnia pogrzebu męża nie wychodziła z domu i synowie ogromnie martwili się o jej zdrowie. Dziś przed południem przysłała list z prośbą o spotkanie, więc Leontyna, która ostatnio zaprzestała odwiedzin, nie chcąc przeszkadzać pani Klarze w przeżywaniu żałoby, późnym popołudniem udała się na Senatorską. Mówiąc szczerze, najchętniej odrzuciłaby zaproszenie, ponieważ bała się, że do drugiej babki Joasi też dotarły plotki o jej rzekomych zaręczynach.

Dyskretnie rozglądała się po pokoju oświetlonym tylko jedną lampą i do tego dokładnie okrytą umbrelką. Zawsze lubiła tu przychodzić; podobał się jej nie tylko wystrój wnętrza i obrazy gospodyni, która za panińskich czasów pobierała nauki u samego Wojciecha Gersona, ale także atmosfera ciepła i spokoju.

– Dziękuję za zaproszenie – odparła wreszcie, sięgając po kruche ciasteczko, z których słynęła kucharka Wyrzykowskich. – Joasia była niepokieszona, że nie zabrałam jej ze sobą.

– Kochana dziecina – rozczuliła się pani Klara. – Przyrowadź ją koniecznie następnym razem, ale dziś... Dziś chciałabym porozmawiać tylko z tobą. I to bardzo poważnie.

Leontyna poczuła, że zamiera w niej serce, gdyż ta rozmowa mogła okazać się o wiele trudniejsza niż wszystkie awantury z ciotką Burzyńską. Nie umiała wyobrazić sobie procesu z Wyrzykowskimi – jeśli zażądają, aby oddała im dziewczynkę, będzie musiała zgodzić się na ich warunki. Miała ochotę zamordować i Aleksandra, i Oktawię, za to, co nawyrabiali.

– Słyszałam, Teniu, że jesteś zaręczona?

Spodziewała się tego pytania, ale i tak nie wiedziała, jakiej udzielić na nie odpowiedzi. Najbardziej oczywiste wydawało się wyznanie prawdy, na to jednak nie potrafiła się zdobyć.

Z każdą godziną była coraz bardziej przerażona faktem, że stała się obiektem powszechnych plotek. Ciotka Rozalia mówiła prawdę; reputacja była krucha jak filiżanka z chińskiej porcelany. Najgorzej, że niczego nie da się cofnąć; nikt nie uwierzy, że to pomyłka. Nawet jeśli skłamię, że zerwała zaręczyny, i tak będą o niej mówić – to ta, która zamierzała wyjść za moskalskiego policjanta. A taka opinia

wystarczy, aby wykluczyć ją z towarzystwa. Nie zależało jej na pozycji i światowym życiu, ale nie chciała zostać sama, bez rodziny i znajomych. Boże, czyżby zbliżał się dzień, w którym będzie zmuszona przyznać matce rację?

Inna sprawa, że już raz w rozmowie z panią Klarą, odżegnała się od Woronina i jeśli zrobi to po raz drugi, wyjdzie na niepoprawną kłamczuchę. Uznała więc, że w kwestii rzekomych zaręczyn, najlepiej będzie zachować milczenie.

– Powiedziałaś jakiś czas temu, że nic nie łączy cię z Aleksandrem Woroninem.  
– Wyrzykowska miała doskonałą pamięć.

– A cóż innego mogłam powiedzieć? – westchnęła z rezygnacją. – Rodzina powtarza mi od lat, że sama znajomość z nim to wstyd. A co dopiero... – Urwała, spoglądając z niepokojem na rozmówczynię.

– Od lat? – zdziwiła się pani Klara. – Przepraszam za niedyskrecję, ale czy to oznacza, że wychodząc za Janusza, kochałaś innego mężczyznę?

– Janusz wiedział o tym. Od początku.

Gospodyni przyglądała się jej bez słowa, a Leontyna, nie mogąc znieść tego uważnego spojrzenia, spuściła głowę. Zbierało się jej na płacz. Czuła się opuszczona i samotna. Mimo że nadal była zła na Aleksandra, tęsknota za nim stawała się coraz bardziej dojmująca.

– Wiesz, Teniu, że długo mieszkałam w Rosji – odezwała się wreszcie pani Klara.  
– Najpierw przymusowo, następnie w Odessie, już po dobroci. Poznałam przez ten czas wielu Rosjan. Przeróżnych urzędników sądowych, żandarmów i strażników w Nerczyńsku wspominam jak najgorzej. Często zdawało mi się, że im większe było nasze upodlenie, tym oni mieli większą satysfakcję – powiedziała ze smutkiem, sięgając po herbatę. Wypiła kilka łyków, a potem znów zaczęła mówić:  
– Jednak opinia twojej matki, że wszyscy Rosjanie to łajdacy, jest zbyt wielkim uproszczeniem... Wielu z nich to uczciwi ludzie... i pomocni. Nie przeżyłabym pierwszego roku na Syberii, gdyby nie moje sąsiadki Rosjanki... Później znalazłam wśród nich wiele przyjaciółek.

Leontyna spoglądała na panią Klarę ze zdumieniem – pierwszy raz słyszała, aby ktoś ze znajomych mówił w ten sposób o przedstawicielach zaborczego narodu. I to osoba, która tyle wycierpiała z ich rąk.

– Chciałam powiedzieć – kontynuowała Wyrzykowska – że nie zamierzam cię potępiać. Zresztą miałam okazję poznać komisarza Woronina. Przesłuchiwał mnie

po śmierci Leona... Imaginuj sobie, rozmawiał ze mną po polsku. Ma też doskonałe maniery. Ale to nie jest najważniejsze... – Machnęła słabo ręką.

– A co? – zapytała prawie szeptem.

– Uderzyło mnie, że nie ma w nim uprzedzeń ani pogardy do podbitego narodu.

Ona dostrzegła to już dawno; Aleksander, który osiem lat temu po raz pierwszy w życiu przyjechał na zachodnie rubieże Imperium traktował rosyjskie panowanie na tych ziemiach jako coś najnormalniejszego w świecie, a Polaków jak zwyczajnych współobywateli – ani lepszych, ani gorszych od Rosjan. Dlatego tak wstrząsnęło nim odkrycie, że mieszkańcy Warszawy, w tym rodzina Leontyny, widzą w nim wroga i najeźdźcę. Jej, dla odmiany, przeszkadzało jego niezachwiane przekonanie o naturalnej przynależności Kraju Nadwiślańskiego do carskiego imperium, ale z czasem zrozumiała, jak trudno zmienić zdanie o rzeczach, które od dziecka wydają się oczywiste.

– Wiesz – odezwała się znowu pani Klara. – Kiedy powiedziałam moim rodzicom, że zamierzam jechać za Leonem na Syberię, uznali, że oszalałam i chcieli zamknąć mnie w klasztorze. Zebrałam więc całą biżuterię, pieniądze od babki oraz paszport i nocą uciekłam z domu. Rodzina nigdy mi tego nie wybaczyła, ale ja nie żałowałam. Teniu, jeśli jesteś pewna, że to właściwy mężczyzna, idź za niego.

– A Joasia? – zapytała, sięgając po chusteczkę, bo łzy zaczęły cisnąć się jej do oczu. – Zabierze mi pani córkę?

– Nie. – Klara pokręciła przecząco głową. – Chyba że komisarz zechce wychowywać ją na rosyjską modłę i zacznie prowadzić do cerkwi.

– Wiem, że uszanuje pani decyzję – oświadczyła z przekonaniem, choć zdawała sobie sprawę, że mówi o czymś, co może nigdy nie mieć miejsca.

#### 4.

Z placu Zielonego na Czystą na szczęście było blisko, więc policjanci dotarli do apteki Jedlińskiego w ciągu niespełna dwudziestu minut, choć dla niecierpliwącego się Aleksandra i tak było to stanowczo za długo.

Wyskoczył z dorożki, zanim zdołała się zatrzymać i w świetle latarni dostrzegł rewirowego Owsiankę z VII Cyrkułu oraz kilku jego stójkowych. Drzwi apteki były zamknięte na głucho, tak samo jak okiennice.

– Dobry wieczór, Jewsieju Glebowiczu.

– Nie najlepszy, Aleksandrze Nikityczu – odpowiedział ponuro Owsianko. – Trzecie zabójstwo! A już myślałem, że sprawa zaraz się skończy.

– Robimy, co możemy – odparł Woronin na odczepnego, ponieważ ostatnie, na co miał w tej chwili ochotę, to tłumaczenie się rewirowemu z postępów w śledztwie, a może raczej ich braku. – Doktor już jest? A jak wejść do apteki?

– Od podwórza. Zaraz panu pokażę. Doktor Patkiewicz siedzi w środku. – Owsianko zabrał lampę naftową jednemu ze swoich policjantów i ruszył przed siebie. Coraz bardziej zniecierpliwiony Aleksander podążał za nim.

Minęli otwartą na oścież bramę i wyszli na idealnie wysprzątane podwórze.

– Stróż prawie złapał mordercę – poinformował go cicho rewirowy, z aprobatą rozglądając się dookoła.

– Porozmawiam z nim, ale najpierw chcę zobaczyć się z doktorem.

Po lewej stronie, mniej więcej cztery sążnie od bramy, znajdowało się tylne wejście do składu aptecznego, przy którym kręciło się jeszcze kilku policjantów. Woronin, nie zwracając na nich uwagi, przekroczył próg i rozejrzał się uważnie po korytarzu wiodącym na zaplecze.

– Nie idzie pan ze mną? – zapytał rewirowego, który wyraźnie się ociągał.

– Widziałem go już i na razie wystarczy.

W pomieszczeniu, w którym zapewne mieścił się magazyn, było bardzo widno, nic dziwnego, skoro paliło się aż pięć lamp. Zapewne doktor nakazał stójkowym oświetlić porządnie miejsce zbrodni. Wszędzie panował nieład. Po podłodze walały się przeróżne papiery oraz pozrzucone z półek medykamenty, w powietrzu unosił się zapach kamfory. Nie było wątpliwości, że stoczono tu zajadłą walkę. Aleksander stąpał ostrożnie, nie chcąc niczego nadepnąć, ale i tak jakiś niewielki przedmiot dostał mu się pod podeszwę. Pochylił się i obejrzał znalezisko – buteleczka z kroplami od bólu zębów.

Wreszcie wyminął liczne lady oraz stoły zastawione pudłami i dostrzegł nieboszczyka. Jedliński leżał na wznak na podłodze, miał zamknięte oczy,

obandażowaną głowę i był szczelnie okryty pledem. Woronin zdziwił się, ponieważ krwi było przy nim – nomen omen – jak na lekarstwo.

– Witam, panie komisarzu. – Patkiewicz, który akurat pochylał się nad ofiarą, wyprostował się pospiesznie na całą wysokość i uśmiechnął się do niego.

Aleksander pomyślał, że ten niezmiennie dobry humor prezentowany przez medyka, jest dla niego czymś niezrozumiałym. Choć z drugiej strony może właśnie ta pogoda ducha sprawiała, że doktor nie oszalał dotąd przy swojej ponurej robocie.

– Po pierwsze, pan Seweryn żyje – oświadczył z zadowoleniem, zanim policjant zdążył o cokolwiek zapytać. – Jest tylko nieprzytomny.

– Naprawdę? – ucieszył się szczerze.

– Żyje, żyje. – Doktor pokiwał głową. – Miał szczęście, że stróż narobił rabanu. Napastnik zdążył uderzyć go w głowę i rozciął przy okazji skórę... i stąd ta odrobina krwi, ale uciekł, zanim zdążył poharatać tętnicę.

– Uważa pan, że mogła to być ta sama osoba co w poprzednich przypadkach?

– Wiele na to wskazuje. Rana po uderzeniu jest dokładnie taka sama jak u Wyrzykowskiego. Tylko lżejsza.

– Ale Jedliński się obudzi? – zainteresował się Aleksander.

Seweryn swoim uporem działał mu na nerwy, ale nie chciałby widzieć go w trumnie. Wyrzucał sobie, że posłuchał mecenasa Rozenbluma i zdjął śledzących aptekarza agentów; pod ich okiem był przynajmniej bezpieczny.

– Obudzi się na pewno. Aha, mam dla pana niespodziankę.

– Jaką? – Woronin łypnął podejrzliwie na doktora, gdyż nie ufał jego niespodziankom: przeważnie okazywały się obrzydliwe.

– Wiem dokładnie, czym uderzono pana Seweryna i pana Wyrzykowskiego. Morderca, uciekając, zostawił laskę. Z solidną gałką.

– Nareszcie coś mamy – powiedział policjant i rozejrzał się odruchowo. – Gdzie ona jest?

– Leży tam, na biurku. Niech pan obejrzy sobie dokładnie. – Doktor pochylił się znowu nad rannym i zaczął mierzyć mu puls. – Jak oprzytomnieje, zabiorę go do szpitala – powiedział cicho, chyba bardziej do siebie niż do Woronina.

Policjant ostrożnie podszedł do mebla, który przypominał raczej dużą sekretkę niż biurko i sięgnął po pierwszy w tej sprawie konkretny dowód. Laska została utoczona z hebanowego drewna i zwieńczona idealnie kulistą srebrną gałką ozdobioną roślinnymi motywami. Piękna, bardzo droga rzecz. I charakterystyczna. Niewykluczone, że ktoś zdoła ją rozpoznać. Swoją drogę, aby ogłuszyć ofiarę, morderca musiał uderzać bardzo mocno, gdyż laska była stosunkowo lekka.

– Rozumiem, że zabiera ją pan ze sobą? – zwrócił się z pytaniem do doktora.

– Chciałbym obejrzeć dokładniej, aby pozbyć się wątpliwości – odparł Patkiewicz. – Później oczywiście odeślę ją do pana.

Aleksander odłożył dowód na poprzednie miejsce. Zrobił to jednak tak niezręcznie, że strącił z blatu trzy stalówki w obsadkach. Pochylił się zaraz, aby je podnieść i kiedy sięgał po tę, która wpadła aż pod sekretkę, zauważył papiery upchnięte pod meblem.

„Co za czort?!” – Wyciągnął jedną kartkę i zaklął w myślach najpaskudniejszymi słowami jakie znał. Ulotki. Socjalistyczne. Cały plik.

A więc to socjalizmem zajmował się szanowny Seweryn Adamowicz Jedliński, gdy nie było wiadomo, gdzie jest i co porabia? I czy aby nie z tego próbowała go wyleczyć matka?

Zapewne towarzysze zdążyli zbałamucić go już w Petersburgu, a odcięcie się od terrorystycznej działalności żony miało tylko odwrócić od niego uwagę Ochrony. Agenci nie wywęszyli tego, bo Jedliński domyślił się, że jest śledzony i najpierw postanowił przeczekać, a potem wysłał Rozenbluma z awanturą do urzędu. Szczwana sztuka. Może i ten jego morfinizm jest udawany?

Przez czas jakiś Aleksander zastanawiał się, co począć ze swoim nowym odkryciem. Zgodnie z przepisami powinien natychmiast zgłosić sprawę żandarmerii, gdyż socjaliści to nieodmiennie ich działka. Z drugiej strony, jeśli pozwoli zamknąć Seweryna w Cytadeli, straci cennego świadka. Niewykluczone, że jedyne, który jest w stanie powiedzieć coś na temat osoby mordercy.

„A niech będzie, że nic nie znalazłem. – Pchnął papiery głębiej pod sekretkę. – Cytadela może zaczekać”.

Choć jeśli był aptekarzem, czort wie, czym mógł zajmować się w tak groźnej organizacji? Woronin wahał się jeszcze przez moment, wreszcie znalazł

rozwiązanie także i tego dylematu. Postanowił, że jeśli kiedykolwiek ktokolwiek spróbuje zdetonować w Warszawie jakąś bombę, młody Jedliński będzie pierwszy na liście podejrzanych przekazanej żandarmom.

Tymczasem ranny poruszył się i zaczął coś mamrotać pod nosem. Woronin natychmiast podszedł do niego i z nadzieją spojrział na Patkiewicza.

– Nie ma mowy! – Doktor pogroził mu palcem. – Żadnych przesłuchań! Najwcześniej jutro z rana. Bez dyskusji! – dodał, widząc, że Aleksander chce coś powiedzieć. – Lepiej pan zrobi, jeśli przyśle ze trzech stójkowych, załadujemy rannego do dorożki i jazda do Dzieciątka Jezus.

– Pojadę z panem – upierał się Woronin – i przekonam się, czy to bezpieczne miejsce. Nie chciałbym, żeby ktoś go dobił. Postawię straż. Nawet nie wie pan, jaki to ważny świadek.

– Domyślam się. Ale i tak pan nie pójdzie. A o strażnikach już rozmawiałem z rewirowym. I niech pan wreszcie idzie po tę pomoc!

Policjant westchnął w duchu, bo miał chęć podyskutować jeszcze z doktorem, ale zrezygnował. Wyszedł posłusznie na zewnątrz, a gdy spostrzegł Owsiankę, natychmiast przekazał mu polecenie Patkiewicza.

Okazało się, że dorożka już czekała, więc stójkowi, którymi lekarz dyrygował, jak nie przymierzając, sam policmajster urzędnikami, szybko zapakowali do niej rannego, który z każdą chwilą zdawał się coraz przytomniejszy. Potem zaś dwóch z nich załadowało się z doktorem do pojazdu i ruszyli do szpitala.

Woronin odprowadzał ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli za rogiem. Miał nadzieję, że wystarczy mu cierpliwości, aby poczekać do jutra.

– Robimy przeszukanie? – zapytał rewirowy, podchodząc do niego.

– Nie! – zaprzeczył chyba zbyt ostro, ale wolał, aby policjanci nie dobrali się do podejrzanych papierów leżących pod sekreterą. – Mamy już wszystko, co potrzebne. Zamknijcie tylko porządnie drzwi. I dajcie mi, Jewsieju Glebowiczu, tego dozorcę, co to ratował Jedlińskiego.

Rewirowy skinął zaraz na niewysokiego, żyłastego mężczyznę w charakterystycznym fartuchu i czapce z numerem. Drobną kobietą otuloną wełnianą chustą – ani chybi stróżka – spoglądała na niego wystraszoną wzrokiem. Chyba nie ufała policjantom i bała się, że z ich ręki nie spotka męża nic dobrego.

– Aleksander Nikitycz Woronin, urząd śledczy – przedstawił się po polsku, nie zwracając uwagi na niezadowolenie Owsianki. – Jak się nazywacie?

– Zawada – odpowiedział szybko stróż, prostując się jak struna; zapewne były żołnierz, który wyczuł byłego oficera. – Józef Antonowicz.

– Zapalicie? – Wyciągnął z kieszeni papierośnicę i podsunął mężczyźnie, który z wahaniem sięgnął po papierosa i zaraz wsadził go za otok czapki. – Widzieliście, co tu się stało?

– A jakże.

– Mówcie.

– Jużem raz opowiadał. – Stróż zerknął na Owsiankę.

– Mówcie dokładnie od początku. Chciałbym to usłyszeć od was – powiedział Woronin, a potem na chwilę przeszedł na rosyjski. – To rozkaz.

– *Tak toczno* – rzucił służbiście Zawada, a potem przestąpił z nogi na nogę i zaczął opowiadać: – Ano przyszedł, panie oficerze, jeden facet, na czarno ubrany. Powiedział, że do apteki. Dalej nie pytałem, bo do pana aptekarza różni tu przychodzili, niby po darmowe lekarstwa... Ale zaraz żem usłyszał, że ktoś tam się drze, jakby czort go ze skóry obdzierał. Pan aptekarz nigdy tak nie wrzeszczał, to spokojny człowiek. Pomyślałem, pójdę i sprawdzę. Drzwi na szczęście otwarte, to żem wlaźł. W środku ciemno, tylko jedna lampa ledwo się pali, ale żem zobaczył, że pan aptekarz leży jak długi na podłodze, a ten drugi nad nim nachylony. No to ja na niego. Facet dawaj uciekać, chciałem go złapać za łeb, to tak mnie trącił, żem się rąbnął o stół. Alem laskę mu wyrwał.

– Jak wyglądał ten człowiek? Możecie go opisać?

– Zdaje się, w starszym wieku, ale silny jak tur. Wysoki.

– Rozpoznałibyście go?

– Nijak. – Stróż zmarkotniał. – Ciemno było choć oko wykol. Tyle wiem, że miał krzepę. Mnie też nic nie brakuje, ale jak mną majtnął o podłogę, to małom karku nie skręcił. Ale jakim tylko oprzytomniał, poleciałem do Cyrkułu, do pana rewirowego.

– Dobrze zrobiliście. – Woronin poklepał go po ramieniu.

– A nie będzie miał przez to nijakich kłopotów? – zainteresowała się natychmiast stróżka, która nawet na chwilę nie odstępowała męża.



– Za co? Jak złapiemy zbója, to może jeszcze order dostanie.

Informacje od dozorczy były naprawdę cenne, ale miał nadzieję, że Jedliński zapamiętał coś więcej i że tym razem zechce wreszcie wytłumaczyć śledczym to i owo.

– A nie daj Boże. – Kobieta złożyła ręce jak do modlitwy.

# ROZDZIAŁ XXI

## I.

Jerzy wpadł niczym burza do Szpitala Dzieciątka Jezus i już w holu zaczął rozglądać się w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby poinformować go, gdzie ma szukać Seweryna Jedlińskiego oraz pilnujących go policjantów. O wydarzeniach, które rozegrały się poprzedniego dnia w aptece, dowiedział się dopiero dzisiaj, po tym jak po prawie trzech dniach spędzonych w Archiwum Akt Dawnych, zjawił się w sądzie. Chciał natychmiast wzywać Woronina, ale Grigorij Michajłowicz przekazał mu notatkę pozostawioną przez kolegę, w której oprócz skrótowego opisu wydarzeń znajdowała się prośba, aby jak najszybciej przyszedł do szpitala, ponieważ ranny odzyskał przytomność i zaczyna dochodzić do siebie.

Dostrzegł pielęgniarkę idącą w kierunku sali głównej i ruszył za nią; sala, długa, wysoka i zwieńczona łukowatym sklepieniem, była tak obszerna, że rozstawiono w niej aż cztery rzędy łóżek. Dlatego też – choć nad głowę każdego pacjenta wisiała tablica z jego nazwiskiem – trudno było znaleźć tu kogoś samodzielnie. Już miał poprosić o pomoc, kiedy poczuł szarpnięcie i musiał zatrzymać się w miejscu. Odwrócił się natychmiast i zobaczył Aleksandra, który wciąż trzymał go za rękaw.

– Dobrze, że jesteś. Patkiewicz pozwolił wreszcie przesłuchać Jedlińskiego. Chodźmy. – Kolega powiódł go w stronę schodów, a po drodze zapytał: – A jak tam twoje poszukiwania?

– Sprawdziłem papiery, co do jednego – odparł Jerzy z nieukrywaną satysfakcją. – I mam podejrzenie, że znalazłem trzeciego mężczyznę. Później opowiem, a teraz wyjaśnij mi, o co chodzi.

Po drodze Woronin nieco rozwinął streszczenie wydarzeń zawarte w liście.

– Wygląda na to, że mamy dwóch świadków, choć ten pierwszy nie potrafi opisać zabójcy. Pozostaje liczyć, że Seweryn coś sobie przypomni – podsumował swoją opowieść.

Znajdowali się na piętrze głównego korpusu szpitala i tam, pod drzwiami do jednej z sal, stało dwóch policjantów. Wyprężyli się służbiście na widok komisarza, który nacisnął na klamkę i zaprosił Jerzego do środka.

– Dzień dobry – powiedział Szuster, wchodząc do niewielkiego pokoju, w którym stało tylko jedno łóżko. Leżał na nim człowiek z obandażowaną połową głowy, w którym bez trudu rozpoznał Jedlińskiego. Koło niego krzątał się Patkiewicz, ubrany w śnieżnobiały fartuch.

– Dzień dobry, drogiemu sędziemu – odparł doktor. – A teraz proszę uspokoić tego narwańca – zerknął znacząco na Woronina – zanim zamęczy mi pacjenta.

– Sam pan powiedział, że może zeznawać – rzucił Aleksander. – Całkiem odzyskał przytomność.

– Nie sądziłem, że zasypie pan go zaraz gradem pytań. To niebezpieczne, bo po takim uderzeniu można zejść z tego świata nawet bez dziury w szyi.

Jerzy ze zdumieniem przyglądał się przedstawieniu rozgrywającemu się na jego oczach, a tymczasem ranny, który najwyraźniej miał już dosyć awantur, poruszył się niespokojnie i oświadczył słabym głosem:

– Przypominam, że jestem tu obecny – odwrócił się w stronę Patkiewicza – i nie wybieram się w zaświaty. Powiem, co wiem i niech go zamkną, zanim dokończy robotę.

– Nikt obcy nie ma prawa do pana wejść – zapewnił doktor.

– Aptekę też zamknąłem na trzy spusty, ale i tak wlaź – mruknął Jedliński. – Dlatego będę zeznawał.

– Wreszcie – mruknął Woronin.

– Przepraszam – westchnął Seweryn, przenosząc wzrok na policjanta. – Byłem przekonany, że jak będę siedział cicho, nic mi nie zagrozi.

– Niech już będzie – powiedział z rezygnacją Patkiewicz. – Ale nie myślcie, panowie, że ruszę się stąd na krok.

– Dobrze – powiedział Aleksander, który aż rwał się, aby wreszcie dowiedzieć się prawdy. – Jerzy, dasz radę notować, czy mam posłać...

– Nie ma czasu na posyłanie – odparł szybko.

Czuł, że udziela mu się niecierpliwość kolegi. Usiadł więc przy stole, przesunął leżące na nim rzeczy na drugi koniec blatu, wyciągnął z teczki papier oraz

przybory do pisania, rozłożył to wszystko przed sobą, spojrzął najpierw na Jedlińskiego, a potem na Woronina.

– Jestem gotowy.

– Czy może pan... – zaczął natychmiast Aleksander, przysuwając krzesło bliżej łóżka rannego. – Wie pan, kim był napastnik?

– Widziałem go teraz... – zaczął z wahaniem Seweryn – ...i przed laty, ale nie znam jego nazwiska.

Szuster, który po kwerendzie w archiwum miał pewne podejrzenia co do tożsamości tajemniczego mężczyzny, chciał podsunąć przesłuchiwanemu nazwisko, ale uznał, że najpierw upewni się, że jego rozumowanie idzie we właściwym kierunku.

– Mój ojciec, Adam Jedliński, brał udział w powstaniu 1863 roku i został za to skazany na dwadzieścia lat katorgi...

– O tym akurat wiemy – mruknął Jerzy, zapisując to, co usłyszał.

– Skąd? – zdumiał się ranny.

– Cokolwiek by pan o nas myślał, Sewerynie Adamowiczu, jesteście śledczymi – powiedział z przekąsem Woronin, któremu uparte milczenie syna pierwszej ofiary mocno zszarpało nerwy. – I rozwiązaliśmy z sukcesem kilka spraw. Niestety niektórych ludzi nie możemy skłonić do mówienia.

Jedliński chrząknął nerwowo, słysząc ten przytyk, ale się nie obraził, tylko podjął przerwany wątek:

– Miałem wszystkiego rok czasu, ale matka chciała mnie zabrać i jechać za ojcem na zesłanie. Widzą panowie, ona go bardzo kochała... Poznali się na dzień przed jej ślubem z innym człowiekiem, ojciec miał być nawet drużbą, ale wydarzenia potoczyły się tak, że uciekła do niego sprzed ołtarza.

– Wiemy, że nie pojechała na Syberię – wtrącił się ostrożnie Woronin. – Dlaczego?

– Kiedy ojciec siedział w Warszawie w Cytadeli, matka pisała do niego listy, które dostarczał przekupiony strażnik. Wreszcie doczekała się odpowiedzi. Ojciec zaklinał ją na wszystkie świętości, żeby została w kraju, ukryła się gdzieś i uważała na mnie, i na siebie. Nie mógł napisać wprost, czego albo kogo się obawia, ale zdaje się, dla matki było to oczywiste.

– Widział pan ten list? – zapytał Jerzy żądny każdego dowodu.

– Nie, słyszałem tylko, bo matka twierdziła, że lepiej, abym nie znał całej treści... I nie wiem, co się z nim stało. Możliwe, że go spaliła, skoro ojciec powierzył jej jakąś tajemnicę. – Ubiegł ich kolejne pytanie. – Czy mogę prosić o coś do picia? – Spojrzał wyczekująco na doktora.

Patkiewicz nalał wody do szklanki i podał rannemu. Seweryn pił bardzo wolno. Jerzy starał się zachować cierpliwość, ale Woronina prawie nosiło po pokoju.

– W każdym razie – odezwał się znowu aptekarz – matkę spotkały nieprzyjemności z tego powodu, że została w kraju. Kłóciła się z dziadkiem, który najpierw miał jej za złe ucieczkę ze ślubu, a później niewywiązanie się z obowiązków polskiej żony... Nie wytrzymała tego i kilka lat tułała się ze mną po różnych krewnych, aż wreszcie przyjechała do Warszawy. Tam, po kilku latach, wyszła za ojczyzna i zaznała wreszcie trochę spokoju.

– Kiedy zmarł pański ojciec? – zainteresował się Szuster.

– Podobno niedługo po dotarciu na miejsce zesłania. Szczerze mówiąc, matka zawsze była przekonana, że ktoś pomógł mu przenieść się na tamten świat.

– A co łączyło ją z Leonem Wyrzykowskim? – wtrącił się Aleksander.

– Wyrzykowski przyjaźnił się z ojcem, jeszcze w szkolnych czasach. Razem poszli do powstania, razem ich pojmano, ale dostali inne wyroki... Rozdzielili się w Permie.

– Dlaczego pański ojciec dostał aż dwadzieścia lat?

Na to pytanie Jerzy znał już odpowiedź, ale ciekaw był wyjaśnień Jedlińskiego.

– Tego nie wiem – westchnął Seweryn. – Naprawdę.

– A skąd matka wiedziała, że ojciec nie żyje? Ponoć krążyły plotki, że widziano go żywego.

– To długa historia – westchnął ranny.

– Mamy czas – zapewnił go Woronin. – Proszę mówić.

– Kiedy miałem kilka lat, pewnie z siedem... W każdym razie mieszkaliśmy już w Warszawie, moją matkę, która była jeszcze wdową, odwiedził jakiś mężczyzna. Nie zapamiętałem, jak się nazywał, ale matka go znała. Miała z nim długą rozmowę, a ja, jak to dziecko, zakradłem się do pokoju obok i podsłuchiwałem przez uchylone drzwi... Liczyłem, że dowiem się czegoś o ojcu, bo matka niechętnie o nim wspominała, za bardzo ją bolało... Otóż ten człowiek przekonywał matkę, żeby za niego wyszła. Nie zgodziła się, powtarzała, że nie

wierzy w śmierć ojca i że będzie czekać do skutku. Wtedy on pokazał jej jakiś dokument. Chyba akt zgonu ojca, bo zaraz się rozplakała. Chciała dostać ten papier, ale nie dał go jej. Pokłócili się okropnie i matka zagroziła, że powie znajomym, co zrobił. Niestety nie wspomniała, co to było takiego... Wtedy ten człowiek ostrzegł, że jeśli piśnie choć słowo, zabije nas oboje bez mrugnięcia okiem. Choćby po to, żeby mieć święty spokój. Kazał jej przypomnieć Wyrzykowskiemu, że też ma siedzieć cicho. Przeraziło mnie to, ale bardziej bałem się przyznać, że słyszałem rozmowę, więc przez kilka miesięcy miałem koszmary i chyba to sprawiło, że tak zapamiętałem tego człowieka. Potem długo był spokój, najwyraźniej nie wchodzili sobie w drogę... Dopiero teraz. Pewnie znowu się spotkali, matka nie wytrzymała i coś mu powiedziała... Jak ją znam, to pewnie, że opisze go w gazecie.

– Ale dlaczego zaatakował na balu? – zapytał Woronin.

– Może znowu się pokłócili, a może uznał, że to dobre miejsce. Tyle osób się kręci... Nie zdziwiłbym się, gdyby Wyrzykowskiego zabił na wszelki wypadek... A potem przypomniał sobie jeszcze o moim istnieniu. Ale żeby się upewnić, musiałby pan zapytać jego.

– Czy wczorajszy napastnik...

– Tak, to był na pewno on. Niewiele się zmienił. Najgorsze jest to, że spotkaliśmy się kilka dni temu... To znaczy, znajomy pokazał mi go w Ogrodzie Saskim, mówiąc, że to ojciec narzeczonej jego kuzyna. Podał nawet nazwisko, ale zapomniałem... Wydało mi się dziwne, że kiedy mnie zauważył, zmienił się na twarzy. Matka zawsze powtarzała, że jestem podobny do ojca. Z wyglądu jak dwie krople wody, ale z charakteru nijak... Pewnie dlatego mnie poznał. A ja dopiero wtedy, gdy zobaczyłem go z bliska... Ale ciągle nie wiem, kim jest i jak się nazywa.

– Mam wrażenie – odezwał się spokojnie Jerzy – że będę umiał panu pomóc.

## 2.

– Teniu!

Rozglądała się w poszukiwaniu dorożki, która podwiozłaby ją z kościoła Piotra i Pawła do domu, kiedy nieoczekiwaniu usłyszała znajomy głos. Odwróciła się

i dostrzegła, że Nowogrodzką, od strony ulicy Klaudyny jadą sanie, a w nich siedzi wuj Witold Osnowski.

– Wracasz do domu? – zapytał, kiedy pojazd przystanął. – Chętnie podwiozę. – Wstał i pomógł jej wsiąść, a kiedy zajęła miejsce na kanapie, usiadł obok niej. – Prosto do Marszałkowskiej – polecił woźnicy.

– Cieszę się, że wuj pozwolił Krysi wybrać sobie męża – powiedziała, chcąc oddalić przykry moment. A może szybko dojadą na miejsce i nie zdążą porozmawiać o jej sprawach? Do kościoła miała naprawdę blisko.

– Miałaś rację, to porządny chłopak. Spotkałem się z jego rodzicami i ustaliliśmy kilka kwestii... Ale prawdę mówiąc, chciałbym porozmawiać o twoim zamążpójściu.

– Czy wuj też będzie mnie odsądzał od czci i wiary? – zapytała hardo, patrząc ojczymowi w twarz. Była tak zła na rodzinę, że nawet jego nie zamierzała wyprowadzać z błędu w kwestii rzekomych zaręczyn. – Albo przekonywał, że zrujnują reputację Krysi i Celinie?

– Nie, nie o to mi chodzi. – Uspokajającym gestem dotknął jej dłoni. – Jesteś zbyt dorosła, abym mógł coś ci nakazać.

– Ale miałyby wuj ochotę?

– Nie powiem, żebym był zachwycony – westchnął. – Choć z drugiej strony to nie koniec świata. Wiem jednak, że wiele osób oburzy się twoim postępkim, a niektóre nigdy nie przejdą nad nim do porządku dziennego.

– Na przykład mama... Ale cokolwiek by wujowi opowiadała, Aleksander to porządny człowiek. Gdyby nie on, po śmierci ojca zostałybyśmy bez grosza i bez reputacji.

– Doprawdy? – Witold zdumiał się tak, jakby słyszał o tym fakcie po raz pierwszy.

– Odzyskał pieniądze, które ojciec po kryjomu wyniósł z banku, żeby rozwiązać rodzinne problemy.

– Nie, tego nie wiedziałem. Ale chciałem porozmawiać z tobą właśnie o twojej matce.

Sanie zatrzymały się, ponieważ dotarły już do skrzyżowania.

– Może wuj wejdzie?

– Spieszę się na spotkanie w interesach. Jeśli jednak mogłabyś posiedzieć tu ze mną przez chwilę...

– Dobrze. – Leontyna była ciekawa, co takiego zrobiła matka, skoro ojczym, który do tej pory nie mieszał się w jej sprawy, postanowił interweniować.

– Martwię się o Amelcię – powiedział z westchnieniem. – Od kiedy Rozalia powiedziała jej, że nie zamierzasz zerwać zaręczyn, prawie nie wychodzi z pokoju. Nic nie je i zaczynam się obawiać, że zachoruje... A ja muszę pilnie wyjechać z Warszawy. Nie wiem, co robić, więc może ty byś coś... Tieniu, proszę cię, przemyśl jeszcze raz swoją decyzję.

Leontyna westchnęła; nie miała pojęcia, jak delikatnie wyjaśnić ojczymowi, że matka właśnie ucieka się do starych metod perswazji, które tak doskonale sprawdzały się w przypadku pierwszego męża. Teraz próbowała zmusić jego, aby rozwiązał za nią problem, z którym sama nie potrafiła sobie poradzić – jako głowa rodziny miał przywołać do porządku krnąbrną pasierbicę.

„Niedoczekanie” – pomyślała, zaciskając pięści. Zaraz jednak posmutniała na myśl, że nie było przecież żadnych zaręczyn i kiedyś jej bunt będzie musiał się skończyć, a prawda wyjdzie na jaw.

Wtedy umrze ze wstydu.

### 3.

Aleksander nie spuszczał czujnego wzroku z Jerzego, który rozkładał właśnie na stole kajet z notatkami. Wiedział, że są blisko znalezienia zabójcy, wystarczyło tylko poskładać razem strzępki informacji, które zdołali zdobyć.

– Miałem rację. – Szuster podniósł głowę znad zeszytu i potoczył wzrokiem po zebranych. – Dokumenty dotyczące procesu panów Wyrzykowskiego i Jedlińskiego rozdzieliły się jakimś sposobem i drugą ich część znalazłem dopiero na wierzchu przedostatniej skrzyni.

– Jakie dokumenty? – Seweryn był tak zainteresowany, że podniósł się na łóżku, ale skarcony wzrokiem przez Patkiewicza, zaraz położył się z powrotem.

– Pański ojciec i jego przyjaciel zostali aresztowani w majątku Wólka Zachodnia w okolicach Płocka...



– Wiem – odparł zaraz ranny. – Matka kiedyś wspominała.

– Jak na pokłóconych, to dużo ze sobą rozmawialiście – mruknął z przekąsem Woronin. – Nie przestaję żałować, że nie udało mi się skłonić pana do zeznań. Powinienem był zamknąć pana w pudle i spuścić manto.

– Mówiłem, że bałem się o życie. – Jedliński spojrzał na niego z wyrzutem. – Gdybym wiedział, skąd może nastąpić atak, zaraz bym przyszedł do urzędu.

– Pozwolą panowie, że będę kontynuował? – Jerzy kulturalnie przywołał ich do porządku, a kiedy ucichli, wrócił do przerwanej opowieści: – Znalazłem zeznania właścicielki dworu, jej syna i ochmistrzyni. Właścicielka nie powiedziała prawie nic, ponieważ akurat była chora i wszystko przespała. Za to syn, którego zabrano razem z panem Adamem i panem Leonem, twierdził, że powstańcy przyszli do nich w nocy i bronią sterroryzowali służbę i jego. I że pański ojciec zastrzelił jednego ze służących. Gospodyni potwierdziła zeznanie swojego pana.

– To dlatego dostał większą karę – powiedział półgłosem Woronin. – A co stało się z gospodarzem?

– W jego dokumentach znalazłem informacje, że też poszedł pod sąd i nawet skazali go na pięć lat katorgi, ale kilka miesięcy później, w Cytadeli, odbyła się druga rozprawa i tamtejszy trybunał zmienił wyrok na konfiskatę całego mienia.

Młody Jedliński nie odpowiedział, tylko znowu uniósł się na łokciu, wbił wzrok w Szustra i zażądał:

– Niech pan mi wreszcie powie, jak nazywał się ten człowiek?!

Kiedy Jerzy wymienił imię i nazwisko, Seweryn na chwilę zamarł, a potem ciężko opadł na poduszkę i z jękiem zasłonił oczy rękami.

Aleksander zaś otworzył usta ze zdumienia i miał wrażenie, że nigdy więcej nie zdoła ich zamknąć.

#### 4.

– Z Olesia to jednak porządny chłop – oświadczyła z przekonaniem Agata, kiedy weszła do salonu z paterą pełną ciastek. Zastąpiła wnuczkę chyba tylko po to, aby móc podzielić się z chlebobawczynią opinią na temat Woronina. – Wiedziałam, że tylko gada po próżnicy i w końcu się oświadczy.

Leontynie zachciało się płakać; wieści o jej rzekomym zamążpójściu dotarły już do służby. Agata wyglądała na bardzo zadowoloną z takiego obrotu spraw. Ona zaś próbowała odkryć, co takiego zmieniło się w niej ostatnio, że bardziej od ewentualnego ślubu z Rosjaninem, obawia się tego, że ów ślub może nie dojść do skutku. Nie wiedziała też, co powie i zrobi, kiedy wreszcie spotka się ze swym rzekomym narzeczonym. Tym bardziej że nadal była na niego zła.

– Coś mi się widzi, że pani się nie cieszy. – Kucharka przyglądała się jej z niepokojem.

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nie chciała kłamać w żywe oczy, a nic na tyle prawdopodobnego, aby dało się uspokoić podejrzliwą Agatę, nie przychodziło jej do głowy.

Na szczęście do pokoju przydreptała Kazia.

– Ma pani gościa.

Zaniepokoiła się, ponieważ zaraz przyszło jej do głowy, że swoimi myślami ściągnęła Aleksandra. Choć może to i dobrze, spróbuje znaleźć w sobie tyle odwagi, aby rozmówić się z nim raz na zawsze.

– Przyszedł pan Bogusz – meldowała dalej pokojówka: – Czy mam poprosić?

Na dźwięk nazwiska przybysza poczuła zawstydzające rozczarowanie.

– Proś – powiedziała z rezygnacją. Po ostatniej wizycie doktora Siemaszki, który opuścił jej dom śmiertelnie obrażony odmową, obawiała się spotkania z kolejnym mężczyzną, który też wyobrażał sobie coś na jej temat.

– Dzień dobry. – Wacław Bogusz, jak zwykle nienagannie elegancki, przekroczył próg saloniku. W ręku dzierżył bukiet tuberoz, których intensywny zapach natychmiast wypełnił całe pomieszczenie.

Agata obrzuciła przybysza spojrzeniem pełnym dezaprobaty – którego on na szczęście nie zauważył, bo nie zwracał uwagi na służbę – i dopiero potem wyszła na korytarz. Zaiste każda pani domu w tym mieście uznałaby, że kucharka młodszej Burzyńskiej już dawno temu wlaźła jej na głowę.

– Miło mi widzieć panią. – Ukłonił się szarmancko i podał jej kwiaty.

– Dziękuję – odparła i już zamierzała wezwać pokojówkę, ale nauczona ostatnimi doświadczeniami Kazia już stała w progu, oburącz trzymając duży porcelanowy wazon wypełniony wodą.

– Czemu zawdzięczam pańską wizytę? – zapytała, kiedy tuberozy zostały ustawione na komodzie, a herbata nalana do szklanek.

Po raz kolejny uświadomiła sobie, że nie czuje się dobrze w towarzystwie tego mężczyzny. Nie umiała być przy nim sobą, tylko zachowywała się jak Królowa Śniegu albo nakręcana lalka.

– Nie chciałbym być wścibski – odezwał się po kilku chwilach milczenia – ale dotarły do mnie dziwne wieści. Czy to prawda, że zaręczyła się pani z tym rosyjskim policjantem, którego niegdyś tu spotkałem?

Czyżby dostrzegł właśnie pierwszą rysę na jej nieskazitelnym wizerunku, który hołubił w głowie? Nie miała nic przeciwko temu, pod warunkiem że zostawi ją w spokoju i pozwoli zająć się własnymi problemami.

– Panie Wacławie – odparła najbardziej uprzejmym tonem, na jaki mogła się zdobyć. – Zaręczyny to bardzo osobista kwestia. Czy moglibyśmy nie rozmawiać na ten temat?

Bogusz nic nie powiedział, tylko zacisnął usta w wąską kreskę i wbił w nią wzrok, którego się przestraszyła.

– A więc naprawdę wybiera się pani za mąż... – powiedział wreszcie tonem, w którym pobrzmiwała i kpina, i pogarda, i złość. – I będziemy o tym rozmawiać.

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, gdyż wcześniej żaden mężczyzna nie mówił do niej w taki sposób. Wiedziała, że powinna przywołać gościa do porządku, ale wstrząs sprawił, że nie była w stanie się odezwać.

– Ogromnie mnie pani rozczarowała – kontynuował ostrzejszym tonem. – Byłem pewien, że łączy nas coś szczególnego. Specjalne porozumienie. Byłem nawet gotów ożenić się z panią, a pani... pani wybrała ten moskiewski pomiot, tego...

– Pan się zapomina – wpadła mu w słowo, kiedy zdołała już wystarczająco ochłonać.

– Niech mi pani nie przerywa! – Uniósł ostrzegawczo palec. – Ma pani słuchać, co mówię!

– Nie życzę sobie...

– Milcz!

Nie, nie zamierzała znosić takiego traktowania, na dodatek we własnym domu. Podniosła się z fotela, spojrzała na Bogusza spod zmrużonych powiek i ręką

wskazała drzwi.

– Proszę wyjść!

Wstał, ale najwyraźniej nigdzie się nie wybierał. Co więcej, podszedł do niej i chwycił mocno za ramię. Zabolało. Nie zważając na to, spróbowała wyrwać się, ale był o wiele silniejszy. Przyciągnął ją do siebie, zmusił, aby spojrzała mu w twarz, a potem wycedził:

– Kokietowałaś mnie. Wabiłaś. Udawałaś damę... A potem wybrałaś byle kogo! Szubrawca, który nadaje się tylko do ścigania dziwek i złodziei, bo jest taki sam...

– Proszę...

– Nie przerywaj!

Ucichła. Bała się coraz bardziej, gdyż Bogusz patrzył tak, jakby zamierzał uderzyć ją w twarz albo zrobić coś jeszcze gorszego. Matko Boska, jak się uwolnić? Jak go stąd wyrzucić?

– Była już jedna, która coś takiego zrobiła. Skończysz jak ona.

Szarpnęła się, a on zaklął pod nosem, unieruchomił ją jedną ręką, a drugą uniósł do góry. Nie opuścił jej jednak, tylko otworzył szeroko oczy, patrząc na nią z czymś na kształt zdumienia, a potem zachwiał się nieoczekiwanie i runął jak długi na podłogę.

Dopiero wtedy dostrzegła Agatę, która niepostrzeżenie dostała się do pokoju i w ręku ścisnęła broń, której użyła przed chwilą. Była to, wypełniona do połowy, butelka denaturatu.

Leontyna trzęsła się niczym osika.

Nie wiedziała co robić ani co powiedzieć. Odruchowo zakryła usta rękami i – ze zdenerwowania, a z może z ulgi – wybuchnęła płaczem. Agata, nie wypuszczając z garści flaszki, podeszła bliżej i uspokajająco pogłaskała ją po ramieniu. Wtedy Leontyna rozszlochała się na dobre. Niczym mała dziewczyna szukająca pomocy i obrony przytuliła się do służącej.

– Cichaj, cichaj. – Agata gładziła ją po głowie tak, jak nigdy nie robiła tego matka. – Trza zaraz wołać policję... najlepiej Olesia. Zanim ten skurczybyk się obudzi.

## 5.

Gdyby Aleksander mógł zrobić to, na co miał w tym momencie największą ochotę, rzuciłby się Boguszowi do gardła i dusił, dopóki tamten nie wyzionie ducha. Irytował go spokój tego człowieka i jego pewność siebie, a świadomość, że nie tylko zamordował dwie osoby i ranił trzecią, ale także ośmielił się podnieść rękę na Leontynę, budziła w nim nieopisaną wściekłość.

Jerzy, który chyba nie miał złudzeń co do targających kolegą uczuć, zerkał na niego z obawą, ponieważ nie chciał żadnych awantur podczas przesłuchania. Woronin, zaciskając pięści, obiecywał sobie, że zrobi wszystko, aby nie pomieszać szyków sędziemu, który miał o wiele chłodniejszą głowę niż on.

Najważniejsze było to, że wreszcie złapali zabójcę.

Kiedy Szuster podał nazwisko syna właścicielki dworu w Wólce Zachodniej, Jedliński przypomniał sobie, że właśnie to miano usłyszał od kolegi, zaś Aleksander nie miał wątpliwości, że osobiście spotkał tego mężczyznę w mieszkaniu Leontyny.

Myśl, że morderca smali cholewki do jego ukochanej, tak dźgnęła go w serce, że natychmiast zażądał od Szustra nakazów aresztowania i rewizji, następnie zajrzał do Owsianki, do VII Cyrkułu, aby ustalić adres Bogusza – na szczęście okazało się, że mieszkał wraz z córką w Śródmieściu na Elektoralnej – i pojechał tam razem z kilkoma policjantami. Przyjęła ich zdumiona panna Gabriela, informując, że ojciec udał się akurat z wizytą do pani Burzyńskiej na Marszałkowską.

Tak więc Woronin zostawił u Boguszów Frołowa i czterech stójkowych, którzy mieli przeprowadzić rewizję, zaś sam zabrał resztę wsparcia i gnany paniką, pojechał do mieszkania Leontyny. Nie miał wątpliwości, że obrazu, który ukazał się tam jego oczom, nie zapomni długo. Tak samo jak uczucia obezwładniającej ulgi, które dopadło go, gdy przekonał się, że ukochana jest cała i zdrowa pod opieką Agaty Pietrowny.

Bogusz siedział więc teraz w pokoju przesłuchań urzędu śledczego i zachowywał się, jakby nie miał pojęcia, w jakim celu sprowadzono go w to miejsce, zaś jego adwokat, mecenas Kalicki, nie krył oburzenia, że wyrwano go z domowych pieleszy w porze, o której zwykł jadać podwieczorek z rodziną.

– Imię, nazwisko, otczestwo? – zaczął po rosyjsku Szuster, dając znak Frołowowi, aby od razu zaczął protokołować.

– Mój klient ma problem z językiem rosyjskim – oświadczył natychmiast adwokat.

Aleksander nie potrafił zliczyć, ile razy słyszał takie oświadczenie z ust podejrzanych.

– Służę pomocą i chętnie przetłumaczę, co trzeba – odezwał się po polsku, patrząc hardo na Bogusza.

Przez jakiś czas mierzyli się wzrokiem, wreszcie aresztowany uśmiechnął się kpiąco i rzucił po rosyjsku:

– Nader pan uprzejmy, komisarzu, ale może zaczniemy od tego, jakim prawem mnie tu trzymacie?

– Rozumiem, że może pan być oszołomiony po uderzeniu w głowę butelką denaturatu – odezwał się Szuster lodowatym tonem – więc dla porządku przypomnę, że podejrzewamy pana o zabójstwa Józefiny Majerowej i Leona Wyrzykowskiego oraz...

– Co za bzdura! – przerwał mu ostro Bogusz.

– Panie mecenasie. – Jerzy spojrział na Kalickiego. – Proszę pouczyć klienta, że ma grzeczniej odnosić się do sędziego śledczego, bo inaczej usłyszy kolejne zarzuty.

Mecenas pochylił się ku aresztowanemu i tłumaczył mu coś, czego Woronin nawet nie starał się usłyszeć. Kiedy skończył, powiedział do Szustra:

– Proszę pytać.

– Imię, nazwisko, otczestwo?

– Wacław Janowicz Bogusz.

– Data i miejsce urodzenia?

– 16 lutego 1836 roku, Wólka Zachodnia w płockiej guberni.

– Miejsce zamieszkania?

– Do czego to wszystko zmierza? Nikogo nie zabiłem!

– Jak na razie, zeznania i dowody mówią co innego – poinformował go posępnie Aleksander, z trudem panując nad złością.

– A to ciekawe... Zawsze myślałem, że gdybym kogoś zabił, pamiętałbym o tym.

– Zaraz odświeżymy panu pamięć. Seweryn Jedliński przeżył atak i zeznał bez najmniejszych wątpliwości, że to pan na niego nastawał.

Bogusz zmrużył oczy; jeśli informacja go zdziwiła, nie dał tego po sobie poznać.

– Co więcej – kontynuował Aleksander. – Szukaliśmy pana dziś w domu i pańska córka rozpoznała laskę, którą stróż zdołał panu wyrwać. Myślę, że on też sporo sobie przypomni, kiedy pokażemy mu sprawcę.

– Może pan oskarżyć mojego klienta – Kalicki spojrzał na Szustra – o awanturę z aptekarzem, który sprzedał mu nie ten lek, co należy. Słyszałem, że pan Jedliński słynie z pomyłek... To morfinista!

– Raczej naukowiec. Czasem sprawdza specyfiki na sobie.

– I pan mu wierzy? – zakpił adwokat.

– Nie mam powodu nie wierzyć – odparł Woronin. – Poza tym to nie on siedzi tutaj jako podejrzany. Nic pan nie ugra, upierając się przy swoim – zwrócił się do podejrzanego.

Bogusz zmierzył Szustra lodowatym spojrzeniem i rzucił niecierpliwie:

– Panie sędzio, biorę udział w tym cyrku, ponieważ nie mam wyboru, ale proszę nie wymagać, żebym znosił jeszcze tego błazna. – Zerknął znacząco na policjanta.

– Pan się zapomina – napomniął go Jerzy, zaś Aleksander zacisnął mocno zęby, aby nie wyrwało mu się ani jedno słowo z litanii tych, które miał ochotę wypowiedzieć. Mimo zdenerwowania nie umknęło jego uwadze, że Bogusz żywił do niego wyjątkowo wrogie uczucia. Czyżby chodziło o Leontynę? Czy on także słyszał o ich rzekomych zaręczynach?

– Z panem będę rozmawiał – zapewnił Szustra przesłuchiwany – choć ma pan mleko pod nosem.

– Panie Waclawie, proszę grzeczniej. – Mecenas załamał rękę. – Bo inaczej pana nie wybronię.

– A myślałem, że jest pan jednym z najlepszych adwokatów w tym mieście. Zaczynam żałować, że nie zatrudniłem Rozenbluma.

Kalicki sapnął z irytacji, a potem zacisnął wargi w cienką kreskę, co chyba miało oznaczać, że nie zamierza brać na siebie odpowiedzialności za wybryki klienta.

– Porozmawiamy teraz o zabójstwach Józefiny Majerowej i Leona Wyrzykowskiego – powiedział twardo Jerzy. – Śledztwo wykazało, że łączą się ze

sobą, a ja zamierzam udowodnić panu oba.

– Wolne żarty. – Bogusz znowu spojrzął z wyższością na młodego sędziego. – Dlaczego niby miałbym ich zabijać?

– Mam co do tego pewną teorię, ale wolałbym usłyszeć wyjaśnienia od pana.

Aleksander, który z trudem zachowywał milczenie, pomyślał, że szczerze podziwia opanowanie kolegi.

– Myśli pan, że gdybym był winny, choć oczywiście nie jestem, to podałbym panu na tacy motyw zbrodni? Panie sędzio, przestańmy żartować – dodał po chwili zniecierpliwionym tonem. – Albo przedstawia pan dowody, albo proszę mnie stąd wypuścić. Mam zobowiązania towarzyskie, które powinienem wypełnić. A jeśli w wyniku skandalu ucierpi reputacja moja i mojej córki, będziecie mieli duży kłopot. Pan nie wie, z kim zadarł! Aha, i zamierzam złożyć skargę na tę bezczelną babę, która śmiała uderzyć mnie w głowę.

– Jeśli chodzi o dowody... – Jerzy puścił mimo uszu pogroźki podejrzanego i zaczął starannie rozkładać dokumenty. – W mieszkaniu w pańskich dokumentach znaleźliśmy akt zgonu pana Adama Jedlińskiego, zapewne ten sam, który zdaniem syna pokazywał pan kiedyś pani Józefinie. Skąd pan go wziął?

– Nie pamiętam.

– Ale może za to przypomni sobie pan, że w grudniu 1863 roku, po bitwie pod Zyckiem, w majątku pańskiej matki wojsko pojmało Adama Jedlińskiego i Leona Wyrzykowskiego? – zapytał Aleksander.

– Przywlekli się do nas, ale zaraz dopadli ich dragoni ścigający niedobitki buntowników – warknął w odpowiedzi Bogusz. – Mnie zabrali do więzienia razem z nimi. Przez ich głupotę straciłem wolność i majątek! Musiałem dorabiać się prawie od zera.

– Jakoś szybko wypuścili pana z Cytadeli – indagował go dalej Aleksander. – A po śmierci pańskiej matki majątek skonfiskowano, ale Sybiru pan nie zobaczył. Co to było? Łapówka? Znajomości?

– Mecenasio. – Bogusz zwrócił się do Kalickiego. – Zrób pan coś z tym bezczelnym łapsem, bo nie zdzierzę!

– I co? Rozbije mi pan głowę? – dopytał ironicznie Woronin, zanim adwokat otworzył usta. – Czy poderżnie gardło?



– Panowie! – huknął Szuster tak nieoczekiwanie, że oskarżony i policjant, natychmiast umilkli. – Czy przyznaje się pan do zamordowania Józefiny Majerowej? – spojrzał zimno na Bogusza.

– Nie.

– Groził pan Leontynie Burzyńskiej – wtrącił się znowu Woronin, który nie mógł nawet chwili wysiedzieć w spokoju. – Twierdząc, że skończy jak pewna dama, która też śmiała pana odrzucić. Czyżby chodziło o panią Józefinę?

– Wierzy pan kobietom? – Przesłuchiwany, który zdołał się uspokoić, popatrzył na niego kpiąco, ignorując całkowicie ostatnie pytanie. – Wszystkie to histeryczki i kłamczuchy. Same proszą się, żeby zrobić z nimi porządek. Ach, byłbym zapomniał – dodał po chwili z politowaniem – pan zakochany, więc nie dziwi, że daje się wodzić za nos tej kokietce.

Mecenas Kalicki wyglądał, jakby miał zaraz paść powalony atakiem apopleksji, a Woronin zmrużył oczy i uniósł się na krześle.

– Siadaj. – Jerzy spojrzeniem przygwoździł go w miejscu. – Jeszcze jedno słowo i stąd wylatujesz!

Aleksander, choć nadal wzburzony, posłuchał, zaś młody sędzia wbił wzrok w przesłuchiwanego i oświadczył:

– Zarzuty przedstawi panu prokurator na podstawie dokumentów, które mu przekażę. I radzę przełożyć zobowiązania towarzyskie na czas nieokreślony. Najbliższe tygodnie spędzi pan w areszcie, a potem... Potem to sąd zadecyduje.

– Skandal! – grzmiał Bogusz. – Napiszę skargę do samego oberpolicmajstra. A jak będzie trzeba, to i do gubernatora! Albo i cesarza! A pan? – Spojrzał wściekle na mecenasa Kalickiego. – Czemu pan nic nie robi?

– Jak zobaczą zarzuty, to wtedy... – zaczął prawnik, ale nie dokończył zdania, bo klient rzucił w niego kałamarzem, który był na szczęście szczelnie zakręcony.

– Zwalniam pana!

– Frołow! – Szuster, nic sobie nie robiąc z morderczych spojrzeń rzuconych przez aresztowanego, zwrócił się do policjanta, który do tej pory próbował wylapywać z tej beładnej rozmowy zdania mające sens. – Proszę wezwać strażników i zaprowadzić podejrzanego do celi.

– Pożalujecie obaj – warknął Bogusz, kiedy chwilę później w asyście policjantów opuszczał pokój przesłuchań.

Aleksander i Jerzy zostali sami. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, obaj umęczeni sceną, która rozegrała się tu przed chwilą. Pierwszy odezwał się Woronin:

– Niewiele brakowało, a byłbym mu coś zrobił.

– Wyobraź sobie, że zauważyłem – rzucił Szuster z przekąsem. – I przysięgam, jak to się powtórzy, naprawdę wyrzucę cię z sali. Choćby mieli odebrać mi sprawę.

– Zwykle nie unoszę się aż tak, ale... sam wiesz. Swoją drogą – zmienił szybko temat – dawno nie widziałem podejrzanego, który tak by się zapierał.

– Ma dużo do stracenia, dlatego wcale mu się nie dziwię. Zresztą to chyba człowiek nawykły do stawiania na swoim.

– Lubi mieć kontrolę – stwierdził z przekonaniem Aleksander. – Majerowa i Wyrzykowski coś o nim wiedzieli i kiedy tylko pojawiło się ryzyko, że mogliby to ujawnić, uciszył ich na zawsze. Dałbym wiele – dodał z westchnieniem – aby dowiedzieć się, co naprawdę zaszło w tej przeklętej Wólce. Tyle że on nam tego nie powie.

– Cokolwiek się wydarzyło, zabił dwie osoby i mało brakowało, żeby trzecią też wysłał na tamten świat – oświadczył Szuster z przekonaniem. – I powinien za to odpowiedzieć, nawet jeśli nic nie wiemy o jego motywach.

– A jeśli się wykręci? – mruknął policjant. – Ma pieniądze i zapewne kontakty. Wiesz przecież, że nawet mnie się udało – zakończył prawie szeptem.

– Ty się broniłeś, więc nie śmiej porównywać go ze sobą – oburzył się Jerzy. – Bogusz działał z premedytacją. Choć ta stłuczona butelka świadczy, że w przypadku Józefiny musiał skorzystać z nadarzającej się okazji... I nie martw się, mam tyle dowodów i poszlak, że prokurator tego nie odrzuci.

– Ale w sądzie...

– Na sąd nie mamy żadnego wpływu. Ale jak prasa to podchwyci i warszawskie plotkarki, wybuchnie taki skandal, że chyba nikt nie odważy się zatuszować sprawy.

– Chyba masz rację. Fryze z „Kuriera Porannego” wyciśnie z tego, ile się da. Tym bardziej że chodzi o jego dziennikarkę. – Woronin starał się pocieszyć samego siebie; przepychanki z Boguszem sprawiły, że uleciała z niego cała energia i przyszłość wydawała mu się wielką i raczej ponurą niewiadomą.

– W każdym razie zrobiliśmy swoje i wreszcie będę mógł wyspać się porządnie po tym grzebaniu w archiwum.

– Dobrze się spisałeś.

– Wiem. Rozumiem, że mam powiedzieć, że ty też?

Aleksander zaśmiał się cicho.

– A właśnie – przypomniał sobie Jerzy, kiedy zaczął porządkować swoje papiery.

– Doszły mnie słuchy, że wreszcie żenisz się z Leontyną. To prawda?

– Słyszałeś o tym od Katarzyny Osipowny?

– Tak. I chyba jeszcze od kogoś.

Michaił ostrzegał go, że plotki rozpełzną się po mieście w try miga, nie przypuszczał jednak, że tempo będzie tak zawrotne. Leontyna pewnie już o tym słyszała; dziś, podczas aresztowania Bogusza, zachowywała się wobec niego z rezerwą. Kładł to na karb zdenerwowania, ale może była obrażona?

– Pozwól, że kiedy indziej odpowiem ci na to pytanie.

– Rozumiem – odparł Jerzy, który chyba naprawdę pojął, o co chodzi. – Idziesz do domu?

– Nie. Muszę załatwić jeszcze jedną sprawę.

## 6.

Leontyna piła chyba czwartą melisę przygotowaną przez Agatę, ale wciąż nie doszła do siebie po wydarzeniach dzisiejszego popołudnia. Trzęsła się w środku, a nerwy, zamiast opaść, wciąż napinały się do ostatnich granic. Wiedziała, że tej nocy nie zmruży oka, a nawet jeśli jakimś cudem zdoła przysnąć na moment, będą śniły się jej koszmary. Wolała więc nie kłaść się w ogóle i uspokoić myśli, które przemykały przez jej głowę, jedna za drugą, raniąc niczym dokuczliwe igły.

„Bogusz... – Na jego wspomnienie, zacisnęła pięści. – Cóż za podły człowiek. Podły, okrutny i straszny”.

Od zawsze wiedziała, że mężczyźni uważają się za lepszych od kobiet, a swą pogardę lub lekceważenie maskują pozłotkiem dobrego wychowania, ale po raz pierwszy w życiu ktoś tak ją upokorzył. A przy okazji uzmysłowił, że jest zdana

wyłącznie na siebie. Nie miała męża, który by ją obronił, ani nawet ojca lub brata, więc osobnicy tego pokroju uważali, że mogą bezkarnie ją obrażać.

Wieść, że jej niechciany konkurent to morderca, którego aż dwa razy o mało nie przyłapała na gorącym uczynku i którego tak uparcie poszukiwał Aleksander z Jerzym, wytrąciła ją z równowagi, a przez głowę przemknęła myśl, że być może Bogusz zainteresował się nią, aby trzymać rękę na pulsie śledztwa prowadzonego przeciwko niemu.

Jak mogła nie zauważyć niczego podejrzanego? Powinna była! Przecież rozmawiała z nim wielokrotnie. W jego towarzystwie czuła się niezręcznie, ale tłumaczyła to jego przesadną, wręcz teatralną uprzejmością, niechcianymi zalotami oraz różnicą wieku. W przyszłości musi bardziej wsłuchiwać się w głos intuicji.

Choć z drugiej strony ta sama intuicja podpowiadała jej nieustannie, że Aleksander Woronin, który swoją bezmyślnością wpakował ją w okropną kabałę, to najważniejszy mężczyzna w jej życiu.

Z zadumy wyrwały ją odgłosy rozmowy dochodzące z korytarza. Godzina była późna, ale ktoś postanowił złożyć jej wizytę jeszcze tego wieczoru. Słyszała wyraźnie gderliwy głos Agaty, radosne szczebiotanie Joasi, spokojne napominania bony i cichy męski śmiech, a wreszcie znajomy głos.

Ściągnęła wilka myślami.

Przyszedł tu późnym popołudniem – jakimś cudem, zanim ktokolwiek zdążył go wezwać – wraz z kilkoma policjantami i aresztował Bogusza. Rozmawiali tylko o sprawie i zanim opuścił mieszkanie, ukradkiem uścisnął jej rękę. Myślała, że już nie wróci. Zostawi ją w spokoju. Pozwoli skleić to, co roztrzaskał. A on pojawił się znowu.

Odstawiła filiżankę, uniosła się z fotela i podeszła do drzwi. Uchyliła je i w milczeniu przyglądała się, jak Aleksander przekomarza się z jej córką, która – w nocnej koszulinie i boso – paplała jak nakręcona o dzisiejszej wyprawie do Doliny Szwajcarskiej.

– Joasiu – powiedziała z przyganą, kiedy wreszcie udało się jej wpaść małej w słowo. – Dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Ależ mamciu. – Dziewczynka złożyła rączki i popatrzyła na nią błagalnie. – Pan Oleś przyszedł, to tylko wyjrzałam.

– Przywitałaś się i możesz już wracać do łóżka... Pani Broniu – zwróciła się do bony. – Proszę ją położyć, bo zaraz się przeziębii.

Joasia miała zawiedzioną minę, ale nie protestowała. Pożegnała się grzecznie z gościem, wzięła opiekunkę za rękę i podreptała do swojego pokoju. Agata zaś, co chwila oglądając się za siebie, oddaliła się w stronę kuchni.

– Dobry wieczór. – Aleksander ukłonił się jej uprzejmie.

– Czy coś się stało? – zapytała chłodno. – Nie spodziewałam się ciebie o tak późnej porze.

– Możemy porozmawiać? Obiecuję, że nie zajmę wiele czasu.

Rzeczywiście, powinni wyjaśnić sobie kilka kwestii. Wstyd, nie wstyd – po dzisiejszym dniu było jej obojętne, co sobie o niej pomyśli.

Cofnęła się do pokoju. Woronin wszedł za nią i zamknął starannie drzwi.

– Chciałem przekonać się, czy wszystko w porządku – zaczął półgłosem. – Bogusz, to niebezpieczny człowiek.

Leontyna nerwowo przełknęła ślinę. Nadeszła pora, aby bez względu na konsekwencje powiedzieć mu całą prawdę.

– Nic nie jest w porządku – rzuciła twardo. – Przez ciebie.

– Co się stało? – Spojrzał na nią z niepokojem, a ona dopiero w tym momencie spostrzegła, że ostatnie dni śledztwa musiały porządnie dać mu się we znaki: był blady, nieogolony, a pod oczami miał cienie ze zmęczenia. Tyle że zupełnie jej to nie interesowało.

– Jeszcze pytasz?! Wtrącasz się w moje sprawy! Grozisz mojej ciotce! Prowokujesz plotki! Nic nie jest w porządku!

– Lenoczka. – Był zaskoczony jej wybuchem, ale starał się zachować spokój. – To nie tak. Pozwól, że wytłumaczę.

– A jest na to jakieś wytłumaczenie?!

– Posłuchaj! – Chwycił ją za ramiona i przysunął się tak blisko, że musiała spojrzeć mu w oczy. Była wściekła, ale nie potrafiła go odepchnąć.

– Dobrze – rzuciła. – Mów, co masz do powiedzenia.

– Wiem, że powinienem był zapytać – zaczął łagodniejszym tonem. – Popełniłem błąd i przepraszam. Myślałem, że mnie łatwiej będzie załatwić tę sprawę.

– Dlatego groziłeś Burzyńskim?!

– Złożyłem im propozycję.

– Jaką znowu propozycję?! Zapewne nie do odrzucenia?

– Ja...

– Przysięgnij, że to nie był szantaż! Na życie swojego ojca! Przysięgnij.

– Nie mogę. – Nerwowo przygryzł wargę.

– Wiedziałaś – rzuciła z tryumfem. – Czym im zagroziłeś, że w takim popłochu wycofali sprawę?

– Powiedziałem twojemu wujowi, że jeśli przekona żonę do rezygnacji z procesu – zaczął niepewnie po chwili milczenia – to dopilnuję, żeby jego wierzyciele jednocześnie nie zażądali spłaty długów. Pan Ksawery często latami zwleka z oddawaniem pożyczek albo należności, nie przejmuje się nawet odsetkami, więc kontrahentom kończy się cierpliwość.

Tak, to akurat mogła być prawda. Kilka lat temu po Odessie krążyły pogłoski na temat długów wuja, ale kiedy zapytała o nie Janusza, wytłumaczył jej, że nie dzieje się nic poważnego. Przeglądając księgi handlowe już po jego śmierci, nabrała jednak podejrzeń, że coś było na rzeczy; mąż spłacił najpilniejsze zobowiązania, ponieważ zła reputacja ojca uderzała także w jego interesy.

– Rozumiem, że gdyby wuj nie przekonał ciotki, dopilnowałbyś, żeby zbankrutował i stracił opinię? – Widząc jego niepewną minę, domyśliła się, że trafiła w dziesiątkę. – Jakim cudem masz taki wpływ na tych wierzycieli?

– Burzyński najwięcej jest winien Wyrzykowskiemu, a potem mojemu ojcu. Szwagier przejmuje firmę i bardzo chce odzyskać zaległe należności. A co do rozmowy z twoją ciotką... – zawahał się.

– Mów – ponagliła go. – Chcę wiedzieć wszystko.

– Pani Oktawia zapytała mnie wprost, czy zamierzam cię poślubić. Odpowiedziałem wymijająco, ale ona zrozumiała to, co najwyraźniej chciała zrozumieć. Pewnie trudno było jej przyznać, że wycofuje pozew przez męża, który nagminnie zapomina o spłacie długów. Wersja o synowej wychodzącej za Moskala, który terroryzuje rodzinę, brzmi o wiele lepiej. I stąd musiała wziąć się ta niefortunna plotka – zakończył z rezygnacją.

– Niefortunna plotka?! Tą, twoim zdaniem, niefortunną plotką zniszczyłeś mi życie!

– Lenoczka... Broniłem ciebie i dziecka – oświadczył z mocą, a potem chwycił ją za rękę i nieoczekiwanie zapytał: – Zostaniesz moją żoną?

– Co takiego?! – zapytała ze zdumieniem, gdyż miała wrażenie, że się przesłyszała. Ale znalazł sobie porę na oświadczyny.

– Leontyno Wiktorowna, proszę, aby została pani moją żoną – oświadczył oficjalnym tonem, klękając na jedno kolano. Nie spuszczał z niej przy tym spojrzenia pełnego determinacji.

Cóż, w odróżnieniu od wuja Ksawerego, Aleksander Woronin zawsze regulował swoje zobowiązania. Nawet te zaciągnięte przypadkiem.

– Wstań natychmiast – zażądała. – Nie jesteś nic mi winien. Poukładałam jakoś ten bałagan.

– Będę klęczał, póki się nie zgodzisz.

– Wstawaj! – rzuciła ostro. – Nie chcę litości.

– O czym ty mówisz? – zapytał, podnosząc się z ociąganiem. – O jakiej litości?

– Nie musisz żenić się ze mną, bo uważasz, że to twój obowiązek – wyłożyła sprawę tak, że chyba nie dało się jaśniej. – I nie decyduj za mnie. – Zacisnęła zęby. W jej mniemaniu temat został zakończony.

Aleksander najwyraźniej uważał inaczej, ponieważ wpatrywał się w nią ogromnymi, pociemniałymi oczami i z każdą chwilą robił się coraz bledszy. Wreszcie odezwał się po rosyjsku i z goryczą w głosie:

– Rozumiem, o co ci chodzi.

– O co? – Spojrzała na niego hardo, odruchowo przechodząc na jego język.

– Nie umiesz powiedzieć prawdy!

– Jakiej znowu prawdy?!

– Wstydzisz się mnie, czy tylko znudziła cię zabawa w zakazany owoc?

– Bzdura! – Otworzyła szeroko oczy. Co on w ogóle opowiadał?

– Bzdura?! – Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. – Od lat nie widzę za tobą świata. Opowiadam kłamstwa, łamię prawo, kombinuję, żeby cię ochronić! Nie mam żalu, że zawsze wszystko jest ważniejsze ode mnie. Zadowolam się ochłapami. Czekam, aż będziesz gotowa mnie poślubić. Ale widzę, że się nie doczekam! Dla ciebie zawsze będę obcy. Możesz z ciekawości iść ze mną do łóżka,

ale pokazać się publicznie, już się wstydzisz. Bo cóż by powiedziała twoja szanowna mamusia?!

– Saszka... – zaczęła ostrzegawczo, ale nie pozwolił jej dojść do słowa.

– Nie owijaj w bawełnę – kontynuował półgłosem, a w oczach miał tyle żalu, że coś zaczęło drapać ją w gardle. – Wygoń mnie. Powiedz, że nie będzie małżeństwa. Że nie ma żadnej miłości. Jak to usłyszę, pójdę sobie raz na zawsze. Będzie wreszcie święty spokój!

– Sasza, czego naprawdę chcesz ode mnie? Powiedz wreszcie!

– Chcę cię za żonę. Chyba wiesz... – Nie puszczając jej dłoni, przysunął się bliżej i spojrzał prosto w oczy. – Musisz wiedzieć. Od samego początku.

Leontyna jęknęła w duchu. Kochała tego człowieka, bez względu na to, co by nie nawyrabiał, ale chwilami brakowało jej do niego siły.

– Skąd miałam o tym wiedzieć? – zapytała cicho. – Nie wspomniałeś ani słowem. Czekałeś, aż sama zapytam?

– Powiedziałaś mi, że nie zamierzasz niczego ze mną planować.

– Kiedy tak powiedziałam? – spytała ze zdumieniem. – Zabij mnie, ale nie pamiętam.

– Kiedy przyszedł do mnie pierwszy raz... – Odsunął się od niej. – Próbowałem porozmawiać o przyszłości.

– Ach, wtedy... – mruknęła, wracając pamięcią do rodzinnej awantury po balu w Ratuszu i swojej desperackiej decyzji, aby zamiast do domu, pojechać do niego. – Sasza, to tamtego dnia nie chciałam nic planować – wyjaśniła z westchnieniem. – Byłam wykończona, a tobie akurat zebrało się... I dlatego później nie wspominałeś o ślubie? Byłam pewna, że wystarczy ci romans.

– Ja? Rozmyśliłem się? Romans? Oświadczyłem się o twoją rękę... – rzucił urażonym tonem. – Dwa razy.

– Mojej matce! Siedem lat temu! Przez ten czas pięć razy mogłeś zmienić zdanie. W tym mieście nie brakuje tancerek.

– Ja nigdy... To ty...

– Twierdzisz, że cię nie kocham? – przerwała mu natychmiast. – Robiłam, co mogłam, żebyś odzyskał wolność. Ani przez chwilę nie wierzyłam w twoją winę!



Nie dbałam o reputację swoją ani rodziny. Naraziłam się na gniew matki i małżeństwo wbrew woli... Jeśli to nie miłość, to nie wiem, co takiego.

Przyglądał się jej w milczeniu.

– Gdybyś wtedy po wyjściu z Ratusza zapytał mnie... Gdybyś spróbował przekonać... Pewnie uciekłabym z tobą. Ale znowu cię aresztowali. Zostałam sama i nie umiałam się obronić.

– Chciałem przegryźć kraty, żeby nie dać ci wyjść za Janusza – odezwał się wreszcie.

– Ale mi pociecha – mruknęła kpiąco. – A teraz znowu jesteś i kłopoty zaczęły się od nowa. Dla ciebie złamałam zasady... zapomniałam, czego mnie uczono. A ty sprowokowałeś plotki i znowu zostawiłeś mnie samą!

– Nie zostawiłem. – Znowu zaczął mówić po polsku, pewnie trochę się uspokoił. – Nie sądziłem, że rozmowa z twoją ciotką przyniesie takie konsekwencje.

– Nie mam już rodziny, a znajomi na mój widok przechodzą na drugą stronę ulicy. Przekonałam się, że nikt o mnie nie dba... A wiesz, co jest najdziwniejsze? – dodała, zanim zdążył zaprzeczyć; w sumie było jej już wszystko jedno. – Nie zrobiłam nic, żeby powstrzymać tę lawinę. Nie przyznałem się nikomu, że wcale nie zaproponowałem mi małżeństwa. Chyba chciałam, żeby sprawy zaszły tak daleko... Żebym nie mogła się cofnąć. Jeśli tylko zapytasz. Szczerze.

Stali naprzeciwko siebie w milczeniu przez kilka chwil. W końcu Aleksander zebrał się na odwagę, uniósł rękę. Kciukiem dotknął jej ust i łagodnie obrysował ich kontur. Wpatrywał się w nią intensywnie i chyba zamierzał coś powiedzieć, ale nie zdążył, ponieważ drzwi skrzypnęły rozdzierająco i do pokoju wbiegła Joasia, wystraszona i bliska łez.

– Dziecko, czemu nie śpisz? – Leontyna natychmiast rzuciła się ku małej. – Co się stało? Gdzie pani Bronia?

– Zasnęła, a mamcia tak krzyczała. I pan Oleś krzyczał. – Dziewczynka przytuliła się do niej z całej siły, trzęsąc się przy tym niczym osika. – Boję się.

– Już dobrze – mówiła uspokajającym tonem, pochylając się na córkę i głaszcząc ją po głowie. – Omawialiśmy z panem Woroninem ważne kwestie. Widzisz przecież, że nie dzieje się nic złego.

– Wszystko jest w najlepszym porządku. – Aleksander, który zbliżył się do nich, pogłaskał małą po głowie. – Zdecydowaliśmy właśnie, że mama wyjdzie za mnie za

mąż.

Leontyna zamierzała skarcić go za zbytnią śmiałość, ale gdy zobaczyła wyraz jego twarzy, zrezygnowała. Pragnęła go poślubić, nawet w cerkwi, i dała mu to jasno do zrozumienia. Najwyższa pora, aby przestać udawać, że jest inaczej.

– Naprawdę? Naprawdę, mamciu? – dopytywała dziewczynka, u której w jednej chwili strach zamienił się w ekscytację. – Kiedy?

– Jak najszybciej – odpowiedziała, spuszczać wzrok.

– Będę mogła sypać kwiatki?

– A pewno, że będziesz mogła – odpowiedziała Agata, która nieoczekiwanie zajrzała do pokoju; zaskoczona Leontyna wołała nie myśleć, że kucharka przez cały czas stała za drzwiami. – Ślub ma być porządny! Bo z oświadczynami... – Spojrzała na Aleksandra i z dezaprobatą pokręciła głową. – Oleś wcale się nie postarał. Ani to kwiatów, ani nawet pierścionka.

## 7.

Wieczorna rozmowa z wujem Osipem sprawiła, że Jerzy odzyskał pewność siebie nadwyreżoną bezczelnym zachowaniem aresztowanego Bogusza. Wuj, wysłuchawszy jego wyczerpującej relacji, uznał, że dowody, które znaleźli z Woroninem, uzasadniają oddanie sprawy do sądu i że żaden ze znanych mu prokuratorów nie powinien kręcić na nie nosem.

Wiele więc wskazywało, że choć nie zdołał dokopać się do jednoznacznych motywów, jego pierwsze śledztwo zakończyło się sukcesem.

Pożegnał się z wujostwem i poszedł do swojego pokoju, aby wreszcie położyć się spać, ale kiedy zapalił lampę, jego wzrok padł na list leżący na szafce nocnej. Na kopercie widniały szwajcarskie stemple oraz wypisane kaligraficznym pismem jego imię, nazwisko i adres Sądu Okręgowego w Warszawie.

Od kilku dni nie mógł zdecydować się, aby ją otworzyć, ale chyba nadeszła właściwa chwila.

Rozejrzał się za nożem do papieru, rozciął kopertę, wyjął kartkę i ostrożnie ją otworzył, chcąc dowiedzieć się, co miała mu do powiedzenia młodsza panna Rapacka, której nie widział od ponad ośmiu lat.

*Drogi Jerzy,*

*mam nadzieję, że nie ma Pan mi za złe takiej poufności i przez wspomnienie przyjaźni, która łączyła nas niegdyś, nadal mogę tak Pana nazywać.*

*Wiem od Teni, że skończył Pan z sukcesem studia i praktykę, a po powrocie do Warszawy objął stanowisku sędziego śledczego w Sądzie Okręgowym. Nie potrafię opisać, jak bardzo ucieszyła mnie ta wiadomość. Oznacza ona bowiem, że zrealizował Pan swoje plany, o których niegdyś mi opowiadał.*

*Ja także jestem bliska osiągnięcia celu. Medycyna okazała się moim powołaniem i nie wyobrażam sobie, że zamiast leczyć ludzi, mogłabym teraz chodzić na przyjęcia, martwić się, czy fryzjer przyjdzie na czas, a potem na polecenie matki wdzięczyc się do mężczyzn, którzy nie są warci, aby zamienić z nimi choć słowo.*

*Nie wie Pan, jak jestem mu do tej pory wdzięczna, że nie tylko pomógł mi przetrwać najgorszy czas po śmierci ojca, ale zobaczył we mnie coś więcej niż twarz. Dzięki Panu uwierzyłam, że wcale nie muszę być ozdobą salonów i mogę osiągnąć coś więcej. Po śmierci brata, której powody zna Pan doskonale, utwierdziłam się w przekonaniu, że chcę zostać lekarką; przez długi czas myślałam, że gdybym tylko potrafiła, mogłabym go wtedy uratować.*

*Jerzy, próbuję napisać, że przez te wszystkie lata nie poznałam nikogo, kto byłby tak dobry i mądry jak Pan, i kto rozumiałby mnie tak jak Pan. Liczę więc, że w przyszłości będę znowu cieszyć się Pańską przyjaźnią.*

*Z wyrazami sympatii i szacunku,*

*Helena Rapacka*

*Przeczytał list kilkakrotnie, za każdym razem zadając sobie pytanie, czy dziewczyna, której mimo rozłąki nie umiał zapomnieć, naprawdę próbuje powiedzieć mu między wierszami, że to ostatnie marzenie, które wyjeżdżając na studia do Dorpatu, uznał za nierealne, też ma szansę kiedyś się ziścić?*

*A może jednak wyobrażał sobie zbyt wiele?*

## MAZOWSZE, OKOLICE PŁOCKA, GRUDZIEŃ 1863 ROKU

Odgłosy bitwy nie cichły od wczoraj. Wybuchy głośnie niczym uderzenia piorunów i karabinowe wystrzały budziły przerażenie domowników. Wydawało się, że Zyck, w którego okolicach powstańcze oddziały ścierały się z carskim wojskiem, leży nie kilkanaście wiorst od Wólki, ale tuż obok, za miedzą i tylko czekać, aż rosyjscy żołdaci wyłonią się z mroku nocy i zajmą cały folwark.

Wreszcie po wielu dłużących się, niczym dni, godzinach piekielny hałas zaczął stopniowo milknąć i tylko z rzadka dało się słyszeć charakterystyczne klaśnięcia pojedynczych wystrzałów. Na koniec zapadła cisza.

Wacław Bogusz odetchnął z ulgą, a potem poszedł do wsi i rozkazał wystraszonym chłopom pozamykać dokładnie stajnie, obory, spichlerze i inne możliwe schowki, a potem pochować się w chałupach i nie wyściubiwać z nich nosa aż do rana.

Rzucili się pospiesznie wykonywać jego polecenia, a kiedy skończyli, osobiście sprawdził, czy wszystko zostało zrobione, jak należy. Następnie wrócił do dworu, zwołał całą służbę – wszystkiego dziesięć osób – i przykazał Ambrożemu zamknąć drzwi na klucz i mocno podeprzeć je drągiem. Zdawał sobie sprawę, że od strony Zycka wyruszyły już wojskowe patrole mające tylko jeden cel – co do nogi wylapać buntowników, którzy zdołali uciec z pola bitwy.

Co prawda, człowiek chcący dotrzeć aż do Wólki musiałby wyróżniać się nie lada determinacją, ale Wacław wołał dmuchać na zimne; gdyby Rosjanie w którymkolwiek z folwarcznych budynków znaleźli rannego albo uzbrojonego powstańca, zaraz i jego oskarżyliby o wspieranie rebelii. A tymczasem on starał się nie mieć z nią nic wspólnego. Od wielu miesięcy przeklinał nieodpowiedzialność i szaleństwo rodaków, którzy zamiast pogodzić się z losem, którego nic nie mogło odmienić, znowu porwali się z motyką na słońce.

Bogu dzięki noc mijąca spokojnie. Matka, która dopiero co przeszła ciężkie zapalenie płuc, zdołała wreszcie zasnąć. Ochmistryni, gotowa na każde wezwanie chorej, odmawiała półgłosem różaniec, a reszta wciąż poruszonej ostatnimi wydarzeniami służby kręciła się po kuchni. Waclaw poczuł zaś, że zaczyna morzyć go sen. Nic dziwnego, nie zmrużył oka od ponad doby. Nie zamierzał jednak ulegać zmęczeniu; nie miał pewności, że niebezpieczeństwo sunące od pola bitwy zostało zażegnane.

Przecucia go nie myliły.

Gdzieś o drugiej po północy wiejskie psy zaczęły szczekać jak oszalałe. Harmider z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy, a to oznaczało, że ktoś zbliża się do dworu.

Waclaw podszedł do okna, ale choć spoglądał na drogę z wysokości pierwszego piętra, nie zdołał niczego dostrzec w ciemnościach rozpraszanych słabym światłem księżyca. Miał pewność tylko co do jednego – jeśli ktoś naprawdę tu zmierzał, nie było to wojsko; nie słyszał żadnych pokrzykiwań ani rżenia koni.

Minęło kilkanaście minut i kundle ucichły. Gospodarz nie przestał nasłuchiwać jeszcze przez jakiś czas i kiedy już uznał, że przez wieś przemknęło zapewne zabłąkane zwierzę, rozległ się hałas. Ktoś z całej siły walił w drzwi.

Zaniepokojony, wyszedł z pokoju i na chwilę zatrzymał się u szczytu schodów. Miał nadzieję, że walenie szybko ucichnie. Że intruz, zniechęcony ciszą i brakiem odpowiedzi, odejdzie w noc tam, skąd przyszedł.

Przeliczył się jednak; człowiek, który stał za drzwiami, musiał być uparty albo okrutnie zdeterminowany, bo dobijał się tak, jakby od tego zależało jego życie.

A może i zależało?

Zszedł na dół. Po drodze minął Genowefę, która szła sprawdzić, czy hałas nie obudził matki. Reszta wystraszonej służby zebrała się w głównym holu; kucharka i pokojówki szeptały między sobą, młoda podkuchenna z trudem powstrzymywała płacz, a lokaje i pomocnicy, wyraźnie szykowali się do bitki. Kiedy stanął między nimi gospodarz, w pomieszczeniu zapadła cisza przerywana tylko rozpaczliwym stukaniem – wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco. To on miał ostatnie słowo.

Wszystko wskazywało, że intruz prędzej zamarznie, niż odstąpi. Należało dowiedzieć się, kto to taki, a potem podjąć decyzję, co z nim zrobić.

– Klemens, Maciej, Jasiek, bierzcie broń – rzucił półgłosem. – Ambroży, ty idź sprawdzić, kogo diabli niosą. A reszta – spojrzął na przestraszone kobiety – schować się w kuchni.

Stary służący, który razem z jego stryjem brał udział w powstaniu 1831 roku i od tamtej pory nie obawiał się nikogo ani niczego, poszedł do sieni.

– Kto się tłucze po nocy?! – huknął złowrogo. – Gadaj, bo zastrzelę!

– Ambroży? – zapytał mężczyzna po drugiej stronie drzwi; w jego głosie słyhać było ulgę. – Powiedz panu...

Wacławowi zrobiło się ciemno przed oczami. Mocno uchwycił się poręczy schodów i zaklął w myślach. Spodziewałby się samego czorta, ale nie tego człowieka. Nie Adama Jedlińskiego.

Natychmiast stanęło mu przed oczami wewnątrz wypełnionej gośćmi katedry w Płocku; w pierwszej ławce siedział sam prezes sądu i kilku innych urzędników wysokiej rangi. Przed ołtarzem czekał on – młody, przystojny i najszybciej bogacący się dziedzic w powiecie – w towarzystwie drużby, swego najlepszego kolegi z czasów nauki w warszawskim gimnazjum rządowym. Główną nawą, wspierając się na ramieniu ojca, sunęła ku niemu Józefina, najpiękniejsza panna w całej okolicy.

Wyczekiwany od miesięcy ślub nie doszedł do skutku. Narzeczona i przyjaciel upokorzyli go na oczach śmietanki towarzyskiej płockiej guberni wraz z przyległościami.

\*\*\*

Adam nie przywłókł się do Wólki sam. Towarzyszył mu ranny w ramię Leon Wyrzykowski, ich wspólny kolega z tego samego szkolnego oddziału. Choć niegdyś bliscy, teraz nie byli mile widzianymi gośćmi. Kazał jednak służbie zająć się nimi jak należy. Sam poszedł do salonu, gdyż wolał uniknąć rozmowy z Jedlińskim. Nie chciał nawet patrzeć, bo jego widok wciąż przywodził na myśl największe poniżenie, jakiego doświadczył w życiu. Inna sprawa, że ten człowiek swoim nieodpowiedzialnym uczynkiem ściągnął niebezpieczeństwo na cały jego dom.

W salonie było przyjemnie ciepło, gdyż w kominku płonął ogień. Wacław usiadł w fotelu i drżącymi rękami zapalił papierosa. Spoglądając na snujący się ku górze

dym, zadawał sobie tylko jedno pytanie: co zrobić?

Od prawie roku, od dnia wybuchu powstania, postępował tak, aby niczym nie ściągnąć na siebie podejrzeń o nielojalność wobec władzy. Zamierzał przetrwać ten szalony czas, a potem zająć się swoimi sprawami: pomnażaniem majątku, udoskonalaniem folwarku, który miał stanowić jego spadek, zakładaniem nowej cegielni i wreszcie budową pałacu – dwór pamiętał czasy królów saskich, ale nijak nie odpowiadał jego ambicjom. A on od zawsze chciał być kimś. Musiał więc mieć reprezentacyjny dom, do którego będzie mógł wprowadzić żonę; taką z odpowiednim posagiem i stanowiskiem w świecie, najlepiej wywodzącą się z arystokratycznej rodziny, dająca rękojmię, że ich wspólne dzieci będą mogły sięgnąć jeszcze wyżej. Po doświadczeniach z Józefiną, raz na zawsze, darował sobie brednie o miłości. W życiu liczyły się inne rzeczy, a nie jakieś tam uczucia, które czyniły człowieka słabym.

Niespodziewane najście Jedlińskiego stawiało jego plany pod znakiem zapytania. Od kilku dni szwadrony dragonów na zmianę z kozackimi sotniami krążyły po okolicy w poszukiwaniu buntowników. Wacław starał się żyć w zgodzie z wojskowymi – nie żałował im ani jada, ani tym bardziej gorzałki i pozwalał zaglądać we wszystkie kąty – ale i tak dostrzegał nieufność w ich oczach. Cóż, był Polakiem i już sam ten fakt wzbudzał podejrzania. Gdyby tak zjechali do niego teraz, jak nic zapłaciłby za swoją gościnność i pomoc udzieloną człowiekowi, któremu w gruncie rzeczy życzył jak najgorzej.

Nie miał wielkiego wyboru. Mógł podjąć próbę uratowania tych dwóch albo zadbać o siebie, a przy okazji spowodować, aby Adam i jego przeklęta żona dostali to, na co zasłużyli.

Skłaniał się ku drugiemu rozwiązaniu; w końcu Jedliński i Wyrzykowski, przyłączając się do buntu, musieli zdawać sobie sprawę z konsekwencji. Poszli bić się o swoją wolną Polskę i przegrali, więc teraz nadeszła pora, aby zapłacili za nieposłuszeństwo wobec władzy, która po raz kolejny okazała się niepokonana. Niech idą pod mur, na stryczek, na Sybir albo gdziekolwiek indziej, gdzie pośle ich sąd, ale jego zostawią w spokoju. Nie był im nic winny.

Właściwie podjął już decyzję. Obawiał się jedynie tego, że gdyby jego z trudem pozyskani znajomi i kontrahenci z najwyższych sfer handlowych i towarzyskich dowiedzieli się, jakim sposobem pozbył się tych dwóch, zerwałyby z nim kontakty: cóż, w nich też ciągle buzowały narodowe sentymenty. Za nic nie chciał w do tego

dopuścić. Już plotki, które rozeszły się po niedoszłym ślubie z Józefiną, na jakiś czas osłabiły jego pozycję.

Ale z drugiej strony nikt ze służby nawet nie piśnie, co zaszło; wszyscy zależeli od niego i on stanowił tu prawo. A Wyrzykowski i Jedliński? Jeśli zaczną coś podejrzewać, znajdzie sposób, aby zamknąć im gęby; obaj wiedzą doskonale, że nie zwykł rzucać słów na wiatr.

Zdusił niedopałek w popielniczce, a potem podniósł się z miejsca i wrócił do holu. Służba pod wodzą Genowefy wciąż krzątała się po kuchni i przylegającej do niej izbie, w której leżał ranny. Jedliński, pochrapując, spał z głową opartą o blat stołu. Waclaw przywołał gestem Jaśka, najmłodszego ze służących, który choć ledwo umiał czytać i pisać, był bystry jak rzadko.

– Słuchaj mnie uważnie – zaczął półgłosem, kładąc rękę na jego ramieniu, a potem wytłumaczył chłopakowi, czego dokładnie od niego żąda.

\*\*\*

Znowu dobiegło go zaciekle ujadanie psów. Podszedł do okna i z trudem dostrzegł wyłaniający się z ciemności konny oddział; dragoni nie zajechali jednak przed ganek, tylko rozdzielili się, aby otoczyć dwór. Wśród nich Waclaw dostrzegł Jaśka, odetchnął więc z ulgą i znowu nadstawił uszu: w domu panowała cisza. Nikt, chyba nawet Jedliński, nie spodziewał się pogoni.

Szybko okazało się, że jednak nie docenił spostrzegawczości dawnego przyjaciela.

– Co się dzieje? – zapytał Adam, kiedy pocierając zaspane oczy, wyłonił się z kuchni. Rozczochrany, zarośnięty i okutany poszarpanym kozuchem ani trochę nie przypominał wymuskanego eleganta, dla którego straciła głowę jego narzeczona. – Doktor przyjechał?

– Doktor? – zdziwił się Waclaw. – Skąd przyszedł ci do głowy doktor?

– Nie posyłałeś po doktora? Wyszedłem na papierosa i widziałem konnego... – zaczął kolega, ale nagle zamilkł. Musiało dotrzeć do niego, co właśnie się dzieje, gdyż w jednej chwili zmienił się na twarzy. – Ty chyba nie...

– Posłałem po wojsko – przerwał mu ostro i zamilkł. Nie zamierzał nikomu tłumaczyć się ze swoich postępów.



– Ty zdrajco! – Adam rzucił się na niego z pięściami. Przygotowany na atak zrobił unik. Mocno uderzył przeciwnika w brzuch i pchnął. Jedliński, z trudem chwytając powietrze, uderzył plecami o ścianę, osunął się po niej i skulił na podłodze. Długo leżał w milczeniu, wreszcie uniósł głowę i wysyczał: – Żebyś skonał w mękach. Ty...

– Daruj sobie tę komedię. – Przykucnął przy starym znajomym, chwycił go za ramię i zmusił, aby na niego spojrział. – Było myśleć, zanim wlałeś mi w drogę.

Adam oddychał ciężko, widok bezsilnej złości w jego oczach sprawiał Wacławowi satysfakcję.

– Wszyscy się dowiedzą – wydyszał w końcu Jedliński, bezskutecznie próbując się podnieść. – Cały powiat. Całe Królestwo... Książę Woroniecki zerwie znajomość i...

– Posłuchaj! – Chwycił go za koszulę na piersi i zbliżył twarz do jego twarzy, chciał, aby drań dobrze go zrozumiał, a potem wycedził: – Pójdiesz pod mur. A jeśli nie... Masz młodą żonę. Wiem, że urodził ci się syn...

– Skąd?

– Wiem – powtórzył z mocą. – Piśnij choć słowo, a oboje zginą. Ty i Leon też. Wiesz, że jestem do tego zdolny... Obaj trzymajcie gębę na kłódkę.

Jedliński, blady jak śmierć, wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Zapewne myślał o tym samym, co on – o podejrzanym wypadku na pewnym polowaniu; chłopak, który miał wcześniej zatarg z Wacławem, ledwo uszedł z życiem.

– Tknij tylko moją... – zaczął desperacko.

– Nie jest twoja. Ukradłeś mi ją. A teraz od ciebie zależy jej życie. Tylko od ciebie! Ktoś załomotał w drzwi kolbą karabinu. Raz. Drugi. Wreszcie trzeci.

– Trzymajcie go. – Wacław podniósł się z podłogi i popatrzył na służących, którzy znowu zbiegli się do sieni. – A ty otwieraj – nakazał Ambrożemu po raz drugi tej nocy. – Szybko.

Lokaje chwycili Adama, w którego wstąpiła nagle jakaś nieludzka siła; bronił się tak, że może i wyrwałby się próbującym obezwładnić go mężczyznom, gdyby drzwi nie stanęły wreszcie otworem. Wraz z powiewem mrozu i wirującymi w powietrzu drobinami śniegu do sieni wkroczył rotmistrz Kamienienko w obstawie kilku dragonów.

– Dobry wieczór, Waławie Janowiczu! – huknął na cały głos. – Słyszałem, że macie u siebie buntowników?

\*\*\*

– Dajcie gorzałki – zarządził rotmistrz, kiedy zyskał już absolutną pewność, że obaj zbiegowie zostali porządnie związani i stoi nad nimi straż. – Zimno jak czort. – Potarł zgrabiące dłonie i nie ściągając szynela, usadowił się za stołem w kuchni.

Waław skinął na służbę; Ambroży rzucił się wyciągać z szafy wódkę i kieliszki, nie tylko dla dowódcy, ale także dla świty, zaś kucharka pospiesznie podreptała do spiżarni po zakąski. On zaś nie spuszczał uważnego wzroku z oficera, który wyraźnie czuł się w jego domu jak u siebie.

Kamienienkę poznał już jakiś czas temu, ale nieszczególnie cieszył się z tej znajomości. Wprawdzie rotmistrz na pierwszy rzut oka wydawał się dobroduszny i poczciwy, ale wiedział, że to tylko pozór, za którym kryje się nienasycona chciwość. Nie raz, nie dwa wsuwał dragonowi do kieszeni pieniądze, aby zapewnić sobie jego przychylność, ale i tak mu nie ufał. Oficer nie krył bowiem, jak bardzo podoba mu się wzorowo zarządzany majątek w Wólce; kilka razy nawet sugerował, że chętnie dostałby go za pół ceny albo i całkiem za darmo.

Waław pogratulował sobie w myślach przezorności; gdyby taki Kamienienko wpadł tu ze swoimi żołnierzami sam z siebie i znalazł uciekinierów, on mógłby pożegnać się i z wolnością, i z folwarkiem.

Czas mijał. Rotmistrz najadł się i napił, wreszcie jednym haustem opróżnił ostatni kieliszek i zagryzł wódkę kiszonym ogórkiem.

– *Nu*, dawajcie wóz i konie, Waławie Janowiczu – zwrócił się do gospodarza, ocierając imponujące wąsiska. – *I zbierajcie się. Bystro!*

– Dokąd mam się zbierać?

– Do Płocka – odpowiedział, uśmiechając się krzywo. – Mus odstawić was wszystkich do aresztu.

– Mam jechać jako świadek?

– Pojedziecie z nami. – Kamienienko poklepał go po plecach niczym najszczęśliwszy przyjaciel. – Wyjaśnicie sądowi dokładnie i po kolei, czemu trzymaliście u siebie dwóch zbiegów.

– Pojadę jako świadek? – zapytał jeszcze raz z naciskiem.

– Jako buntownik – zniecierpliwiał się rotmistrz. – Zbierajcie się, Waławie Janowiczu. I nie marudźcie dłużej, bo dragoni wam pomogą.

– Nie jestem buntownikiem – oburzył się, czując, że z każdą chwilą ogarnia go coraz większa złość. Jeszcze trochę, a pokaże temu ruskiemu przybłędzie, gdzie jego miejsce. – Jestem lojalnym carskim poddanym.

– Pomogliście przecież tym tam. – Ruchem głowy wskazał związanych mężczyzn.

Wyrzykowski siedział na podłodze z opuszczoną głową i wyglądał na omdlałego, ale Adam wciąż wpatrywał się w niego wzrokiem pełnym nienawiści; gdyby spojrzenie mogło zabijać, niewątpliwie Waław pukałby już do bram nieba albo piekła.

– Wezwałem was – rzucił – a ich przytrzymałem, żeby nie uciekli.

– Łże jak pies – odezwał się nagle Jedliński, a jego głos ociekał ironią. – Pomógł nam... Jeszcze jak! Jak na prawdziwego przyjaciela ze szkoły przystało.

– O, widzicie – ucieszył się rotmistrz, który nic a nic nie pojął, o co naprawdę chodziło więźniowi. – Kolega jest wam wdzięczny. My wam też za tę pomoc dziękujemy.

– Zawiadomiłem was, że mam w domu buntowników – powtórzył z uporem godnym lepszej sprawy. – Wysłałem po was chłopaka, żeby...

– Jakiego znowu chłopaka? – Rotmistrz zmrużył oczy i zaczął uważnie rozglądać się po izbie.

Dostrzegł wreszcie Jaśka. Patrzył na niego przez chwilę i nagle sięgnął po rewolwer. Wypalił, zanim ktokolwiek zorientował się, co zamierza. Chłopak chwycił się za pierś, jęknął i bezwładnie upadł na podłogę. Znieruchomiał. Genowefa krzyknęła głośno i chciała rzucić się na pomoc, ale na widok wycelowanej w siebie broni zamarła, a potem wybuchnęła płaczem – kochała Jaśka jak syna.

– Przyjeżdżał po nas jakiś chłopak? – potoczył wzrokiem po twarzach rozbawionych dragonów, którzy jeden po drugim kręcili przecząco głowami. – Widzicie, Waławie Janowiczu, coś wam się przywidziało. Ani chybi, chorzy jesteście. Ale to nic, wezwiemy wam do aresztu doktora. A tego... – trącił butem nieruchome ciało Jaśka i zarechotał – ...dopiszemy do rachunku waszemu koledze.

– *Skatina!* – Nie wytrzymał Adam i spróbował splunąć Kamienience pod nogi. Niestety siedział za daleko.

– *Mołczaj!* – Rotmistrz w odpowiedzi nachylił się i uderzył go pięścią w twarz.

Jedliński przez chwilę siedział bez ruchu, a kiedy wreszcie podniósł głowę, z jego nosa sączyła się krew, a wyraz oczu świadczył o tym, że jest gotowy na wszystko, nawet śmierć.

Dla odmiany Wacław nie miał zamiaru umierać ani iść na katorgę. Matka... W niej jedyna nadzieja. Jeśli szybko odzyska siły, wyciągnie go z tej kabały. Nie z takimi kłopotami i nie z takimi draniami radziła sobie w życiu.

– *Nu, jutro tu przyjadę* – rzucił dowódca dragonów, spoglądając na służbę. – *A niech które co ukradnie.* – Uniósł ostrzegawczo palec.

A więc czuł się już właścicielem Wólki... W takim razie czeka go srogie rozczarowanie. Cały majątek należał wciąż do matki i nawet taki Kamienienko nie znajdzie pretekstu, aby go jej odebrać.

KONIEC

*Maj 2021*

# PODZIĘKOWANIA

W związku z tym, że historia Leontyny i Aleksandra dobiegła końca, chciałabym bardzo podziękować osobom, które na przeróżne sposoby pomagały mi w tworzeniu tej opowieści.

Przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi Piotrowi. Za wsparcie i cierpliwość, a także za sprowadzanie mnie na ziemię w odpowiednich momentach i pomoc w ogarnianiu realnego świata. I jeszcze za rozwiązanie metodą Aleksandra Wielkiego kilku problemów Aleksandra Woronina.

Dziękuję Annie Głuszek i Ewie Knap. Za inspirujące dyskusje, za wysłuchiwanie moich niekończących się monologów, za zadawanie właściwych pytań, za czepianie się szczegółów oraz za motywujące groźby. Dziewczyny, jesteście nieocenione!

Dziękuję Adamowi Podleowskiemu za dobrą radę, zaś Rafałowi Bielskiemu, szefowi Skarpy Warszawskiej, za to, że pozwolił maszynopisowi *Warszawianki* zamienić się nie tylko w książkę, ale i w pierwszą część trylogii.

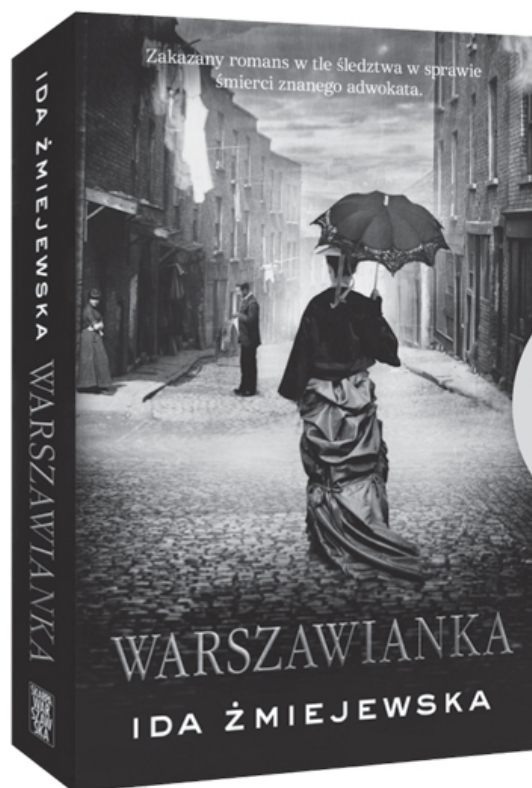
Dziękuję Anicie Sobieraj-Cywoniuk za to, że zawsze wie, co powiedzieć i w jakim momencie, aby nakierować mnie na właściwą drogę. Nie tylko literacką.

Dziękuję także Nadii Gasik, Agnieszce Kwiatkowskiej i Leszkowi Masierakowi – pierwszym czytelnikom *Warszawianki* oraz Noemi Szymuli – czytelniczce *Gdy zgasną światła* i *Od zmierzchu do świtu* – za czas poświęcony moim książkom oraz za bezcenne uwagi i refleksje.

*Ida Żmiejewska*

# Warszawa 1885 r.

Zakazany romans w tle śledztwa  
w sprawie śmierci znanego adwokata.



Nagroda im. Janiny  
Paradowskiej podczas  
Międzynarodowego  
Festiwalu Kryminału  
we Wrocławiu.

Listopadowej nocy w miejskim burdelu zostaje zamordowany znany adwokat. Sprawę – wraz z sędzią śledczym – prowadzi młody rosyjski policjant, który zaledwie przed kilkoma dniami przyjechał do Warszawy z Petersburga. Policjant podczas wykonywania obowiązków poznaje córkę zmarłego; mimo początkowej niechęci między młodymi nawiązuje się nić porozumienia, która z czasem przeradza się w poważne uczucie. Problem tkwi jednak w tym, że panna ma narzeczonego socjalistę, który czeka w Cytadeli na proces, związki polsko-rosyjskie są zaś w Nadwiślańskim Kraju uznawane niemal za zdradę...

PATRONATY



rytm WARSZAWY

# Warszawa 1887 r.



Maj 1887 roku. Warszawskim światkiem teatralnym wstrząsa wiadomość, że znana artystka baletu, Zofia Ostrowska została zasztyletowana. Wszystkie poszlaki wskazują na jej ostatniego kochanka, policjanta Aleksandra Woronina.

Tymczasem do Warszawy, po prawie półtorarocznej nieobecności, wraz z matką i siostrą, wraca Leontyna Rapacka. Dociera do niej wieść o aresztowaniu Woronina. Panna początkowo nie chce mieć nic wspólnego z tą sprawą, ale dowiaduje się, że ma moralny dług wobec policjanta, gdyż to właśnie on uratował jej rodzinny majątek. Leontyna ma słabość do młodego Rosjanina i nie potrafi uwierzyć w jego winę.

Zagrożenie narasta, a pytania się mnożą. Dlaczego Woronin milczy jak zakłęty? Po co do Warszawy przyjechał jego ojciec? Czy w czasach konwenansów jest miejsce na miłość?

PATRONATY

